

DESMOND BAGLEY

SPADEK



Trudno powiedzieć, od czego zaczęła się cała ta sprawa. Z pewnością nie od Bena Hardina. Może jednak wówczas, gdy Jomo Kenyatta nakazał kenijskiej delegacji przy Organizacji Narodów Zjednoczonych zorganizowanie działań, mających na celu usunięcie Afryki Południowej z ONZ. Doszło do tego dwudziestego ósmego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku; zapewne też wkrótce po tym fakcie Południowoafrykańczycy doszli do wniosku, że muszą coś zrobić w tej kwestii.

Natomiast Max Stafford został wplątany w tę historię już pierwszego dnia po powrocie do Londynu z długotrwałej i wyczerpującej podróży po Europie, wiodącej przez Paryż, Frankfurt, Hamburg, Amsterdam i Mediolan. Ponieważ jego klientami były organizacje międzynarodowe, on sam również przed trzema laty, zmuszony został do podjęcia decyzji o nadaniu firmie charakteru międzynarodowego. Włożył dużo trudu w zakładanie europejskich biur, lecz teraz Stafford Security Consultans, chlubiący się etykietką Ltd po nazwie firmy, wzbogacił się o S.A., GmbH, SpA i parę innych skrótów. Stafford zastanawiał się również, czy nie otworzyć filii za Atlantykiem, aby poszerzyć jeszcze ten zbiór o Inc.

Zatrzymał się na moment w sekretariacie swojego biura.

— Czy jest gdzieś tutaj pan Ellis?

— Widziałam go pięć minut temu — odparła Joyce, sekretarka. — Czy udała się panu podróż?

— Była męcząca, ale raczej udana. — Położył na jej biurku małą paczuszkę. — Twoja ulubiona przynęta na mężczyzn, prosto z Paryża od Coco Chanel. Jestem w gabinecie pana Ellisa.

— Dziękuję, panie Stafford — zapiszczała Joyce.

Jack Ellis prowadził operacje na terenie Zjednoczonego Królestwa.

Młody, ale rzutki, sprawnie sterował powierzonym mu okrętem. Stafford awansował go na to stanowisko, gdy zdecydował się na wejście do Europy. Ryzyko umieszczenia młodego człowieka na tak wysokim stanowisku, gdzie musiał prowadzić negocjacje z paroma nudnymi i starymi prezesami firm, opłaciło się, i Stafford nigdy nie pożałował swej decyzji.

Przez jakiś czas rozmawiali o europejskiej podróży. W pewnej chwili Ellis spojrział na zegarek.

— Lada chwila przyjdzie tu Bernstein. — Wskazał stojący z boku stolik, na którym leżało

kilka opasłych teczek. — Czytał pan już raporty?

— Nie zagłębiałem się w szczegóły. — Stafford skrzywił się z niechęcią. Kiedy podjął decyzję o rozszerzeniu działalności, poszedł na całego i zlecił niezależnej firmie aby wysondowała możliwości istniejące na świecie. Sporo to kosztowało, ale uznał, że na dłuższą metę jest opłacalne. Wolał jednak mieć do czynienia z ludźmi niż ze sprawozdaniami i chciał kojarzyć człowieka z tym, co proponował na piśmie. — Omówimy je jeszcze raz z Bernsteinem — powiedział.

W dwie godziny później czuł się usatysfakcjonowany. Amerykanin Bernstein był bystry i rozsądny; stał na ziemi obiema nogami i nie należał do ludzi, którzy oddają się nierealnym spekulacjom. Stafford już dawno doszedł do wniosku, że bez zastrzeżeń może ufać jego raportom.

Bernstein odrzucił na bok teczkę.

— Tyle, jeśli chodzi o Australazję.. Przechodzimy teraz do Afryki. — Wziął kolejną teczkę. W tym przypadku zasadniczy problem stanowi brak stabilizacji politycznej.

— Proszę się ograniczyć do krajów anglojęzycznych — uprzedził Stafford. — Nie jesteśmy przygotowani na wejście do Afryki francuskojęzycznej. — Zamilkł na chwilę. — Jeszcze nie teraz.

Bernstein skinął głową.

— Oznacza to dawne kolonie brytyjskie. Oczywiście ważna jest Południowa Afryka. — Przez jakiś czas skoncentrowali się na tej sprawie i Bernstein podał kilka interesujących sugestii. Później powiedział: — Następne jest Zimbabwe. Właśnie uzyskało niepodległość i ma czarny rząd. Nikt nie wie, jaką teraz pójdzie drogą, i nie polecałbym panu tej republiki. Tanzania nie wchodzi w rachubę; kraj znajduje się na drodze do bankructwa i nie ma tam wolnego rynku. To samo odnosi się do Ugandy. Natomiast z Kenią jest już inna sprawa.

— Jak to? — spytał Ellis.

Bernstein przerzucił kilka kartek.

— Podobnie jak Anglia ma gospodarkę mieszaną. Rząd jest umiarkowany, a korupcja mniejsza niż zazwyczaj w Afryce. Zachodnie banki są dobrego zdania o Kenii i do kraju płynie sporo pieniędzy na budowę infrastruktury, na przykład modernizację systemu dróg. — Uniósł wzrok. — Oczywiście będzie pan miał konkurencję — Securicor już się tam zainstalował.

Securicor był najpoważniejszym konkurentem Stafforda w Anglii.

— Jakoś sobie z tym poradzimy — odparł z uśmiechem, po czym zmarszczył brwi. — Ale czy sytuacja w Kenii jest rzeczywiście stabilna? Co ze sprawą Mau—Mau?

— Upłynęło już sporo czasu — powiedział Bernstein. — Jeszcze w trakcie pobytu Brytyjczyków. Tak czy owak narosło wiele nieporozumień wokół powstania Mau—Mau. Prasa zachodnia okrzyknęła je rebelią przeciw Brytyjczykom, a nawet czarni Kenijczycy dokonali paru przeróbek historii, gdyż chcą myśleć, że właśnie w tym okresie pozbyli się brytyjskich ciemieżców. Należy jednak pamiętać, że w trakcie siedmioletniej rebelii Mau—Mau zginęło tylko trzydziestu pięciu białych. Jeśli więc była to rewolucja wymierzona przeciw Brytyjczykom, to okazała się cholernie mało skuteczna.

— Zaskakuje mnie pan — odezwał się Ellis. — O co więc w tym wszystkim chodziło?
Bernstein złączył dłonie opuszkami palców.

— Wszyscy rozumieli, że Brytyjczycy muszą przekazać jurysdykcję nad Kenią — bieg historii zwrócił się przeciw imperium brytyjskiemu. Powstanie Mau—Mau było prywatną walką między czarnymi Kenijczykami, chodziło głównie o sprawy plemienne, o ustalenie, kto znajdzie się na szczycie, gdy Brytyjczycy abdykują. Zginęło wielu ludzi, a kilku białych zabito tylko dlatego, że znaleźli się w nieodpowiednim czasie w nieodpowiednim miejscu. Gdy wszystko się skończyło, Brytyjczycy wiedzieli, kto będzie trzymał cugle rządów. Inteligentny i wykształcony Jomo Kenyatta miał wszelkie kwalifikacje na przywódcę narodu, w tym także tę zasadniczą.

— A mianowicie? — spytał Ellis.
Bernstein uśmiechnął się.

— Siedział w brytyjskim więzieniu — wyjaśnił rzeczowo. — Kenyatta zaprezentował zaskakujący umiar. Nie szalał jak niektórzy afrykańscy przywódcy. Zachęcał białych do pozostania, ponieważ wiedział, że potrzebuje ich wiedzy, i rozwinął wymianę handlową kraju. Jakiś czas temu namiętnie spekulowano, co się stanie po jego śmierci. Ludzie obawiali się kolejnej wojny domowej w stylu Mau—Mau, lecz ku ich zaskoczeniu przejście nastąpiło spokojnie, na sposób demokratyczny, i prezydentem został Moi. Oficjalnie nie pochwała się organizacji plemiennych i dlatego powiedziałbym, że Kenia jest krajem stabilnym. — Przerzucił kartki, które trzymał w ręce. — Znajdzie pan tu wszystkie szczegóły.

— W porządku — powiedział Stafford. — Co dalej?

— Przechodzimy do Nigerii.

Dyskusja trwała jeszcze przez jakąś godzinę, wreszcie Stafford spojrzął na zegarek.

— Musimy przerwać. Jestem umówiony na lunch. — Z niesmakiem spojrzął na grubą stertę papierów leżącą na biurku. — Zejdzie nam jeszcze trochę czasu, zanim się przez to przekopujemy. Dziękuję za pomoc, panie Bernstein; nieźle pan sobie z tym poradził.

— Gdyby coś okazało się niejasne, służę wyjaśnieniami — powiedział Bernstein.

— Myślę, że damy sobie spokój z Afryką — rzekł Stafford z namysłem. — Skłaniam się raczej do otwarcia biura w Stanach, a potem może w Australii. Ale lunch jem z Południowoafrykańczykiem. Może, więc zmienię zdanie.

Stafford był umówiony z Alix i Dirkiem Hendriksami. Alix poznał kilka lat wcześniej, gdy nazywała się jeszcze Aarvik. Była córką Angielki i Norwega, który zginął na wojnie. Do spotkania doszło przy okazji rutynowego śledztwa. Splot wydarzeń rzucił go do Afryki Północnej, skąd wrócił z raną od kuli w ramieniu, a także z pokaźną fortuną przeznaczoną dla Alix Aarvik. W tym czasie jego rozwód stał się już faktem i Stafford zupełnie na serio zastanawiał się, czy nie poślubić Alix, ale czegoś zabrakło między nimi, więc nie upierał się przy tym pomysłe, co nie przeszkodziło im pozostać dobrymi przyjaciółmi.

Alix po pewnym czasie wyszła za Dirka Hendriksa. Stafford nie miał o nim zbyt dobrego zdania. Nie ufał powierzchownej warstewce wdzięku, podejrzewając, że Hendriks poślubił Alix z czysto materialnych powodów. W mniemaniu tym utwierdzała go niechęć, jaką Hendriks żywił do wszelkiej pracy. Niemniej Stafford był na tyle szczerzy w stosunku do siebie samego, że potrafił przyznać, iż jego niechęć do Hendriksa mogła wynikać z typowej postawy psa ogrodnika. Alix spodziewała się dziecka.

Podczas lunchu Alix narzekała na to, że widują się zbyt rzadko.

— Nagle zniknąłeś z mojego życia.

— To, dlatego, że mężczyźni muszą pracować — odparł lekko Stafford, nie przejmując się specjalnie, że ta uwaga mogła zabrzmieć ironicznie wobec Dirka Hendriksa. — Miotalem się po Europie, przysparzając majątku kilku liniom lotniczym.

— Jak widzę, wciąż nastawiasz się na ekspansję.

— Dopóki ludzie mają tajemnice, których chcą chronić znajdzie się praca dla takich jak ja. Zamierzam wejść do Stanów. — Odsunął się, pozwalając kelnerowi, aby zabrał talerz. — Dzisiaj rano pewien facet namawiał nas, byśmy rozszerzyli działalność na Południową Afrykę. Co o tym sądzisz, Dirk?

— Południowa Afryka kryje mnóstwo tajemnic — odparł ze śmiechem Hendriks. — To niezły pomysł.

Stafford pokręcił głową.

— Zdecydowałem się trzymać z dala od Afryki. Jest tyle możliwości rozwoju w innych kierunkach, a Czarny Łąd jakoś do mnie nie przemawia.

W niedalekiej przyszłości miał sobie z goryczą przypomnieć tę uwagę.

Ben Hardin, który znajdował się w odległości niemal pięciu tysięcy kilometrów, nie wiedział nic o Maxie Staffordzie, a Kenia w ogóle nie zaprzętała jego uwagi. Nie miał też pojęcia, że stanowi ogniwo łączące te dwa elementy. Co prawda przebywał w Kenii w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku, lecz wykonywał wtedy zupełnie inną pracę i dla innej klienteli. Niemniej właśnie on, nieświadom niczego, stał się kluczem, który otworzył drzwi, za którymi kryła się cała ta paskudna sprawa.

Któregoś gorącego, parnego dnia pod koniec lipca, kiedy Nowy Jork wprost się dusił, Hardin wybrał się do ulubionego baru, żeby napić się zimnego piwa. Gdy wrócił do biura, siedzący przy sąsiednim biurku Jack Richardson oznajmił mu:

– Pytał o ciebie Gunnarsson.

– Oo, czego chce?

– Nie powiedział — odparł Richardson, wzruszając ramionami. Hardin, który już zdążył zdjąć marynarkę włożył ją z powrotem.

– Kiedy chciał się ze mną widzieć?

– Wczoraj — sucho powiedział Richardson. — Wydawał o mi się, że jest wściekły.

– W takim razie lepiej, żebym poszedł do starego drania — stwierdził cierpko Hardin.

– Gdzie się, do diabła, podziewałeś? — przywitał go Gunnarsson.

– Sprawdzalem kontakt w sprawie Myersona — zmyślił Hardin, postanawiając zapisać tę wizytę w aktach Myersona. Czasami Gunnarsson sprawdzał takie rzeczy.

Gunnarsson położył dłonie płasko na biurku i spojrzał na niego groźnie. Był krzepkim, barczystym mężczyzną, jak gdyby wyciosanym z granitowego monolitu. Mimo upału nie zdejmował w ogóle marynarki. Plotka głosiła, że Gunnarsson w ogóle nie miał gruczołów potowych.

– Daj temu spokój, Ben; zabieram ci tę sprawę. Mam dla ciebie coś innego — oznajmił.

– W porządku — zgodził się Hardin.

Gunnarsson rzucił przez biurko cienką teczkę.

– Postawmy sprawę jasno. Wyjaśnisz to — dostajesz premię. Spieprzysz — wylatujesz. Już wystarczająco długo trzymamy cię tutaj.

Hardin spojrzał na niego spokojnie.

– Wyrażasz się zupełnie jasno. Jak ważna jest ta sprawa?

– Nie mam pojęcia. — Gunnarsson klasnął w dłonie. — Jeden prawnik, Angol, chce dostać odpowiedź. Masz wybadać, co się stało z Południowoafrykańczykiem, Adrianem

Hendriksem. W latach trzydziestych przyjechał do Stanów. Dowiedz się o nim wszystkiego, a zwłaszcza czy się ożenił, czy miał dzieci. Jeśli tak, to i nimi się zajmij.

— To będzie wymagało trochę dochodzenia — uprzedził Hardin. — Kogo możesz mi przydzielić?

— Nikogo. Skorzystaj z własnych nóg. — Gunnarsson wyrażał się bez ogródek. — Jeżeli nie potrafisz wykonać takiej gównianej roboty, to znaczy, że jesteś bezużyteczny dla Gunnarsson Associates. Przeprowadzisz to tak: weźmiesz samochód, ruszysz w drogę i sprawdzisz, co stało się z tamtym facetem. I zrobisz to sam. Gdybyś musiał opuścić Nowy Jork, nie wolno ci się zbliżać do biur regionalnych.

— Dlaczego?

— Bo ja sobie tak życzę. A jestem tu szefem. Ruszaj!

Tak, więc Hardin poszedł, a kładąc teczkę na swoim biurku, doszedł do ponurego wniosku, że właśnie postawiono mu ultimatum. Usiadł, otworzył teczkę i zorientował się, dlaczego jest taka cienka. Zawierała jedną kartkę wydruku komputerowego, z której dowiedział się tylko tyle, ile zdążył mu już powiedzieć Gunnarsson; uważano, że Adrian Hendriks przybył do Stanów Zjednoczonych pod koniec lat trzydziestych. Nie odnotowano nawet, do którego portu.

— Na Boga, litości! — mruknął do siebie Hardin.

Po raz setny, a może tysięczny, Ben Hardin zapragnął wykonywać inną pracę. Każdego ranka, gdy budził się w jakimś nędznym pokoju motelowym, do głowy przychodziła mu ta sama myśl: „Chciałbym robić coś innego”. Po czym automatycznie przychodziła następna: „Niech diabli wezmą tego drania Gunnarssona”, równie mechanicznie sięgał też po pierwszego w tym dniu papierosa i zanosił się kaszlem.

Ta sama myśl prześladowała go podczas śniadań, niezmiennie składających się z byle, jakich zestawów typowych dla moteli przy międzystanowych autostradach. A kiedy pukał do drzwi, jakichkolwiek drzwi, by zadać pytanie, ta myśl nieustannie pulsowała mu w głowie. Podobnie jak temu Francuzowi z anegdotki, który twierdził, że wszystko kojarzy mu się z seksem, Hardinowi wszystko przypominało o twardych warunkach życia. Stał się cyniczny i był wiecznie poirytowany.

Ostatni nawrót myśli o tym, że chciałby robić coś zupełnie innego zdarzył mu się, gdy otoczyła go woda. Lało jak z cebra. Woda, głęboka na jakieś trzydzieści centymetrów lub więcej, wirując waliła ściekami, gdyż studzienki nie mogły jej pochłonąć. Hardin odnosił wrażenie, że jego samochód lada chwila zostanie zmyty. Uwięziony w stalowym pudle mógł

tylko czekać, aż ulewa się skończy. Z pewnością nie miał zamiaru wysiadać, w ciągu dziesięciu sekund zostałyby, bowiem przemoczony do suchej nitki i zatopiony.

A wszystko to działo się w Kalifornii — w Los Angeles, Mieście Aniołów. Nie ma już aniołów, pomyślał, wszystkie się potopiły. Wyobraził sobie tłum aniołów siedzących na ciemnej chmurze z przemoczonymi skrzydłami i na jego twarzy pojawił się udręczony uśmiech. Mówią, że co Kalifornia zrobiła dzisiaj, jutro powtórzy Nowy Jork. Jeżeli to prawda, ktoś w Nowym Jorku już powinien zacząć budować cholerną arkę. Zastanowił się, czy w nowojorskiej książce telefonicznej figuruje jakiś pan Noe.

Wykorzystując przymusowy postój, cofnął się w myślach o kilka tygodni. Pierwszym logicznym krokiem było skontaktowanie się z Urzędem Imigracji i Naturalizacji. Dowiedział się tam, że lata trzydzieste były kiepskim okresem dla imigrantów — do kraju wpuszczono zaledwie 528.433 szczęśliwców. Urzędnik imigracyjny McDowell, u którego sprawdzał te dane, zauważył z powagą, że Hardin ma fart — w latach dwudziestych liczba ta wyniosła ponad cztery miliony. Jednak Hardin nie bardzo mógł uwierzyć w swoje szczęście.

— Południowa Afryka — rzekł McDowell. — Może nie będzie tak źle. Niewielu stamtąd emigruje.

Po sprawdzeniu akt okazało się, że miał rację, lecz i tak nie znaleźli żadnego Adriana Hendriksa.

— Zmieniają nazwiska — powiedział McDowell. — Czasami amerykanizują wymowę. Mam tu jakiegoś Adriana Hendrixa... — przeliterował nazwisko. — Może to ten, którego pan szuka? Wysiadł na ląd w Nowym Orleanie.

— To właśnie mój człowiek — odparł z satysfakcją Hardin.

Do tego momentu poszukiwania zajęły mu dwa tygodnie.

W wyniku kolejnych badań ustalił, że Hendriks naturalizował się osiem lat później w Clarksville, w stanie Tennessee. Ścisłej mówiąc, ożenił się tam. Na ustaleniu tych prostych faktów upłynęły kolejne trzy tygodnie, Hardin przebył wtedy wiele kilometrów.

Adrian Hendrix poślubił córkę handlarza zbożem i paszą. Wyglądało na to, że dobrze prosperował, gdyby nie jego pewna słabość. Od śmierci teścia w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku zaczął przepijać dochody z interesu, który odziedziczył. Wreszcie alkoholizm doprowadził go do przedwczesnej śmierci. Zdążył jednak spłodzić syna, Henry'ego Hendrixa.

Hardin spojrział ponuro na swój notes. Zamiana ojca na syna wcale nie ułatwiała mu zadania. Zgłosił to Gunnarssonowi. Usłyszał tylko szorstką odpowiedź, żeby przestał marudzić i wziął się do szukania młodego Hendrixa. W czasie kolejnych czterech tygodni

błądził po omacku, gdyż po zakończeniu szkoły średniej Henry Hendrix rozplynął się — przestał figurować w ewidencji. Kombinacja dreptania, wytrwałości i szczęścia zaprowadziła Hardina do doliny San Fernando w Kalifornii, gdzie właśnie tkwił uwięziony we własnym samochodzie.

Upłynęły niemal trzy kwadranse, nim deszcz zelżał, i Hardin zaryzykował wyjście z auta. Zaklął, gdy wsadził stopę do głębokiej na piętnaście centymetrów kałuży, po czym brodząc w wodzie przeszedł na drugą stronę ulicy, w kierunku schludnego, białego domku. Schronił się na ganku, otrzepał wodę z płaszcza i nacisnął dzwonek.

Po chwili drzwi uchyliły się ostrożnie na szerokość łańcucha i w wąskiej szczelinie ukazało się oko i nos.

— Szukam Henry'ego Hendrixa — oznajmił Hardin, otwierając notes. — Skierowano mnie pod ten adres.

— Nie ma tu nikogo takiego. — Drzwi zaczęły się zamykać.

— Ale Thorndale 82 to tutaj?

— Tak, ale nazywam się Parker. Nie ma tu żadnego Hendrixa.

— Od jak dawna pan tutaj mieszka, panie Parker?

— A pan, kto?

— O, przepraszam. — Hardin wyjął z portfela wizytówkę i wetknął ją w siedmiocentymetrową szparę. — Nazywam się Hardin.

Dwa palce chwyciły wizytówkę i zniknęły.

— Gunnarsson Associates. Jest pan prywatnym tajniakiem?

— Myślę, że można to tak określić — odparł Hardin zmęczonym głosem.

— Czy ten Hendrix wpakował się w jakieś kłopoty?

— Z tego, co mi wiadomo, to nie, panie Parker. Jak słyszałem, wprost przeciwnie. Hendrix ma szansę otrzymać dobre wieści.

— No, więc powiem panu — zdecydował Parker. — Mieszkamy tu osiem miesięcy.

— Od kogo kupiliście dom?

— Nie kupiliśmy — odparł Parker. — My go wynajmujemy. Właścicielką jest stara kobieta z Pasadeny.

— I nie zna pan nazwiska poprzedniego najemcy? Czy nie zostawił nowego adresu? — W głosie Hardina nie można było odnaleźć zbyt wiele nadziei.

— Nie. — Parker zamilkł na chwilę. — Ale moja żona może coś wiedzieć. To ona załatwiała wszelkie formalności związane z wynajmem.

— Czy można by ją o to zapytać?

— Pewno tak. Niech pan chwilę zaczeka. — Drzwi zamknęły się i Hardin został na ganku, gapiąc się na ich drewnianą łuszczącą się powierzchnię. Z wnętrza domu doszedł go pomruk głosów i po chwili drzwi uchyliły się ponownie. Jakaś kobieta zlustrowała go uważnie i zniknęła. Usłyszał jej głos:

— Zdejmij łańcuch, Pete.

— Do diabła, Milly, wiesz, co nam mówili o Los Angeles.

— Zdejmij łańcuch — nie ustępowała Milly. — Cóż to za życie siedzieć cały czas za zasuwami i kratami?

Drzwi zamknęły się, coś szcęknęło, wreszcie otworzyły się na oścież.

— Proszę wejść — zaprosiła pani Parker. — Pogoda taka, że ani psa wygnać. Hardin z wdzięcznością przekroczył próg.

Parker okazał się tęgim, może czterdziestopięcioletnim mężczyzną o zamkniętej, napiętej twarzy, ale jego żona uśmiechnęła się do Hardina.

— Chce się pan dowiedzieć czegoś o Hendersonach, panie Hardin?

— Hendrixach, pani Parker. — Hardin opanował ogarniające go mdłości.

— Przysięgłabym, że nazywali się Henderson. Ale proszę wejść do pokoju i usiąść.

Hardin pokręcił głową.

— Jestem przemoczony, nie chciałbym państwu zniszczyć mebli. Poza tym nie zajmę wiele czasu. Twierdzi pani, że poprzedni dzierżawca nazywał się Henderson?

— Tak mi się wydawało. Mogłam się pomylić. — Roześmiała się niefrasobliwie. — Często mi się to zdarza.

— Czy zostawili jakiś adres?

— Chyba tak; miałam jakąś kartkę. Poszukam w biurku — powiedziała wymijająco i wyszła.

Hardin spojrział na Parkera i spróbował nawiązać jakąś błahą rozmowę.

— Często macie tu taką pogodę?

— Nie mam pojęcia — odparł Parker lakonicznie. — Mieszkamy od niedawna.

Hardina doszedł z sąsiedniego pokoju odgłos wyciąganych szuflad i szelest papierów.

— Z tego, co słyszałem, ma to być słoneczny stan. A może chodziło o Florydę?

— I tu pada i tam — mruknął Parker. — Ale nie słyszałem, żeby mówili o tym w izbie handlowej.

— Nie mogę jej znaleźć — oznajmiła pani Parker po powrocie.

— To była taka malutka karteczka. — Zmarszczyła brwi. — Zresztą chyba pamiętam ten

adres. Wiem, że gdzieś obok Ventura Boulevard; może w Sherman Oaks albo w Encino.

Hardin aż się skrzywił; Ventura Boulevard miał ze sto sześćdziesiąt kilometrów.

— A nie dałaś tej kartki tamtemu facetowi? — Odezwał się nagle Parker.

— Kto tu był? — spytał Hardin.

— Jak się teraz zastanawiam, to chyba rzeczywiście — powiedziała pani Parker. — Miły, młody człowiek. Też szukał Hendersona.

Hardin westchnął.

— Hendrixa — sprostował. — Kim był ten młody człowiek?

— Nie pytałem — odparł Parker. — Ale to był na pewno cudzoziemiec, nie Amerykanin. Miał taki śmieszny akcent, nigdy takiego nie słyszałem.

Hardin wypytywał ich jeszcze, ale niczego więcej nie udało mu się wydobyć, powiedział, więc w końcu:

— No cóż, czy mógłbym dostać adres właścicielki domu? Może ona będzie coś wiedzieć.

— Dostał go, a także adres miejscowego pośrednika, który uzgadniał wysokość czynszu. Gdy spojrział na zegarek, zobaczył, że zrobiło się już późno. — Wygląda na to, że niczego już dzisiaj nie załatwię. Czy znajdę tu gdzieś w pobliżu jakiś dobry motel?

— Ależ tak — odparła. — Pojedzie pan na południe, aż do Riverside i skreśli na zachód. Jest tam ich kilka przed zakrętem w Laurel Canyon.

Podziękował im i wyszedł. Usłyszał za sobą trzask zamykanych drzwi i szczęk łańcucha. Wciąż padało; nie tak bardzo jak przedtem, jednak wystarczająco, by do samochodu dotarł zupełnie przemoczony. Odjeżdżał mokry i zrezygnowany.

Pokój w motelu był standardowy, ale przynajmniej suchy. Hardin zdjął mokre ubranie i rozłożył je na brzegu wanny, przyjrzał mu się krytycznie i doszedł do wniosku, że wymaga wyprasowania. Zastanawiał się, czy Gunnarsson zgodzi się wliczyć to w koszty własne. Zdjął koszulę, powiesił a obok ubrania i w samych slipach podreptał do sypialni. Usiadł przy stole, otworzył teczkę i wyjął z niej plik papierów, rozłożył je przed sobą i przyglądał się im z niechęcią. Skulił ramiona; wyglądał teraz na nieudacznika, którym w istocie był. Dobiał pięćdziesięciu pięciu lat, miał wydatny brzuch, niegdyś muskularne ciało obrosło tłuszczem, mózg zmieniał się w papkę, i ten przekłety łupież, który sprawiał, że włosy stawały się coraz radsze. Za każdym razem, gdy spoglądał na grzebień, robiło mu się niedobrze.

Niegdyś Ben Hardin miał wysokie aspiracje. Robił specjalizację z języków na uniwersytecie Illinois, pochlebiał sobie, kiedy zwrócił się do niego werbownik. Choć odbyło się to w bardzo subtelnej formie, nie dał się zwieść; w środowisku akademickim

krążyły pogłoski o werbownikach i wszyscy wiedzieli, do czego werbują. Dał się jednak wziąć na lep pochlebstw, zwłaszcza, że odwołano się do jego patriotyzmu; był właśnie szczytowy okres zimnej wojny, pełen haseł głoszących, że czerwoni są groźnymi wrogami.

Tak więc zwerbowali go i nauczyli strzelać — z broni krótkiej, karabinu, pistoletu maszynowego, nauczyli walki wręcz, picia bez upijania się i upijania innych. Powiedzieli mu o lokalach i kontaktach, o kodach i szyfrach, przeszkolili w obsłudze radiostacji i wielu innych tajemniczych przedmiotów. Następnie zameldował się w Langley, jako w pełni zdatny do służby pracownik CIA, tylko po to, by dowiedzieć się na wstępie, że niczego nie potrafi i znajduje się na samym dnie hierarchii.

Z biegiem lat nabierał doświadczenia. Pracował w Australii, Anglii, Niemczech i wschodniej Afryce.

Bywało, że pracował we własnym kraju, co wydawało mu się dziwne, gdyż kontynentalna część Stanów Zjednoczonych winna być terenem działania FBI, zakazanym dla CIA. Wykonywał jednak rozkazy, posłusznie robiąc, co mu kazano, i w końcu okazało się, że przeszło połowa jego działań przypada na Stany Zjednoczone.

Później przyszło Watergate i wszystko się urwało. W Agencji porobiło się więcej dziur niż w sicie, więc wszyscy rzucili się do ich łatania. Wychodziło jednak na to, że informatorzy mają liczebną przewagę nad lojalnymi pracownikami firmy. Strony gazet wyglądały niczym fragmenty archiwów CIA. Zaczęło się obrzucanie błotem. Doszło do gwałtownych wstrząsów, kiedy góra zaczęła się bronić przed atakami polityków; zmieniali się kolejni dyrektorzy. Każdy z nich zapewniał, że zaprowadzi porządek, w związku z czym potoczyły się głowy — wśród nich także Hardina.

Doznał autentycznego szoku w związku z tym, co stało się z Agencją i nim samym. W swoim odczuciu jedynie pełnił służbę, wiernie wypełniał obowiązki wobec ojczyzny, a teraz ta ojczyzna zwróciła się przeciw niemu. Pograżył się w rozpacz i właśnie wtedy odnalazł go Gunnarsson. Umówili się w pewnym barze w Waszyngtonie, gdzie, jak można by sądzić, sprzedawano wszystkie gatunki piwa produkowanego na świecie. Zjawił się wcześniej i czekając na Gunnarssona zamówił butelkę Swana, które polubił jeszcze w Australii.

Gdy przybył Gunnarsson, przez jakiś czas rozmawiali o tym, że cały kraj wkrótce diabli wezmą i o bieżącej sytuacji w Langley.

— Co zamierzasz teraz robić, Ben? — spytał w końcu Gunnarsson.

Hardin wzruszył ramionami.

— A co mam robić? Jestem wyszkolonym agentem i to wszystko. Niezbyt mi się to przyda w cywilu.

— Nie powinno być tak źle — rzekł Gunnarsson z przekonaniem. — Słuchaj, zakładamy z Fletcherem interes w Nowym Jorku.

— Co chcecie robić?

— To samo, tylko w cywilnym wydaniu. Wielkie korporacje niczym nie różnią się od państw. A niektóre korporacje międzynarodowe są nawet większe niż cholerne państwa. Wszystkie zaś mają sekrety do ukrycia oraz sekrety, które można wywlec i ujawnić. Na Boga, Ben, przed nami otwarte pole, ale musimy się spieszyć, nim inni faceci, których wylano z Langley, wpadną na ten sam pomysł. Jeżeli będziemy zwlekać, konkurencja może wzrosnąć. Zobaczysz, jeśli to przekłete Watergate potrwa dłużej, to dymisjonowani szpiedzy przestaną znajdować nabywców.

— Chcesz, żebym w to wszedł? — spytał Hardin, pociągając łyk piwa.

— Tak. Dobieram kilku facetów, a ty jesteś jednym z nich, jeśli się zdecydujesz. Z naszym doświadczeniem powinniśmy nieźle zarobić. — Uśmiechnął się promiennie. — Z naszym doświadczeniem oraz doświadczeniami, które wciąż jeszcze mamy w Langley.

— Brzmi niegłupio — przyznał Hardin.

— Rzecz w tym, że wymaga to szmalu. Ile mógłbyś dorzucić?

Pieniądze dziwnie omijały Hardina. Nigdy się go nie trzymały. Próbował,

Boże, jak próbował. Ale zakłady zawsze przegrywał, inwestycje zawodziły. Hardin miał wrażenie, że znajduje się w samym środku koła, otoczonego banknotami dolarowymi, które wciąż je omijały. Kiedyś ożenił się, ale małżeństwo było nieudane, zarówno, dlatego, że pieniądze się go nie trzymały, jak i z powodu napięć spowodowanych pracą. Alimenty, regulowane teraz, co kwartał, pogłębiały jego beznadziejną sytuację.

— Nie mam złamanego grosza — odparł, potrząsając głową. — Jestem splukany, a zanosi się na jeszcze gorzej. We wtorek mam wysłać Annette czek i nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzę.

Gunnarsson wyglądał na rozczarowanego.

— Aż tak źle?

— Gorzej niż źle — rzekł ponuro Hardin. — Muszę szybko zdobyć jakąś pracę i udobruchać Annette. Te dwie sprawy zaprzatają całą moją uwagę.

— Do licha, Ben, miałem nadzieję, że przyłączysz do nas. Wolałbym raczej nie brać nikogo innego i pod tym względem Fletcher zgadza się ze mną. Nie dalej niż wczoraj wspominaliśmy, jak wspaniale wyrolowałeś tego faceta w Dar—es—Salaam. — Zaczął bębnić palcami o stół. — W porządku, nie masz gotówki, ale może uda się coś wykombinować. Oczywiście układ nie będzie tak słodki, jak wtedy, gdybyś wszedł jako

partner, ale i tak lepszy niż cokolwiek, co mogłoby ci się teraz trafić. Mimo wszystko chcielibyśmy cię mieć u siebie, bo uważamy, że jesteś dobry i znasz się na robocie.

Tak, więc opracowano umowę i Hardin zaczął pracować dla Gunnarsson i Fletcher Inc. nie jako partner, lecz pracownik z całkiem niezłą płacą. Początkowo wystarczało mu to, ale w miarę upływu lat wszystko zaczęło się psuć. Gunnarsson coraz bardziej zadzierał nosa i tak zwane partnerstwo diabli wzięli. Fletcher został wyeliminowany, a Gunnarsson i Fletcher Inc., przekształciło się w Gunnarsson Associates. Gunnarsson działał tu niczym stempel do ubijania naboju i nie pozwalał nikomu o tym zapominać.

Hardin natomiast stracił rozmach i inicjatywę. Gdy przestał motywować go patriotyzm, zaczął tracić entuzjazm biorący się z pracy, która spełniała w jego odczuciu nie jakąś podniosłą funkcję, lecz ograniczała się do zwiększania dywidend udziałowców i wspierania pozycji korporacyjnych bonzów. Niepokoił się w dodatku tym, że pewne działania wręcz rozmięły się z prawem.

W kilku przypadkach zawiódł i Gunnarsson stał się wobec niego znacznie chłodniejszy. Od tego czasu zauważył, że zdegradowano go — wykonywał jedynie jakieś prace w kraju i dawano mu sprawy o mniejszym znaczeniu, którymi nikt się nie interesował. Takie jak sprawa Hendrixa.

Hardin, wyciągnięty na motelowym łóżku, puścił w stronę sufitu kółko dymu. Już prawie masz Hendrixa, człowieku, już prawie jesteś w domu. Pomyśl o premii, którą ci Gunnarsson wypłaci. Pomyśl o alimentach dla Annette.

Uśmiechnął się kwaśno, gdy przypomniał sobie, że Parker określił go jako „prywatnego tajniaka”. Parker czytał za dużo kryminałów. Czyż to jednak nie naturalne? W końcu to kraj Chandlera, kraj Philipa Marlowe'a; kraj, gdzie „Tymi marnymi ulicami człowiek musi iść”? No dalej, nędzna imitacja Marlowe'a, powiedział do siebie. Rusz dupę i bierz się do roboty.

Obrócił się i usiadł na skraju łóżka. Sięgnął po telefon. Z tego, co wiedział, właścicielka domu wynajmowanego Parkerowi była w Pasadenie i wciąż jeszcze nie było zbyt późno, by się do niej zwrócić. Sprawdził w notesie numer i zadzwonił. Po kilku sygnałach jakiś głos oznajmił mu do ucha:

— Rezydencja White'ów.

Biały Dom! Zdusił w sobie cichy śmiech i spytał:

— Czy pani White?

— We własnej osobie.

— Nazywam się Hardin i reprezentuję Gunnarsson Associates z Nowego Jorku. O ile mi wiadomo, należy do pani dom w Północnym Hollywood.

— Jestem właścicielką kilku domów w Północnym Hollywood — powiedziała. — O który panu chodzi?

— O Thorndale 82, obecnie wynajęty przez pana Parkera.

— Tak, jestem właścicielką tej posiadłości, ale wynajmuje ją pani Parker.

— Rozumiem; jednak to nie Parkerowie mnie interesują, pani White. Chodzi mi o poprzedniego dzierżawcę, Hendrixa, Henry'ego Hendrixa.

— A, o tego! — Głos pani White zabrzmiał niespodziewanie ostro.

— Czym się pan trudni, panie Hardin?

— Jestem prywatnym wywiadowcą.

— Prywatnym detektywem — powiedziała pani White, potwierdzając jego teorię, że znajduje się w kraju miłośników kryminałów. — Muszę przyznać, że to bardzo interesujące. Za co go poszukujecie? Mam nadzieję, że to nie jest nic błędnego.

Rozważając niuanse zawarte w tej wypowiedzi, zastrzegł się:

— Nie potrafię pani odpowiedzieć, pani White. Ja ich tylko odnajduję; co się z nimi dzieje potem, to już nie moja sprawa.

— No cóż, mam nadzieję, że ten młody człowiek poniesie zasłużoną karę — rzekła z goryczą. — Zniszczył ten dom. Trzy i pół tysiąca dolarów kosztowała mnie naprawa szkód wyrządzonych przez niego i jego przyjaciół.

— Przykro mi to słyszeć — odparł Hardin, zabarwiając odrobiną nieszczerości swój głos.

— Jak to się stało?

— On — mam na myśli Hendrixa — wynajął dom i zgodził się dotrzymywać wszystkich warunków umowy. Nie wiedziałam jednak, że przewodził pewnej, jak oni to nazywają, komunie. Wie pan; ci młodzi ludzie, którzy chodzą z brudnymi nogami, ci mężczyźni z opaskami na głowach. — Hardin uśmiechnął się. — Pani Parker mówi, że tam wciąż śmierdzi marihuaną. A nie uwierzyłby pan, jaki brud zostawili po sobie.

— A kiedy się wyprowadzili?

— Oni się nie wyprowadzili, oni zostali wyrzuceni — sprostowała triumfalnie pani White.

— Musiałam zadzwonić do biura szeryfa.

— Ale kiedy to było?

— To było dziewięć... nie, dziesięć miesięcy temu.

— Czy nie orientuje się pani, dokąd się wynieśli?

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Jak dla mnie, to mogli się nawet utopić, tylko że zanieczyściliby ocean.

— Mówi pani, że Hendrix był przywódcą komuny?

— Płacił czynsz. — Pani White zamilkła na chwilę. — Ale nie, nie sędzę, żeby to on był przywódcą. Wydaje mi się, że wystawiali go na pokaz, bo prezentował się jeszcze najlepiej z nich. Przewodził im mężczyzna zwany Biggie. Potężnie zbudowany, wysoki jak drapacz chmur i szeroki jak wrota stodoły.

Hardin notował.

— Czy nie wie pani, jak się nazywał?

— Nie; mówili do niego po prostu Biggie. Miał długie blond włosy — powiedziała. — Nie mył ich chyba od miesięcy. Nosił opaskę. Do tego potargana broda. Paradował w koszuli rozpiętej do pasa. Ohyda! Aha, nosił coś dziwnego na szyi.

— Co to znaczy „dziwnego”?

— Krzyż. Ale nie taki normalny, chrześcijański, tylko trochę inny, z pętlą na górze. Wyglądał na złoty. Nosił go na łańcuchu. Przy tej wiecznie rozchelstanej koszuli trudno go było nie zauważyć.

— Pani White, czy do tej komuny należały także jakieś kobiety?

— Tak. Parę bezwstydnich pindek. Ale nie miałam z nimi żadnej styczności. Coś panu powiem, panie Hardin. W tym małym domku gnieździło się ich tylu, że musieli spać pokotem. Nie sędzę, żeby znalazła się wśród nich jakaś dziewica, nie sędzę też, by ktokolwiek tam miał ślub.

— Zapewne ma pani rację — rzekł Hardin.

— Orgie! — sapnęła pani White, rozkoszując się tym słowem. Znaleźliśmy w domu sporo kadzidełek i parę dziwacznych posążków, nie przypominały one człowieka, jakim go Bóg stworzył. Zrozumiałam wtedy, że muszę pozbyć się tych ludzi. Któryś z nich mógł się okazać kolejnym Charlesem Mansonem. Słyszeliście o nim na wschodzie?

— Tak, słyszałem o Charlsie Mansonie. — Hardin zamknął notes. — Dziękuję pani za informacje, pani White, bardzo mi pani pomogła.

— Czy zamkniecie ich do więzienia, tam gdzie ich miejsce?

— Jestem tylko prywatnym wywiadowcą, pani White; jeśli jednak znajdę dowody przestępstwa, to przekażę wiadomość o tym odpowiednim władzom. Dziękuję pani za pomoc.

Odłożył słuchawkę, zapalił kolejnego papierosa i z powrotem położył się na łóżku. Kadzidelka i dziwaczne posążki? A ten oryginalny krzyż zakończony pętlą; to zapewne egipski anch. Pokręcił głową. Boże, do czego teraz zdolne są dzieciaki.

Przez chwilę zastanawiał się, kto jeszcze mógł szukać Hendrixa, ale szybko zmorzył go sen.

Następnego ranka Hardin wyszedł ze swego pokoju w dzień świeży, obmyty deszczem. Włożył bagaże do samochodu i zajechał przed front motelu. Gdy wysiadał, ze zdumieniem spojrzął na północ. Na horyzoncie rozciągał się łańcuch górski, o szczytach pokrytych śniegiem, wznoszących się na wysokość jakichś trzech tysięcy metrów. Nie było ich tam poprzedniego dnia i wydały mu się teraz dekoracją teatralną.

— Hollywood! — mruknął, wchodząc do środka na śniadanie.

— Co to za góry tam widać? — spytał nieco później, chowając do portfela kartę kredytową.

Kobieta za kontuarem nie podniosła głowy.

— Jakie góry? — spytała bez zainteresowania.

— Ten łańcuch gór, ośnieżonych na szczytach.

— Żartuje pan sobie? — rzekła, unosząc wreszcie wzrok. — Tam nie ma żadnych gór.

— A niech to diabli! — odparł z irytacją. — Włażą pani prawie na próg. Nie żartuję.

— Muszę to zobaczyć. — Wyszła zza kontuaru i wraz z nim podeszła do drzwi. Aż zaparło jej dech. — Jezu Chryste, przecież to San Gabriels! Nie widziałam ich od dziesięciu lat.

— No i kto tutaj sobie żartuje? — spytał Hardin. — Jak mogła pani coś takiego przeoczyć?

Jej oczy lśniły.

— To pewnie ten deszcz — powiedziała. — Zmył cały smog. Niech się pan dobrze przyjrzy, szybko pan tego znów nie zobaczy.

— Bzdury! — odparł Hardin kręcąc głową i poszedł w kierunku samochodu.

W drodze do centrum zastanawiał się nad osobliwościami Los Angeles. Każda społeczność, której przedstawiciele z odległości niespełna sześćdziesięciu kilometrów nie dostrzegali gór wysokich na trzy tysiące metrów, bez wątpienia znajdowała się w kiepskim stanie.

Hardin nie lubił Los Angeles i dla przyjemności by tu nie przyjechał. Nie lubił jego rozwleczonej zabudowy, tak nijakiej i monotonnej, że jedna dzielnica niczym nie różniła się od drugiej. Nie lubił zwariowanej architektury; płacąc z własnej kieszeni, uważałby za stratę czasu jazdę do Anaheim, żeby odwiedzić Disneyland — Disneyland widziało się na każdym kroku w całym Los Angeles. Nie lubił też obowiązującego w Los Angeles poglądu, że panuje tam wspaniały, kalifornijski klimat. Smog zasnuwał słońce i drażnił mu błony śluzowe. Jeśli nie padało, na wzgórzach szalały pożary, wypalając domy całymimi ulicami. Jeżeli zaś trafił się

deszcz, osuwiska błota spychały domy do morza w Malibu. A do tego lada dzień uskok San Andreas mógł się rozstąpić i pochłonąć całe to marne miejsce. Któż dobrowolnie chciałby mieszkać w takim piekielnym mieście?

Odpowiedź: pięć milionów wariatów. Co zgrabnie naprowadziło znów jego myśli na Hendrixa, Biggie'ego i komunę. Do diabła z Gunnarssonem; powinienem się zobaczyć z Charlie'em Wainwrightem.

Gunnarsson Associates w Los Angeles mieściło się przy Hollywood Boulevard, na rogu Highland, nieopodal chińskiego teatru Grumana. Okazana karta sprawiła, że wpuszczono go do Charlie'ego Wainwrighta, szefa regionu zachodniego wybrzeża.

— Cześć, Ben, co tutaj porabiasz? — przywitał go Charlie.

— Włóczę się po ruderach — odparł Hardin i usiadł. — Chyba nie sądzisz, że przyjechałem tu dobrowolnie?

— Wciąż ten sam stary zrzęda. — Wainwright skinął ręką w stronę okna. — Cóż w tym złego? Jest piękny dzień.

— Taak; wyczerpany przydział na następnych dziesięć lat — odrzekł Hardin. — Wiem to z dobrego źródła. Coś ci poradzę, Charlie. Możesz mieć dzisiaj rewelacyjny widok na San Gabriels ze szczytu Mullholland Drive. Ale nie zwlekaj, bo do jutra nic z tego nie zostanie.

— Może się tam wybiorę. — Wainwright rozparł się w fotelu. — W czym możemy ci pomóc, Ben?

— Masz dojście do biura szeryfa?

— Zależy od sprawy — powiedział Wainwright ostrożnie.

Hardin zdecydował się nie wspominać Hendrixa.

— Szukam faceta zwanego Biggie. Wygląda na to, że ma powiązania z jakąś komuną. Jakies dziesięć miesięcy temu zostali wywaleni przez zastępców szeryfa w Północnym Hollywood.

— A nie przez Wydział Policji w Los Angeles? — dopytywał się Wainwright. — Czy to nie do nich należy Północny Hollywood?

Hardin był pewien, że pani White nie wspomniała o Wydziale Policji Los Angeles, ale sprawdził jeszcze notatkę.

— Nie, mój informator wyraźnie wspomniał o biurze szeryfa.

— Czego więc chcesz?

Przez chwilę Hardin w milczeniu spoglądał na Wainwrighta, nim powoli powiedział:

— Chcę Biggie'ego.

— Nie powinno to nastęczyć zbyt wielkich trudności. — Wainwright zastanawiał się

przez chwilę. — Może jednak zająć trochę czasu.

— Mam nadzieję, że nie za dużo. — Hardin wstał. — I wyświadczyć mi przysługę, Charlie — nie widziałeś mnie. Nie było mnie tutaj. Zwłaszcza, gdyby pytał Gunnarsson. Załatwia tę sprawę po cichu.

— Jak sobie radzisz z tym starym draniem?

— Nie najgorzej — odparł Hardin wymijająco.

Dwie godziny później czekał w jadalni hotelowej naprzeciw ratusza na następcę z biura szeryfa. Wainwright uprzedził go:

— Lepiej nie spotykaj się z nim w biurze, mógłby podpaść. Nie masz licencji wywiadowczej na ten stan. Słuchaj, Ben, o co chodzi Gunnarssonowi? Nigdy czegoś takiego nie robił. Zwykle takimi sprawami zajmują się biura lokalne.

— Może mnie nie lubi — odpowiedział szczerze Hardin, myśląc o kilometrach międzystanowych autostrad, które przebył.

Właśnie miał zamówić kolejną kawę, gdy na stół padł cień.

— Czy to pan szuka Olafa Hamsuna?

Hardin uniósł wzrok i ujrzał wysokiego, szczupłego mężczyznę w mundurze.

— Kogo?

— Znanego również jako Biggie — powiedział zastępca. — Potężny blondyn, Skandynaw potwornych rozmiarów.

— Właśnie o niego mi chodzi. — Wyciągnął rękę. — Jestem Ben Hardin. Kawy? — Gdy zastępca skinął głową, pokazał przechodzącej kelnerce dwa palce.

Zastępca zajął miejsce naprzeciw.

— Jack Sawyer. Czego pan chce od Biggie'ego?

— Zupełnie nic. Ale kręci się z nim Henry Hendrix, a ja muszę spotkać właśnie jego, Hanka.

— Hendrix — powtórzył z namysłem Sawyer. — Stosunkowo młody, powiedzmy jakieś dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat; wzrost około siedemdziesięciu ośmiu centymetrów, mała szrama nad lewą brwią. — To zapewne mój chłopak. Czego pan od niego chce?

— Ustalić jedynie, czy jest synem swego ojca i zameldować o tym w Nowym Jorku.

— Komu potrzebne są te informacje?

— Według tego, co mówi mój szef, jakiemuś brytyjskiemu adwokatowi. Tylko tyle wiem; Gunnarsson raczej mi się nie zwierza. Mówi zawsze tyle,

ile musi.

— Tak samo jak reszta byłych chłopców CIA spod znaku płaszcza i szpady — pogardliwie odezwał się Sawyer. Spojrzał uważnie na Hardina. — Pan też pracował dla Firmy, prawda?

— Proszę nie mieć mi tego za złe — rzekł Hardin, zmuszając się do uśmiechu.

— Jeśli tego nie robię, to nie znaczy jeszcze, że muszę pochwalać. W dodatku nie ma pan licencji wywiadowczej ważnej w Kalifornii. Gdybym nie był coś winien Charliemu Wainwright'owi, w ogóle bym tu nie przyszedł. Nie lubię was, nigdy nie lubilem.

— Chwileczkę — powiedział Hardin. — Co pana gryzie?

— Powiem panu. — Sawyer przechylił się nad stołem. — W ubiegłym roku nakryliśmy gang szmuglujący kokainę z Meksyku. Okazało się, że połowa z nich to dranie z CIA. Utrzymywali, że zniszczyliśmy jedną z ich najlepszych operacji meksykańskich. Odpowiedzieliśmy, że złamali prawo Stanów Zjednoczonych i że wpakujemy ich za kratki. Myśli pan, że udało nam się? Te sukinsyny chodzą teraz wolne jak ptaki.

— Nie może mnie pan za to winić — zaoponował Hardin.

— Chyba nie — powiedział zmęczonym głosem Sawyer. — Dobra, powiem panu, gdzie znaleźć Biggie'ego. — Wymierzył palce w Hardina. — Ale niech się pan tylko odrobinę wychyli, to natychmiast pana przyskrzynię, choćby za płucie na chodnik.

— Dzięki — z ironią powiedział Hardin.

— Znajdzie pan tę grupę na Playa del Rey. Gdyby ich tam nie było, proszę spróbować w Santa Monica, przy Bristol Pier. Jest tam taka zapluta knajpa „U Bernie'ego”, gdzie często przesiadują.

Hardin zapisał wszystko w notesie.

— Czy Henrix jest notowany? Albo Hamsun?

— Hamsuna przyskrzyniono na handlu marihuaną. Miał przy sobie niecałą uncję, więc nic wielkiego mu się nie stało. Na Hendrixa nic nie mamy; w każdym razie nie tutaj.

— Zastanawiałem się nad czymś — powiedział Hardin, odkładając notes

— Kiedy dobraliście się do tej komuny w Północnym Hollywood, to jak słyszałem, w domu znaleźliście parę dziwnych przedmiotów. Jakieś posążki i to nie takie, które mogłyby się spodobać uczciwej chrześcijance.

— A tą uczciwą chrześcijanką jest pani White — rzekł ironicznie Sawyer.

— Ta stara wiedźma. To nie było nic wielkiego. Gówniarze po prostu próbowali zająć się ceramiką; sądzili, że uda im się coś sprzedać na targu i zarobić kilka dolców. Najwięcej szkód narobili w jej domu, kiedy rozwalił im się piec do wypalania.

— I to wszystko?

— Wszystko — potwierdził Sawyer i roześmiał się. — Wyszło na to, że nie byli zbyt dobrymi rzeźbiarzami. Nie mieli żadnego pojęcia o anatomii, nawet tyle, żeby rzeźbić. — Zaczął filozofować. — Tak, jak się teraz sprawy mają, to nawet nie są złe dzieciaki. Oczywiście, palą trawkę, ale kto nie pali. Założę się, że to samo robią moje, kiedy mnie nie ma w pobliżu. W większości są po prostu plażowymi włóczęgami, a to jeszcze nie jest karalne.

— Jasne — przytaknął Hardin. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Czy Biggie wciąż jeszcze nosi ten ankch?

— Co takiego?

— Ankch. — Naszkicował go na odwrocie menu.

— Taak, wciąż to nosi. Nie wiedziałem, że to się jakoś nazywa. Pewnie jest sporo wart. Jest duży i wygląda na prawdziwe złoto. Ale trzeba by jakiegoś szaleńca, żeby spróbował go zedrzeć z Biggie'ego.

Hardin spędził dwa dni na Playa del Rey i nic nie wskórał, pojechał więc wzdłuż wybrzeża do Santa Monica. Odszukał knajpę „U Bernie'ego”, zamówił filiżankę kawy, ani pomyślał o hamburgerze. Śmierdziało zjełczalym olejem i ocenił, że ten poziom higieny zasługiwał na wyrok sądowy. Kawa też była nędzna, a na filiżance dostrzegł ślad szminki.

Korzystając z tego, że znękana kelnerka wciąż przechodziła koło jego stolika, zadał jej kilka pytań, ale nie dowiedział się niczego konkretnego. Tak, znała Biggie'ego, ale nie widziała go od dawna. Nie, nie znała żadnego Hendrixa. Hardin odsunął nie dopitą kawę i wyszedł.

Przez kolejne dwa dni błąkał się po nabrzeżu Santa Monica wypytyując młodych — plażowych włóczęgów i zapalonych surfigowców — i wreszcie udało mu się osiągnąć niewielki postęp. Biggie'ego znano dobrze, ale nikt go ostatnio nie widział. Hendrix był tu mniej znany, ale i jego też nikt nie widział — Hardin ponuro spoglądał na przybrzeżne urządzenia do wydobywania ropy naftowej, z których wycieki co pewien czas trują ryby, oraz zabijały ptaki, i przeklinał Gunnarssona.

Wieczorem drugiego dnia ponownie sprawdził „U Bernie'ego”. Gdy z odrazą spoglądał na tłuszcz pływający na powierzchni kawy, przysunęła się do niego jakaś dziewczyna.

— Czy to pan szuka Biggie'ego?

Odwrócił głowę. Miała długie, rozczochrane, brudne blond włosy i makijaż nałożony tak nieumiejętnie, że wyglądała jak dziewczynka, która przed chwilą po raz pierwszy dobrała się do kosmetyczki swojej matki. — Ja — odparł zwięźle.

— Nie podoba mu się to.

— Serce mi krwawi!

Nadała się.

— Ale porozmawia z panem.

— Kiedy i gdzie?

— Dzisiaj wieczorem — o ósmej. Na Dwudziestej Siódmej ulicy w Carlyle jest stary magazyn. Będzie tam.

— Słuchaj — powiedział Hardin — nie interesuje mnie Biggie, tylko jego kompan, Hendriks — Hank Hendriks. Znasz go?

— Jasne.

— Właśnie o nim chciałbym pogadać. Niech przyjdzie do magazynu. Biggie zupełnie mnie nie obchodzi.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Przekażę.

Hardin przyszedł na spotkanie o godzinę wcześniej. Opuszczony magazyn znajdował się w okolicy dotkniętej kryzysem, od dawna wymagał solidnego odnowienia; kilka ocalałych okien lepilo się od brudu, a całe to miejsce wyglądało, jak gdyby miało się zawalić przy lada mocniejszym podmuchu znad Pacyfiku. Sprawdził drzwi, okazało się, że są otwarte, wszedł więc do środka.

Tylko kilka minut zajęło mu sprawdzenie, że budynek jest pusty. Zbadał go dokładnie, jego kroki dudniły w przepastnym wnętrzu, od tyłu znalazł drugie, zamknięte drzwi. Otworzył je i wrócił do samochodu. Usiadł wygodnie i zapalił papierosa, obserwując frontowe wejście.

Biggie i Hendrix zjawili się w połowie trzeciego papierosa. Biggie'ego rozpoznał bez wahania; wysoki i szeroki w barach wyglądał niczym cyrkowy atleta. Na odsłoniętej klatce piersiowej lśniło złoto. Idący obok niego Hendrix nie należał do ułomków, ale przy Biggie'em wydawał się karzełkiem. Weszli do magazynu, a Hardin spokojnie dopalił papierosa, nim wysiadł z samochodu i podążył w ich ślady.

Wszedł do magazynu i zastał Biggie'ego siedzącego na skrzyni. Hendrix gdzieś zniknął. Biggie wstał na jego widok.

— Jestem Ben Hardin. A ty zapewne Olaf Hamsun, zgadza się?

— Możliwe — przyznał Biggie.

— Gdzie jest Hendrix?

Biggie zignorował pytanie.

— Gliniarz? — zapytał z niesmakiem.

Hardin stłumił szaloną chęć do śmiechu. Myśl o nazwaniu się prywatnym gliniarzem była idiotyczna. Uprzedził cierpliwie:

— Uważaj na to, co mówisz.

Biggie wzruszył ramionami.

— Ja tylko tak, nie miałem nic złego na myśli. Czego pan chce od Hanka?

— Jeśli będzie miał ochotę, sam ci to wyjaśni. Gdzie on jest?

Biggie wskazał kciukiem za siebie.

— Tam, na zapleczu, ale rozmawia pan ze mną.

— Nic z tego — odparł zdecydowanie Hardin.

— Jak wolisz. A teraz zamknij się i posłuchaj, koleś. Nie lubię, gdy mendy twojego pokroju rozpytują po mieście. Chryste, każdy łebek, z którym rozmawiałem w ciągu ostatnich kilku dni, meldował, że ktoś za mną węszy. To godzi w moją reputację, rozumiesz?

— Nie powinieneś się dać tak długo szukać.

— Nie ukrywam się — powiedział Biggie. — Ale ty i ten twój cudzoziemski kolega jesteście namolni.

— Nie mam żadnego cudzoziemskiego kolegi — zaproponował Hardin.

— Nie? Więc jak to się stało, że on też wypytywał?

— Powiedz mi coś więcej — rzekł Hardin, marszcząc brwi. — Skąd wiesz, że to cudzoziemiec?

— Akcent, bałwanie.

— Już cię ostrzegałem, żebyś się liczył ze słowami — ostro rzucił Hardin. Zastanawiał się przez chwilę i przypomniał sobie, że Gunnarsson wspominał o jakimś brytyjskim prawniku.

— Czy to brytyjski akcent?

— Taki jak w tych przemądrzałych programach telewizyjnych? — Biggie pokręcił głową.

— Nie, nie taki. Ten facet ma naprawdę obcy akcent. — Zamilkł na chwilę. — Może to Szwab — dodał.

— Czyli rozmawiałeś z nim.

— Nieee. Kumpel gadał z nim „U Bernie'ego”. Siedziałem w sąsiednim boksie.

— Czego chciał?

— Tego samego, co ty. Spotkać Hanka.

— Możesz go opisać?

— Jasne. Wysoki facet, dobrze zbudowany, widać, że umie sobie radzić. Ostrzyżony krótko jak żołnierz. — Biggie z roztargnieniem podrapał się po piersiach, odsuwając na bok złoty ankch. — Blizna na policzku.

— Z której strony?

— Z lewej.

Hardin zamyślił się. Wszystko to składało się na typowy obraz niemieckiego żołnierza, wyjąwszy tradycyjną szramę, gdyż pojedynki przeszły już dawno do historii.

— Ile ma lat?

— Trzydzieści pięć, może czterdzieści. Nie więcej. Więc naprawdę nie znasz tego faceta?

— Zupełnie mnie nie obchodzi, ty też mnie zresztą nie obchodzisz. Chcę tylko porozmawiać z Hendrixem. Sprowadź go.

— Nic cię nie obchodzi i dlatego nie słuchasz uważnie. — Biggie wyciągnął palec wskazujący i postukał się w pierś. — Jedyna droga do Hendrixa wiedzie przeze mnie.

— Czy on wie o tym? — spytał Hardin. — A kim on właściwie jest? Twoim chłopaczkiem?

— Chryste, tego już za wiele! — wściekł się Biggie.

— O cholera! — powiedział zrezygnowany Hardin, gdy Biggie się sprężył. — Nic do ciebie nie mam, Biggie; nie chcę się bić.

— Ale ja chcę ci dołożyć. — Biggie rzucił się do przodu.

Nie było dyskusji. Hardin był skrajnie napięty. Złość na Gunnarssona, męcząca, długa podróż, poczucie osobistego zawodu — wszystko to wyładował na Biggie'em. Hardin był górą — znał wszystkie zasady różnych szkół walki, choć rzadko je stosował, gdyż jaki idiota chciałby walczyć z człowiekiem, który przypominał maszynkę do mięsa? Hardin był teraz szaleńcem, którego najlepsi instruktorzy przysposobili do walki wręcz. Mimo wieku i zwiotczałych mięśni wciąż wiedział, gdzie uderzyć, znał takie miejsca, wrażliwe części ludzkiego ciała. Wykorzystał tę wiedzę bezlitośnie. Tylko siłą woli powstrzymał się przed zadaniem decydującego ciosu, który mógł zabić.

Ciężko dysząc schylił się, by zbadać puls na szyi Biggie'ego i westchnął z ulgą, czując wyraźne tętno. Kiedy się wyprostował i odwrócił, ujrzał obserwującego ich Hendrixa.

— Jezu! — westchnął Hendrix. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w leżącego twarzą na ziemi Biggie'ego. — Nie przypuszczałem, że mu pan dołoży.

— Sam też nieźle oberwałem — odparł Hardin i zauważył, że głos mu drży. — Ale nie miałem zamiaru mu się podłożyć. — Pochylił się i zdarł złoty ankch z szyi Biggie'ego, rozrywając przy tym łańcuch. — Zawinił tu też pewien gliniarz, który twierdził, że tego nie

da się zrobić. — Rzucił złoty krzyż obok Biggie'ego. — A teraz musimy wreszcie pogadać.

Hendrix popatrzył na niego z rezerwą.

— O czym?

— Na początek możesz mi powiedzieć jak nazywa się twój ojciec.

— A co on ma z tym wszystkim wspólnego? — zapytał zaskoczony Hendrix.

— Jak się nazywał, synku? — niecierpliwił się Hardin.

— Oczywiście Henrix. Adrian Hendrix.

— Gdzie się urodził?

— W Afryce. Gdzieś w Południowej Afryce. Ale już nie żyje. Hardin wziął głęboki oddech.

O tego właśnie chodziło; to był właściwy Hendrix.

— Masz jakichś braci? Siostry? Może żyje jeszcze matka?

— Nie. O co właściwie chodzi?

— Nie mam pojęcia — odparł Hardin. — Ale pewnemu człowiekowi w Nowym Jorku, Gunnarssonowi, zależy na tych wiadomościach.

— Dlaczego?

— Ponieważ zlecił mu taką robotę jakiś brytyjski prawnik. Może masz coś odziedziczyć. A może byś tak pojechał ze mną do Nowego Jorku i sam się przekonał?

Hendrix podrapał się po brodzie.

— Kurczę, sam nie wiem. Niezbyt mi się podoba na wschodzie.

— Pokrywamy koszty — dodał Hardin.

Biggie poruszył się i jęknął. Hendrix spojrzał na niego.

— Myślę, że trudno ci będzie teraz z Biggie'em — powiedział w zadumie Hardin. — Nie zechce mieć przy sobie kogoś, kto był świadkiem, jak bierze w skórę. Może to niezła myśl, żeby się rozstać na pewien czas.

— W porządku — powiedział Hardin. — Czy chcesz coś ze sobą zabrać?

— Niewiele. — Hardin uśmiechnął się szeroko. — Mam dobrą deskę do surfingu, ale w Nowym Jorku nie przyda mi się na nic. Może tylko wezmę coś do ubrania.

— Pomogę ci się spakować — zaproponował Hardin i dodał cierpko: Miałem tyle kłopotów ze znalezieniem ciebie, że wolałbym nie tracić cię z oczu.

Hendrix podał Hardinowi swój adres i pojechali tam. W czasie jazdy Hardin wciąż rozmyślał o człowieku szukającym Hanka. Czy raczej o ludziach. Mało prawdopodobne, by facet opisany przez Biggie'ego był tym samym „miłym, młodym człowiekiem”, o którym wspomniała pani Parker. No więc dobrze; chodziło o dwóch lub więcej ludzi.

— Czy Biggie mówił coś o tamtym facecie, najprawdopodobniej Niemcu, który cię szukał?

— Tak. — Hendrix zapalił papierosa. — Mówił. Uważał, że współpracujecie, ale najpierw chciał się upewnić, nim... — Urwał nagle.

— Nim co?

Hendrix roześmiał się krótko.

— Biggie uważał, że można zrobić na tym jakąś forszę. Gdyby pan działał razem z tamtym obcym facetem, to w porządku, lecz jeśli nie, to uznał, że można się potargować.

— Sprzedać cię temu, który da więcej? — Hardin skrzywił się. — A ty co na to?

— Biggie jest w porządku — odparł Hendrix, wzruszając ramionami. — Normalka, brakowało mu szmalu. Wszystkim nam brakuje szmalu.

— Wszystkim?

— Paczce. — Westchnął. — Dużo się zmieniło, od kiedy wywalili nas w San Fernando Valley.

— Po tym, jak wysadziliście dom pani White?

Hendrix gwałtownie odwrócił głowę.

— Trochę się pan tu kręcił. — Wyglądało na to, że nie jest tym zbytnio zachwycony. — Nic takiego się nie stało. Raptem trochę okopcone ściany i wybite szyby.

Hardin wrócił do zasadniczej kwestii.

— Ten cudzoziemiec. Widziałeś go kiedyś?

— Nie. Biggie wyznaczył mu spotkanie dziś wieczorem, na wypadek, gdyby miał coś do sprzedania. Właśnie dlatego tak szybko chciał pana spławić.

— Gdzie ma się odbyć to spotkanie?

— Nie wiem, nie doszliśmy do tego. Aleś go pan ostudził. — Wyciągnął rękę. — Tutaj mieszkamy.

Hardin zahamował przed rozsypującym się domem.

— Wejdziemy razem. — Poprowadził Hendrixa do drzwi i weszli do środka. W wąskim holu natknęli się na dziewczynę, która ustalała warunki spotkania z Biggie'em. Spojrzała

zaskoczona na Hardina i wydało mu się, że dostrzegł w jej oczach strach.

— Gdzie Biggie? — zwróciła się do Hendrixa.

— Zaraz przyjdzie. Miał coś ...eee... do załatwienia — odparł Hendrix. — Proszę, panie Hardin, lepiej załatwmy to szybko.

Gdy wchodzili po schodach, Hardin pomyślał z rozbawieniem, że Hendrix rzeczywiście ma wszelkie podstawy do pośpiechu. Gdyby Biggie wrócił i zastał go w trakcie pakowania, to chciałby znać powód, którego Hendrix nie miał przecież zamiaru wyjawić.

— Ilu jest was w grupie? — spytał.

— Różnie; teraz sześcioro. Ale bywało nawet dwanaście osób. — Hendrix otworzył drzwi pokoju. — To nie potrwa długo.

Trwało nawet krócej, niż się Hardin spodziewał. Hendrix, niczym nomada, miał niewiele dobytku. Cały zmieścił się do plecaka z metalowym stelażem. Uniósł go bez wysiłku, po czym z żalem spojrzął na deskę surfingową, leżącą pod ścianą za rozbebeszonym łóżkiem.

— Chyba nie mogę jej zabrać. Jest pan pewien, że zarobię parę dolarów, panie Hardin?

— Nie — odparł Hardin. — Ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Powiedział pan, brytyjski prawnik. Nie znam żadnych Brytyjczyków i nigdy nie wyjeżdżałem ze Stanów. — Hendrix pokręcił głową. — Obiecał pan jednak opłacić mi podróż, więc warto spróbować.

Zeszli na dół i znów spotkali tę samą blondynkę.

— Kiedy wróci Biggie? — spytała.

— Nie mówił — zwięźle odparł Hendrix.

— Wybierasz się gdzieś? — spytała, patrząc na plecak.

— Niedaleko. — Hendrix zakasłał. — Tylko do... e... Meksyku, z panem Hardinem. Mam odebrać paczkę w Tijuana.

Skinęła ze zrozumieniem głową.

— Uważaj na siebie. Ci drańscy celnicy zrobili się cholernie wścibscy. Co to ma być? Trawka czy śnieg?

— Śnieg — odpowiedział. — Chodźmy, panie Hardin. — Gdy wsiedli do samochodu, Hendrix uśmiechnął się z przymusem. — Nie ma potrzeby informować całego świata, dokąd jedziemy.

— Jasne — przyznał Hardin. — Też nie widzę takiej potrzeby. — Uruchomił silnik, a kiedy zwalniał ręczny hamulec, coś bzyknęło mu przed nosem jak pszczoła. Hendrix nieoczekiwanie krzyknął i Hardin natychmiast spojrzął na niego. Tamten chwycił się za ramię, a między jego palcami sączyła się krew.

Do Hardina już nieraz strzelano. Ruszył, aż się kurzyło i na pełnej szybkości wziął pierwszy zakręt. Dopiero potem zerknął we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie jedzie. Zakręt zostawał coraz dalej, a że nic się nie działo, zwolnił nieco. Wreszcie zapytał:

— Wszystko w porządku, Hank?

— Co jest, u diabła! — odezwał się Hendrix, z niedowierzaniem spoglądając na zakrwawioną rękę. — Co się stało?

— Użądliła cię pszczoła — odparł Hardin. — Z broni z tłumikiem. Bardzo boli?

— Chce pan powiedzieć, że zostałem postrzelony? — nie dowierzał Hendrix. — Kto chciałby mnie zastrzelić?

— Może facet z niemieckim akcentem i blizną na lewym policzku. Może dlatego, że ty i Biggie nie zjawiliście się na dzisiejszym spotkaniu. Jak się czujesz?

— Zesztywniałem. Ramię mam odrętwiałe.

— Ból przychodzi później. — Hardin wciąż spoglądał w lusterko, ale nie zauważył niczego niepokojącego. Kilka razy skręcił nieoczekiwanie, wreszcie odezwał się: — Musimy wydostać się z tej plątaniny ulic. Wytrzymasz jeszcze kilka minut?

— Chyba tak.

— W schowku na rękawiczki są chusteczki jednorazowe. Przyłóż je na ranę.

Hardin dojechał do autostrady Santa Monica i skręcił w wiodącą na północ autostradę San Diego.

W trakcie jazdy snuł najróżniejsze domysły. Kto strzelał? I dlaczego? Kto miał być ofiarą?

— Nie znam nikogo, kto chciałby mnie zabić — odezwał się w końcu. — A ty, Hank?

Hendrix przyciskał pod koszulą okład do ramienia. Twarz mu pobladła.

— Nie, co cholery!

— Powiedziałeś tamtej dziewczynie, że jedziesz do Tijuana odebrać paczkę kokainy.

— Elli? Musiałem jej coś powiedzieć, żeby zbyć Biggie'ego.

— Nie wyglądała na zaskoczoną. Często to robiłeś? Chodzi mi o kokainę.

— Parę razy — przyznał Hendrix. — Ale to były drobiazgi.

— W ten sposób łatwo sobie przysporzyć wrogów — stwierdził Hardin.

— Mogłeś wdepnąć na czyjąś grądkę. Grube ryby tego nie lubią i nie zapominają.

— Nie ma szans. Ostatnio robiłem to rok temu. — Wciąż trzymał się za ramię. — W co ty mnie pakujesz, Hardin?

— W nic cię nie pakuję; robię co się da, żeby cię z tego wyciągnąć. Zamilkli na dłuższą

chwile, pogrążeni we własnych myślach. Hardin zjechał na autostradę Ventura, kierując się na wschód.

— Dokąd właściwie jedziemy? — spytał Hendrix.

— Do motelu. Ale najpierw zatrzymamy się przy jakiejś aptece, żeby kupić trochę bandaży i lekarstw.

— Jezu! Ja potrzebuję lekarza.

— Zobaczymy za parę godzin. — Hardin przemilczał, że istnieje obowiązek zgłaszania ran postrzałowych policji. Musiał się jeszcze nad tym zastanowić.

Zajeżdżał do motelu na Riverside Drive, gdzie mieszkał wcześniej, i wynajął dwa pokoje. Za kontuarem stała ta sama kobieta, którą zapamiętał z poprzedniego pobytu.

— San Gabriels znowu zniknęły — zagadnął.

— Taak, wielka szkoda — zasmuciła się nieco. — Założę się, że nie zobaczymy ich przez następne dziesięć lat.

— Ale przynajmniej miło jest widzieć powietrze, którym oddychamy

— odparł z uśmiechem.

Zaprowadził Hendrixa do pokoju, obejrzał jego ramię, a to, co zobaczył, sprawiło mu ulgę. Była to czysta rana, kula ominęła kość, nie wyszła jednak z drugiej strony i Hendrix wciąż miał ją w sobie.

— Przeżyjesz, to tylko dwudziestka dwójka — maleństwo.

— Czuję się, jakby mnie koń kopnął — mruknął Hendrix.

Opatrując ranę, Hardin łamał sobie głowę nad kalibrem kuli. Mógł wskazywać jedną z dwóch możliwości; strzelał albo amator, albo prawdziwy zawodowiec. Tylko profesjonalny zabójca mógł użyć kalibru dwadzieścia dwa, ktoś, kto potrafił posłać kulę tam, gdzie zamierzał. Zawiązał ostatni supeł i poprawił temblak.

— Mam w torbie butelkę — powiedział. — Chyba obaj powinniśmy się czegoś napić.

Przyniósł whisky, trochę lodu i przygotował dwa drinki, potem ze szklanką w ręce udał się do swego pokoju.

— Zostań tutaj — polecił na odchodne. — Bądź cicho jak trusia. Zaraz wrócę. — Chciał porozmawiać z Gunnarssonem.

— Dokąd miałbym pójść? — spytał Hendrix żałośnie.

— Streszczaj się, Ben, jestem zajęty — w słuchawce zabrzmiał ostro głos Gunnarssona.

— Mam młodego Hendrixa — bez wstępów poinformował Hardin. — Jedyne problem polega na tym, że ktoś wpakował w niego kulę.

— A niech to diabli! — wybuchnął Gunnarsson. — Kiedy?

— Niecałą godzinę temu. Właśnie go zabrałem.

— Źle z nim?

— Nic mu nie jest, ale kula ciągle tkwi w środku. To tylko dwudziestka dwójka, rana jednak może się paprać. Potrzeba mu lekarza.

— Może się ruszać?

— Jasne — odparł Hardin. — Rekordu na setkę nie pobije, ale ruszać się może. To czysty postrzał w ramię.

— Kto o tym wie? — spytał Gunnarsson po chwili milczenia.

— Ty, ja, Hendrix i ten facet, który do niego strzelał — rzeczowo odparł Hardin.

— A któż to był, do diabła?

— Nie mam pojęcia. Ktoś jeszcze szuka Hendrixa, kilkakrotnie natknąłem się na jego ślady. Jakiś obcokrajowiec — możliwe, że Niemiec. Tylko tyle wiem. — Hardin pociągnął whisky. — O co chodzi w tej całej sprawie z Hendrixem? Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć, a czego mi nie powiedziałaś? Nie przepadam na takich tajemnicami.

— Ben, nie mam pojęcia, naprawdę — powiedział Gunnarsson szczerze. — Ben, posłuchaj, teraz — żadnych lekarzy. Jak najszybciej dostarcz tego chłopaka do Nowego Jorku. Przylećcie samolotem. Lekarz już będzie czekał.

— A co z moim samochodem?

— Ściągnę go tu — uspokoił go Gunnarsson. — Firma opłaci transport. Hardinowi nie przypadło to zbytnio do gustu. Powierzą samochód jakiemuś punkowi, który pojedzie zbyt szybko, zarżnie silnik, zapomni sprawdzić olej, aż w końcu samochód najpewniej wyląduje na złomowisku.

— W porządku — zgodził się z wahaniem. — Ale nie polecę z Los Angeles. Wydaje mi się, że Hendrixa szuka kilku ludzi i mogli obstawić lotniska.

Pojedziemy samochodem do San Francisco i stamtąd polecimy. Chłopaka dostaniesz pojutrze.

— Dobrze pomyślane, Ben — powiedział Gunnarsson i rozłączył się.

Do San Francisco wyruszyli nazajutrz, wczesnym rankiem. Mieli do pokonania niemal pięćset kilometrów, ale Hardin uzyskał dobry czas na międzystanowej autostradzie numer pięć, ignorując — jak zresztą i wszyscy inni — obowiązujące ograniczenie prędkości do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Włączył się w strumień pojazdów, zwalniając jedynie wówczas, gdy miał drogę dla siebie. Jadąc zgodnie z obowiązującym ograniczeniem, można zostać rozjechanym, konstrukcja nowoczesnych samochodów również wyklucza

wolną jazdę.

Hendrix czuł się zupełnie dobrze, chociaż oszczędzał ramię. Skarżył się, że nie obejrzał go lekarz, ale zamilkł, gdy Hardin wyjaśnił:

— To byłoby równoznaczne z wejściem w konflikt z prawem. Chyba tego nie chcesz? — Najwyraźniej nie chciał. Tak samo zresztą, jak i Hardin, który nie zapomniał, co zastępca szeryfa mówił o pluciu na chodniki.

Naturalnie Hendrix był bardzo zainteresowany, dlaczego jadą do Nowego Jorku.

— Nie zadawaj pytań, synu, bo nie potrafię ci na nie odpowiedzieć — rzekł Hardin. — Robię po prostu to, co mi szef każe.

Sam też czuł się rozdrażniony własną niewiedzą. Kiedy więc zatrzymali się, by zatankować, zaprosił Hendrixa do „Howarda Johnsona” na kawę i pączki, próbując coś z niego wycisnąć. Mimo iż znał odpowiedź, zapytał:

— Może ojciec zostawił ci co nieco?

— Marne szansę — odparł Hendrix. — Zmarł wiele lat temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. — Pokręcił głową. — Mama zawsze powtarzała, że i tak nic nie robił.

— Mówiłeś, że ona też zmarła, zgadza się?

— Tak. — Hendrix uśmiechnął się. — Można mnie nazwać sierotą.

— Masz jakąś rodzinę? Może wujów?

— Nie. — Hendrix zamilkł na chwilę, mieszając kawę. — Tak, mam kuzyna w Anglii. Napisał do mnie, gdy byłem jeszcze w szkole średniej, że przyjeżdża do Stanów i chciałby się ze mną spotkać. Nigdy do tego nie doszło, ale pisał jeszcze parę razy. Chociaż ostatnio przestał. Pewnie stracił ze mną kontakt. Trochę wędrowałem.

— Jak się nazywa?

— To zabawne. Niby tak samo, jak ja, ale jego nazwisko pisze się inaczej. Dirk Hendriks. H—E—N—D—R—I—K—S.

— Twój ojciec nosił takie samo nazwisko, kiedy jeszcze mieszkał w Południowej Afryce — wyjaśnił Hardin. — Masz adres tego kuzyna?

— Gdzieś w Londynie, to wszystko, co wiem. Zapisałem go nawet, ale zgubiłem. Wie pan, jak to jest, kiedy wędruje się z miejsca na miejsce.

— Taak — powiedział Hardin. — Może umarł i zostawił ci coś. A może po prostu cię szuka.

— Ktoś mnie na pewno szuka — rzekł Hendrix, dotykając ramienia.

Tak się stało, że Hardin zobaczył Gunnarssona wcześniej, niż się spodziewał. Z lotniska

Kennedy'ego Hardin i Hendrix pojechali taksówką wprost do Gunnarsson Associates i zostali niezwłocznie wprowadzeni do gabinetu szefa. Gunnarsson siedział za biurkiem.

— Masz młodego Hendrixa? — zapytał szorstko.

— Czeka w twoim sekretariacie. Sprowadziłeś lekarza? Boli go.

— Mam coś na uśmierzenie jego bólu — roześmiał się Gunnarsson. — Jesteś pewien, że to ten facet?

— Odpowiada wszystkim danym.

— Jesteś pewien? — Gunnarsson zmarszczył brwi.

— Jestem pewien. Ale oczywiście sam sprawdzisz.

— Taak — przytaknął Gunnarsson. — Sprawdzę. — Gryzmolił coś na kartce papieru. — Czy facet ma dzieci?

— Nic o tym nie wie, jest kawalerem. — Hardin zastanawiał się, dlaczego Gunnarsson nie poprosił go, by usiadł.

— Opowiedz mi teraz, jak doszło do postrzelenia Hendrixa.

Hardin opisał wszystkie okoliczności i przez jakiś czas rozstrząsali tę sprawę. W końcu powiedział:

— Myślę, że zarobiłem na swoją premię. Pod koniec ta historia stała się nieco brutalna.

— Jaką premię?

Hardin gapił się na niego.

— Powiedziałeś, że dostanę premię, jeżeli odnajdę jakichś Hendrixów. Gunnarsson przybrał obojętny wyraz twarzy.

— Nie przypominam sobie niczego takiego.

— A niech mnie diabli wezmą — wyszeptał Hardin. — Nie mam jeszcze sklerozy.

— Dlaczego miałbym obiecywać ci premię? — spytał Gunnarsson. — Sam najlepiej wiesz, że holowaliśmy cię przez ostatnich parę lat. Niektórzy mieli mi to za złe; twierdzili, że męczy ich już to.

— Którzy? — dopytywał się Hardin. — Wymień nazwiska.

— Stoisz po nieodpowiedniej stronie biurka, by zadawać pytania.

Hardin aż zatrząsł się z wściekłości. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był taki zły.

— Im bardziej się starzejesz, Gunnarsson, tym gorsza robi się z ciebie kutwa — powiedział za napięciem.

— Nie muszę wysłuchiwać twoich impertynencji. — Gunnarsson walnął pięścią o blat biurka. — Jesteś zwolniony. Jak już uprzątniesz swoje biurko, kasjer będzie miał przygotowaną dla ciebie odprawę. A teraz wynoś się z mojego gabinetu. — Gdy sięgał po

telefon, Hardin odwrócił się na pięcie. Zatrzasnął drzwi, a Gunnarsson parsknął szyderczo.

Hardin zjechał windą do holu i przeszedł na drugą stronę ulicy do irlandzkiego baru, gdzie w przeszłości spędzał więcej czasu, niż mogła to wytrzymać jego wątroba i portfel. Siadł na stolku i zamówił szorstko:

— Podwójny bourbon.

Nad drinkiem dumał o swoim losie. Przeklęty Gunnarsson! Hardin nie miał w zwyczaju uzalać się nad życiem; rozumiał, że było takie, jak je sobie człowiek ułożył. Teraz jednak doszedł do wniosku, że Gunnarsson postąpił nie tylko nie fair, ale i okazał się mściwy. Wyrzucił go po pięciu minutach rozmowy — na zbity pysk.

Przyszłość widział w ponurych barwach. Co miał robić pięćdziesięcioletni mężczyzna, który właściwie nic nie umie? Mógł spróbować działać na własny rachunek; wynająć biuro, zamieścić kilka ogłoszeń w gazecie, a potem siedzieć i czekać na klientów. — Sam Spade w wytartym ubraniu. Zapewne musiałyby długo czekać, a tymczasem przymierałyby głodem. Bardziej prawdopodobne, że skończyłby jako ochroniarz w podejrzanym firmie lub zostałby strażnikiem w banku i dostał odcisków od długiego stania.

A samochód, do diabła! Od samochodu dzieliło go z pięć tysięcy kilometrów. Wiedział, że gdyby wrócił do Gunnarssona i przypomniał mu o złożonej obietnicy sprowadzenia wozu do Nowego Jorku, ten roześmiałyby mu się w twarz.

Zamówił kolejnego drinka i jeszcze raz prześledził wydarzenia ostatnich kilku tygodni. Gunnarsson obiecał mu premię, jeżeli rozgryzie sprawę Hendrixa, dlaczego więc się z tej obietnicy wycofał? Przecież nie dlatego, że Gunnarsson Associates znalazło się w kłopotach — pieniądze płynęły tak, jakby do Fortu Knox podłączono rurociąg. Musiał istnieć jakiś inny powód.

Kiedy się nad tym zastanowił, sprawa Hendrixa wydała mu się nietypowa od samego początku. Wysłanie pojedynczego człowieka, by węszył po całym kraju, nie leżało w stylu Gunnarsson Associates — firma miała do wypełniania takich zadań rozbudowaną sieć biur regionalnych. Dlaczego więc Gunnarsson tak tą sprawą pokierował? A sposób, w jaki wyrzucił Hardina, też był stanowczo zbyt gwałtowny. Gunnarsson rozmyślnie go drażnił, prowokując sprzeczkę, chciał, żeby Hardin wybuchnął. Każdy szef ma prawo wyrzucić pracownika, który nazwie go kutwą.

W umyśle Hardina zaczęło kiełkować niejasne podejrzenie.

Z zadumy wyrwał go czyjś dotyk i głos:

— Cześć, Ben. Myślałem, że siedzisz na Zachodnim Wybrzeżu.

Hardin odwrócił głowę i zobaczył Jacka Richardsona.

— Byłem — odparł kwaśno. — Ale skąd o tym wiesz?

— Dzwoniłem dziś rano do biura w Los Angeles. Wainwright powiedział mi, że kręciłeś się tam. Co cię gryzie?

— Zamów bourbona. — A więc Wainwright mimo wszystko nie potrafił trzymać gęby na kłódkę. Richardson prowadził archiwum w Gunnarsson Associates; wszystkie akta były całkowicie skomputeryzowane, a Richardson wiedział, które guziki naciskać. Hardin przyjrzał mu się z nagłym zainteresowaniem.

— Słuchaj, Jack, czy słyszałeś, żeby w biurze ktoś się na mnie skarżył? Na przykład, że źle wykonuję swoją robotę?

Richardson wyglądał na zaskoczonego.

— Nie przy mnie. W każdym razie nie więcej niż na innych. Zawsze się na kogoś narzeka, wiesz, jak to jest.

— Taak. — Hardin pociągnął łyk whisky. — Gunnarsson wylał mnie dziś rano.

Richardson gwizdnął.

— Tak po prostu?

Hardin pstryknął palcami.

— Tak po prostu. Zajęło mu to jakieś trzydzieści sekund.

— Dlaczego?

— Między innymi nazwałem go kutwą.

— Chciałbym wtedy zobaczyć jego minę — powiedział Richardson. — Nic dziwnego, że cię wywalił.

— Nie sądzę, żeby to był zasadniczy powód — odparł Hardin. — Myślę, że chodziło mu o coś innego. Czy zgodziłbyś się coś dla mnie zrobić?

— Może. Zależy, o co ci chodzi. Nie prosź tylko o forszę, Ben, bo jestem splukany.

— Kto nie jest? — westchnął ze zrozumieniem Hardin. — Chciałbym, żebyś zapytał swego elektronicznego przyjaciela po drugiej stronie ulicy o nazwisko i adres brytyjskiego adwokata, który zapoczątkował sprawę Hendrixa.

— Sprawa Hendrixa — powtórzył Richardson i zmarszczył brwi. — Chyba trzyma na niej łapę sam Gunnarsson. Twierdzi, że prowadzi ją osobiście. Jak dotychczas nie ma na ten temat żadnych informacji.

Hardinowi wydało się to interesujące, ale powstrzymał się od komentarzy.

— Ale masz chyba w aktach tekst pierwszego listu z Anglii.

— Chyba tak — rzekł Richardson bez entuzjazmu. — Ale wiesz, jaki jest Gunnarsson, jeśli chodzi o bezpieczeństwo. Komputer notuje wszystkie sprawy, w jakich udzielał informacji,

a Gunnarsson kontroluje zapis.

— Nie może przecież sprawdzać każdego zapisu, niczym innym by się wtedy nie zajmował.

— Na ogół kontroluje wyrywkowo — przyznał Richardson. — Ale jeżeli sprawę Hendrixa prowadzi osobiście, to ten zapis sprawdzi z całą pewnością. Wolę nie ryzykować, Ben. Nie chcę aby mnie też wylał.

— Na miłość boską! — z odrazą powiedział Hardin. — Znasz się na tym komputerze dostatecznie dobrze, żeby przechytryć zapis. Przecież to ty opracowałeś te cholerne programy do bazy danych.

— Dlaczego się tym interesujesz?

— Nich mnie diabli, jeśli wiem; muszę się jeszcze zastanowić. Coś się tu gdzieś nie zgadza. Czuję to przez skórę. Ale, tak do twojej wiadomości, to nie Gunnarsson prowadzi sprawę Hendrixa. Ja się tym zajmowałem i już to rozgryzłem. Dopiero później mnie wywalono. Chciałbym poznać powody.

— W porządku, Ben. Zobaczą, co się da zrobić — obiecał Richardson. — Ale nie rozpowiadaj o tym. Trzymaj gębę na kłódkę.

— Z kim miałbym gadać? Na kiedy możesz to mieć?

— Jutro zobaczą, co się da zrobić. Spotkajmy się tutaj w południe.

— Pasuje — rzekł Hardin i opróżnił szklanekę. — Teraz ja stawiam. Pójdę potem jak posłuszny chłopczyk uprzątnąć swoje biurko. — Dał znak barmanowi. — Ciekaw jestem, jak u Gunnarssona wygląda odprawa.

Pojęcie Gunnarssona o wysokości odprawy jeszcze bardziej rozwścieczyło Hardina. Próbował wnieść zażalenie, lecz nie udało mu się sforsować skwaszonej starej panny, która strzegła gabinetu Gunnarssona, nie zdołał się też połączyć z nim telefonicznie. Zamek Gunnarssona okazał się twierdzą nie do zdobycia.

Ale następnego dnia Richardson zjawił się z informacją, o którą Hardin prosił.

— Nie wiesz, skąd to wzięłeś — uprzedził, dając Hardinowi kopertę.

— W porządku. — Hardin otworzył kopertę i wyjął pojedynczy arkusz papieru. — Przecież to nie jest wydruk komputerowy.

— Zgadza się — odparł Richardson. — Gdyby Gunnarsson znalazł poniewierający się luzem wydruk z tą informacją, natychmiast przyleciałby do mnie. Ale chyba o to pismo ci chodziło?

Hardin przejrzał je pobieżnie. Londyńska agencja dochodzeniowa Peacemore, Willis i Franks, zwracała się do Gunnarsson Associates z prośbą o odszukanie wszystkich żyjących krewnych Jana—Willema Hendryxxa. — Hardin zamrugał oczyma, widząc tę pisownię i zwrotne przekazanie informacji. Uważano, że Hendryxx ożenił się w Południowej Afryce i miał dwóch synów, z których jeden, jak przypuszczano, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w latach trzydziestych. W piśmie umieszczono również adres i numer telefonu prawnika w Jersey.

List nie odkrył Hardinowi niczego nowego, prócz niezwyklej pisowni nazwiska Hendryxx, adres w Jersey zbił go natomiast nieco z tropu, dopóki nie uświadomił sobie, że odnosi się on do pierwotnego Jersey na Wyspach Normandzkich, a nie do stanu New Jersey.

— Właśnie o to — kiwnął głową. Znalazł tam jeszcze więcej. Peacemore, Willis i Franks stanowili brytyjską filię Gunnarsson Associates. Fakt ten nie był powszechnie znany. Oznaczało to, że Gunnarsson siedział w sprawie od samego początku, czegokolwiek ona dotyczyła. — Dzięki. Zarobiłeś drinka, Jack.

Jeśli Hardin był wściekły na Gunnarssona, to w dodatku był także spłukany. Wyprowadził się ze swojego mieszkania na East Side do umeblowanego pokoju w Bronxie. Więcej wprawdzie płacił teraz za metro i autobus, chcąc się dostać na Manhattan, ale mimo wszystko obniżył wydatki. Telegraficznie przekazał do San Francisco instrukcje, żeby sprzedano jego samochód, a pieniądze wysłano mu przekazem. Nie spodziewał się wiele za niego dostać, ale potrzebował gotówki, a samochód stanowił w mieście zbędny luksus.

Starannie podtrzymywał swoje dojeżdżanie do biur Gunnarsson Associates, głównie przez Jacka Richardсона, chociaż również parę sekretarek zaprosił na skromny lunch. Ostrożnie wybadał je, żeby dojść, co Gunnarsson robi w sprawie Hanka Hendrixa. Wyglądało jednak na to, że absolutnie nic. Co gorsze, Hendrix zniknął.

— Może Gunnarsson wysłał go do Anglii — zastanawiał się pewnego dnia Richardson.

— Możesz to sprawdzić — odparł Hardin w zamyśleniu. — Powinieneś mieć tam zapis kosztów przelotu. Wyświadczyć mi jeszcze tę przysługę.

— Do licha! — rozzłościł się Richardson. — Przez ciebie wyleją mnie z roboty. — Sprawdził jednak i nie znalazł żadnego zapisu dotyczącego przelotu transatlantyckiego od czasu przybycia Hendrixa do Nowego Jorku. Z własnej inicjatywy sprawdził, czy istnieje jakiś zapis dotyczący kosztów leczenia Hendrixa, ale i tu także niczego nie znalazł. Richardson był rzeczywiście dobrym przyjacielem Hardina.

— Gunnarsson pilnie strzeże tej sprawy — skomentował Hardin. — Zazwyczaj bardzo przestrzega zachowywania zapisów. Jestem coraz mocniej przekonany, że ten drań knuje coś złego. Ale co to, do diabła, może być?

Richardson nie miał żadnych pomysłów.

Zapewne Hardin przestałby naciskać, gdyby nie autentyczny łut szczęścia. Upłynął niemal miesiąc i wiedział, że musi zdobyć pracę. Dotychczas napędzała go złość na Gunnarssona, ale topniejące konto bankowe okazało się silniejszym argumentem. Odłożył już wystarczającą sumę na kolejną płatność dla Annette i nie zamierzał tego tknąć, za to jego własne zasoby topniały.

Wtedy właśnie otrzymał telegram od Annette: „DZISIAJ RANO WYSZŁAM ZA MĄŻ STOP TERAZ PANI KREISS STOP ŻYCZ MI SZCZĘŚCIA ANNETTE”.

— Dzięki Bogu! — powiedział do Richardсона. — Teraz ktoś inny będzie ją utrzymywał. — Przez chwilę zastanawiał się, jakim człowiekiem może być ten Kreiss, ale szybko o nim zapomniał. Czuł się tak, jakby mu manna spadła z nieba, a jego serce wypełniała radość. — Teraz mogę to zrobić — oznajmił.

— Co takiego? — spytał Richardson.

— Lecę do Anglii.

— Zwariowałeś! — zaprotestował Richardson. — Ben, ta obsesja nie wyjdzie ci na zdrowie. Czego się spodziewasz po tej podróży?

— Nie wiem — przyznał Hardin beztrąsko. — Okaże się na miejscu. Od lat nie miałem wakacji.

Przed wyjazdem do Anglii poleciał na chwilę do Waszyngtonu. Odnowił tam znajomość z

kilkoma starymi kumplami z Firmy, którzy wyposażyli go w parę angielskich adresów. Odwiedził też brytyjską ambasadę, ale tam natknął się na problemy. Nikt nie umiał mu powiedzieć zbyt wiele o Jersey.

— Są autonomiczni — poinformowano go. — Załatwiają sprawy po swojemu. Mówi pan, że chce się czegoś dowiedzieć o testamencie?

— Zgadza się.

— W Londynie kopię przechowywano by w Somerset House — powiedział Attache. — Ale nie sądzę, by odnosiło się to również do testamentów z Jersey. — Przez chwilę zastanawiał się, wreszcie twarz mu się rozjaśniła. — Myślę, że mamy tu kogoś, kto powinien panu pomóc. — Podniósł słuchawkę, wykręcił numer i rzekł: — Mówi Pearson. Słuchaj, Mark, czy ty nie pochodzisz z Jersey? Tak też myślałem. Czy mógłbyś wpaść na moment? — Pearson odłożył słuchawkę. — Mark le Tissier powinien się orientować. I Mark le Tissier rzeczywiście się orientował.

— Testamenty są przechowywane w Greffe — powiedział.

— W czym?

— W Greffe. — Le Tisser uśmiechnął się. — W archiwum publicznym. Przed kilku laty miałem ten sam problem. Wydadzą panu odpis.

— Muszę tylko pójść do tego Greffe i poprosić?

— O, nie musi pan chodzić. Wystarczy napisać do Greffiera. Chodźmy do biblioteki i poszukajmy jego adresu.

Hardin wrócił więc do Nowego Jorku i napisał na Jersey, podając jako adres zwrotny poste restante w londyńskim biurze American Express. Kilka dni później odleciał. Tego samego dnia dom z pokojami do wynajęcia w Bronxie, gdzie mieszkał, spalił się doszczętnie, ale Hardin dowiedział się o tym znacznie później. Mógł to być jednak przypadek. Ostatecznie w Bronxie wciąż płoną całe ciągi domów.

Pracując dla Gunnarsson Associates Hardin przyswoił sobie umiejętność podróżowania bez bagażu. Odświeżył się przed wylądowaniem na Heathrow wczesnym rankiem i szybko przeszedł odprawę celną, podczas gdy reszta pasażerów czekała na swoje bagaże. Udał się metrem do Londynu, gdzie wynajął pokój w niedrogim hotelu przy Victoria Station. Następnie przespacerował się przez St. James's Park w stronę Haymarket, by odebrać pocztę.

Przechadzka sprawiła mu przyjemność. Świeciło słońce, a on czuł się zrelaksowany, w wakacyjnym nastroju, gdy siedł nad jeziorem. Rzeczywiście upłynęło kilka lat od jego

ostatnich, prawdziwych wakacji. Może zaczynał już popadać w rutynę i na dłuższą metę rozstanie z Gunnarssonem mogło mu wyjść na dobre. Miał niewiele pieniędzy i żadnych perspektyw, a mimo to czuł się szczęśliwy.

Po opuszczeniu biura American Express kupił u sprzedawcy gazet plan Londynu, bo chociaż nie po raz pierwszy był w tym mieście, od ostatniego Pobytu minęło wiele lat. Później skierował się do pubu, by przeczytać jedyny list, jaki otrzymał. Na grubej kopercie zauważył znaczki z Jersey. Namówił przy barze małe piwo i zabrał je do stolika w rogu, gdzie wreszcie otworzył kopertę.

Testament spisano na siedmiu stronach. Jan—Willem Hendryxx zapisał dziesięć tysięcy funtów doktorowi Mortonowi, lekarzowi, z wyrazami wdzięczności za to, że tak długo utrzymywał go przy życiu. Dwadzieścia tysięcy funtów otrzymali pan i pani Adams, jego lokaj i gospodyni. Znalazły się tam także legaty od jednego do czterech tysięcy funtów, przeznaczone dla licznych członków służby.

Zostały wydane szczegółowe instrukcje dotyczące sprzedaży nieruchomości, których posiadał prawdziwą obfitość; dom na Jersey, inny na południu Francji, jeszcze inny w Belgii i cała wyspa na Karaibach. Sumy uzyskane z ich sprzedaży, a także ze sprzedaży majątku ruchomego, miano dołączyć do głównej masy spadkowej. Hendryxx był najwyraźniej skrupulatnym człowiekiem, gdyż testament uzupełniał na bieżąco i szacował aktualne wartości rynkowe swoich posiadłości; osiemdziesiąt pięć procent majątku przeznaczył dla fundacji Ol Njorowa w Kenii, a piętnaście procent zlecił podzielić równo między żyjących potomków.

Podał też nazwisko wykonawcy testamentu — Harolda Farrara z firmy prawniczej Farrar, Windsor i Markham na Jersey. Hardin zanotował adres i numer telefonu. Dłoń lekko mu zadrżała, kiedy notował sumę określającą wysokość majątku.

Oceniono go na czterdzieści milionów funtów szterlingów.

Hardin wypił piwo, zamówił następne i zastanawiał się nad znaczeniem swego odkrycia. Hank Hendrix i Dirk Hendriks, jeśli jeszcze żył, dostali do podziału sześć milionów funtów. Przełożył to na bliższe sobie kategorie. Kurs dolara do funta szterlinga zmieniał się ostatnio, ale ustalił się mniej więcej na poziomie dwa do jednego. Dawało to dwanaście milionów dolców do podziału na dwóch, gdyby nie znaleźli się inni spadkobiercy, a on nie słyszał o żadnych, chyba że Dirk Hendriks miał dzieci. Tym samym Hank Hendrix, ten wyrzutek szmuglujący narkotyki, stał się multimilionerem. Większość fortuny mogła pójść na fundację o zabawnej nazwie, ale to, co zostawało, było nie do pogardzenia.

Hardin uśmiechnął się do siebie. Zrozumiał wreszcie zaangażowanie Gunnarssona. Zawsze doceniał wartość dolara i nie oparłby się pokusie znalezienia się w pobliżu sześciu milionów, z nadzieją, że odetnie kawałek i dla siebie. Odizolował Hendrixa, a ten młody człowiek nie był żadnym przeciwnikiem dla Gunnarssona, który potrafił oczarować nawet siedzące na drzewach ptaki, jeśli tylko dostrzegł w tym jakąś korzyść dla siebie. Gunnarsson z pewnością wykombinuje układ gwarantujący to, że parę dolarów przyklei mu się do rąk.

Jaki więc powinien być następny krok? Hardin przeszedł do rogu baru, gdzie znajdował się telefon, i wziął książkę telefoniczną, leżącą obok na półce. Odwrócił strony na literę „H” i odszukał Hendriksów; w takiej pisowni znalazł ich tam więcej, niż się spodziewał, może z piętnastu. Przesunął palec w dół kolumny i znalazł Hendriksa D. Pod wpływem impulsu sprawdził, czy są nazwiska w wariantach „Hendryxx”, ale nie trafił na takiego abonenta.

Wrócił do stolika i sprawdził na mapie. Adres określał miejsce w pobliżu Sloane Square, a z mapy metra dowiedział się, w jaki sposób tam się dostać. Sprawdził kieszeń kurtki, w której umieścił testament. Dopił drinka i ruszył w drogę.

Wychodząc z metra na Sloane Square, zorientował się, że najwyraźniej wylądował w części Londynu zamieszkałej przez przedstawicieli klasy wyższej, podobnej do Siedemdziesiątej i Osiemdziesiątej Ulicy East Side na Manhattanie. Odnalazł ulicę, której szukał, następnie dom i aż cicho gwizdnął. Jeśli Dirk Hendriks tak mieszkał, to niespecjalnie potrzebował tych kilku dodatkowych milionów.

Hardin zawahał się, czuł się trochę jak głupiec. Znalazł to, czego szukał, wyjaśnienie przyczyn, dla których Gunnarsson otaczał wszystko taką tajemnicą — i nic mu z tego nie przyszło. Wzruszył ramionami i pomyślał, że może Hank jest u swego kuzyna; dom wyglądał na wystarczająco duży, by pomieścić całą armię Hendrixów. Chciałby znów zobaczyć tego chłopaka. Uratował mu życie, opatrzył rany i teraz czuł się, w pewnym sensie, za niego odpowiedzialny. Krótkimi schodami podszedł do drzwi frontowych i położył palec na dzwonku.

Drzwi otworzyła młoda kobieta w stroju pielęgniarki. Czyżby ktoś w tym domu chorował?

— Chciałbym się widzieć z panem Hendriksem, Dirkiem Hendriksem — oznajmił.

Młoda kobieta wyglądała na niezdecydowaną.

— Ee... Sądzę, że go nie ma. Widzi pan, jestem nowa. Niedawno tu przyszłam.

— A może jest Henry Hendrix? — dopytywał się Hardin.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie ma tutaj nikogo o takim nazwisku. Wiedziałabym o tym. A może chciałby się pan

zobaczyć z panią Hendriks? Wypoczywała, ale teraz już wstała.

— Czy jest chora? Nie chciałbym jej przeszkadzać.

Pielęgniarka roześmiała się.

— Po prostu urodziła dziecko, panie... eee...

— Przepraszam. Hardin, Ben Hardin.

Otworzyła szerzej drzwi.

— Proszę wejść, powiem jej, że pan tu czeka, panie Hardin.

Hardin wszedł do przestronnego holu, który stanowił doskonały przykład niedbałego przepychu. Po chwili pielęgniarka wróciła.

— Proszę tędy, panie Hardin. — Wprowadziła go na górę po szerokich schodach, do pokoju o dużych oknach, wychodzących na niewielki park.

— Pani Hendriks, to jest pan Hardin. — Pielęgniarka wyszła.

Pani Hendriks była kobietą po trzydziestce. Niska, ciemnowłosa, nie należała do rzucających się w oczy piękności, ale niewątpliwie była atrakcyjna. Świetnie opanowała sztukę makijażu. Gdy podali sobie ręce, powiedziała:

— Przykro mi bardzo, ale męża nie ma, panie Hardin. Rozminął się pan z nim o dwadzieścia cztery godziny. Wczoraj wyjechał do Południowej Afryki. Czy zna pan mojego męża?

— Nie osobiście.

— Więc może pan nie wie, że jest Południowoafrykańczykiem. — Skinęła ręką. — Proszę siadać.

Hardin zajął miejsce w fotelu.

— Prawdę mówiąc, to nie pani męża chciałem spotkać — przyznał.

— Chodzi o Han... Henry'ego Hendrixa.

— Henry'ego? — powtórzyła z powątpiewaniem.

— Kuzyna pani męża.

— Chyba się pan myli — powiedziała, kręcąc głową. — Mój mąż nie ma żadnego kuzyna.

Hardin uśmiechnął się.

— Może pani o nim nie słyszała. Jest Amerykaninem i nigdy się nie spotkali. Tak przynajmniej powiedział mi Hank. W domu tak właśnie go nazywali. Hank Hendrix; tylko nazwisko pisze się inaczej, przez „x” na końcu.

— Rozumiem. Ale w dalszym ciągu uważam, że się pan myli, panie Hardin. Jestem pewna, że mąż by mi powiedział.

— Oni się nigdy nie spotkali. Wymienili kilka listów, to wszystko, a i to działo się parę lat

temu. — Hardin poczuł niepokój. — Więc Hanka tutaj nie było?

— Oczywiście, że nie. — Zamilkła na chwilę. — Mógł przyjechać, kiedy rodziłam. Niedawno urodziłam dziecko, panie Hardin, a współcześni lekarze preferują rodzenie w szpitalu.

— Mówiła mi o tym pielęgniarka — rzekł Hardin. — Gratuluję! Chłopak czy dziewczynka?

— Syn — odparła dumnie. — Dziękuję, panie Hardin. — Wróciła do sprawy. — Ale Dirk by mi powiedział, gdyby nieoczekiwanie zjawił się dawno utracony kuzyn.

— Jestem pewien — przyznał szczerze Hardin, ale jego niepokój jeszcze bardziej się pogłębił. Gdyby Hank przyjechał do Anglii, to z pewnością odwiedziłby Dirka; wystarczyło tylko zajrzeć do książki telefonicznej. Do licha, ten prawnik z Jersey z pewnością by ich skontaktował. Jack Richardson sprawdził, że bilety lotnicze nie zostały wykupione, więc gdzie, do diabła, znajdował się Hank i w co bawił się Gunnarsson?

Uczucie niepokoju musiało odbić się na jego twarzy, gdyż pani Hendriks powiedziała łagodnie:

— Wygląda pan na zmartwionego, panie Hardin. Czy mogłabym w czymś pomóc?

Hardin namacał w kieszeni kopię testamentu. Przynajmniej ona była rzeczywista.

— Czy pan Hendriks otrzymał od prawnika wiadomość o testamencie dziadka?

— Jego dziadka? — zdumiała się pani Hendriks. — Dziadek mojego męża zmarł przed laty w Południowej Afryce. W każdym razie zawsze tak sądziliśmy. Dirk nigdy o nim nie wspominał.

Hardin zaczerpnął głęboki oddech.

— Pani Hendriks, mam pani coś do zakomunikowania i może to chwilę potrwać. Sprawa wygląda następująco...

Max Stafford zastanawiał się jak powinien spędzić resztę dnia i zamierzał właśnie pójść do domu, kiedy zadzwonił telefon. Dzwoniła jego sekretarka, Joyce.

— Mam na linii panią Hendriks, chce z panem rozmawiać.

— Przełącz ją.

Rozległ się trzask.

— Max?

— Witaj, Alix. Jak ci służy macierzyństwo?

— Wspaniale. Kwitnę. Dziękuję, za srebrny kubeczek, który przysłałeś małemu Maxowi. Bardzo elegancki okaz srebra z czasów króla Jerzego. Wypije z niego twoje zdrowie, gdy dojdzie do pełnoletności.

Stafford uśmiechnął się.

— Ile to teraz jest — osiemnaście czy dwadzieścia jeden? Do tego czasu broda mi trochę urośnie.

— Ale nie dzwonię z tego powodu — odparła ze śmiechem. — List z podziękowaniem jest już w drodze. Max, potrzebuję twojej pomocy. Wczoraj przyszedł do mnie pewien Amerykanin, nazwiskiem Hardin, z dziwną historią dotyczącą Dirka. Chodzi o to, że Dirk wyjechał, jest w Południowej Afryce. Ubiegłej nocy próbowałam się do niego dodzwonić, ale jest w ciągłym ruchu i nikt nie potrafił mi powiedzieć, gdzie się dokładnie znajduje. Chciałabym, żebyś spotkał się z tym człowiekiem, nim wróci do Ameryki.

— Cóż to za dziwne opowieści snuje?

— Dość trudno to wytłumaczyć i zapewne coś bym powtórzyła nie tak. Sprawa jest skomplikowana. Proszę, Max, zobacz się z nim.

Stafford zastanawiał się przez chwilę.

— Czy Dirk ma kłopoty?

— Nic z tych rzeczy. Prawdę mówiąc, nawet wręcz przeciwnie. Zgodnie z tym, co twierdzi Hardin, Dirk może coś odziedziczyć, ale to jakoś dziwnie wygląda.

— W jakim sensie?

— Nie wiem — odparła. — Nie potrafię tego wyrazić.

— Kiedy Hardin wraca do Stanów?

— Jutro albo pojutrze. Myślę, że nie stać go, żeby zostać dłużej. — Zawahała się. — Chciałabym zasięgnąć twojej rady, Max, zawsze byłeś taki rozsądny. Ostatnio sprawy się skomplikowały. Od dłuższego czasu Dirk zmienił się — od chwili gdy mu powiedziałam, że

jestem w ciąży. Martwiłam się tym. A teraz jeszcze ta sprawa.

— Ten typ, Hardin, chyba cię nie szantażuje, co?

— Ależ skąd — zaprotestowała. — Czy mógłbyś wpaść na lunch? Dopilnuję, żeby i Hardin się zjawił.

Stafford zastanowił się. Jego biurko ugięło się od stosów nie załatwionych spraw, a Joyce była bardzo surową sekretarką. Mogło się jednak okazać, że z tą sprawą upora się w ciągu godziny.

— W porządku — obiecał. — Przyjdę o dwunastej trzydzieści.

— Dziękuję, Max — ciepło odparła Alix. — Wiedziałam, że mogę na tobie polegać.

Stafford odłożył słuchawkę i pogрузzył się w myślach. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że stoi przed nim Ellis i pstryka palcami.

— Wróć na ziemię. Masz jakiś problem?

Stafford drgnął.

— Nie ja, Alix Hendriks. Wygląda na to, że nie każdemu jest w smak ojcostwo. Związał do Południowej Afryki i zostawił Alix z trzytygodniowym dzieckiem, co wydaje mi się cholernie nierozważne. Teraz trafiła na kogoś, kto wygląda na oszusta, a Dirk jest daleko. Chciała, żebym jej pomógł.

— Ostatnim razem, kiedy pomagałeś Alix, wróciłeś do biura z ręką na temblaku — przypomniał Ellis. — Uważaj, Max.

— Piorun nie trafia dwa razy w to samo miejsce — odrzekł Stafford.

Stafford wkrótce zorientował się, że problemu przedstawionego przez Alix nie da się rozwiązać w ciągu godziny. Przybył punktualnie do domu w Belgravii i zastał już tam Hardina — łysiejącego mężczyznę po pięćdziesiątce, z brzuchem niczym piłka futbolowa. Staffordowi wydał się zmieszany, a także przemęczony. Po uroczystym obejrzeniu i wyrażeniu zachwytu dla trzytygodniowego imiennika Stafforda, cała trójka udała się do jadalni na lunch, gdzie Hardin ponownie opowiedział swoją historię.

Dobiegała trzecia po południu, gdy Stafford uniósł plik papierów.

— A to jest ten rzekomy testament?

Hardin poczerwieniał.

— To jest ten cholerny testament. Jeżeli mi pan nie wierzy, to proszę zamówić drugą kopię dla siebie. Do diabła, mogę nawet pokryć koszty.

— W porządku, panie Hardin, proszę się uspokoić.

Podczas gdy Hardin referował sprawę, Stafford zmienił swój sąd o tym człowieku. Gdyby

chodziło o jakieś oszustwo, to nie widział w tym wielkiego sensu, gdyż Hardin nic nie zyskiwał. Testament należało uznać za autentyczny, gdyż źródło dało się łatwo sprawdzić, przepchnięcie zaś fałszywego testamentu przez sąd było nieprawdopodobne. Oprócz tego intrygowała go jeszcze osoba Gunnarssona.

— Jak pan uważa, co Gunnarsson zrobił z Hendrixem? — spytał.

— Nie mam pojęcia — odparł Hardin, wzruszając ramionami.

— Czy nazwałby pan Gunnarssona człowiekiem moralnym?

— Ależ na Boga, nie!

— Ani ja — oschle zauważył Stafford.

— Zna go pan? — zdziwił się Hardin.

— Osobiście nie, ale w przeszłości przysporzył mi znacznych kłopotów. Tak się składa, że pracujemy w tej samej branży, ale można powiedzieć, że po przeciwnych stronach barykady. Prowadzę Stafford Security Consultants.

— A więc pan jest właśnie tym Staffordem? — zdumiał się jeszcze bardziej Hardin. — A niech mnie kule biją!

— Albo stary Hendryxx był mądry, albo słuchał się mądrych ludzi — stwierdził Stafford, przeglądając jeszcze raz testament.

Alix dołała im kawy.

— Dlaczego?

— Osiedlił się na Wyspach Normandzkich. Żadnych podatków spadkowych, podatków dochodowych, podatków obrotowych. Wygląda na to, że Dirk otrzyma zwolnienie od wszystkich opłat, jakieś trzy miliony funtów. Sporo o tym wiem. Kiedy się umiędzynarodowiliśmy, zaczęliśmy załatwiać swoje interesy przez Wyspy Normandzkie. — Odłożył testament na stół.

— Jak pan myśli, kto postrzelił Hendrixa w Los Angeles?

— Tego też nie wiem — powiedział Hardin. — Mogę się tylko domyślać. Oprócz mnie Hendrixa szukali jeszcze jacyś faceci. Już panu o tym mówiłem.

— Ci, którzy mogą być Niemcami — uzupełnił Stafford. — W porządku, panie Hardin. Dlaczego przyjechał pan do Anglii?

— Tak się wściekłem na Gunnarssona za sposób, w jaki mnie wywalił, że postanowiłem coś w tej sprawie zrobić. Może pan to nazwać zemstą. Niczego nie wskórałem w Nowym Jorku, ale kiedy nieoczekiwanie dostałem parę dolarów, przyleciałem tutaj. — Hardin wzruszył ramionami i wskazał testament. — Kiedy to zobaczyłem, dobrze wiedziałem, co robi Gunnarsson, ale nic na to nie mogłem poradzić. Przyszedłem jednak tutaj zobaczyć się

z Hankiem i uprzedzić go, żeby uważał na Gunnarssona i na swój portfel.

Przez jakiś czas Stafford siedział zamyślony.

— Jak długo zamierza pan pozostać w Anglii? — spytał w końcu.

— Odlatuję jutro albo pojutrze. Zależy na kiedy dostanę rezerwację.

— Hardin uśmiechnął się z przymusem. — Muszę wracać do domu i zarabiać na życie.

— Chciałbym, żeby pan jeszcze został przez pewien czas. Oczywiście pokryjemy wszelkie koszty. — Stafford zerknął na Alix, która przytaknęła skinieniem głowy. Nie wiedział dokładnie, dlaczego chciał, by Hardin został. Miał tylko niejasne uczucie, że dobrze go będzie mieć pod ręką.

— Nie mam nic przeciwko temu, przynajmniej na takich zasadach

— odparł Hardin.

— Jeśli poda mi pan nazwę swego hotelu, to skontaktuję się — powiedział Stafford, wstając.

— Ja mam adres — odezwała się Alix.

— A więc to na razie wszystko. Dziękuję panu, panie Hardin.

Kiedy Hardin wyszedł, Stafford zapytał:

— Czy mogę skorzystać z telefonu?

Alix, która uprzątała właśnie filiżanki po kawie, uniosła wzrok.

— Oczywiście. Wiesz, gdzie stoi.

Stafford zniknął na pięć minut.

— Jan—Willem Hendryxx istniał naprawdę — oznajmił po powrocie. — Rozmawiałem z moim człowiekiem na Jersey, który sprawdził go w książce telefonicznej. Wciąż jeszcze w niej figuruje. Wydaje mi się, że Hendryxx to flamandzkie nazwisko. — Sięgnął po testament. — To by tłumaczyło ten dom w Belgii. Poprosiłem swego znajomego, żeby złożył mi dyskretny raport na temat wykonawcy testamentu oraz okoliczności śmierci Hendryxxa.

— Chyba nie podejrzewasz czegoś...? — Alix zmarszczyła brwi. — Chodzi mi o to, że musiał być już starym człowiekiem.

— Byłem w wywiadzie wojskowym — odparł Stafford z uśmiechem. — Nigdy nie wiadomo, kiedy pozornie nieistotną informację uda się dopasować do układanki. — Przejrzał testament. — Fundacja Ol Njorowa ma odziedziczyć około trzydzieści cztery miliony funtów. Zastanawiam się, czym się ona zajmuje. — Usiadł. — Alix, co się dzieje z tobą i Dirkiem? Dziś rano przez telefon twój głos brzmiał nieco ponuro.

— Nie mogę go zrozumieć, Max — zmartwiła się. — Chyba po prostu ojcostwo niezbyt mu odpowiada. Byliśmy stosunkowo szczęśliwi do chwili, gdy zaszłam w ciążę, dopiero

wtedy się zmienił.

— W jakim sensie?

— Stał się markotny i roztargniony. A właśnie teraz, kiedy go potrzebuję, uciekł z powrotem do Południowej Afryki. Dziecko ma zaledwie trzy tygodnie. Przecież powinien być ze mną, prawda?

— Uhm — mruknął Stafford. — Nigdy nie wspominał o dziadku?

— Nie przypominam sobie. — Wykonała nagły gest, jak gdyby odpędzała natrętą muchę. — Och, Max, przecież to śmiechu warte. Ten Flamand, z tym zabawnie pisanym nazwiskiem, z pewnością nie jest żadnym krewnym. Musiała zajść pomyłka w ustaleniu tożsamości.

— Nie sądzę. Hardin trafił prosto do tego domu, niczym gołąb do gołębnika. — Stafford zaczął wyliczać na palcach. — Ten Amerykanin, Hank Hendrix, powiedział mu, że Dirk jest jego kuzynem; Hardin widział instrukcje dla Gunnarssona od firmy Pacemore, Willis i Franks, polecające odszukanie potomków Jana—Willema Hendryxxa. Wykonując to zadanie Hardin trafia na Hanka Hendrixa. Łańcuch wydarzeń jest zupełnie logiczny.

— Myślę, że tak — powiedziała Alix. — Ale czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego się martwię, że Dirk ma odziedziczyć miliony?

— Chyba tak — odparł. — Martwisz się tym, co tutaj najwyraźniej nie pasuje. Postrzeleniem Hanka Hendrixa w Los Angeles. A mnie jeszcze coś innego chodzi po głowie. Dlaczego ci od Peacemore'a nie odnaleźli Dirka? Hardin zrobił to w trzydzieści sekund.

Curtis, służący Stafforda, okazał na jego widok łagodne zaskoczenie.

— Pułkownik wcześniej dzisiaj wrócił — zauważył.

— Tak, załatwiałem coś na mieście. Nie miało już sensu wracać do biura.

— Czy pułkownik zechce wypić popołudniową herbatę?

— Nie, ale możesz mi przynieść do gabinetu szkocką.

— Jak sobie pułkownik życzy — rzekł Curtis ze skrywaną dezaprobatą. Curtis stanowił kombinację kamerdynera, służącego, szofera, majstra do wszystkiego i niańki. Był weteranem piechoty morskiej Jej Królewskiej Mości. Do służby wstąpił w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku, a po zakończeniu wojny zdecydował się pozostać w wojsku, jako trzydziestosiedmioletni mężczyzna. W wieku pięćdziesięciu pięciu lat, po osiągnięciu ustawowego wieku emerytalnego, został wrzucony w dziwny, cywilny świat lat osiemdziesiątych. Już nie jako sierżant sztabowy, posiadający władzę, lecz jeden z wielu zwykłych ludzi. Niczym ryba wyciągnięta z wody, zdumiona brakiem dyscypliny w

cywilnym świecie. Był wdowcem. Jego żona, Amy, przed pięcioma laty zmarła na raka. Jedyne córka wyszła za mąż, mieszkała w Australii i wkrótce miała mu dać trzeciego wnuka.

Kiedy Stafford rozwiódł się z żoną, przez jakiś czas mieszkał w klubie, zanim znalazł mniejsze mieszkanie, bardziej odpowiednie dla jego wolnego stanu. Wtedy przypomniał sobie Curtisa, którego znał z czasów, gdy jako młody oficer służył w brytyjskiej Armii Renu. Pewnej nocy znalazł się w opałach, w jednej z mniej bezpiecznych dzielnic Hamburga. Wyciągnął go krzepki, obdarzony silnymi pięściami, sierżant piechoty morskiej. Nigdy nie zapomniał Curtisa i pozostawali wciąż w kontakcie. Wreszcie nawet nie wiadomo, czy to on pozyskał Curtisa, czy też odwrotnie. Jakkolwiek było, pasowali do siebie. Curtis znalazł stosowny kącik w niezrozumiałym świecie, a Stafford był szczęśliwy z pozyskania sprawnego, choć nieco zbyt przesiąkniętego zwyczajami panującymi w wojsku sługi. Jediną wadą Curtisa było to, że z uporem zwracał się do Stafforda w trzeciej osobie, posługując się jego dawnym stopniem wojskowym.

Stafford spojrział przyjaźnie na krępą, wyprostowaną postać.

– Jak tam twoja córka, sierżancie?

– Dzisiaj rano dostałem list. Piesze, że czuje się dobrze, sir.

– Co będzie? Chłopiec, czy dziewczynka?

– Byle tylko miało jedną głowę i normalną ilość rąk, nóg, i palców. Chłopak czy dziewczynka – ucieszę się tak samo.

– Powiedz mi, jak się urodzi. Musimy wysłać stosowny prezent na chrzciny.

– Dziękuję, sir. Kiedy mam pułkownikowi przygotować kąpiel?

– O zwykłej porze. Podaj mi wreszcie tę szkocką. — Stafford udał się do gabinetu.

Usiadł przy biurku i myślał o Gunnarssonie. Nigdy go nie spotkał, ale zakosztował jego metod dzięki machinacjom firmy Peacemore, Willis i Franks, w całości stanowiącej odgałęzienie Gunnarsson Associates.

Do obowiązków Stafford Security Consultans należała ochrona tajemnic organizacji, które były ich klientami. Wielu ludziom ochrona kojarzy się z patrolami, strażami i solidnym ogrodzeniem z siatki, lecz to za ledwie jej część. Najsłabszym ogniwem każdej organizacji są sami ludzie, od znajdującego się na szczycie szefa do sprzątaczk, która szoruje podłogi. Dyrektor, wypowiadając niedyskretną uwagę w swoim klubie golfowym, może wydać tajemnicę wartą miliony. Przekupiona sprzątaczk może doszukać się wielu ciekawych informacji w koszach na śmieci.

Wynikało z tego, że jeśli firma Stafford Security Consultants ciągnęła zyski — i to wcale

niemałe — ze strzeżenia tajemnic, to inni wykazywali podobne zainteresowanie ich działalnością, a ludzie zatrudnieni przez Gunnarsson Associates nie przebiegali zbyt w metodach. Odnosiło się to także do zgrai Peacemore'a w Zjednoczonym Królestwie.

Stafford przypomniał sobie rozmowę, jaką odbył z Jackiem Ellisem tuż przed wyjazdem na kontynent.

— Mieliliśmy kłopoty z tą bandą Peacemore'a — powiedział Ellis. — przeniknęli do Electronomics tuż przed fuzją. Przeszli przez wszystkie nasze zabezpieczenia.

— Jak?

— Możemy się zabezpieczyć przed wszystkim, z wyjątkiem głupoty — odparł Ellis, wzruszając ramionami. — Znaleźli haka na Pescoe'a, naczelnego dyrektora. Złapali go w łóżku ze złotowłosym chłopczykiem. Świńskie zdjęcia i tak dalej. Oczywiście była to ukartowana gra Peacemore'a, ale miałbym cholerny kłopot, by to udowodnić.

— W naszym frywolnym wieku homoseksualizm nie jest już takim punktem zaczepienia, jak niegdyś — zauważył Stafford.

— Tym razem hak okazał się solidny. Żona Pescoe'a nie wiedziała, że jest on biseksualny. Ma nastoletnie córki i taka sprawa zrujnowałaby jego małżeństwo, więc się ugiął. Oczywiście po fuzji straciliśmy kontrakt z Electronomics. Otrzymał go Peacemore.

— A grzeszki Pascoe'a i tak wyszły na jaw.

— Oczywiście. Po fuzji wywalili go z podaniem wszystkich przyczyn. Udowodnił, że nie można mu ufać.

— Ci dranie nie znają litości — stwierdził Stafford.

Szpiegostwo przemysłowe niewiele się różni od pracy wydziału MI-6, którego istnieniu rząd brytyjski zaprzecza, albo KGB, o którym wiedzą wszyscy, czy CIA, stanowiącej praktycznie otwartą księgę. Znajomość planów konkurencji z kilkuletnim wyprzedzeniem mogłaby okazać się pomocna dla jakiejś firmy samochodowej. Pewna linia lotnicza po zaplanowaniu kampanii reklamowej, której koszty wyniosły pół miliona, została bardzo zaskoczona, gdy na tydzień przed jej rozpoczęciem, główny rywal wystąpił z identyczną kampanią.

Firma pragnąca przejąć inną, jak w przypadku Electronomics, chce poznać strategię obronną ofiary. Ktoś chciał się dowiedzieć, na jaką ofertę cenową rzuci się Elektronomics, więc wynajął Peacemore'a, żeby to zbadał.

Oczywiście nikt na radzie zarządu nie powie wprost: „Chodźcie, przeprowadzimy akcję szpiegowską przeciwko temu a temu”. Prezes albo dyrektor naczelny mogą głośno myśleć i marzycielsko powiedzieć: „Czyż nie byłoby dobrze, gdybyśmy wiedzieli co robi ten a ten”.

Czujne uszy wychwytyją pobożne życzenia, a chłopcy zabierają się do roboty, wciąż zlaknieni awansu. Używa się pośredników, przypominających eliminatorów w wywiadzie wojskowym i politycznym. Praca zostaje wykonana, nikt z zarządu nie brudzi sobie rąk, a zastępca kierownika awansuje na kierownika.

Obrona jest trudna, bo chłopcy od szpiegowania idą na całego. Wszyscy strażnicy na świecie są bezsilni wobec ludzkich słabości. Dlatego firma Stafford Security Consultants bada personel swoich klientów, eliminuje chwiejne charaktery, a jeżeli nawet gwałci przy tym prawa ludzkie, to trudno.

A czasami zawodzimy, pomyślał Stafford.

Westchnął i sięgnął po zapomnianą whisky, którą przyniósł Curtis. A teraz Gunnarsson wplątał się w sprawy jego przyjaciół. Nie znaczy to, żeby Stafford odczuwał szczególnie przyjacielskie uczucia w stosunku do Dirka Hendriksa, lecz Alix na pewno była jego przyjaciółką i nie chciał jej w żaden sposób zranić. W dodatku Gunnarsson nie działał w sposób jasny. Dlaczego nie wskazał zaginionych spadkobierców?

Stafford spojrział na zegarek. Na Jersey zapewne skończyły się już godziny urzędowania, ale postanowił skontaktować się z tą firmą prawniczą. Okazało się, że nikt nie podnosi słuchawki.

Następnego ranka, tuż po przyjeździe do biura, Stafford odebrał telefon od Petera Hartwella, dyrektora towarzystwa udziałowego na Jersey, którego wypytywał dzień wcześniej.

— Twój człowiek, Hendryxx, zmarł niewiele ponad cztery miesiące temu. Zwłoki poddano kremacji. Sprawdziłem w gazetach, nie było żadnych artykułów, oprócz zwykłego, typowego nekrologu.

— Jaka była przyczyna śmierci?

— Atak serca. Spodziewano się tego; miał już kłopoty od dawna. Okazało się, że mieliśmy tego samego lekarza, mogłem więc zadać kilka pytań. Wybrałem się do Graffe i przeczytałem testament. Cholernie interesująca lektura, prawda?

— Jestem zaskoczony, że gazety nie rzuciły się na to — powiedział Stafford. — Nieczęsto multimilionerzy wyciągają kopyta.

Hartwell roześmiał się.

— Milionerzy nie są tutaj czymś niecodziennym — zwyczajni, pospolici ludzie. Poza tym Hendryxx prowadził spokojne życie, bez skandali. W końcu dziennikarze nie czytają każdego testamentu zdeponowanego w Graffe.

— Jak długo mieszkał na Jersey? — spytał Stafford.

— Zjawił się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym — nie tak dawno temu.

— A co z wykonawcą? Kim on jest?

— Stary Farrar? Porządny człowiek, tylko okropnie nadęty. Czemu się tym interesujesz, Max? Ta sprawa chyba nie za bardzo pasuje do twojej roboty?

— Wyświadczam jedynie przysługę przyjacielowi. Dzięki, Peter, zgłoszę się, gdybym jeszcze czegoś potrzebował.

— Jest jeden dziwny punkt — powiedział Hartwell. — Urzędnik w Graffe oznajmił, że zauważył szczególne zapotrzebowanie na kopie tego właśnie testamentu. Jedno z Anglii, dwa z Ameryki i jeszcze jedno z Afryki Południowej. — Hartwell roześmiał się. — Powiedział, że zastanawia się, czy nie wydać tego hurtem w małym nakładzie.

Po odłożeniu słuchawki Stafford zagłębił się w fotelu i pogrążył w myślach. Jak dotąd zapowiadało się to niezbyt ciekawie, może z wyjątkiem tego zainteresowania testamentem. Pstryknął przełącznik i powiedział:

— Joyce, połącz mnie z panem Farrar, Farrar, Windsor i Markham w Saint Helier na Jersey. To firma prawnicza.

Pięć minut później rozmawiał z Farrarem.

— Interesuję się świętej pamięci Janem—Willemem Hendryxxem — wyjaśnił po przedstawieniu się. — Zmarł jakieś cztery miesiące temu.

— Zgadza się.

— Słyszałem, że macie trudności z odnalezieniem spadkobierców.

— Myli się pan w tym względzie — odrzekł Farrar.

Miał suchy, pedantyczny głos. Stafford czekał, co Farrar powie dalej, ten jednak milczał. No cóż, Hartwell uprzedzał, że jest nadęty.

— Rozumiem, że miał pan na myśli Henry'ego Hendrixa z Los Angeles i Dirka Hendriksa z Londynu.

— Wydaje się pan być dobrze poinformowany. Czy mogę spytać, w jaki sposób uzyskał pan tę informację?

— Czytałem testament.

— W ten sposób nie mógł poznać pan nazwisk — odparł sucho Farrar.

— Ale w zasadzie ma pan rację. Pan Henry Hendrix przylatuje jutro ze Stanów Zjednoczonych, a pan Dirk Hendriks został już poinformowany.

— Farrar zamilkł na chwilę. — Prawdą jest, że zaskoczył mnie czas, jakiego potrzebował... — przerwał, jak gdyby zdał sobie sprawę, że znalazł się o krok od popełnienia zupełnie nieprawniczej niedyskrecji. — Czy mogę spytać, dlaczego interesuje pana ta sprawa, panie Stafford?

Stafford westchnął.

— Moje zainteresowanie właśnie wyparowało. Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas, panie Farrar. — Odłożył słuchawkę.

Telefon zadzwonił niemal natychmiast, to była Alix.

— To prawda, Max — emocjonowała się. — To wszystko prawda.

— Jeśli masz na myśli spadek Dirka, to wiem. Właśnie rozmawiałem z Farrarem.

— Z kim?

— Wykonawcą testamentu. Prawnikiem z Jersey.

— Dziwne. List przyszedł od prawnika z City, Mandeville'a — pospiesznie mówiła Alix. — Dirk wiedział przez cały czas. Twierdził, że chciał mi oszczędzić emocji na czas porodu. Musiał pojechać do Południowej Afryki, żeby skompletować dokumenty. Odnalazł się też ten zagubiony kuzyn, Max. On także tutaj przyjedzie.

— To niezwykle ekscytujące — odparł Stafford spokojnie. — Gratuluję — Zamilkł na

chwilę. — Co mam zrobić z Hardinem?

— A co byś proponował?

— Wydaje mi się uczciwym człowiekiem — powiedział Stafford. — To wszystko rzeczywiście wyglądało na jakieś machlojki, a Hardin, kosztem znacznych osobistych nakładów, zrobił co mógł, żeby wyjaśnić całość. Proponuję, żebyś opłaciła mu koszty pobytu w Londynie i przelot. Możesz też dodać niewielkie honorarium. Czy mam się tym zająć?

— Gdybyś mógł — powiedziała. — Prześlij mi rachunek.

— Oznajmię mu to w czasie lunchu. Pa! — Odłożył słuchawkę, poprosił Joyce, żeby umówiła go na lunch z Hardinem, po czym usadowiwszy się wygodnie na krześle, bębniąc palcami w blat biurka zaczął analizować całą sprawę.

Nie za bardzo miał się nad czym zastanawiać. Mandeville był zapewne londyńskim korespondentem Farrara; firmy prawnicze w taki właśnie sposób załatwiały swoje sprawy. Stafforda zdziwiło, że Dirk Hendriks nie powiedział o niczym Alix przed wyjazdem do Południowej Afryki — wtedy już była po porodzie — ale on zawsze był draniem, nie wysilającym się na okazywanie zbytniego szacunku. Pozostawało jeszcze parę drobiazgów, które się nie zgadzały. Kto strzelał do Hendrixa i dlaczego? Czemu Gunnarsson nie sprowadził Hendrixa do Anglii, gdy tylko ten został odnaleziony? Ale w obu przypadkach opierał się wyłącznie na tym, co powiedział Hardin. Może Hardin to rzeczywiście oszust, prowadzący własną, przebiegłą grę. Stafford, który uważał się za dobrego znawcę ludzi, pokręcił głową z zakłopotaniem.

Wreszcie zabrał się do swojej pracy.

Stafford zafundował Hardinowi lunch w dobrej restauracji. Wieści mogły być dobre dla spadkobierców Hendryxxa, ale nie dla Hardina. Dlatego Stafford uznał, że smaczny posiłek pomoże lepiej strawić gorzką pigułkę.

— Czyli zrobiłem z siebie durnia — odezwał się ponuro Hardin.

— Człowiek, który nie popełnił żadnej pomyłki, nigdy do niczego nie doszedł — niezbyt oryginalnie stwierdził Stafford. — Pani Hendriks nie chce, by stracił pan na tej sprawie. Jak dawno temu odszedł pan z Gunnarsson Associates?

— Jakiś miesiąc.

— Ile panu płacił Gunnarsson?

— Trzydzieści tysięcy rocznie, plus premie. — Hardin wzruszył ramionami. — Pod koniec premie zrobiły się nieco chude, ale w dobrych latach wychodziło mi średnio około czterdziestu tysięcy.

— W porządku. — Stafford wyciągnął książeczkę czekową. — Pani Hendriks pokryje

pańską podróż w obie strony, koszty poniesione w Londynie oraz wypłaci równowartość miesięcznej pensji. Czy to panu odpowiada?

— To bardzo wspaniałomyślne i nieoczekiwane — szczerze powiedział Hardin.

Hardin znów zastanowił Stafforda, ale doszedł do wniosku, że szczerowość stanowiła towar, którego oszuści mieli na składzie pod dostatkiem. Honorarium ustalili w dolarach, Stafford zaokrąglił je do równej kwoty, przeliczył na funty i wypisał czek.

— Pomoże mi to przeczekać najgorszy okres — rzekł Hardin, wkładając go do portfela.

— Kiedy pan wyjeżdża?

— Teraz już nic mnie tutaj nie trzyma. Może dostanę miejsce na jutro.

— No to powodzenia — odparł Stafford i zmienił temat.

Do końca lunchu rozmawiali o innych sprawach. Hardin ze zdziwieniem dowiedział się, że Stafford pracował w wywiadzie wojskowym i sam zdradził część swych doświadczeń z CIA. Przyznał, że pracował w Anglii, Niemczech i Afryce, ale mówił oględnie, dyskretnie i wystrzegając się opowiadania historyjek jak z podręcznika.

— Nie mogę zbyt wiele mówić na ten temat — zastrzegł się. — Nie jestem jednym z tych gadulskich, których tyle się namnożyło po Watergate.

Stafford zaaprobował to w milczeniu, przy czym Hardin bardzo zyskał w jego opinii.

Gdy lunch dobiegł końca, Stafford uregulował rachunek i opuścili restaurację. Zatrzymali się na chwilę, by na pożegnanie uścisnąć sobie dłonie. Stafford popatrzył za oddalającym się Hardinem, zastanawiając się nad jego przyszłością.

Następnego dnia zadzwonił Dirk Hendriks, a Stafford westchnął z rozdrażnieniem; zaczął mieć dosyć „afery Hendriks”. Słyszając silny głos Dirka zauważył po raz kolejny, że telefon podkreśla akcent.

— Max, widziałem się z prawnikiem. Jutro jedziemy na Jersey spotkać się z Farrarem, wykonawcą testamentu.

— My?

— Ja i mój odnaleziony kuzyn. Natknąłem się na niego w biurze Mandeville'a.

— Szczęśliwe połączenie rodziny — skomentował Stafford. — Jaki jest ten twój kuzyn?

— Wygląda na dość sympatycznego faceta. Oczywiście bardzo amerykański. Miał na sobie najbardziej krzykliwą, kraciastą marynarkę, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Trzy miliony wyleczą każdy ból oczu, Dirk — sucho powiedział Stafford. — Dowiedziałeś się czegoś na temat tej fundacji Ol Njorowa?

— Tak. To jakaś szkoła rolnicza i eksperymentalna farma w Kenii.

— Hendriks zawahał się. — Testament zawiera dziwny warunek. Co roku muszę spędzić

tam miesiąc, pracując na rzecz fundacji. Co o tym sądzisz?

Stafford zauważył ten punkt. Jego głos stał się jeszcze bardziej oziębły.

— Jeden miesiąc na rok to niewielka robota za trzy miliony funtów.

— Chyba masz rację. Słuchaj, Max, co sądzisz o tym typie, Hardinie? Stafford postanowił wynagrodzić, przynajmniej zaocznie, okazane Hardinowi zwątpienie.

— Wygląda na przyzwoitego faceta.

— Alix też tak twierdzi. Polubiła go. Kiedy wraca do Stanów?

— Pewnie już odleciał. Mówił, że już go nic tutaj nie trzyma. Musi znaleźć jakąś pracę.

— Rozumiem. Czy mógłbyś mi dać jego nowojorski adres? Zapewne poniósł jakieś koszty i chciałbym mu je zwrócić.

— Wszystko już załatwione, Dirk — odparł Stafford. — Prześlę ci rachunek; teraz możesz sobie na to pozwolić. Zresztą nie zostawił żadnego adresu.

— Ach tak! — Staffordowi wydało się, że w tym krótkim stwierdzeniu słyszy rozczarowanie. Upłynęła dobra chwila, nim Hendriks odezwał się ponownie.

— Dziękuję ci, Max — ciągnął raźniej. — Muszę już kończyć. Właśnie wyszliśmy od Mandeville'a, który wyglądał na zadowolonego. Kuzyn Henry, Alix i ja mamy zamiar napić się z tej okazji. Może dołączysz do nas?

— Przykro mi, Dirk; nie jestem opasłym milionerem i czeka mnie jeszcze kupa roboty.

— W porządku. A więc do zobaczenia. — Hendriks odłożył słuchawkę. Stafford pozwolił sobie na niewinne kłamstwo. Właśnie pakował papiery do teczki, by udać się do domu. Po południu telewizja miała transmitować mecz, który bardzo chciał zobaczyć. Wierzył, że tym razem Anglia dołoży Australii.

Wszedł do mieszkania, gdzie czekał już na niego Curtis.

— Pan pułkownik ma gościa, amerykańskiego dżentelmena o nazwisku Hardin. Dzwonił do biura, ale nie zastał już pana pułkownika.

— Oo! Gdzie on jest?

— Zaprowadziłem go do salonu i poczęstowałem koktajlem. — Stafford obrzucił Curtisa ostrym spojrzeniem.

— A cóż ty, do diabła, wiesz o koktajlach?

— W młodości zdarzało mi się upijać z amerykańskimi marynarzami, sir — z godnością wyjaśnił Curtis.

— No cóż, przyłączę się do pana Hardina z moją tradycyjną szkocką.

Stafford zastał Hardina na przeglądaniu biblioteki. Trzymał w dłoni pustą szklanekę.

— Sądziłem, że już pan wyjechał.

— Miałem ten zamiar, ale jednak postanowiłem zostać. — Hardin wyprostował się. — Czy przyjechał Hank Hendrix?

— Tak, dzwonił Dirk. Dzisiaj po południu spotkali się z prawnikiem. Chyba zadowolili go ich listy uwierzytelniające, tak przynajmniej twierdzi Dirk.

— Ten prawnik nazywa się Mandeville?

— Tak. Skąd pan wie?

Staffordowi wydało się, że Hardin jest napięty, ale jednocześnie wyglądał na zadowolonego.

— Dzisiaj na lotnisku Heathrow wpadłem na Gunnarssona. No, może niezupełnie wpadłem — nie sądzę, by mnie zauważył. Postanowiłem jeszcze zostać, żeby sprawdzić, dokąd pójdzie.

W tym momencie wszedł Curtis z tacą i Stafford sięgnął po whisky.

— Dlaczego?

— Bo ten młody facet, który mu towarzyszył, na pewno nie jest tym Hankiem Hendrixem, którego odnalazłem w Los Angeles.

Zaskoczony Stafford niemal upuścił szklanekę.

— Na boga, doprawdy?

Hardin stanowczo pokiwał głową.

— Nie ma szans. Niby ten sam wzrost, karnacja — trochę przypomina Hanka Hendrixa, ale to nie on.

Stafford przypomniał sobie rozmowę z Dirkiem.

— Jak był ubrany?

— Trudno nie domyślić się w nim Amerykanina — odparł Hardin, krzywiąc się w uśmiechu. — Miał marynarkę w kolorową kratę, na pewno od Josepha.

Sprawa była jasna. Curtis miał właśnie wyjść z pokoju, gdy nagle Stafford powiedział:

— Zostańcie sierżancie i posłuchajcie. Unikniemy dzięki temu późniejszych wyjaśnień. Ale najpierw podajcie panu Hardinowi jeszcze jednego drinka, sami też możecie sobie nalać. Panie Hardin, to jest sierżant sztabowy Curtis z królewskiej piechoty morskiej.

Hardin obrzucił Stafforda zdziwionym spojrzeniem, ale podniósł się i wyciągnął rękę.

— Miło mi pana poznać, sierżancie Curtis.

— Mnie również, panie Hardin. — Uścisnęli sobie dłonie, po czym Curtis zwrócił się do Stafforda: — Jeśli pułkownik nie ma nic przeciwko temu, wołałbym raczej piwo.

Stafford skinął głową. W dwie minuty później Curtis wrócił z gotowymi drinkami.

— A więc poszedł pan za Gunnarssonem — przypomniał Stafford.

— Tak. Waszych londyńskich taksówkarzy nic nie jest w stanie zaskoczyć. Powiedziałem mojemu taksówkarzowi, że jeżeli nie zgubi taksówki Gunnarssona, dostanie specjalny napiwek. Odparł, że może zrobić coś lepszego. Okazało się, że tamta taksówka należała do tej samej centrali radiowej. Pięć minut później dowiedziałem się, że Gunnarsson jedzie do Dorchester. Zajechałem tam przed nim i kazałem taksówkarzowi czekać. Licznik nieźle nastukał.

— Pokryję pańskie wydatki.

— To na rachunek firmy, panie Stafford — odparł Hardin z uśmiechem.

— Poprawi to moje samopoczucie.

Pociągnął łyk koktajlu.

— Gunnarsson z tamtym facetem zameldowali się w recepcji, potem weszli na górę. Przebywali tam około dwóch godzin, podczas gdy ja odgniatąłem sobie tyłek w holu. Miałem tylko nadzieję, że nie przyczepi się do mnie żaden detektyw hotelowy. Gdy zeszli, znowu za nimi pojechałem, prosto na Lincoln's Inn Fields.

— Gdzie mieści się kancelaria Mandeville'a. Czy tak? Tam właśnie poznał pan jego nazwisko.

— Zgadza się. Przytrzymałem jeszcze taksówkę i zaczekałem trochę. Gunnarsson wyszedł dokładnie w tej samej chwili, kiedy przybyła pani Hendriks z jakimś facetem. Czy to mógł być Dirk Hendriks?

— Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach, zbudowany jak czołg?

— Podobnie jak wielu Południowoafrykańczyków Hendriks miał wrodzone predyspozycje, by grać w rugby na pozycji łącznika młyna.

— To ten facet — Stafford szybko skinął głową, a Hardin ciągnął: — Udali się w to samo miejsce. Pojechałem za Gunnarssonem do biura Peacemore, Willis i Franks. Nie sądziłem, bym mógł coś więcej zdziałać, więc kazałem się przywieźć tutaj i wreszcie zwolniłem taksówkę. — Uniósł wzrok. — Uznałem, że lepiej wpaść tu, niż do pańskiego biura.

Stafford z roztargnieniem kiwnął głową, analizując to, co usłyszał.

— No dobrze, zrekonstruujmy wydarzenia — powiedział. — Odnalazł pan Henry'ego Hendrixa i zabrał go do Gunnarssona, do Nowego Jorku. Gunnarsson, który miał nadzieję na żyłę złota, zorientował się, że właśnie na nią trafił. Hendrix nie miał rodziny, nigdy nie wyjeżdżał ze Stanów, wyciągnięcie z niego informacji i podstawienie w Londynie kogoś na jego miejsce nie powinno okazać się zbyt trudne.

Curtis zakasłał.

— W zasadzie nie wiem jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, ale gdzie podział się

prawdziwy Henry Hendrix?

Hardin spojrział na niego z ukosa.

— Wolałbym nie zgadywać. — Zapadła cisza, wreszcie Hardin zapytał: — A więc co teraz zrobimy?

— Zapewne powinienem uprzedzić Farrara, że został nabrany — odezwał się Stafford. — Ale nie zrobię tego. — Hardin rozpogodził się. — Gdybym to zrobił, Gunnarsson mógłby się z tego wywinąć.

— Taak — rzekł Hardin. — Młody człowiek oberwie za oszustwo, a Gunnarsson rozłoży ręce i powie, że został nabrany tak samo jak inni. Wcielenie uciśnionej niewinności.

— A panu nikt by nie uwierzył — skomentował Stafford. — Nazwano by pana kłamcą, rozgoryczonym byłym pracownikiem, którego wyrzucono za niekompetencję.

— Pewno tak. — Hardin podrapał się po brodzie. — Zostaje jeszcze Biggie i ta komuna. Oni by poznali, że ten gość nie jest Hankiem.

— Chryste, oni są o jedenaście tysięcy kilometrów stąd — powiedział Stafford z irytacją. — Ten człowiek, kimkolwiek jest, nie popełnił w Stanach żadnego przestępstwa. O ile się orientuję, byłby tutaj sądzony według prawa brytyjskiego, a może prawa Jersey.

— Jaka tutaj grozi kara za podawanie się za kogoś innego?

— Zapewne niewielka. Może dwa lata.

Hardin parsknął, ale Stafford nie zwrócił na to uwagi. Pograżył się w myślach i zobaczył Hardina w innym świetle. Okazało się, że mimo wszystko ten człowiek się nie mylił. Miał więc pod ręką bezrobotnego agenta wywiadu, który nie cierpiał Gunnarssona. Przyszło mu do głowy, że jeśli chciałby wystąpić przeciwko Gunnarssonowi, to dobrze byłoby mieć w pobliżu Hardina. Znał Gunnarssona i jego metody, a pierwsza zasada wszelkich działań wojennych brzmi: „Poznaj swego wroga”.

— Mówił pan, że pracował w Afryce — odezwał się Stafford. — Czy zna pan Kenię?

— Jasne. — Hardin wzruszył ramionami. — Zapewne zmieniła się od czasu, gdy byłem tam ostatnio, ale znam ten kraj.

— Czy nie jest pan tam persona non grata?

— W Kenii jestem czysty — uśmiechnął się. — Wolę nie mówić, co by się działo, gdybym wsadził nos do Tanzanii.

— Mówił pan, ile zarabiał w Gunnarsson Associates — ciągnął Stafford. — Myślę, że moglibyśmy zaoferować tyle samo, a może nieco więcej. Czy chciałby pan pracować dla Stafford Security Consultants?

Hardin nie rzucił się na propozycję zbyt skwapliwie.

– Czy prowadzicie interesy tak jak Gunnarsson?

– Niezupełnie. Próbujemy tych drani powstrzymać.

Hardin wyciągnął rękę.

– Jestem do pańskiej dyspozycji. Dziękuję, panie Stafford.

– Mam na imię Max, ty jesteś Ben, a sierżant jest sierżantem — rzekł Stafford z uśmiechem.

Hardin wymeldował się już z hotelu, więc Stafford zaproponował mu pokój gościnny u siebie, dopóki się inaczej nie urządzi.

– Na komorne zarobisz wprowadzając sierżanta w całą tę historię.

– A o co chodzi z tą Kenią?

– Przypuszczam, że właśnie tam rozegra się akcja — powiedział Stafford. Uważał, że dla fundacji Ol Njorowa szło cholernie dużo pieniędzy, dużo więcej niż te sześć milionów, które miał dostać podstawiony Hendrix. Fundację zaleją pieniądze — jakieś siedemdziesiąt milionów dolarów amerykańskich. Był też pewien, że Gunnarsson już je zwęszył.

Stafford przedyskutował sprawę Gunnarssona z Jackiem Ellisem, największym poza nim udziałowcem Stafford Consultants. Uważał, że bez wtajemniczenia Ellisa nie ma prawa zwiększać wydatków firmy.

— Gunnarsson. To ta zgraja od Peacemore'a, prawda? — rzekł Ellis w zamyśleniu, gdy Stafford przedstawił mu sytuację.

— Zgadza się.

— Mielśmy już kłopoty z tą bandą. Pamiętasz Electronomics?

— Aż za dobrze — odparł Stafford. — Słuchaj, Jack, logicznie rzecz biorąc, kolejnym terenem naszej ekspansji będą Stany. Wcześniej czy później zderzymy się z Gunnarssonem. Wolałbym, żeby stało się to prędzej, nim rozpoczniemy tam działalność. Chcę dobrać mu się do skóry teraz, kiedy operuje nie na swoim terenie. Ellis przytaknął kiwnięciem głowy.

— To powinno ułatwić robotę. Kto wie o całej sprawie? O tym, że Gunnarsson podstawił kogoś w miejsce Hendrixa.

— Tylko czterech ludzi — ty, ja, Hardin i sierżant.

— Alix Hendriks nie?

Stafford pokręcił głową.

— Ani Dirk. Zależy mi na dyskrecji.

— A dlaczego Kenia?

— Pewnego razu ktoś zapytał Willie'ego Suttona, amerykańskiego bandytę, dlaczego napada na banki. Wyglądał na zaskoczonego i odparł: „przecież tam właśnie są pieniądze”.

— Do Kenii płynie cholernie dużo pieniędzy. Gunnarsson podąży za nimi.

— Co wiemy na temat tej fundacji w Kenii?

— Kompletnie nic; ale temu można zaradzić.

— Chcesz się tym zająć osobiście?

— Ale nie sam. — Stafford wzruszył ramionami. — Ciężko się napracowałem w Europie i nie miałem wakacji już od trzech lat. Nazwijmy to płatnym urlopem.

— Mam dziwne uczucie deja vu, jak byśmy już kiedyś prowadzili tę rozmowę — z gorzkim uśmiechem przypomniał Ellis.

— Nie myśl przypadkiem, Jack, że wyświadczam przysługę Alix. Chodzi mi o przyszłość Stafford Consultants.

Ellis pokiwał głową.

Stafford wysłał Hardina do Kenii jako jednoosobowy zwiad. Uważał, że mimo iż w Londynie mieszka osiem milionów ludzi, lepiej zapobiec przypadkowemu spotkaniu Hardina z Gunnarssonem lub Hendrixem. West End obejmuje stosunkowo niewielki obszar i tylko pech mógłby sprawić, żeby stanęli twarzą w twarz na, powiedzmy, Jermyn Street. W Kenii Hardin miał załatwić zakwaterowanie w hotelu i wynająć samochody. Miał również wstępnie sprawdzić fundację Ol Njorowa.

Gunnarsson i podstawiony Hendrix pozostawali pod dyskretną obserwacją. Stafford zorganizował wszystko tak, że mógł się im przyjrzeć, by rozpoznać ich w razie ponownego spotkania. Gunnarsson robił niewiele, chodził do biura Peacemore, Willis i Franks, co należało uznać za rzecz normalną, jako że był jego właścicielem. Bywał też w kasynach, często wygrywając. Miał niesamowite szczęście. Natomiast Hendrix po powierzchownym zwiedzeniu Londynu, wynajął samochód i udał się na wycieczkę po West Country.

Wtedy właśnie Stafford zaprosił Alix i Dirka Hendriksów na obiad. Byli jego szpiegami na tyłach wroga. Przy aperitifie spytał:

— Jak sobie poradziliście na Jersey?

— Podpisałem tyle papierów, że aż mi ścierpła ręka — zaśmiał się Dirk. — Ten stary miał fantastyczną głowę do interesów. Jego inwestycje są zadziwiająco rozległe.

— Znałeś swojego dziadka?

Dirk zaprzeczył ruchem głowy.

— Nigdy o nim nie wspominałeś, Dirk — wtrąciła Alix.

— Sądziłem, że zginął w Czerwonej Rewolcie, w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku — powiedział Dirk. — Rand ogarnęła wtedy rewolucja, prawdziwa wojna domowa, którą Smuts stłumił za pomocą artylerii i bombowców. Wtedy właśnie zniknął, a przynajmniej tak mi powiedziano. To wręcz upiorne uczucie dowiedzieć się, że naprawdę zmarł zaledwie kilka miesięcy temu.

— A babka, czy ją znałeś? — zapytał Stafford.

— Zachowałem mgliste wspomnienia — odrzekł Dirk, marszcząc brwi. — Zwykle opowiadała mi różne historie. To od niej musiałem słyszeć o dziadku. Zmarła, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Tak samo jak wszyscy.

— Wszyscy? — z niedowierzaniem zapytała Alix.

— Moi rodzice, siostra i babka zginęli w wypadku samochodowym. Tylko dlatego mnie to ominęło, że leżałem w szpitalu, chorowałem bodaj na szkarlatynę. Miałem wtedy sześć lat.

— Przybrał przesadnie żałobny wyraz twarzy. — Jestem sierotą.

— Mój ty biedaku. Nie wiedziałam — powiedziała Alix, przykrywając jego dłoń swoją.

Staffordowi wydało się dziwne, że Dirk nie wspomniał wcześniej Alix o tej historii, ale powstrzymał się od komentarzy.

— Co to za fundacja w Kenii? — zmienił temat.

— Ol Njorowa? — Dirk pokręci głową. — Niewiele o niej wiem, poza tym, co ci już powiedziałem. W przyszłą środę jedziemy przeprowadzić inspekcję. Jeżeli co roku mam spędzać tam miesiąc, to lepiej, żebym wiedział coś na jej temat. Dyrektorem jest jakiś Brice. Mandeville ma o nim wysokie mniemanie.

— A co Mandeville ma z tym wspólnego. Jako wybitny adwokat ma tytuł Doradcy Królowej, prawda? Myślałem, że to Farrar został wykonawcą testamentu. — Uniesieniem ręki Stafford przywołał kelnera.

— Odwalał sporo prawniczej roboty dla dziadka. Najwyraźniej byli przyjaciółmi, gdyż opowiadał mi, że zawsze nocował w domu dziadka, kiedy przebywał na Jersey.

— Czy wybiera się z tobą do Kenii?

— O Boże, nie! — odparł Dirk ze śmiechem. — To gruba ryba. On nie chodzi do klientów, tylko oni do niego. Ale rzeczywiście jedzie ze mną; ma z Brice'em jakąś sprawę do przedyskutowania.

— Ty też jedziesz? — zwrócił się Stafford do Alix.

Uśmiechnęła się smutno.

— Chciałabym, ale nie mogę zabrać ze sobą małego Maxa. Może wybierzemy się następnym razem.

— Oczywiście jedzie też Henry Hendrix. A tak przy okazji, to gdzie on się podziewa? Myślałem, że przyjdziecie razem.

— Zwiedza kraj — rzekł Dirk i dodał cierpko: — Nie zamierzamy spędzać ze sobą zbyt wiele czasu. Dopiero teraz zaczynam rozumieć powiedzenie: „Wybiera się przyjaciół, ale nie krewnych”.

— Nie lubisz go?

— Nie jest w moim typie — zbył go Dirk. — Myślę, że pobyt w Ol Njorowa zaplanujemy sobie w innych miesiącach. Ale oczywiście jedzie z Farrarem i ze mną.

— Możemy się na siebie natknąć w Nairobi — od niechcienia oznajmił Stafford. — Wybieram się tam na wakacje. We wtorek mam samolot.

— Ach tak? — Dirk przyjrzał mu się uważnie. — Kiedy się zdecydowałeś?

— Miejsce zarezerwowałem parę tygodni temu, a właściwie zrobiła to moja sekretarka.

Zbliżył się kelner.

— Nie będę już nic piła, Max — powiedziała Alix.

— A więc chodźmy coś zjeść — zaproponował Stafford i wstał zadowolony z tego, czego się dowiedział.

Następnego dnia dowiedział się, że Gunnarsson odwiedził biuro podróży. Dyskretne dochodzenie ujawniło miejsce, do którego się udawał — Nairobi. Stafford kazał Curtisowi zamówić dwa bilety na wtorkowy lot i zadepeszował do Hardina, by ten był przygotowany.

— Czy ja też jadę, sir? — spytał Curtis.

— Tak. Mogę potrzebować kogoś do wieszania spodni. Jakie schludne męskie ubrania pasowałyby w Kenii?

— Pułkownik nie musi sobie zawracać tym głowy. Każdy z indyjskich sklepów uszyje mu ubranie w ciągu dwudziestu czterech godzin. W dodatku tanio i stosownie do klimatu.

— Jesteście kopalnią informacji, sierżancie. Skąd to wszystko wiecie?

— Byłem tam — nieoczekiwanie powiedział Curtis. — Podczas tej sprawy z Mau—Mau znalazłem się w Mombasie. Potem nieco podróżowałem w głąb kraju, do Nairobi i jeszcze dalej. — Umilkł na chwilę. — Jakiego typu kłopotów pułkownik się spodziewa — rękoczynów czy broni palnej? — Stafford przyjrzał mu się z namysłem, a Curtis dodał: — Po prostu chciałbym wiedzieć, co przygotować.

— Wiecie tyle, ile ja — odparł Stafford. — Zróbcie to, co uznacie za stosowne. — Pierwszą rzeczą, jakiej uczy się każdy „zielony” porucznik, jest umiejętność wydawania rozkazu: „Wykonać, sierżancie”. Podoficerowie wszystkich armii utrzymują w ryzach całą armię i mądry oficer wie o tym.

— Czy w takim razie mogę liczyć na zgodę pułkownika na wolne popołudnie? — spytał Curtis. — Mam do załatwienia parę spraw.

— Tak. Ale nie mówcie mi, czego one dotyczą. Nie chcę o niczym wiedzieć.

Jedyną rzeczą godną uwagi, jaka wydarzyła się przed ich wyjazdem do Kenii, było rozbicie przez Hendrixa samochodu w czasie szaleńczego zjazdu ze stromego wzgórza w Kornwalii, nieopodal Tintagel. On sam wyszedł z tego jedynie z kilkoma zadrapaniami, ale samochód nadawał się do kasacji.

Polecieli do Nairobi pierwszą klasą, nocnym lotem. Curtis był potężnie zbudowany, a Stafford też nie należał do ułomków, nie widział więc powodu, by gnieść się w drugiej klasie. Gdyby wszystko odbyło się zgodnie z planem, za całość i tak miał zapłacić Gunnarsson. Stafford oparł się namowom personelu pokładowego, próbującego znieczulić

go alkoholem, by nie przysparzał zbyt wielu kłopotów. Ponieważ jednak miał problemy z zaśnięciem w samolocie, o trzeciej nad ranem przeszedł do baru, gdzie przy dużym, zimnym piwie zagłębił się w lekturę dreszczowca, w przerwach obserwując, jak steward robi kasę. Bohater kryminału poznawał po mrowieniu w karku, kiedy go ktoś śledził; ta przydatna umiejętność co najmniej czterokrotnie popchnęła akcję książki.

W tym czasie Curtis spał niczym dziecko.

Wylądowali rano, tuż po ósmej, ale nawet o tak wczesnej porze słońce waliło wprost z nieba. Stafford wciągnął powietrze i wyczuł aromatyczny, delikatny zapach, z którym po raz pierwszy zetknął się w Algierii — zapach Afryki. Przeszli odprawę paszportową oraz celną i zobaczyli oczekującego ich Hardina.

— Sie masz, Max; sie masz, sierżancie. Mielście dobry lot?

— Niezły. — Stafford przesunął dłonią po szczecinie na brodzie. — W ciągu dnia leciałoby się lepiej.

— Pilotom to nie odpowiada — odparł Hardin. — Lotnisko znajduje się na wysokości niemal dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, a w południe powietrze jest tu gorące i rzadkie. Wolą nie ryzykować lądowania w takich warunkach.

Staffordowi wydawało się, że ma pod powiekami piasek.

— Jesteś taki sam jak sierżant, jeśli chodzi o zaskakująco cenne informacje.

— Mam samochód przed budynkiem. Pomogę wam nieść bagaże. Nie pozwólcie ich tknąć bagażowym, zdzierają bez litości.

Ruszyli za Hardinem. Stafford z niedowierzaniem spojrział na pojazd, do którego ich prowadził; był to ośmioosobowy Nissan, furgonetka z otwieranym dachem, na dodatek, niczym zebra, pomalowany w oślepiające pasy, pokryte cienką warstewką kurzu.

— Na miłość boską, Ben! — wykrztusił. — Staramy się nie zwracać na siebie uwagi, a ty załatwiasz nam wóz cyrkowy. To cholerstwo na kilometr rzuca się w oczy.

— Nie martw się — uspokoił go Hardin. — Te przystosowane do safari ciężarówki są tutaj bardzo pospolite, a dojedzie się nimi wszędzie. Udajemy turystów. Sam zobaczysz.

Hardin prowadził, Stafford usiadł obok niego, a Curtis zajął miejsce z tyłu. Znaleźli się na nieoczekiwanie dobrej autostradzie, z rozdzielonymi pasami ruchu.

— Jak daleko do centrum? — zapytał Stafford.

— Ponad jedenaście kilometrów. — Hardin wskazał kciukiem. — Widzisz to ogrodzenie? Po drugiej stronie znajduje się Zwierzęcy Park Narodowy Nairobi. — Roześmiał się. — Cholernie lubię patrzeć, jak żyrafy wędrują sobie swobodnie na tle wieżowców.

— Nie przysłałem cię tutaj, żebyś obserwował zwierzęta.

— Do diabła, to było w niedzielę rano. Tak, jakbym poszedł do kościoła. Nie zrzedź, Max. Hardin miał rację.

— Przepraszam, Ben. To chyba brak snu daje o sobie znać.

— W porządku. — Po chwili milczenia Hardin odezwał się: — W barze Hiltona rozmawiałem z jednym z tutejszych mieszkańców. Powiedział, że o świcie zrobiło się piekło, bo lew porwał konia z sąsiedniej ujeżdżalni. Nawet na Manhattanie nie prowadzimy tak niebezpiecznego życia.

Stafford pomyślał, że Hardin zmienił się w prawdziwego rozpaplanego turystę. Nie przyjechał tu, żeby wysłuchiwać bajek o lwach.

— A co z fundacją? — zapytał.

Hardin wychwycił zgryźliwość w głosie Stafforda i zerknął na niego z ukosa.

— Taak — powiedział cicho. — Kilka informacji uzyskałem od tego samego faceta, który opowiadał mi o lwie. To jeden z członków zarządu, Hindus Patterjee.

— Jeszcze raz cię przepraszam — westchnął Stafford. — Wygląda na to, że mam dziś kiepski dzień.

— W porządku. Każdemu się zdarza.

— Wyciągnąłeś coś interesującego od Patterjee?

— Kilka nazwisk — członkowie zarządu i tak dalej. Dał mi ulotkę opisującą pracę fundacji. Prowadzi ona szkoły rolnicze, eksperymentalne laboratoria — tego typu sprawy. No i spółdzielnie. Prezesem rady nadzorczej jest niejaki Brice; nie ma go w Nairobi — jest w Ol Njorowa. To niedaleko jeziora Naiwasza w prowincji Rift Valley, ponad osiemdziesiąt kilometrów stąd.

— Kto założył fundację i kiedy?

— Powstała tuż po wojnie, w latach pięćdziesiątych. Ulotka nie zdradza, kto był założycielem. Myszkowałem trochę w pobliżu jeziora, ale nie widziałem się z Brice'em; uznałem, że lepiej zostawić go tobie. Jest Anglikiem, więc pomyślałem, że łatwiej sobie z nim poradzisz.

— Czy Patterjee wspominał o spadku po Hendryxxie?

— Ani słowa. Ale mało prawdopodobne, żeby rozmawiał o tym z nieznajomym, którego spotkał w barze. Wiadomość jeszcze się nie rozeszła. W czytelnicy sprawdziłem gazety z ostatnich miesięcy.

Wjeżdżali do miasta. Stafford nie wiedział, czego się spodziewać, ale widok nieco go zaskoczył. Był na tyle świadomy, że nie oczekiwał glinianych chatek, ale te nowoczesne budynki wznosiły się wysoko, a na ulicach panował porządek. Hardin zahamował ostro.

— Jeżdżąc tutaj trzeba uważać na rowerzystów. Wydaje im się, że światła ich nie dotyczą. Światła się zmieniły i Hardin puścił sprzęgło.

— Jesteśmy na autostradzie Uhuru. Po lewej stronie znajduje się park Uhuru. — Stafford zauważył czarne uczennice w spodenkach gimnastycznych, grające w piłkę ręczną. Wszędzie kwitły kwiaty — istna orgia kolorów. Skręcili w boczną ulicę, a po chwili jeszcze raz.

— Ulica Harrs'ego Thuku — oznajmił Hardin. — Nazwana tak dla upamiętnienia rewolucyjnego bohatera, który dał się we znaki Brytyjczykom w czasach kolonialnych. A oto „Norfolk”, nasz hotel.

Zaparkował samochód między dwoma Nissanami, tak samo pasiastymi.

— Jeden z nich jest nasz. Pomyślałem, że przydadzą nam się dwa pojazdy.

— Dobra myśl. — Stafford odwrócił się i spojrzał do tyłu na Curtisa. — Co wyście się tak rozgadali, sierzancie; bez przerwy męliście ozorem. Coś wam chodzi po głowie?

— Jeśli pułkownik mi pozwoli, to miałbym parę spraw do załatwienia

— odparł powściągliwie. — Wystarczy mi plan miasta.

— Mam tu jeden — rzekł Hardin. — Jednak lepiej, żebyście się najpierw zameldowali.

Weszli do hotelu, gdy horda portierów opadła Nissana. Po załatwieniu meldunku Curtis krótko skinął Staffordowi głową i wyszedł na ulicę. Hardin obejrzał się za nim.

— Silny, małomówny człowiek — skomentował. — Dokąd idzie?

— Lepiej nie pytaj — odparł Stafford. — Kroczy swymi tajemnymi ścieżkami, dokonuje cudów.

Ich pokoje znajdowały się z drugiej strony podwórza. Wypełniał je świergot ptaków z dwóch dużych ptaszarni.

— Sierżant śpi ze mną — oznajmił Hardin. — Ty masz pokój dla siebie. Zamówiłem ci śniadanie do pokoju; przypuszczałem, że będziesz zmęczony i nie będzie ci się chciało schodzić do jadalni. — Weszli po schodach i Hardin otworzył drzwi. — No, proszę.

Kelner pochylał się nad załadowaną tacą, którą właśnie przyniósł. Wyprostował się i z szerokim uśmiechem powiedział:

— Śniadanie, sahibie, gwarantowane, najlepsze angielskie śniadanie.— Otrzymał od Hardina napiwek i wyszedł.

— W lodówce jest pełno trunków — oznajmił Hardin.

Stafford wzdrygnął się.

— Zbyt wcześnie na to.

— Wytłumacz mi coś — zagadnął Hardin. — Jak to jest z tobą i sierżantem? Wydawało

mi się, że w Anglii obowiązuje system klasowy. W waszym wypadku jakoś tego nie widać.

— Tak się składa, że nie wierzę w system klasowy — odparł Stafford, odkrywając talerz z jajkami na bekonie. Wziął szklankę soku pomarańczowego i upił łyk. Z zadowoleniem zauważył, że przygotowano go ze świeżych owoców. — Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia, zanim spałaszuję to wszystko i zwałę się do łóżka?

— Tak. Nazwa fundacji. Ol Njorowa to miejsce nieopodal jeziora Naiwasza. Słowo pochodzi z języka Masajów. Nie wiem, jak brzmi tłumaczenie na angielski, ale brytyjscy osadnicy określili je jako Wrota Piekieł. Kiedy cię obudzić?

— O dwunastej trzydzieści.

Stafford zjadł śniadanie i położył się do łóżka, rozmyślając o Wrotach Piekieł. Co za piekielna nazwa dla fundacji dobroczynnej.

Hardin obudził Stafforda punktualnie. Ten czuł się zgrzany i lepki, ale prysznic zmył pot. Gdy wyszedł z łazienki, Hardin powiedział:

- Wrócił sierżant, z przyjaciółmi.
- Jakimi przyjaciółmi?
- Zobaczysz ich w barze „Delamere”.

Stafford ubrał się i zeszli na dół. Mijając dziedziniec, skąpany w blasku południowego słońca, Stafford znów zaczął się pocić i w myślach zanotował, by spytać Curtisa o jego krawca.

Bar „Delamere” znajdował się na obszernym tarasie przed frontem hotelu. Stały tam rozproszone stoliki, wszystkie ocienione, skąd można było obserwować przechodniów. Panował tłok, ale sierżant zajął wcześniej stolik. Wstał na ich widok.

- Chciałbym panu pułkownikowi przedstawić Pete'a Chipende oraz Naira Singha.

Uścisnęli sobie dłonie. Chipende, Murzyn, odsłonił w szerokim uśmiechu pełny garnitur śnieżnych zębów.

– Proszę mi mówić po prostu Chip. – Jego angielski był niemal pozbawiony obcego akcentu, dawało się w nim wyczuć tylko odrobinę wschodnioafrykańskiego przyśpiewu. Natomiast Nair Singh był Sikhem, w turbanie, z groźną brodą i łagodnym uśmiechem na twarzy.

- Piwo jest niezłe – polecił Hardin, gdy Stafford usiadł. – Zimne i niezbyt mocne.

– W porządku, wezmę piwo. – Stafford zauważył, że dla Sikha było jednak za mocne, gdyż zadowolił się napojem bezalkoholowym. Spojrzał na Curtisa i uniósł brwi.

– Jeszcze w Londynie pomyślałem, że przydadzą się nam przyjaciele znający teren i język, popytałem więc i dostałem adres – wyjaśnił Curtis.

- Nasz adres – dodał Chip. – Solidnie pracujemy, chwytamy się każdej roboty.

– Skąd dostaliście ten adres? – spytał Stafford, nie spuszczać oczu z Curtisa.

- Od przyjaciół i ich przyjaciół – odparł niedbale, wzruszając ramionami.

– Macie użytecznych przyjaciół. – Curtis grał starego wiarusa i Stafford wiedział, że nic więcej już z niego nie wyciągnie, przynajmniej nie w tej chwili. – Wiecie o co chodzi? – zwrócił się do nowych znajomych.

- Mamy śledzić jakichś ludzi – powiedział Nair.

– Dyskretnie – uzupełnił Chip. – A może zażyczyacie sobie czegoś więcej – dodał po chwili.

— Może. — Kelner przyniósł szklanki i butelki piwa. — W porządku. Jutro przyleci z Londynu pewien człowiek. Amerykanin, nazywa się Gunnarsson. Chcę wiedzieć, gdzie chodzi i co robi.

— Da się zrobić — odparł Chip, nalewając sobie piwo.

— Jest jeszcze dwóch innych, następny Amerykanin — Hendrix oraz Anglik, Farrar. Hendrix jest dla nas ważniejszy. Prócz nich będzie jeszcze jeden człowiek — także Hendriks, ale jego nazwisko pisze się inaczej. — Wyjaśnił na czym polega różnica.

— Chcesz śledzić Dirka? — spytał zaskoczony Hardin.

— A czemu nie? — Stafford nalał piwo, skosztował. Okazało się orzeźwiająco zimne. — Czy któryś z was mógłby mi coś powiedzieć o fundacji Ol Njorowa?

— Ol Njorowa? — powtórzył Chip. Wymówił nazwę dużo płynniej niż Stafford. — To niedaleko Naiwasza.

— Szkoła rolnicza — powiedział Nair. — Z tego, co słyszałem, dobrze pracują. Znam tam kogoś, jednego naukowca — Hunta.

— Dobrze go znasz? — zainteresował się Stafford.

— Studiowaliśmy razem na uniwersytecie. — Nair wskazał pobliski budynek. — Tam, po drugiej stronie ulicy. Wypiliśmy tu sporo piwa. — Uśmiechnął się. — To było jeszcze przed tym, nim wróciłem do swojej religii. Spotykamy się czasami.

— Czy mógłbyś nas poznać? Jakoś tak naturalnie.

— To da się zrobić — odparł Nair po chwili zastanowienia. — Kiedy?

— Dzisiaj, jeżeli to możliwe. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o fundacji jeszcze przed przyjazdem Gunnarssona.

— Najlepiej będzie w Naiwasza. Kto jeszcze pojedzie oprócz ciebie?

— Będzie mi towarzyszył Ben. Sierżant i Chip zostaną, żeby jutro dopilnować Gunnarssona.

Nair skinął głową i wstał.

— Zorganizuję wszystko. Niedługo wrócę.

Stafford sięgnął po piwo.

— Sierżancie, potrzebuję odpowiedniejszego stroju albo się roztopię.

— Dopilnuję, aby pułkownik został odpowiednio wyposażony.

— Powinieneś mieć ubranie myśliwskie, takie jak to — odezwał się Chip, wskazując własną bluzę. — Po lunchu lepiej przejdź się z Nairem. Za bardzo wyglądasz na turystę. Nair załatwi to taniej.

— A skoro mowa o lunchu... — Hardin wręczył Staffordowi menu. Zamówili posiłek oraz

kolejne piwa dla wszystkich. Nair znów poprosił o napój bezalkoholowy.

— Wszystko załatwione — oznajmił po powrocie. — Zjemy kolację z Alanem Huntem i jego siostrą w hotelu „Lake Naivasha”. Należy do tej samej sieci, co „Norfolk”, więc tam zamówiłem noclegi na dzisiaj. Czy to wam odpowiada?

— Oczywiście.

Podano lunch i zabrali się do jedzenia.

Tego popołudnia jeden z hinduskich sklepów położonych w pobliżu targowiska w niecałą godzinę wyposażył Stafforda w ubranie myśliwskie. Nair targował się i nieźle zbił cenę. Stafford zamówił jeszcze dwa ubrania, po czym wyruszyli ku Naiwasza. Tym razem prowadził Nair, a Hardin siedział z tyłu Nissana.

Za miastem droga popsuka się, pojawiły się kiepsko załatane dziury. Kiedy Stafford zwrócił na to uwagę, Nair odparł ponuro:

— Nie jest dobrze. Chyba nie domyśliłbyś się, że to magistrala — główna droga do Ugandy. Rząd powinien ją wreszcie naprawić i skończyć z wielkimi ciężarówkami.

— Taak — odezwał się Hardin. — Można sądzić, że najważniejszymi płynami w tym kraju są piwo i benzyna.

Stafford rozumiał, co miał na myśli, gdy minęli Limuru i zaczęli zjeżdżać ze skarpy. Stromizna była znaczna i droga wiała się serpentynami. Utknęli za cysterną z benzyną, przed którą jechała ogromna ciężarówka z przyczepą załadowaną piwem Tusker. Nissan włókł się na niskim biegu, nie mogąc bezpiecznie wyprzedzić. W pewnym momencie Nair sapnął ze złością i zjechał na pobocze.

— Przepuścimy ich — powiedział. — Od takiej jazdy tylko przegrzewa się silnik. — Otworzył drzwi samochodu. — Pokażę wam coś naprawdę interesującego.

Stafford i Hardin ruszyli za nim przez gąszcz drzew, aż na krawędź urwiska.

— Oto Wielki Rów! — Nair zatoczył ręką szeroki krąg.

W ziemi widniało głębokie cięcie, jak gdyby jakiś olbrzym walnął w nią toporem. Stafford ocenił szerokość pęknięcia na ponad trzydzieści kilometrów. W oddali lśniły wody jeziora. Nair wskazał wzgórze po drugiej stronie.

— Skarpa Mau, a to jezioro Naiwasza. Tamta góra nazywa się Longonot, jest wulkanem, a szkoła Ol Njorowa znajduje się tuż po drugiej stronie. Z tego miejsca nie widać budynków.

— Jak daleko sięga Wielki Rów? — spytał Hardin.

— Kawał drogi — roześmiał się Nair. — Ponad sześć tysięcy kilometrów od Libanu do Mozambiku. Jest największą geologiczną szramą na powierzchni ziemi. Gregory, pierwszy biały człowiek, który go badał, twierdził, że powinien być widoczny z księżyca. Dowiódł tego

Neil Armstrong. Tutaj, w tym miejscu, Afryka jest rozdarta na dwie części. — Spostrzegł, że Stafford przygląda mu się badawczo. — Studiowałem geologię — dodał zwięźle.

— A co robisz teraz, Nair?

— Jestem agentem turystycznym, obwożę turystów po Kenii. — Odwrócił się. — Droga powinna być już wolna.

Wracając do samochodu, Stafford myślał o Nairze. Może był agentem, może nie. Może kimś więcej. Ten przyjaciel przyjaciela Curtisa wydawał mu się coraz bardziej enigmatyczny.

— A Chip? Czy on pracuje razem z tobą?

— Oczywiście.

Zjechali na dno Wielkiego Rowu, nie natrafiając już na ciężarówki z piwem, chociaż nieprzerwana kolumna podążała w przeciwnym kierunku, w górę zbocza. Na płaskim terenie Nair zwiększył prędkość. Minęli drogę odchodzącą w lewo, w poprzek doliny.

— Ta droga prowadzi do Narok i Masai Mara. Powinniście się tam wybrać, jest mnóstwo zwierząt.

— Nie przyjechałem tutaj w charakterze turysty — mruknął Stafford.

Od tej chwili Nair milczał, dopóki nie dotarli do hotelu. Budynek był niski, pomalowany na biało i czerwono, miał spadzisty dach i gdyby nie umieszczony po jednej stronie ciąg pokoi, mógłby uchodzić za ziemiańską rezydencję. Zameldowali się i rozeszli do swoich pokoi. Tym razem Stafford mieszkał razem z Hardinem.

— Co wiesz o tych dwu — Chipie i Nairze? — spytał, gdy tylko znaleźli się sami.

— Tyle, co i ty — odparł Hardin, wzruszając ramionami. — Sierżant nie należy do gadatliwych.

— Mówił mi, że ma tu znajomych, ale to przecież z czasów Mau—Mau.

Chip i Nair musieli być wtedy w przedszkolu. Chyba muszę się z nim poważnie rozmówić po powrocie do Nairobi.

Stafford zdążył jeszcze wziąć szybko prysznic, nim zebrali się na trawniku przed hotelem. Minęła właśnie szósta, pora cocktailu i goście grupkami obsiedli stoliki, popijając aperitify i obserwując słońce zachodzące za skarpią Mau, ponad jeziorem. Stafford zamówił gin z tonikiem, Hardin wziął Seagram's, Nair natomiast poprzestał na soku cytrynowym.

Jakiś jamnik bez powodzenia gonił duże, czarno—białe ptaki. Z pogardliwą nonszalancją unikały jego szaleńczych ataków.

— To ibisy — objaśnił Nair. — Pełno ich tu wokół jeziora. Są też pelikany, marabuty i kormorany. — Wskazał skaczącego między stolikami nieprawdopodobnie kolorowego

ptaka, mieniącego się odcieniami błękitu, zieleni i czerwieni. — A to przepiękny szpak.

— Jak na geologa sporo wiesz o ptakach — zauważył Stafford.

— Agent turystyczny musi znać się na wszystkim, jeśli ma sprostać wymaganiom klientów — z ironią wyjaśnił Nair. — Jak mam Alanowi Huntowi wyjaśnić waszą obecność?

Stafforda zaskoczyła nagła zmiana tematu. Przyjrzał się Nairovi z namysłem i powiedział:

— Sądziłem, że to twój przyjaciel. Oszukałbyś go?

Nair wzruszył ramionami.

— Już ci mówiłem, że staram się zadowolić klientów. Uprzedziłem go, że chcecie odwiedzić obiekt geotermiczny w Ol Karia; to jakieś dwa kilometry za Wrotami Piekieł.

— Przecież nie mam o tym zielonego pojęcia.

— Nie musisz. Udajesz się tam w charakterze średnio zainteresowanego gościa. Na miejscu prowadzone są wiercenia w poszukiwaniu pary do napędzania elektrowni. To bardzo ciekawe.

— Z pewnością. Powiedz mi, Nair, czemu to dla mnie robisz? Dlaczego się zdecydowałeś?

Nair zaczął się bawić żelazną bransoletą.

— Prosił mnie o to przyjaciel z Anglii.

— Co o tym sądzisz? — Stafford spojrzał na Hardina.

— Niewiele — Hardin uśmiechnął się wymijająco.

— Powinieneś być wdzięczny, że znalazłeś tu pomocników, panie Stafford — rzekł poważnie Nair.

Stafford westchnął.

— Ponieważ i tak zwracamy się do siebie bezpośrednio, lepiej nazywaj mnie Max. — Zaklął po pendżabsku. Nair ożywił się i odpowiedział obszernie w tym samym języku. — Hola, hola! — zaoponował Stafford. — Nie byłem w Pendżabie wystarczająco długo, by nauczyć się czegoś więcej oprócz przekleństw. Jako chłopiec przebywałem tam przez krótki okres tuż po zakończeniu wojny; mój ojciec służył w wojsku, w czasie podziału.

— To musiały być ciężkie czasy — z powagą stwierdził Nair. — Ja nigdy nie odwiedziłem Indii; urodziłem się w Kenii. — Spojrzał ponad ramieniem Stafforda. — Przyszedł Alan Hunt.

Hunt okazał się wysokim, opalonym mężczyzną, o blond włosach, niemal zupełnie spłowiałych od słońca. Towarzysząca mu siostra miała włosy tylko o ton ciemniejsze. Nair dokonał prezentacji i Stafford dowiedział się, że ma na imię Judy. Krążący w pobliżu kelner przyjął zamówienie na następną kolejkę drinków.

— Czy jest pan w Kenii po raz pierwszy? — spytała Judy, rozpoczynając obowiązkową, wstępną pogawędkę.

— Tak. — Stafford spojrział na zegarek. — Od jakichś dziesięciu godzin.

— Szybko tu dotarliście.

— Samochód jest wspaniałym wynalazkiem. — Alan Hunt rozmawiał z Nairem. — Czy pracujesz razem z bratem na uczelni Ol Njorowa?

— Tak, jestem agronomem, a Alan zajmuje się glebą, czyli uzupełniamy się. A co pan robi, panie Stafford?

— Proszę mi mówić Max. Jestem najprawdziwszym biznesmenem z londyńskiego City.

— Pociągnął się za rękaw bluzy. — Zwykle noszę czarny garnitur, melonik i parasol.

Roześmiała się.

— Nie wierzę.

— Uwierz na słowo. Wciąż obowiązuje de rigueur.

— Nigdy nie byłam w Anglii — powiedziała z lekką tęsknotą.

— Jest zimna i mokra — rzekł Stafford. — Tutaj macie się dużo lepiej. Powiedz mi coś; słyszałem o Wrotach Piekła — to Ol Njorowa, prawda?

— W pewnym sensie. Anglicy to tak nazwali.

— Brzmi niczym wejście do „Piekła” Dantego. A jak to naprawdę wygląda?

— Przełęcz biegnie wzdłuż zachodniego stoku Longonot; dużego wulkanu niedaleko stąd. Jest tam sporo gorących źródeł i ujść pary, co, jak sędzę, usprawiedliwia nazwę. Ale dawno temu, kiedy jezioro Naiwasza było dużo większe niż teraz, tam znajdowało się jego ujście.

— Jak dawno?

Uśmiechnęła się. Robiła to z wdziękiem.

— Nie mam pojęcia. Może milion lat. Nair wstał.

— Lepiej chodźmy do środka. Po zachodzie słońca pokażą się jeziorne muchy.

— Coś złego? — spytał Hardin.

— Zdecydowanie nieprzyjemne — odparł Hunt.

W trakcie kolacji Stafford dowiedział się trochę więcej o Huncie oraz fundacji. Hunt opowiedział o swojej pracy przy badaniach gleby.

— Jest w tym coś z geologii, coś z botaniki, coś z mikrobiologii, nieco chemii. To szerokie pole — powiedział. Dla fundacji pracował od dwóch lat i wyrażał się o niej z entuzjazmem.

— Wykonujemy pożyteczną robotę, ale wolno nam idzie. Nie da się zmienić ludzi w ciągu jednego pokolenia.

Gdy Stafford zapytał, co ma na myśli, wyjaśnił:

— Tutejsze plemiona uprawiały ziemię, by utrzymać się przy życiu. Dochodowa uprawa to zupełnie coś innego. Wymaga lepszego gospodarowania gruntem i nieco wiedzy. Ale są pojętni.

Stafford spojrział na Judy.

— Czy nie mają zastrzeżeń, że uczy ich kobieta?

— Wręcz przeciwnie — roześmiał się Hunt. — Widzisz, zgodnie z tradycją, kobiety Kikuju zajmują się uprawą ziemi i Judy doskonale sobie z nimi radzi. Jej problem polega na tym, że zbyt szybko traci młode, niezamężne uczennice.

— Jak to?

— Wychodzą za Masajów zamieszkujących tereny leżące na południu. To koczownicy, hodowcy bydła. Ich kobiety nie chcą uprawiać ziemi, więc wolą się żenić z Kikuju, które chętnie obrabiają ich poletka kukurydzy i prosa.

— Nieoczekiwany problem — Stafford uśmiechnął się.

— Problemów jest wiele — z powagą odparł Hunt. — Ale radzimy sobie jakoś, Rada Rozwoju Wspólnoty Brytyjskiej oraz Bank Światowy finansują nasze projekty. Dalej, niedaleko Baringo jest zespół RRWB, robiący tutaj to samo, co my u Njempów. Sprawa polega na właściwym dopasowaniu uprawy do gleby. Nasza fundacja jest bardziej amatorskim przedsięwzięciem i często brakuje nam gotówki. Rozeszła się jednak pogłoska, że fundacji zapisano jakieś pieniądze.

Wkrótce kłopoty się skończą, pomyślał Stafford.

— Kiedy powstała fundacja? — zapytał.

— Tuż po wojnie. Trochę się jej dostało w czasie rewolty Mau—Mau. Zaczęła dogorywać, umierając niemal na stojąco. Ożywienie nastąpiło dopiero pięć, może sześć lat temu, po przyjeździe Brice'a. To nasz dyrektor.

— Dobry człowiek?

— Najlepszy; wprost tryska energią. Świetny administrator, chociaż nie zna się specjalnie na rolnictwie. Ma jednak dość rozsądku, by zostawić te sprawy specjalistom. Musisz nas odwiedzić. Połącz to jakoś z wizytą w Ol Karia.

— Chętnie — powiedział Stafford. Nie chciał pokazywać się w Ol Njorowa, kiedy w pobliżu znajdował się Dirk Hendriks. Jego ciekawość mogłaby wywołać komentarze. — Może w przyszłym tygodniu?

— Oczywiście, zadzwoń do mnie.

Weszli do holu na kawę i brandy. Hunt właśnie miał zamiar usiąść, ale zatrzymał się.

— Tam siedzi Brice, pije drinka z Pattersonem — jednym z ludzi prowadzących studia

nad zwierzętami. Mogę od razu uzgodnić waszą wizytę na uczelni. — Podeszedł i zaczął rozmawiać z Brice'em, po chwili przywołał ich skinieniem ręki.

Przedstawił Brice'owi Stafforda i Hardina. Brice był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, o karnacji w kolorze kurdybanowej skóry. Mówił niemal wzorową, oksfordzką angielszczyzną. Jedyne ledwie dostrzegalne przeciąganie samogłosek zdradzało jego południowoafrykańskie pochodzenie. Było to jednak tak nieznaczne, że Hardin miał prawo się pomylić, uznając go za Anglika.

Mocno uścisnął im dłonie.

— Miło mi, że nas pan odwiedził, panie Stafford; nieczęsto gościmy kogoś z Anglii — powiedział. — Czy jest pan w Kenii od dawna? — zadał standardowe pytanie, przełamujące lody.

— Przyleciałem dzisiaj rano. To piękny kraj.

— Tak, rzeczywiście — przyznał Brice. — To nie mój kraj, przynajmniej na razie, ale też mi się podoba.

— Na razie? — spytała Judy.

Brice roześmiał się dobrodusznie.

— Przyjmuję kenijskie obywatelstwo. Moje papiery powinny przyjść za kilka miesięcy.

— A zatem jest pan Anglikiem? — zapytał Stafford.

— Nie, Rodezyjczykiem. — Znów się roześmiał. — Nie domyślił się pan tego po moim akcencie? — Uniósł brwi, widząc, że Stafford milczy. — Nie? No cóż, przez pewien czas mieszkałem w Anglii, więc przypuszczalnie go straciłem. Wyjechałem do Rodezji, gdy ten idiota Smith ogłosił JDN.

— Cóż to takiego? — zainteresował się Hardin.

— Jednostronna Deklaracja Niepodległości. — Brice uśmiechnął się. — Amerykanie proklamowali podobną dwieście lat temu.

— Oczywiście — powiedział Hardin. — Nawet byłem wtedy w Afryce, ale nigdy nie dotarłem tak daleko na południe. jak się to wszystko skończyło? W naszym kraju sprawy afrykańskie nie są zbyt dokładnie przedstawiane.

— To nie miało szans — rzekł Brice. — Nie można kazać stu tysiącom białych rządzić milionami czarnych i upierać się przy tym. Nastął okres wojny domowej i biali ulegli naciskowi. Rząd brytyjski nadzorował wybory i premierem jest teraz Mugabe — czarny, kraj zaś zmienił nazwę na Zimbabwe.

— Czy ma pan zamiar wrócić teraz, kiedy rządzi Mugabe? — zapytał Stafford.

Brice pokręcił głową.

— Nie. Moje motto brzmi: „Nie wchodź dwa razy do tej samej rzeki”. Prócz tego nie za bardzo jest do czego wracać. Miałem farmę niedaleko Umtali, gdzie właśnie toczyła się wojna. — Twarz mu stężała. — Moich rodziców zabito i słyszałem, że doszczętnie spłonął dom, który wybudował ojciec. Nie, tu mam teraz ojczyznę. — Wypił łyk. — Rozumie pan, nie chciałbym wyjeżdżać z Afryki. Nie lubię Anglii. Jak na mój gust trochę tam za zimno.

Zwrócił się do Hunta.

— Nie widzę powodu, by pan Stafford nie mógł obejrzyć naszej uczelni. Jaki termin by panu odpowiadał?

— Może w przyszłym tygodniu? — zasugerował Stafford.

Uzgodnili dzień i Brice zapisał datę w notesie.

— Do tego czasu najprawdopodobniej skończę z plotkami — powiedział z uśmiechem.

— Jakimi plotkami? — Stafford uniósł brwi.

— O nieoczekiwanym dopływie gotówki — rzekł Hunt. Spojrzał na Brice'a. — Czy to prawda?

— Tak — odparł Brice. — Nieoczekiwany spadek. Może nawet jakieś sześć lub siedem milionów.

— Kenijskich szylingów? — dopytywał się Hunt.

— Funtów szterlingów — odrzekł Brice radośnie, a Hunt przeciągle gwizdnął.

Stafford zachował twarz pokerzysty, rozmyślając, co stało się z resztą pieniędzy. Brakowało jakichś dwudziestu siedmiu milionów.

— Zatrzymaj to przy sobie, Alan, dopóki nie ogłoszę tego oficjalnie — poprosił Brice. — W ciągu najbliższych dni spotkam się z radą nadzorczą i prawnikiem.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, po czym Stafford i Hunt wrócili do swego stolika.

Stafford był roztargniony, wciąż myślał o tym, co powiedział Brice. Niebawem jednak Judy wciągnęła go do rozmowy.

— Skoro odwiedzisz szkołę, musisz się przelecieć z nami balonem — powiedziała.

— Balonem? Chyba żartujesz.

— Wcale nie. Alan ma balon na gorące powietrze. Twierdzi, że pomaga mu w pracy. — Roześmiała się. — Ja natomiast uważam, że to tylko pretekst i głównie chodzi mu o rozrywkę. To wspaniała zabawa. Kapitalnie można obserwować zwierzęta.

— Możecie nim sterować?

— Nie za bardzo. Lecisz, gdzie cię wiatr poniesie, niczym puch. Alan uczenie rozprawia na temat ścinania wiatru oraz innych fachowych szczegółów. Twierdzi, że potrafi dolecieć niemal dokładnie tam, gdzie zaplanuje. Nie sądzę jednak, by miał nad nim aż taką kontrolę.

— Co się stanie, jeśli zniesie was na jezioro?

— Po prostu nie wylatujemy, kiedy wiatr wieje w tamtym kierunku. Gdyby się jednak zmienił, dryfujesz, dopóki nie dopłynie ścigacz, modląc się, by nie zjawiły się krokodyle.

— Kusicie los — powiedział Stafford.

— Ależ to naprawdę niewielkie ryzyko. Dotychczas nie zdarzyło się nic poza zwichnięciem nadgarstka. Alan zaraził się baloniarstwem od innego Alana — Alana Roota. Słyszałeś o nim?

— Ten od dzikiej natury? Tak. Zdarzało mi się oglądać jego programy w telewizji.

— Mieszka w pobliżu — powiedziała Judy. — Sporo filmuje ze swojego balonu. Przeleciał też nad Kilimandżaro. Baloniarstwo staje się tu coraz popularniejsze. Przy Keekorok w Masai Mara latają z turystami, nazywając to „balonowym safari”.

Czas szybko płynął na miłej pogawędce. Stafford poznał więcej szczegółów na temat fundacji, ale nie aż tyle, ile by chciał. Było mu wręcz przykro, gdy około jedenastej Huntowie odjechali, zachęcając go do jak najszybszej wizyty. Po ich odjeździe Hardin i Nair podsumowali swoją wiedzę. Okazało się, że było tego co kot napłakał.

— Słuchaj, Ben, wysyłam cię z powrotem do Anglii, żebyś zrobił coś, co zaniedbaliśmy — powiedział Stafford. — Tak czy owak za bardzo rzucasz się tutaj w oczy. Nairobi to małe miasto i zbyt łatwo mógłbyś zetknąć się z Gunnarssonem.

— Taak. Chyba jestem twoją zakrytą kartą. Co mam zrobić w Anglii?

— Przystudiujesz życie i czasy Jana—Willema Hendryxa. Lepiej bym się czuł wiedząc, w jaki sposób doszedł do takiego majątku i dlaczego zapisał go fundacji Ol Njorowa. Znajdź jakiś związek z Kenią, Ben. Powęsz też trochę na Jersey, póki nie ma Farrara. Stary musiał przecież z kimś rozmawiać przez te siedem lat.

— Kiedy mam wyjechać?

— Jutro. — Stafford zwrócił się do Naira. — Chciałbym dowiedzieć się więcej na temat fundacji. Czy mógłbyś coś wygrzebać?

— Nie powinno być z tym problemu.

— A więc jutro, zaraz po śniadaniu, wyruszamy do Nairobi.

Do Nairobi dotarli następnego dnia, tuż po jedenastej. Kiedy Nair zaparkował przed „Norfolkiem”, Stafford zauważył Curtisa, popijającego piwo w barze „Delamere”.

— Powiedz sierżantowi — zwrócił się do Hardina — że chcę z nim teraz porozmawiać w moim pokoju.

— W porządku — odparł Hardin.

— Poszukam Chipa — oznajmił Nair.

Stafford skinął głową i wysiadł z samochodu. Udał się do baru, by kupić papierosy, a następnie poszedł do swojego pokoju, gdzie czekali już na niego Curtis i Hardin. Spojrzał na Curtisa i rzekł:

— Gdzie jest Gunnarsson?

— W „Hiltonie”. Chip go pilnuje.

— Chip go pilnuje — powtórzył Stafford. — W porządku, sierżancie. Kim właściwie są Chip i Nair?

— Już panu mówiłem — wydawał się urażony.

— Nie odstawiaj mi tutaj starego wojaka — powiedział Stafford. — Lepszych od ciebie rozliczałem za milczące zuchwalstwo. O niczym mi nie mówiłeś. Wyduś to z siebie. Chcę wiedzieć, czy mogę im ufać. Chcę wiedzieć, czy mnie sprzedadzą, jeśli Gunnarsson zaproponuje wyższą cenę. A w ogóle, to ile im płacisz?

— Nic — odparł Curtis. — To przysługa.

Przez chwilę Stafford spoglądał na niego w milczeniu.

— Tego już za wiele — rzekł wreszcie. — Teraz musisz mi powiedzieć.

— Też jestem zaskoczony — wtrącił Hardin.

— W porządku — westchnął Curtis. — Ale nie chcę, żeby ktoś miał przez to kłopoty. Żadnych nazwisk, żadnych ćwiczeń karnych, rozumiecie? Mówiłem już pułkownikowi, że byłem w Kenii wcześniej, ale nie jeden raz. Spędziłem tu urlop w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim. Pułkownik wie, jak się coś takiego załatwia.

— Dogadałeś się z podoficerem dowodzącym i przyjechałeś jako nadliczbowy jednym z okrętów Jej Królewskiej Mości. Darmowa przejazdka.

Curtis potwierdził kiwnięciem głowy.

— Należał do okrętów patrolujących Beirę.

— Cóż to takiego? — spytał Hardin.

— Chodzi o blokadę Beiry w celu zatrzymania dostaw ropy dla Rodezji — wyjaśnił

Stafford. — Okazała się cholernie mało skuteczna. Mówcie dalej, sierżancie.

— Zszedłem na brzeg w Mombasie — ciągnął Curtis. — Rozejrzałem się nieco i przyjechałem pociągiem tutaj. Po jakichś trzech lub czterech dniach poszedłem zobaczyć ten duży budynek — taki wysoki i okrągły.

— Centrum konferencyjne imienia Kenyatty — odpowiedział Hardin.

— Właśnie. Wtedy jeszcze trwała budowa. Panował tam wielki bałagan. Poniewierało się mnóstwo materiałów budowlanych. Wszedłem trochę późno i nim się zorientowałem, zapadł zmierzch, a tutaj nie trwa on długo. W pewnym momencie usłyszałem odgłosy bójk, a kiedy wyszedłem za róg, zobaczyłem czterech czarnych, atakujących starego Hindusa i dziewczynę. Stary leżał już pobity na ziemi, a oni zajęli się dziewczyną. Wyglądało, że zanosi się na gwałt zbiorowy. Nie doszło do niego. — Uniósł do góry pięści.

— Nieźle sobie radzę.

Stafford wiedział o tym. W swoim czasie Curtis zdobył drugie miejsce w mistrzostwach marynarki w boksie. A twardy sierżant sztabowy piechoty morskiej to aż za wiele dla czterech niewprawnych opryszków.

— Mówcie dalej.

— Dziewczyna miała piętnaście lat, a mężczyzna okazał się jej dziadkiem. Nic się jej nie stało, przstraszyła się tylko, starzec natomiast został ciężko pobity. Koniec końców zabrałem ich do domu. Strasznie mi tam zaczęli nadszkwierać — poczęstowali kolacją. Smakowało mi wtedy to curry — rozmarzył się.

— Darujmy sobie twoje wspomnienia kulinarne — uciął Stafford. — Co dalej?

— Sytuacja Hindusów kiepsko się wówczas przedstawiała. Kenyatta oświadczył, że posiadacze paszportów brytyjskich muszą je wymienić na kenijskie.

— Coś jakby „Kenia dla Kenijczyków” — zauważył Hardin. — Byłem tu wtedy. Nazywali to „umiejscowianiem”.

— Hindusi nie chcieli zwracać brytyjskich paszportów, ale wiedzieli, że jeśli tego nie zrobią, rząd ich deportuje — powiedział Curtis. — Indie nie chciały ich przyjąć, więc mogli pojechać tylko do Wielkiej Brytanii. Nie mieli nic przeciwko temu, ale nie pozwolono im zabrać ze sobą żadnej waluty, a przy wyjeździe sprawdzano, czy nie wywożą jakichś kosztowności.

— Taak — rzekł Hardin. — Znaleźli się między młotem a kowadłem.

— Wzruszył ramionami. — Nie wiem jednak, czy można za to winić Kenyattę. Nie chciał mieć w państwie dużej, obcej grupy narodowej. Wiesz, że odnosiło się to również do Brytyjczyków. Zostań Kenijczykiem albo wyjedź.

— Zwrócili się do mnie o pomoc — mówił dalej Curtis. — Opowiedziałem im, w jaki sposób znalazłem się w Kenii. Prosilili, żebym zabrał coś do Anglii.

— Co takiego? — spytał Stafford.

Nakreślił w powietrzu niewielki kształt.

— Małe pudełko, zaszyte w skórę.

— Co w nim było?

— Nie wiem. Nie otwierałem go.

— A jak przypuszczasz?

— Myślę, że diamenty — odparł Curtis po chwili wahania.

— Sierżancie, postąpiłeś jak skończony głupiec — powiedział Stafford.

— Gdyby cię nakryli, poszedłbyś do więzienia i stracił emeryturę. A więc wywoźłeś paczuszkę do Anglii.

— Tak. Wylądowałem w Portsmouth i udałem się do Londynu, pod adres na East Endzie.

— Ile wzięłeś na usługę?

Spojrzał zaskoczony.

— Nic, proszę pana. — Stafford przyglądał mu się z namysłem, więc Curtis dodał: — To byli dobrzy ludzie. Widzi pan, przyjechali do Anglii na stałe. Później moja Amy umierała w cierpieniach, a ja miałem ostrego oficera. Wystąpiłem o urlop okolicznościowy, a on nie chciał mi go udzielić. W końcu go jednak dostałem. Byłem przy niej, gdy umierała. Okazało się, że ci Hindusi opiekowali się nią — przynosili do szpitala kwiaty, owoce i różne rzeczy. Pomagali jej. — Milczał przez jakiś czas. — Dobrzy ludzie — powtórzył.

Stafford westchnął i podszedł do lodówki. Wyciągnął butelki.

— Napij się piwa, sierżancie.

— Dziękuję panu.

Drugą dał Hardinowi, a i sobie otworzył jedną.

— Więc kiedy dowiedziałeś się, że jedziemy do Kenii, zwróciłeś się o pomoc. Czy tak?

— Tak, panie pułkowniku.

— Jak się nazywa ta hinduska rodzina? — Curtis w dalszym ciągu milczał, więc Stafford obiecał poważnie: — Zatrzymam to dla siebie, sierżancie.

— Pillay — rzekł z ociąganiem.

— Co drugi Gujarati nazywa się Pillay — prychnął Hardin. — A pozostali Patel. To tak samo, jak w Anglii spotkać Smitha lub Jonesa.

Stafford wstrzymał się z nalewaniem piwa.

— Gujarati! W tym momencie wszystko zaczyna tracić sens. Nair Singh jest Sikhem, a od

kiedy to Sikhowie i Gujarati zaprzyjaźnili się, co? Że nie wspomnę Pete'a Chipende — Murzyna, co daje jeszcze mniej prawdopodobną kombinację. I twierdzisz, że ci dwaj pomagają nam za darmo? Daj spokój, sierżancie.

— Chwileczkę — zaproponował Hardin. — Max, widzę że potrzebny ci krótki kurs politycznej historii Kenii. Pracowałem tu, pamiętasz? Agencja bardzo się interesowała działalnością polityczną w Kenii. Siedziałem w tym po uszy, więc znam te sprawy.

— No więc?

— Państwo jest monopartyjne — rzekł, unosząc w górę palec — Afrykański Związek Narodowy Kenii, w skrócie KANU. Prezydentem był Kenyatta, a wiceprezydentem Ogiga Odinga. Ale nawet w państwie monopartyjnym istnieją frakcje. Odinga oderwał się i utworzył Ludowy Związek Kenii, w skrócie KPU. Kenyatta tego nie zniósł. Nastąpiła walka o władzę i ostatecznie KPU został zdelegalizowany. Odinga sporo czasu spędził w więzieniu. Działo się to w sześćdziesiątym dziewiątym roku. Oczywiście, jak to w Afryce, taka walka musiała się wiązać ze sprawami plemiennymi. Kenyatta należał do plemienia Kikuju, a Odinga do Luo. Po przyjeździe starałem się wyczuć, co w trawie piszczy. Nawet teraz KANU traci popularność wśród Luo. Oczywiście dochodzi do tego jeszcze ideologia.

— Co to wszystko ma wspólnego z naszą sprawą?

— Odinga musiał skądś otrzymywać pieniądze, żeby stworzyć fundusz wojskowy. Wiem, że dostał trochę od Chińczyków i Rosjan. Kenyatta odciął się od komunistów, zamknął ich ambasady, więc zrobiliby wszystko, żeby sprawić mu kłopot. Istniało jednak silne podejrzenie, że Odinga otrzymywał fundusze od społeczności hinduskich w Anglii. Zostali stąd wydalen i nie darzyli Kenyatty specjalną miłością.

— Jaki stąd wniosek?

— Przypuszczam, że Chip i Nair są zwolennikami Odingi, ludźmi KPU. Partia została zdelegalizowana, ale wciąż działa w podziemiu. Gdyby źródło brytyjskich funduszy zażyczyło sobie jakiejś przysługi, nie odmówiono by jej.

— Do diabła! — zaklął Stafford. — Przekłeta polityka jest ostatnią rzeczą, w jaką chciałbym się wplątać.

— Nie mieszasz się do polityki — odparł Hardin. — Nie atakujesz rządu. Zaakceptuj tylko przysługę i trzymaj język za zębami. Ci faceci mogą okazać się pomocni. Już są pomocni.

Curtis wyglądał na przygnębionego. Stafford uśmiechnął się więc i powiedział:

— Rozchmurz się, sierżancie. Na tym umęczonym świecie samarytanin niemal zawsze dostaje po głowie. W zasadzie to moja wina. Jeszcze w Anglii dałem ci wolną rękę.

Curtis pociągnął łyk piwa i Stafford zauważył, że nabiera otuchy.

— Idę o zakład, że jest ich więcej, nie tylko Chip i Nair — odezwał się Hardin. — Może ich nie widać, ale na pewno istnieją.

— Czemu tak sądzisz?

— Na podstawie dawnych doświadczeń — odrzekł i opróżnił szklanę.

A więc tak wyglądały sprawy. Staffordowi narzucono sojuszników, bez których chętnie by się obył. Ale Hardin miał rację — mogli okazać się pomocni. Zdecydował się do pewnego stopnia zaakceptować ich pomoc i zgodnie z radą nie zadawać zbyt wielu pytań. Miał niczego nie widzieć i niczego nie słyszeć. Ale nie miał zamiaru im wierzyć.

Chip pokazał się wczesnym popołudniem. Wyglądało na to, że Gunnarsson robił to samo, co Stafford — odsypiał podróż. Nie zjawił się na lunchu i kazał przysłać sobie posiłek do pokoju.

— Kto go teraz pilnuje?

— Nie martw się. — Chip zademonstrował niemal wszystkie zęby. — Jest obserwowany.

A więc Hardin miał rację — Chip i Nair nie działali sami.

— Grupa pana Farrara przylatuje jutro rano z Londynu — powiedział Chip.

— Skąd wiesz?

Znowu błysnął zębami.

— Szwagier jest urzędnikiem na lotnisku.

Nair zjawił się kilka minut później. Przyniósł grubą kopertę i wręczył ją Staffordowi. Okazało się, że zawiera wyczerpujące dane na temat fundacji Oj Njorowa. Zastanowiło go, w jaki sposób Nair mógł zdobyć szczegółowe informacje w tak krótkim czasie. Był chyba bardzo sprawny.

Rada nadzorcza liczyła pięciu członków: K.J. Patterjee, B.J. Peters, D.W. Ngotho, płk. S.T. Lovejoy oraz wielebny A.T. Peacock.

— Kim są ci ludzie? — zapytał.

Chip podszedł leniwym krokiem i zajrzał mu przez ramię.

— Hindus—Pars, trzech Anglików i czarny Kenijczyk.

— Ludzie wpływowi? Mający pozycję w społeczeństwie?

W odpowiedzi Stafford usłyszał stłumiony śmiech. Podniósł wzrok i zobaczył, że Nair śmieje się od ucha, do ucha.

— Chyba nie posunęlibyśmy się aż do takiego stwierdzenia, co, Nair? — powiedział Chip.

— Nie sądzę — Nair roześmiał się otwarcie.

Chip wyciągnął rękę nad ramieniem Stafforda i stuknął palcem w papier.

— Patterjee siedział w więzieniu za próbę przemytu z Mombasy dwunastu tysięcy

kilogramów goździków. W tym kraju to duże przestępstwo. Peters został skazany i siedział za obchodzenie przepisów dewizowych. Ngotho udowodniono prostytutkę przedsiębiorczą. On też siedział w więzieniu.

— Cóż to, do diabła, znaczy — prostytutka przedsiębiorcza?

— Tylko obywatele Kenii mogą posiadać kontrolne udziały w przedsiębiorstwach. Trwał ożywiony handel — podstawiano Kenijczyków, tylko pozornie będących właścicielami akcji. Czysto prawny szwindel. To chyba Mzee Kenyatta pierwszy określił „prostytucją przedsiębiorczą”, prawda?

— Zgadza się — odparł Chip. — Zdelegalizował te praktyki. Natomiast pułkownik Lovejoy jest w porządku. Od dawna przebywa w Kenii. Teraz to już starzec. Peacock jest misjonarzem.

Stafford zdumiał się. Cóż za dziwaczna mieszanka.

— Jak do diabła, trzech kanciarzy weszło do zarządu fundacji Ol Njorowa?

— To rzeczywiście zadziwiające — zgodził się Chip. — Skąd twoje zainteresowanie fundacją, Max?

— Wcale nie interesuje mnie sama fundacja. Znalazła się na peryferiach mojego śledztwa.

— Zastanawiam się... — zadumał się Nair.

— Nad czym się zastanawiasz? — spytał Chip.

— Czy fundacja to rzeczywiście margines prowadzonego przez Maxa dochodzenia?

— Trudno cokolwiek stwierdzić, skoro nie wiesz, czego to śledztwo dotyczy — rozsądnie zauważył Chip.

Stafford westchnął i oparł się o krzesło.

— W porządku, chłopcy. Może przestalibyście kręcić.

— No cóż — powiedział Chip. — Lepiej gdybyśmy wiedzieli, co robimy. Prawda, Nair?

— Też tak uważam.

— Zastanowię się nad tym — obiecał Stafford. — A tymczasem jeśli panowie komiccy skończyli już wymianę błyskotliwych uwag, to chciałbym się z tym zapoznać. — Odwrócił kartki. Z załączonych planów uczelni wynikało, że jest dość rozległa. Obejmowała sale wykładowe, laboratoria, gabinety, bibliotekę oraz tereny mieszkalne. Znajdowały się tam obiekty sportowe, w tym basen pływacki, korty tenisowe i boisko do piłki nożnej. Spory obszar przeznaczono na działki eksperymentalne, coś w rodzaju brytyjskich ogródków działkowych, lecz o charakterze bardziej naukowym.

Stafford przerzucił parę kartek i znalazł listę wydziałów. W oczy wpadło mu nazwisko

Alana Hunta. Stuknął w nazwisko widniejące na górze kartki.

— Chodzi mi o tego dyrektora, Brice'a. Twój przyjaciel Hunt, najwyraźniej uważa go za porządnego człowieka, odpowiedniego dla fundacji. Czy zgodziłbyś się z tym?

— Tak. To on wszystko tu rozbudował. Dobrze też układają mu się stosunki z agronomami na uniwersytecie. — Nair wzruszył ramionami. — Myślę, że uniwersytet oraz rząd są zadowoleni, iż fundacja może wziąć na siebie część wydatków. Badania sporo kosztują.

Ale Hunt twierdził, że brakuje gotówki. Stafford chwilowo zignorował tę sprawę i ułożył kartki w kolejności, poczynając od spisu członków rady.

— Od jak dawna ci trzej faceci zasiadają w radzie nadzorczej?

— Nie wiem — odparł Chip. — Ale możemy sprawdzić. Prawda, Nair?

— Tak sądzę — zgodził się Nair. — Nie będzie z tym większych kłopotów. Nagle zadzwonił telefon. Stafford zgłosił się, ale przekazał słuchawkę Chipowi.

— Do ciebie.

Chip głównie słuchał, odpowiadał półsłówkami i w dodatku nie po angielsku. Gdy odłożył słuchawkę, rzekł:

— Gunnarsson się ruszył. Pije właśnie kawę w „Ciernistym Drzewie” w New Stanley. — Wstał. — Zajmę się tą sprawą. Idziesz ze mną, Nair?

— Jasne. Tutaj można tylko popijać piwo Maxa, a ja i tak nie piję. — dołączył w progu do Chipa.

Chip jeszcze odwrócił się i powiedział cicho:

— Mam nadzieję, Max, że zdecydujesz się wyjaśnić nam o co w tym chodzi. Tak byłoby najlepiej dla nas wszystkich. — Drzwi zamknęły się za nimi.

Stafford poważnie w to wątpił. Jeżeli Hardin miał rację i opozycyjna partia polityczna szukała łupów dla uzupełnienia funduszu wojskowego, to zbyt wiele pieniędzy plątało się w pobliżu, by mógł zaryzykować. Resztę popołudnia spędził na obmyślaniu wiarygodnej historyjki, która zadowoliłaby Chipa i Naira. Wreszcie poszedł porozmawiać z Hardinem, który pakował się w swoim pokoju.

Hardin wrócił do Londynu. Farrar przyleciał zgodnie z planem i nie tracił czasu. Obu spadkobierców odesłał natychmiast do hotelu „Lakę Naivasha”. Udał się tam również nieznanemu mu Gunnarsson. Ulokowali się tam również nieznani nikomu Chip i Nair. Doprawdy, przyjemna gromadka.

Stafford został w Nairobi, pogłębiając swą wiedzę na temat dziwnego doboru członków

radę, choć o wiele chętniej zamieniliby się w muchę siedzącą na ścianie gabinetu Brice'a, w którym spotkali się z dyrektorem Farrar, Hendrix i Hendriks.

Zostali w Naivasha trzy dni, po czym wrócili do Nairobi. Farrar i Dirk polecili nocnym samolotem do Londynu, a Stafford zadepeszował do Hardina, żeby uprzedzić go o ich przyjeździe. Gunnarsson razem z Hendrixem wprowadzili się do „New Stanley”, Stafford zaś zastanawiał się w napięciu, co dalej nastąpi. Wcześniej czy później musiał wykonać jakiś ruch, ale nie wiedział jeszcze jaki. Przypominało to grę w szachy z zawiązanymi oczami. Wiedział jednak, że musi się na coś zdecydować przed podzieleniem masy spadkowej, nim Gunnarsson i Hendrix znikną wraz z trzema milionami dolarów. Stafford rozpaczliwie potrzebował jakiejś amunicji — naboju, którymi mógłby strzelać — i miał nadzieję, że Hardin mu ich dostarczy.

Odwiedził go Chip.

— Chciałeś wiedzieć, kiedy mianowano poszczególnych członków rady nadzorczej.

— Owszem.

— Lovejoy i Peacock są założycielami. — Chip uśmiechnął się szeroko. — Zasiadają w radzie od pięćdziesiątego roku. Pozostali doszli w tym samym czasie, w siedemdziesiątym piątym.

Stafford zamyślił się.

— Kiedy dokładnie Brice został dyrektorem?

— Na początku siedemdziesiątego szóstego — odparł Chip.

— Interesujące. Pomyśl tylko, Chip. — Fundację założono w latach pięćdziesiątych. Według Alana Hunta zaczęła podupadać tuż po uzyskaniu przez Kenię niepodległości. Nie znaczy to wcale, że z braku gotówki. Założę się, że mieli jej więcej niż kiedykolwiek. Komisja do spraw instytucji charytatywnych w Wielkiej Brytanii dokonała przeglądu i stwierdziła, że wiele z nich nie działa zgodnie z przyjętym statutem, tylko gromadzi środki inwestycyjne. Nawet nie w celu prowadzenia jakichś machlojek, ale wskutek apatii oraz nieudolności zarządów.

— Więc?

— Więc fundacja musiała mieć pieniądze. W przeciwnym razie skąd Brice mógłby je zdobyć na przeprowadzenie swojego programu rewitalizacji? Weźmy teraz tych trzech szakali: Patterjee, Petersa i Ngotho, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że trafia się tłusty kasek. Nie wiem, w jaki sposób, ale sprawili, że wybrano ich do rady nadzorczej. Na dyrektora powołują nie Kenijczyka, tylko zupełnie obcego Brice'a, który nie zna kraju ani jego zwyczajów. Sądzę, że uda im się zamydląć mu oczy.

— Podczas gdy oni wydoją fundację? — zapytał Chip. Skinął głową. — To by się zgadzało. Ale co z Lovejoyem i Peacockiem?

— Sprawdziłem także i tę parę — rzekł Stafford. — Pułkownik Lovejoy jest, jak sam powiedziałeś, starcem. Ma osiemdziesiąt dwa lata, jest zgrzybiały i nie odgrywa już aktywnej roli w jakichkolwiek interesach. Peacock jest misjonarzem, wykazywał aktywność w okolicach Naiwashy, ale kiedy wykopano Amina, przeniósł się do Ugandy. Kieruje tam teraz pomocą dla głodujących w Karamoja. Nie sądzę, by mógł przysporzyć naszym złodziejom jakichś problemów. Ale Brice jest zbyt bystry. Nie jest marionetką. Udowodnił to w trakcie sprawowania funkcji dyrektora. Nasze trio nie zdążyło jeszcze wsadzić łap do kasy, nim objął kierownictwo. Wziął księgowość w swoje ręce i nic nie mogą na to poradzić.

— Nie mogli go też wyrzucić — powiedział Chip i roześmiał się. — Gdyby ich na tym przyłapał, powyrywałby im kudły. Jeśli byłby dość bystry, zachowałby ich jako członków rady. Dawaloby mu to czołową pozycję w fundacji. Wcale nie byłoby mu na rękę wzmocnienie rady — mogłaby mu wchodzić w drogę.

— Może ich nawet ułagodził, pozwalając na to aby brali zdrowe honorarium i przymykając oczy na drobne oszustwa. Przynajmniej sam bym tak postąpił — dodał Stafford. — Żeby tylko siedzieli całkiem cicho.

— Max, jesteś strasznie szczwany — powiedział Chip. — Możesz mieć rację w tej sprawie.

— A to oznacza, że Brice jest uczciwym człowiekiem. Dochód mógł zostać podzielony na cztery, a nie na trzy części, ale Brice przekształcił fundację w prężne przedsiębiorstwo. Chciałbym zobaczyć się z tym człowiekiem. Mam ciągle aktualne zaproszenie od Alana Hunta. — Stafford spojrział na zegarek. — Zadzwoń do niego od razu.

— Zawiozę cię do Naiwasha — zaproponował Chip.

— Nie, pojedę sam. Ale bądź ze mną w kontakcie i miej na oku Gunnarssona i Hendrixa. Chcę wiedzieć o każdym ich ruchu.

Szkoła Ol Njorowa znajdowała się w odległości jakichś dwunastu kilometrów od hotelu „Lakę Naivasha”. Stafford wziął prysznic, by zmyć podróżny brud, a następnie pojechał tam. Najpierw utwardzoną drogą, która biegła wzdłuż jeziora, potem wyboistym szlakiem, bez wątpienia ryzykownym i niepewnym przy deszczowej pogodzie. Odnalazł uczelnię pod zboczami wygasłego Longonot.

Zaskoczyło go wysokie ogrodzenie z solidnej siatki oraz stróżówka i zamknięta brama. Na dźwięk klaksonu przybiegł jakiś człowiek. Kiedy się zbliżył, Stafford opuścił szybę do końca. Wartownik nachylił się, aż jego wykrzywiona, poorana bruzdami twarz znalazła się obok Stafforda.

— Słucham, sahibie?

— Max Stafford do pana Hunta.

— Doktora Hunta? Tak, sahibie. — Podejrzliwie zmarszczona twarz rozpogodziła się. — Oczekuje pana. — Wyprostował się, gwizdnął przenikliwie i pochylił się ponownie. — Proszę jechać prosto, sahibie, za strzałkami. Nie sposób zabłądzić.

Brama otworzyła się, Stafford puścił sprzęgło i minął ją. W obrębie terenu uczelni droga była wyasfaltowana i utrzymana w bardzo dobrym stanie. Co pięćdziesiąt metrów przecinały ją garby, mające ograniczać prędkość samochodów. Skutecznie spełniały swe zadanie, gdy Stafford podskoczył na pierwszym, zerknął we wsteczne lusterko; skrzydła bramy zamykały się, lecz nie zauważył, by je ktoś popychał. Budynki w większości były długie i niskie, ale przed nim znajdował się jeden dom piętrowy. Wszędzie panował porządek. Stafford na każdym kroku widział przystrzyżone trawniki i kwitnące drzewa, pnącza bugenwili o kolorowych pąkach i jacarandy.

Zaparkował przed dużym budynkiem, między starannie wymalowanymi liniami. Gdy wysiadł, poczuł słońce padające mu prostopadle na głowę niczym rażenie młotem. Często zapominał, że to Afryka równikowa, gdyż wysokość nad poziomem morza zmniejszała żar. Hunt wyszedł mu naprzeciw, schowany dotąd w cieniu portalu przed wejściem. Uścisnęli sobie dłonie.

— Cieszę się, że przyjechałeś.

— Cieszę się, że jestem tutaj. — Stafford rozejrzał się wokół. — Ładnie tu macie.

Hunt kiwnął głową.

— Też tak uważamy. Zafunduję ci Wielką Wycieczkę. Wolisz przed czy po piwie?

— Najpierw prowadź mnie do piwa — powiedział Stafford z takim żarem, że Hunt ledwo

stłumił śmiech.

— Ten blok jest przeznaczony głównie na potrzeby administracji, biur i tym podobnych. Plus te laboratoria, które wymagają specjalnych warunków, takich jak klimatyzacja. Za domem mamy własne generatory spalinowo—elektryczne.

— Czyli nie jesteście podłączeni do sieci? Zaskakujące, wokół jeziora widziałem sporo słupów wysokiego napięcia. Takich wielkich.

— Są nowe, z elektrowni geotermicznej w Ol Karia. Jeszcze nie działają. Linie wysokiego napięcia postawili Japończycy, a przy projekcie geotermicznym pracowali doradcy z Islandii i Nowej Zelandii. Ci chłopcy znają się na tych sprawach. Byłeś już tam?

— Ol Karia jest następna na mojej liście.

— Kiedy podłączą nas do sieci, w dalszym ciągu zachowamy nasze generatory w pogotowiu na wypadek awarii w dopływie prądu. — Otworzył drzwi. — Tędy.

Wprowadził Stafforda do pokoju rekreacyjnego. Stał tam nieduży stół bilardowy, stół do ping—ponga, kilka stolików karcianych i wygodne fotele. Po drugiej stronie znajdował się bar. Stojący za nim Kenijczyk w białej marynarce polerował szkło. Hunt podszedł i opadł na stołek.

— Billy — zawołał. — Dwa piwa.

— Tak, sahibie, już podaję. Premium?

— Hapana z białym kapslem. — Hunt uśmiechnął się lekko do Stafforda. ~ Premium jest nieco zbyt mocne, jeśli zamierzamy chodzić w południowym słońcu.

— Jak te wściekle psy i Anglicy — zasugerował Stafford.

— Coś w tym rodzaju — roześmiał się Hunt. — Wiesz, w epoce wiktoriańskiej wpadli na kiepski pomysł z tymi hełmami tropikalnymi i ubraniami podszytymi na plecach flanelą. W tamtych czasach większe szansę na udar cieplny mieli w pomieszczeniach niż na powietrzu. Dachy robili z falistej blachy, a gotowali na piecach opalanych drewnem. Pokoje musiały przypominać chyba piekarniki.

Stafford spojrział na spłowiałe od słońca włosy Hunta.

— A więc nie obawiasz się udaru słonecznego?

— Po zaklimatyzowaniu nic ci się nie stanie, jeśli tylko nie przesadzisz.

— Barman postawił tacę na stole. — Zapisz to na mój rachunek — powiedział Hunt. Nalał sobie piwa. — Zdrowie!

Stafford przelknął pierwszy orzeźwiający chłodny łyk, nim rzekł:

— Powiedz mi, czy miejsce takie jak to nie kwalifikuje się do subwencjonowania przez rząd?

Hunt wyciągnął nogi i z roztargnieniem potarł czerwone zadrapanie na udzie.

— Ależ jesteśmy subsydiowani, tylko to nie wystarcza. Ciągłe czegoś brakuje. Ale sytuacja się zmienia. Słyszałeś, co mówił wtedy Brice. Wciąż jeszcze nie złożył oficjalnego oświadczenia.

— W każdym razie wystarczyło, by członkowie rady wyszli z ukrycia

— ciągnął Hunt. — Ściągnęli w tym tygodniu i ujrzałem ich tu po raz pierwszy, choć pracuję na uczelni od dwóch lat.

— Sądziłem, że skoro macie tak skromne fundusze, to raczej siedzą wam na karku, pilnując, byście czegoś nie roztrwonili.

— O, Brice informuje ich na bieżąco. — W jego głosie dało się wyczuć wahanie, jak gdyby miał zamiar powiedzieć coś innego. Stafford odgadł, że chodziło mu o to, iż Brice trzymał radę nadzorczą w ryzach. — Nie powiem, że jego taktyka ma charakter makiaweliczny. Pasuje mi, że nigdy nie widuję członków rady. Dostyc mam własnych zmartwień. — Uniósł wzrok i pomachał ręką. — Jest Judy i Jim Odhiambo.

Stafford podniósł się z krzesła, ale Judy dała mu znak, by nie wstawał.

— Siadaj, Max. Wszystko bym oddała za lodowaty tonik.

Został przedstawiony. Odhiambo był krępyim Murzynem o muskularnej sylwetce.

— Doktor Odhiambo jest naszym stałym ekspertem w dziedzinie kasz i kukurydzy, prosa, czyli można rzec ekspertem zbożowym — wyjaśnił Hunt.

— Doktor Hunt przesadza — z dezaprobatą zaproponował Odhiambo. Zamówił dla siebie piwo i tonik dla Judy.

— Mam coś dla ciebie, Jim — zagadnął Hunt. — W „Abstracts” natknąłem się na rozmowę dotyczącą pradawnych odmian kukurydzy w Peru i przypomniałem sobie, co mówiłeś o zachowaniu kombinacji genów. Jeśli cię to nadal interesuje, mogę ją odszukać.

Na dwie minuty pograżyli się w fachowej rozmowie.

— Te sprawy muszą cię chyba bardzo nudzić — zauważyła z rozbawieniem Judy.

— Ależ skąd — lekko odparł Stafford. — Lubię słuchać, gdy rozmawiają eksperci, nawet jeżeli rozumiem jedno słowo na dziesięć. — Spojrzał na bąbelki unoszące się w jego szklance. — Alan mówił mi o szczęściu, jakie spotkało fundację.

— Tak, czyż to nie wspaniałe — ożywiła się. Po czym dodała już spokojniej: — Nie żebym cieszyła się ze śmierci starego człowieka w Anglii, ale przecież nigdy go nie znałam, a tutaj z tymi pieniędzmi możemy zdziałać wiele dobrego.

— Kim on był?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

Ślepa uliczka. Jeżeli nie zdecyduje się na atak, utknie w miejscu.

— Po co wam te wszystkie fortyfikacje?

— Co masz na myśli? — pytająco uniosła brwi.

— Ogrodzenie wokół terenów uczelni, stróżówkę i zamykaną bramę — odparł Stafford.

— Ach, o to ci chodzi. — Jej głos posmutniał. — Chcemy sprawić dobre wrażenie na odwiedzających Kenię, ale w okolicy jest parę osób o lepkich palcach. Gina nam różne rzeczy, niby nic wielkiego — drobne narzędzia rolnicze, nasiona, paliwo. Prawie bez znaczenia. Ale jeśli Jim Odhiambo hoduje specjalną odmianę kukurydzy przeznaczoną dla pewnego typu gleby, a nasiona zostaną ukradzione i zapewne skończą w rondlu jakiegoś ciemnego wananchi, to boli. Naprawdę.

— Kto to jest wananchi?

— Kenijski tubylec. Przypuszczam, że nie należy ich za to winić. To ziarno wygląda jak każde inne, a oni tak naprawdę nie rozumieją, co my tutaj robimy. — Potrząsnęła głową. — W każdym razie dzięki ogrodzeniu i bramie zapewniliśmy sobie więcej bezpieczeństwa.

Hunt opróżnił szklanekę.

— Chodź, Max, zwiedzić moje małe królestwo. Przynajmniej tę jego część, która znajduje się na piętrze.

Stafford podążył za nim.

— Czy Brice jest tu dzisiaj? — spytał po drodze.

— Zapewne spotkasz go w czasie lunchu. — Hunt prowadził go korytarzem. — Jesteśmy na miejscu. — Otworzył drzwi.

Było to laboratorium wypełnione nie znanym mu sprzętem i instrumentami, których przeznaczenie Hunt wyjaśniał z zapalem, a chociaż Stafford wielu rzeczy nie rozumiał, to musiał podziwiać entuzjazm Hunta.

— Może za te nowe pieniądze uda mi się kupić chromatograf gazowy, którego tak mi brakowało — mówił Hunt. — Potrzebuję go do identyfikacji mikroelementów.

Stafford podszedł do okna. Z najwyższego piętra rozpościerał się rozległy widok. W oddali dostrzegł ogrodzenie otaczające tereny uczelni, wzdłuż którego przechadzał się wartownik. Miał przez ramię przewieszoną strzelbę.

— Dlaczego zatrudniacie uzbrojonych strażników? — spytał.

— Co takiego? — przerwał swoje wywody Hunt.

— Uzbrojeni strażnicy. Do czego są wam potrzebni?

— Wcale ich nie potrzebujemy.

— W takim razie co on tam robi? — wskazał Stafford.

Hunt podszedł do okna.

— Ach tak, ostatnio mieliśmy problem z lampartem. Nie mamy pojęcia, jak ten diabeł przechodzi przez ogrodzenie. Złapał parę psów i stali mieszkańcy są zaniepokojeni — niektórzy mają dzieci, które mogłyby akurat zainteresować lamparta.

— I nie wiecie w jaki sposób przedostaje się do środka?

— Brice uważa, że musi być jakieś drzewo, zapewne akacja, która rośnie zbyt blisko ogrodzenia. Dzisiaj rano zarządził sprawdzenie całego ogrodzenia. Dlatego go nie spotkałeś.

— Jak długie jest ogrodzenie?

— Nie mam pojęcia — odparł lekko Hunt. — Nigdy go nie mierzyłem.

Lunch jedli w kantine personelu. Takiej restauracji nie powstydziliby się najprzystojniejszy hotel. Eleganckie obrusy, srebra oraz doskonale jedzenie. Stafford uznał, że jak na fundację nie grzeszącą nadmiarem pieniędzy, wyższy personel nieźle sobie dogadza.

W barze, podczas poprzedzającego lunch drinka, został przedstawiony większości personelu. Ich twarze i nazwiska uleciały mu z pamięci natychmiast po dokonanej prezentacji, jak to zwykle bywa przy tego typu okazjach. Ocenił jednak, że czarni Kenijczycy, Hindusi i biali pozostawali w mniej więcej równych proporcjach. Z entuzjazmem przerzucano się tytułami „doktora” lub „profesora”.

Hunt uśmiechnął się do niego szeroko i rzekł półgłosem:

— Żywimy tu niemal niemiecki szacunek dla tytułów naukowych. Nie masz przypadkiem doktoratu?

— Nic z tego.

— Szkoda.

Stafforda jeszcze raz przedstawiono Brice'owi. Ten zaś rzekł:

— Czy Alan zaopiekował się panem?

— W iście królewski sposób — uśmiechnął się Stafford.

Rozmawiali przez chwilę, po czym Brice oddalił się, swobodnie przechodził od jednej grupki do drugiej, dla każdego znajdując jakieś słowo czy uśmiech. Dobroduszny człowiek z instynktem przywódczym. Stafford, który także posiadał taki instynkt, umiał rozpoznać go u innych.

W kilka minut później udali się na lunch. Stafford znalazł się przy jednym stoliku z Huntami i Odhiambo. Skinął głową w stronę Brice'a, siedzącego przy głównym stole.

— Miły facet.

Odhiambo przytaknął.

— Tak, mimo że to nie naukowiec. — Nachylił się do Stafforda. — Czy uwierzy pan, że on z ledwością wyznaje się na tym, co tu robimy? Dziwne, bo w sumie to raczej inteligentny człowiek. Ale z pewnością jest dobrym administratorem.

— Ależ, Jim — upomniała go Judy. — Ty też nie znasz się na przykład na literaturze, prawda?

— Jednak doceniam ją — odparł z godnością. — Nawet jeśli rzeczywiście niezupełnie rozumiem. Ale Brice'a po prostu nie obchodzi nasza praca.

— Potrząsnął głową i spojrział na Stafforda. — Co tydzień zwołujemy naradę wyższego personelu, której Brice zwykł do niedawna przewodniczyć. Okazało się to jednak niemożliwe, gdyż po prostu niczego nie rozumiał. W końcu zrezygnował i zdał się na nas.

— Musisz przyznać, że zna swoje możliwości i nie przeszkadza — odezwał się Hunt.

— Otóż to — zgodził się Odhiambo.

— W takim razie kto zajmuje się planowaniem? — spytał Stafford.

— Chodzi mi o pracę naukową.

— Na cotygodniowych spotkaniach dokonujemy oceny rozwoju i podejmujemy decyzje co do kierunku dalszych prac — wyjaśnił Odhiambo.

— Zgadza się — przytaknął Hunt. — Brice wtrąca się tylko w sprawy finansowe. Zajmuje się wszystkim od strony ekonomicznej. Muszę przydać, że zna się na tym.

Posiłek był bardzo smaczny. Kończyli go właśnie świeżymi owocami, gdy Brice zadzwonił nożem o brzeg szklanki i uciszył szmer rozmów. Wstał.

— Panie i panowie, przyjaciele i koledzy. Wiem, że krążyły pewne pogłoski na temat zmiany sytuacji majątkowej naszej uczelni — korzystnej zmiany, jak ośmielę się dodać. Nie lubię plotek — czynią życie jeszcze bardziej niepewnym — dlatego też to, co powiem, należy przyjąć jako oficjalne oświadczenie.

Zamilkł na chwilę, ale w jadalni i tak panowała pełna napięcia cisza.

— Fundacja stała się szczęśliwym odbiorcą pewnej sumy pieniędzy, ofiarowanej przez niezjącego już dzentelmena z Europy. Suma, o której mówię, wynosi pięć, może sześć lub nawet siedem... Zawiesił głos, potęgując emocje. — ...milionów funtów szterlingów.

Rozpętało się istne piekło. Zerwała się burza oklasków, wszyscy wstali z miejsc, klaszcząc i wznosząc okrzyki. Stafford tak samo rozpromieniony, przyłączył do nich, myśląc jednocześnie, gdzie podziła się reszta łupu.

— Czyż to nie wspaniałe? — Judy obrzuciła go pełnym uwielbienia spojrzeniem.

— Wspaniałe — przyznał.

Brice podniósł ręce i oklaski umilkły.

— Nie oznacza to jednak, że możecie pójść na całego ze swoimi żądaniami finansowymi — uprzedził wesoło, na co rozległ się szmer rozbawienia. — Może jeszcze upłynąć kilka miesięcy, nim dopełnione zostaną formalności prawne i otrzymamy pieniądze. Dlatego też w chwili obecnej pracujemy, jak by się nic nie zdarzyło. — Usiadł i po chwili znów rozbrzmiał gwar głośnych rozmów.

Stafford wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. W swoim rejestrze zakwalifikował Brice'a jako uczciwego człowieka. Zgodnie z testamentem osiemdziesiąt pięć procent z ponad czterdziestu milionów funtów miało przypaść fundacji. Dlaczego więc Brice skłamał? A może nie? Czy mogło się zdarzyć, by ktoś inny zagrabiał majątek Hendryxxa? Może Farrar? Oszuści wśród prawników nie byli niczym rzadkim. Ktoś kiedyś nawet zazartował, że określenie „prawnik kryminalny” jest tautologiczne.

Hunt odezwał się, wyrывая Stafford'a z zamyślenia.

— O co chodzi?

— Oprowadzę cię po szkole — powtórzył.

— W porządku.

Objazdu dokonali Land Roverem i okazało się, że teren jest jeszcze bardziej rozległy, niż Stafford przypuszczał. Badania prowadzono nie tylko w dziedzinie nauk rolniczych dotyczących uprawy ziemi, lecz także hodowli zwierząt oraz, w niewielkim zakresie, uprawy drzew.

— Staramy się wyhodować lepsze krzewy, by zapewnić glebie osłonę na terenach suchych. Jeśli osłona zostanie zniszczona, glebę po prostu zwiewa — wyjaśnił Hunt. Roześmiał się. — Mamy tu faceta, który próbuje wyhodować krzew, którego nie zjadłyby te przeklęte kozy. Życzę mu powodzenia.

Rozległy obszar, wyglądający niczym pstrokata koldra, przeznaczono na działki eksperymentalne.

— Są wytyczone na bazie kwadratu grecko—łacińskiego — powiedział Hunt, a kiedy Stafford zapytał co to takiego, zapuścił się w długie objaśnienia, pełne całkowicie niezrozumiałych terminów matematycznych; Stafford zdołał jedynie wywnioskować, że ma to coś wspólnego z celem eksperymentów. Zrobił uwagę, że matematyka wchodzi obecnie do wszystkich dziedzin życia.

Wracali już do budynku Administracji, gdy uwagę jego przykuło coś co niezbyt kojarzyło się z uczelnią rolniczą — była to skierowana niemal prostopadle do góry antena paraboliczna, o średnicy niemal czterech metrów.

— Zatrzymaj się na chwilę — powiedział. — Do czego to służy?

Hunt zahamował.

— Ach, to, należy do specjalistów od hodowli zwierząt. Dla nas odgrywa drugoplanową rolę.

— To przecież talerz radaru — zdecydowanie stwierdził Stafford. — I nie ma nic wspólnego z cholernymi zwierzętami.

— Mylisz się — odparł Hunt. — To urządzenie nadawczo—odbiorcze, pozostające w łączności z umieszczonym tam satelitą. — Wskazał kciukiem do góry. — I jak najbardziej ma związek ze zwierzętami.

— W porządku; już wierzę.

— No cóż, nie ma sensu, byśmy wyhodowali superuprawy, jeżeli zwierzęta niszczą pola. Nie masz nawet pojęcia, ile szkód może wyrządzić słoń, a hipopotamy są jeszcze gorsze. Hipopotam, który przechodzi przez pole kukurydzy, przypomina kombajn zbożowy, w dodatku to, czego nie zje, i tak strątuje. Prowadzone są więc badania ruchów zwierząt. Chcemy wiedzieć, jak daleko dochodzą, gdzie się później kierują i w jakim czasie. Wybrane zwierzęta mają zamocowane małe nadajniki i geostacjonarny satelita śledzi ich ruchy.

— Czegóż jeszcze ci naukowcy nie wymyślą?

Hunt wzruszył ramionami.

— Jest to bardziej przydatne w śledzeniu prawdziwie wędrownych gatunków, na przykład alaskańskiego karibu. Tę właśnie metodę zastosowano przy planowaniu rurociągu biegnącego przez Alaskę. Słoń natomiast nie odbywa wędrówek w pełnym tego słowa znaczeniu, chociaż stada przemieszczają się, a i hipopotam może pokonać dziennie ponad trzydzieści kilometrów. — Wskazał talerz na dachu budynku. — Ale używają go też do śledzenia dorocznych wędrówek dzikich zwierząt z Serengeti. — Puścił hamulec.

— To w Tanzanii, prawda?

— Tak, ale dzikie zwierzęta nie respektują granic.

— Podobnie jak fale radiowe — rzekł Stafford ze śmiechem.

— Zaprowadziłbym cię tam, ale teraz nie ma nikogo — odezwał się Hunt, gdy ruszyli dalej. — Poza tym, jak ci mówiłem, ma to drugorzędne znaczenie dla naszej roboty. Obsługa nadajnika nie jest finansowana przez fundację, użyczamy im tylko miejsca. Tworzą swego rodzaju klan i nie obcuje się z nimi zbyt łatwo. Bardzo rzadko ich widzujemy.

Zatrzymał się przed budynkiem Administracyjnym.

— Dziękuję za wycieczkę — powiedział Stafford. — Co byś powiedział na obiad w hotelu?

Hunt pokręcił z żalem głową.

— Przykro mi, ale muszę być na konferencji. A może przeleciałbyś się ze mną jutro

balonem? Jim Odhiambo chce, żebym zrobił parę zdjęć.

— Zawsze coś nowego. Chętnie — powiedział Stafford.

— Przyjadę po ciebie do hotelu — o siódmej.

Stafford po powrocie do hotelu znalazł wiadomość. Zadzwoń do Curtisa. Skorzystał z aparatu w pokoju i połączył się z Curtisem.

— Chip chciałby rozmawiać z pułkownikiem, gdyby pułkownik zgodził się chwilę zaczekać.

— Max? — usłyszał po chwili głos Chipa.

— Przy aparacie.

— Gunnarsson i Hendrix wybierają się na safari.

— A co to właściwie oznacza?

— Wycieczkę do domku myśliwskiego, żeby obserwować zwierzęta. To nasza główna atrakcja turystyczna. Przyłączyli się do wycieczki, która udaje się do Masai Mara na granicy z Tanzanią. Zatrzymają się w domku w Keekork. Nie martw się; będziemy ich mieli na oku. Nie ma potrzeby, byś zmieniał swoje plany.

— Jesteś pewien, że to zwyczajna grupa wycieczkowa? — zapytał Stafford.

— Jasne — uspokoił go Chip. — Sam jeździłem z nimi jako przewodnik. Standardowa procedura operacyjna dla turystów obejmuje pokazanie im wielkiej piątki: lwa, lamparta, słonia, nosorożca i bawołu. — Roześmiał się. — Jeśli będą mieć szczęście, zobaczą wszystkie. Czasem się to nie udaje.

— Czym zajmowała się nasza parka?

— Zwiedzali miasto. Raz jedli lunch w obrotowej restauracji na szczycie Centrum Konferencyjnego imienia Kenyatty. Gunnarsson grał przy stolikach w kasynie „International”. Typowo turystyczne zajęcia.

— Kiedy wyruszają na safari?

— Pojutrze.

Stafford podjął decyzję.

— Czy mógłbyś mnie umieścić w pobliżu Gunnarssona? Chciałbym mu się dokładniej przyjrzeć.

— Chcesz pojechać do Mara? — Chip zamilkł na chwilę. — Oczywiście, można to zorganizować. Kiedy?

— Chciałbym już tam być, kiedy przyjedzie Gunnarsson.

— Zostań w hotelu. Zabierzemy cię jutro rano.

— Weź ze sobą sierżanta — powiedział Stafford i odłożył słuchawkę. Nie miał pojęcia,

dlatego chciał zobaczyć Gunnarssona, ale drażniła go bezczynność. Chciał też zrozumieć powody, dla których Gunnarsson wciąż tu tkwił. Nie mogło chodzić o obserwację zwierząt – wątpił, czy Gunnarsson był entuzjastą natury – najprawdopodobniej więc na coś czekał. A jeśli tak, to na co? W każdym razie ta sprawa była ważniejsza niż latanie balonem. Dlatego też zadzwonił, by odwołać spotkanie z Huntem.

Chip zjawił się następnego dnia, wczesnym rankiem, w towarzystwie Naira oraz Curtisa.

— Nie potrzebujemy dwóch samochodów — powiedział do Stafforda. — Twój zostawimy tutaj i zabierzemy go w drodze powrotnej.

Stafford odciągnął Curtisa na bok.

— Jakież problemy, sierżancie?

— Nie, proszę pana.

— Mam nadzieję, że nastawiałeś uszu. Może Chipowi lub Nairowi wymknęło się wreszcie coś, co wyjaśniłoby powody, dla których są tak cholernie pomocni?

— Nic takiego nie usłyszałem, proszę pana. — Curtis zamilkł, spodziewając się, że Stafford to skomentuje, ale w końcu rzekł: — Spakuję walizkę Pana pułkownika.

Stafford sam się spakował, nie tracili więc czasu i wkrótce znaleźli się w drodze. Szosa, mimo że wąska, była dobra i biegła przez Wielki Rów, prosto jak strzełił. Szybko posuwali się naprzód. Okrążyli skarpe Mau i w końcu dotarli do Narok, które okazało się niewielką wioską.

W trakcie jazdy Chip próbował go nieco wysondować.

— Czy dowiedziałeś się o Brice'm tego, co chciałeś?

— Niezupełnie — odparł Stafford. — Mówi, że wystąpił o kenijskie obywatelstwo. Wydawało mi się, że biały rodezyjski kolonista zostanie raczej uznany tutaj persona non grata.

— Normalnie miałbyś rację — powiedział Chip. — Ale Brice ma papiery bez zarzutu. Był przeciwnikiem JDN, przeciwnikiem Smitha i przeciwnikiem hegemonii białych. We właściwym momencie wyjechał z Zimbabwe, wtedy jeszcze Rodezji. Brice to liberał nad liberałami, zgadzasz się, Nair?

— O tak, jest bardzo liberalny — przytaknął Nair.

— Wygląda na to, że sporo o nim wiecie — zauważył Stafford.

— Po prostu interesujemy się nim — powiedział Chip. — Nie jest tajemniczym człowiekiem. Dużo mówi, a my słuchamy. Słuchamy wielu ludzi, w tym i ciebie. Ale ty nic nie mówisz.

— Nie bawią mnie rozmowy o niczym.

— Zgadza się — przyznał. — Ale niektóre sprawy nie wymagają słów. Na przykład ta rana na twoim ramieniu. Zobaczyłem ją dzisiaj rano, nim włożyłeś koszulę. Oczywiście pochodzi od kuli.

Stafford odruchowo dotknął ramienia.

— Czy to nie normalne u żołnierza? — odparł. W rzeczywistości kulę wyciągnął doktor Fahkri przed trzema laty w Algierze. Nie poszło mu najlepiej i w Anglii przyplątało się zakażenie rany. Dlatego też szrama była szczególnie widoczna.

— Z wojska wystąpiłeś dziesięć lat temu — zaproponował Chip. — Ta blizna jest świeższa.

— A więc sprawdzaliście mnie. — Stafford spojrział na niego z ukosa.

— Musimy dbać o swoje interesy. To wszystko. — Chip wzruszył ramionami.

— Mam nadzieję, że wyszedłem z tego na czysto.

— Tak samo jak każdy. Dlaczego interesujesz się Brice'em?

— Dostał dużo pieniędzy — powiedział Stafford. — A raczej dostała fundacja.

— Wiemy — odrzekł Nair. — Piszą o tym w dzisiejszym „Standardzie”. — Z tylnego siedzenia podał gazetę do przodu.

Notatka znajdowała się na pierwszej stronie. Fundacja Ol Njorowa otrzymała w spadku sumę pieniędzy z majątku Jana—Willema Hendryxxa, tajemniczego milionera. Nie znano jeszcze wysokości tej kwoty, lecz uważano, że wynosi około siedmiu milionów funtów szterlingów. Ta krótka wzmianka nie powiedziała Staffordowi niczego nowego, tylko tyle, że ktoś tu kogoś nabierał.

— Kolejna pisownia tego samego nazwiska — zauważył Chip. — Czy oni są jakoś powiązani ze sobą?

Stafford przytaknął skinieniem głowy.

— Zarówno Dirk Hendriks, jak i Henry Hendrix są spadkobiercami majątku Hendryxxa.

— Południowoafrykańczyk i Amerykanin — rzekł z namysłem Chip. — Brzmi nieprawdopodobnie, prawda Nair?

— Wysoce nieprawdopodobnie — zawtórował Nair niczym wierne echo.

— Obaj są wnukami starego Hendryxxa — obstawał przy swoim Stafford. — Rodzina uległa rozproszeniu, pozmiała nazwisko. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

— Nie twierdziłem, że to niemożliwe — odparł Chip i dodał: — Siedem milionów funtów to kupa pieniędzy. Zastanawiam się, Nair, co sądzą o tym członkowie rady.

— Myślę, że są zachwyceni. — W splątanej brodzie Naira błysnął uśmiech.

— Chciałbym móc sprawdzić Brice'a, wydaje mi się zbyt idealny, by był prawdziwy — powiedział Stafford.

— Co chciałbyś wiedzieć? — spytał Chip.

— Czy państwo Brice mieli farmę niedaleko Umtali, w Zimbabwie. Czy farma się spaliła, a Brice'ów zabili partyzanci. Czy ich syn... jak on w ogóle ma na imię?

— Charles — odparł Nair. — Charles Brice.

— Chciałbym wiedzieć, czy ich syn Charlie naprawdę wyjechał, jak on twierdzi.

— Myślę, że możemy się tego dowiedzieć — poważnie odparł Chip.

— W jaki sposób?

— Sądzę, że nasi bracia w Zimbabwe nie odmówią nam pomocy. Prawda, Nair?

— Myślę, że nie odmówią — zgodził się Nair. — Dopilnuję tego.

Stafford odetchnął głęboko.

— Chłopcy, wygląda na to, że macie dość szeroko rozgałęzioną organizację.

— Podobno ludzie mają sobie pomagać i wspierać się wzajemnie — rzekł z uśmiechem Chip. — Czyż nie tego właśnie uczy chrześcijaństwo? Dlatego też pomagamy sobie.

— Na prośbę jakiegoś Hindusa w Londynie? — zapytał Stafford z niedowierzaniem. — Na prośbę Curtisa? Przestańcie mnie rozśmieszać. Co o tym myślisz, sierżancie?

— Wydaje się dziwne, pułkowniku — przyznał Curtis.

— Myślę, Nair, że Max nas nie docenia. — Chip wyglądał na urażonego.

— Podejrzliwość zżera duszę, Max — dorzucił Nair.

— Co za bzdury! — zaoponował Stafford. — Słuchajcie, doceniam waszą pomoc, ale poddaję w wątpliwość motywy, jakimi się kierujecie. Wyrażę się jasno. Nie wiem, kim jesteście i czego chcecie. Pomocna dłoń, którą do nas wyciągacie, jest cholernie nieautentyczna i chrześcijaństwo nie ma z tym nic wspólnego. Nair nie jest nawet chrześcijaninem, wątpię też, Chip, czy ty nim jesteś.

Chip uśmiechnął się.

— „A tego, który jest słaby w wierze, przygarnijcie życzliwie, bez spierania się o poglądy.” List do Rzymian 14.1. Wychowałem się w szkole misyjnej, Max; idę o zakład, że na temat Biblii wiem więcej od ciebie. Nie bądź słaby w swej wierze, Max i nie spieraj się o poglądy. Zaakceptuj je.

— Chip ma rację — odezwał się Nair. — Czy chcesz, żebyśmy zrobili coś jeszcze?

Stało się jasne, że Stafford nie wyciągnie od nich niczego poza tym, o czym sami będą chcieli powiedzieć. Jeśli należeli do tajnej organizacji politycznej, to bez wątpienia zachowają ostrożność. Ale chciałby wiedzieć, dlaczego tak bardzo starali się mu dopomóc. Przecież nie dla jego pięknych oczu.

Początkowo prowadził Chip, ale od Narok kierownicę przejął Nair.

— Jest lepszym kierowcą — wyjaśnił Chip.

— Czy będziemy potrzebowali lepszego kierowcy?

— Zobaczysz.

Zaraz za Narok skończył się asfalt i natknęli się na najokropniejszą drogę, po jakiej zdarzyło się Staffordowi jechać. Z pewnością wygodniej czuł się w czołgu podczas manewrów NATO w Niemczech. Nie zasypano i nie naprawiono miejsc, gdzie ulewne deszcze wypłukały rowy w poprzek drogi, a duże ciężarówki wyryły głębokie koleiny. Nair kilkakrotnie utknął i Stafford słyszał, jak podwozie szoruje o ziemię.

— Producenci rur wydechowych muszą robić tutaj kokosowe interesy. — Obejrzał się i zobaczył, że ciągnęli za sobą długi ogon pyłu. — Czemu, do diabła, nie naprawią tej drogi? Czy nie zależy im na turystach w Masai Mara?

— Obwód Narok i rząd spierają się o to, kto ma to sfinansować — powiedział Chip. — Jak dotąd nie doszli do porozumienia.

Stafford wyjął kupioną w Nairobi mapę i zorientował się, że jadą przez równinę Loita. Dość często mijali wioski zabudowane szałasami, a czasem stada bydła i pasterzy, wysokich mężczyzn z długimi dzidami, ubranych w powłóczyście okrycia. Chip wyjaśnił, że to Masajowie.

— A ty do jakiego plemienia należysz? — spytał Stafford.

— Kikuju.

Stafford przypomniał sobie wykład Hardina na temat afrykańskiej polityki plemiennej.

— A nie do Luo?

Chip z ukosa zerknął na Stafforda.

— Czemu uważasz, że mógłbym należeć do Luo?

— Nie mam pojęcia.

Chip zmarszczył brwi, ale nic już nie powiedział.

Minęli cysternę, której nie udało się pokonać wybojów. Leżała porzucona na poboczu drogi. Przejechali wąski most. Stafford spojrzął na mapę. Zaznaczono na niej tylko dwa mosty, a po drugim droga zmieniała status z głównej na drugorzędną. Stafford skomentował to tak soczyście, że aż Nair wybuchnął śmiechem.

Dziwne, ale po drugim moście droga poprawiła się. Zaczęła pojawiać się zwierzyna, małe stadka antylop, zebra i kilka strusi. Chip zabawiał się w przewodnika, podając ciemnym turystom ich nazwy.

— Impala — mówił — albo gazela Thomsona. — Zobaczyli też antylopy eland i kongoni.

— Czy wjechaliśmy już do rezerwatu? — zapytał Stafford.

— Nie, dopiero gdy miniemy posterunek policji.

— Więc na terenie rezerwatu jest jeszcze więcej zwierząt?

— Więcej? — Chip roześmiał się. — Co roku dwa miliony gnu wędruje z Serengeti do Mara. — Staffordowi przyszło do głowy, że na świecie jest jeszcze sporo zwierząt. Po chwili Chip wygrzebał mapę. — To mapa Mara. Myślę, że chciałbyś zobaczyć, w co się pakujesz.

Na pierwszy rzut oka nie zrobiło to na Staffordzie wielkiego wrażenia. Sprawdził skalę i dostrzegł, że znajdowały się tam spore, puste połacie, przecięte czymś określonym jako „szlaki samochodowe”. Ponieważ fatalną drogę z Narok nazwano główną, odniósł się do tej informacji ze zrozumiałą rezerwą. Na mapie zaznaczono też dwa domki myśliwskie: Keekork i Mara Serena oraz camping „Gubernatorski”. Kilkanaście miejsc biwakowych rozrzucono głównie na północy. Teren obfitował w strumienie i rzeki. Do tego dochodziło jeszcze parę bagien, dwa miliony gnu oraz nieznana liczba innych zwierząt, z których kilka zilustrowano na mapie.

— Czy rzeczywiście istnieje ptak zwany drongo? — spytał. — Myślałem, że tak w Australii mówi się na durnia.

Nair zatrzymał wóz, gdy dojechali do posterunku policji przy bramie Olemelepo.

— Załatwię formalności — powiedział Chip. — Czuj się moim gościem. — Wysiadł i podszedł do oficera policji, siedzącego na stoliku przed posterunkiem.

Stafford też wysiadł, by rozprostować nogi, a kiedy strzepnął bluzę, uniósł się tuman kurzu. Po chwili dołączył do niego Curtis.

— Dobrze się bawisz, sierżancie? — zapytał go.

Curtis otrzepał się i rzekł z ironią:

— Ujdzie w tłoku.

— Za to, co tutaj przeżywasz, ludzie płacą krocie.

— Gdybym miał piwo, z sykiem leciałoby w dół.

Stafford rozłożył mapę i sprawdził odległość dzielącą ich do domku myśliwskiego Keekorok.

— Już niedaleko, do piwa zostało ci tylko ze dwanaście kilometrów. Wrócił Chip i nie minęła godzina, a piwo zagulgotało w gardle sierżanta.

Keekorok znajduje się około sto siedemdziesiąt kilometrów na południe od równika na wysokości tysiąca siedemdziesięciu siedmiu metrów nad poziomem morza, ale przed domkiem myśliwskim nie umieszczono żadnego znaku informacyjnego. Rozrzucone nieregularnie domki sprawiały wrażenie nieskrępowania, można się tu było czuć swobodnie i naprawdę odprężyć. Na tarasie znajdował się bar, wychodzący na szeroki trawnik. Tego wieczoru Stafford i Chip gawędzili przy drinkach, obserwując mały swawolące w zapadającym zmroku.

— Równie dobrze możemy się jutro zabawić w turystów — powiedział Chip. — Pojedźmy przyjrzeć się zwierzętom. Poprowadzę, znam nieźle Mara.

— Chcę być tutaj, kiedy przyjadą Gunnarsson i Hendrix — zaproponował Stafford.

— Nie dotrą przed szóstą wieczorem.

— Skąd wiesz?

— Bo takie polecenie otrzymał przewodnik — cierpliwie wyjaśnił Chip.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Stafford, prostując się.

— Chcę powiedzieć, że Adam Muliro otrzymał instrukcje, kiedy ma przyprowadzić grupę.

— Chip zamilkł na chwilę, po czym z szerokim uśmiechem dodał: — To mój szwagier.

— Jeszcze jeden? — sceptycznie zauważył Stafford.

— Wiesz, jak to jest z nami — ludźmi Trzeciego Świata — mamy wielkie rodziny. Nie przejmuj się, Max. — Rozłożył na stole mapę. — Tutaj, przy nowym moście Mara, pokażę ci hipopotamy. — Wskazał miejsce na mapie.

Rzeka Mara wiała się, płynąc z północy na południe. Most przerzucono niedaleko granicy tanzańskiej. Jeśli polegać na skali mapy, to droga biegła w odległości trzystu metrów od granicy. Stafford zamyślił się nad tak różną doktryną polityczną obu krajów; marksistowskim ustrojem Tanzanii oraz Kenią, z jej mieszaną ekonomią. Słyszał, że państwa te nie były zbyt zaprzyjaźnione.

— Czy Kenia ma jakieś problemy z Tanzanią?

— Od czasu do czasu zamyka się granicę — odparł Chip, wzruszając ramionami. — Drobne utarczki, nic wielkiego. Trochę kłusownictwa. Tutaj, w Ngiro Are mieści się placówka do walki z kłusownikami. — Opowiedział o upadku Federacji Afryki Wschodniej; nieudanej próbie wspólnego działania trzech byłych kolonii brytyjskich. — To nie mogło się udać, istniały zbyt wielkie rozbieżności. Tanzania wybrała socjalizm — filozofię polityczną zupełnie różną od naszej. Jeśli zaś chodzi o Ugandę... — machnął ręką z rezygnacją. — Z

Aminem u steru okazało się to niemożliwe. — Jeszcze raz stuknął palcem w mapę. — Widzisz, w czym tkwi problem?

— Niezupełnie — odparł Stafford, marszcząc brwi.

— Trzymam na nim palec — powiedział Chip. — Na południe od granicy Tanzania. Aż do tysiąc dziewięćset osiemnastego roku nosiła nazwę Niemiecka Afryka Wschodnia, później brytyjska Tanganika, wreszcie teraz mamy Tanzanię. Popatrz jednak na granicę — prosta linia wykreślona przez biurokratów dziewiętnastowiecznej Europy. Kraj, tak samo jak i mieszkańcy, jest identyczny po obu jej stronach. Tutaj są Masajowie. — Przesunął palec w dół, na obszar Tanzanii. — Tam również. Ludzie rozdzieleni przez dziewiętnastowiecznych polityków. — W jego głosie zabrzmiała gorycz. — Dlatego też mamy na północy niepokoje shiftyjskie.

— Co to za niepokoje shiftyjskie?

— Taka sama historia. Kreska narysowana linijką. Po jednej stronie Republika Somalii, po drugiej Kenia. I po obu stronach Somalowie. Odkąd pamiętam, zawsze trwała tam wojna domowa. Niewiele się o niej mówi. Prasa określa to jako „niepokoje shiftyjskie” — bandyckie. Rabunek bydła i tym podobne. W rzeczywistości chodzi o utworzenie Zjednoczonej Somalii. — Chip uśmiechnął się ponuro. — Turyści nie są mile widziani na północno—wschodniej granicy.

Nie dokończył. W gasnącym świetle dnia od strony rzeki nadszedł słoń i maszerował teraz przez trawnik, najwyraźniej zmierzając w kierunku basenu kąpielowego. Rozległy się okrzyki trwogi. Z kuchni wypadli ubrani na biało członkowie personelu, waląc łyżkami w patelnie. Słoń zatrzymał się niepewnie, potem zaczął się cofać, wachlując uszami. Niezgrabnie odwrócił się i, ciężko stąpając, oddalił z powrotem w stronę rzeki.

— Nie mamy w angielskich ogrodach takich problemów — odezwał się Stafford. Uzmysłowił sobie, że słoń przeszedł ścieżką, którą on musiał udać się na noc do swojego pokoju. — Czy one są niebezpieczne?

— Jeśli się nie zbliżysz za bardzo, to nie. Ale nic ci nie grozi. — Chip wskazał głową. — Patrz.

Stafford odwrócił się i ujrzał jakiegoś człowieka w mundurze, który stał na skraju tarasu, dyskretnie trzymając strzelbę. Przyszło mu na myśl, że gdyby Stafford Consultants Associates chcieli rozszerzyć działalność na Afrykę, musieliby nauczyć się paru nowych sztuczek i technik.

Tak więc następnego dnia pojechali oglądać zwierzęta i rzeczywiście zobaczyli ich mnóstwo: gnu, impale, gazy, topi, zebry. A także lwa, słonia i żyrafę. Stafford zdumiał się

uświadomiwszy sobie, że to, co ujrzał, stanowiło zaledwie cząstkę wielkich stad, które wędrowały po równinach w dziewiętnastym wieku. Mimo iż nie przyjechał do Kenii w celach turystycznych, uznał ten dzień za niezwykle udany. Chip, niezależnie od tego, czym się jeszcze zajmował, okazał się doskonałym przewodnikiem.

Do Keekorok wrócili o piątej po południu. Stafford umył się po podróży. W oczekiwaniu na Gunnarssona i Hendrixa zabrał się do splukiwania kurzu z gardła, nieodzownym i wciąż pożądanym piwem. Przybyli w sześciuosobowej grupie o oznaczonym czasie charakterystycznym pasiastym Nissanem. Zameldowali się w recepcji, a następnie przeszli do pokoju, który im przydzielono. Stafford zapamiętał numer.

Po chwili zjawili się na tarasie, żeby wypić drinka. Po raz pierwszy Stafford miał okazję przyjrzeć im się z bliska. Gunnarsson wyglądał na twardego człowieka. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, o stalowo—siwych włosach, miał płaski brzuch, był najwyraźniej w doskonałej kondycji fizycznej. Mierzył sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a pod skórą widoczne były same mięśnie, bez grama tłuszczu. Jasnoniebieskie czujne oczy bez przerwy penetrowały otoczenie. Sprawiał wrażenie groźnego przeciwnika.

Fałszywy Hendrix dobiegał trzydziestki, chudy jak tyka, gibki młodzieniec, o rześkim obliczu i niewinnym wyrazie twarzy, mierzył jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Blondyn o tak jasnej karnacji, że gdyby któregoś dnia zapomniał się ogolić, nikt by tego nawet nie zauważył, w przeciwieństwie do Gunnarssona, na którego brodzie już pokazał się siny cień.

Chip przysiadł się do stolika Stafforda.

— No więc przyjechali. Co dalej?

— Nie wiem — westchnął Stafford.

— Na miłość boską, Max! — zdenerwował się Murzyn. — Staram się, jak mogę, żeby ci pomóc, ale co mam robić, skoro mi nie ufasz? Naira też już to wyprowadziło z równowagi. Uważa, że tylko marnujesz nasz czas i że powinniśmy się wycofać. Zaczynam mu przyznawać rację.

W ciągu minionych dwóch dni Stafford zdążył polubić Chipa, swobodnego i inteligentnego. Nie chciał, by Chip go opuścił. Spodziewał się, że już wkrótce będzie potrzebował kogoś kto świetnie zna Kenię. Wcześniej przeznaczył tę rolę dla Hardina, lecz Hardin wyjechał.

— W porządku — odrzekł. — Powiem ci. Ten młody człowiek wszedł niedawno w posiadanie fortuny — trzech milionów funtów z majątku Hendryxa.

Chip aż gwizdnął.

— A ty chcesz mu je odebrać?

— Nie bądź głupcem — odparł Stafford spokojnie.

— Przepraszam. — Chip uśmiechnął się szeroko. — Wcale nie uważam cię za kanciarza.

— Cały dowcip polega na tym, że to nie jest Hendrix, tylko oszust podstawiony przez Gunnarssona. — Opowiedział Chipowi całą historię.

— W takim razie dlaczego po prostu nie powiadomiliście policji w Londynie? — zapytał Chip.

— Bo Gunnarsson mógłby się z tego wywinąć, udając niewiniątko, a ja chcę go dopaść. To bezwzględny, pozbawiony etycznych zasad drań, który już dawniej wchodził mi w drogę. Chcę więc dobrać mu się do skóry. Sęk w tym, że nie wiem, jak się do tego zabrać. Przez cały czas łamię sobie nad tym głowę.

— Muszę to wszystko przemyśleć — powiedział Chip. — Sprawa jest poważna.

Stafford obserwował Hendrixa. Najwyraźniej był zainteresowany dziewczyną ze swojej grupy.

— Czy wiesz, kim ona jest?

— Nazywa się Michele Roche. Podróżuje z rodzicami. To Francuzi. Jej ojciec jest emerytowanym przedsiębiorcą z Bordeaux. Przed sześcioma miesiącami wycofał się z handlu winem.

— Niewiele ujdzie twojej uwagi — zauważył Stafford.

— Poprosiłem Adama Muliro, by dowiedział się jak najwięcej — Chip uśmiechnął się szeroko. — Inny członek grupy to młody Holender — Kusters, Frederik Kusters. Nie lubią się z Hendrixem. Obaj startują do Michele i włączą sobie w drogę. Kusters jest kimś w amsterdamskim biznesie diamentowym. O, właśnie nadchodzi.

Stafford odwrócił się i spojrzał na młodego mężczyznę zmierzającego w stronę baru. Widział, jak pozdrowił dziewczynę, która w odpowiedzi obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

— Kusters zna francuski, co daje mu przewagę — powiedział Chip.

— Ten twój Adam Muliro jest prawdziwą skarbnicą informacji. Czego dowiedział się o Gunnarssonie?

— Że jest agentem ubezpieczeniowym z Nowego Jorku.

— Akurat prawda! Prowadzi organizację zajmującą się szpiegostwem przemysłowym. Przedtem pracował w CIA.

— Naprawdę? — z namysłem powiedział Chip. — Interesujące.

— A co z Hendrixem?

— Zgodnie z tym, co mówi Adam, to pali trawkę. Lepiej znaną jako marihuana.

Oczywiście w Kenii kwalifikuje się to jako przestępstwo, ale to może się przydać. Gdybyś tylko chciał, żeby został zatrzymany, można zameldować o tym policji. Jestem pewien, że uda się znaleźć u niego trawkę.

— I to ty oskarżałeś mnie, że mam przewrotny umysł? — skomentował Stafford. — Czy coś jeszcze? Nie przechwala się na przykład spadkiem?

— Według Adama, nie. Mało o sobie mówi.

— Nic dziwnego, skoro jest kimś zupełnie innym.

Chip przytaknął skinieniem głowy.

— Adam mówił, że Gunnarsson parę razy naskoczył na Hendrixa, zmieniając temat, ale nie rozumiał dlaczego. Teraz już wiemy.

— Tak — powiedział Stafford. — Pewnie Hendrix zaczął zbyt dużo gadać. Popępiał drobne błędy, które mogły go zdemaskować. Gunnarsson musi się czuć zmęczony tą przejażdżką na beczce prochu wartej trzy miliony funtów.

— Kiedy Hendrix ma otrzymać pieniądze?

— Nie wiem, ale chyba już niedługo. Całą sprawę załatwia teraz Farrar. — Stafford pokręcił głową. — Chciałbym wiedzieć, dlaczego Gunnarsson i Hendrix włóczą się po Kenii, skoro forsa czeka w Anglii. Na miejscu Hendrixa siedziałbym Farrarowi na karku, przynaglając do szybszego działania.

— Pod warunkiem, że byłbyś niewinny — odparł Chip. — Ale Hendrix nie jest niewinny. Może Gunnarsson uważa, że tutaj lepiej go przypilnuje, niż w Anglii. Nie wydaje mi się, by ta dwójka darzyła się zbyt dużym zaufaniem.

— Brak poczucia złodziejskiego honoru? Możliwe. Gunnarsson boi się, by Hendrix nie zwiął z całą forszą, gdy tylko położy na niej łapy. Bez wątplenia woli go trzymać na oku.

— Teraz lepiej rozumiem twój problem, ale nie wiem, jak go rozwiązać — rzekł Chip, przeciągając się. — Co robimy?

— To samo co do tej pory; siedzimy i obserwujemy. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Następnego dnia ponownie wyruszyli, aby obserwować zwierzęta, z tą jednak różnicą, że starali się mieć w zasięgu grupę Gunnarssona. Nie nastęczało to zbyt wielkich trudności, gdyż Adam Muliro współpracował z nimi, starając się nie oddalać za daleko. Gdyby Gunnarsson ich spostrzegł, pomyślałby, że są po prostu jakąś inną grupą. Przy tym pilnowali się, by zachować bezpieczny dystans. Stafford sam nie wiedział, po co zadał sobie tyle trudu, gdyż zadanie wydawało się zupełnie pozbawione sensu. Działanie dla samego działania, zrodzone z frustracji.

Oczywiście od czasu do czasu widzieli też zwierzęta. Stafford przekonał się, jak trudno jest zauważyć nieruchome zwierzęta, nawet tak groteskowe, jak żyrafa. Raz Nair chciał mu pokazać żyrafę, a on nie mógł jej dostrzec, dopóki się nie ruszyła, a wtedy okazało się, że patrzył między jej nogami. Długa trwa miała dokładnie taki sam kolor, jak sierść lwa. Ku zaskoczeniu wszystkich najlepszy w wypatrywaniu zwierzyny okazał się Curtis.

Wracali już do Keekorok, kiedy Nair zahamował.

— Za blisko podjeżdżamy — orzekł. Jadący przed nimi Nissan dotarł do szczytu wzniesienia i zniknął po drugiej stronie. — Zobaczmy go znowu na tamtym zakręcie. — Wskazał odległe o półtora kilometra miejsce, gdzie droga skręcała.

Stafford wyjął paczkę papierosów i poczęstował wszystkich.

— Niedaleko tak zajedziemy, Max — odezwał się Chip.

— Uznaj to za wakacje, Chip. — Nair uśmiechnął się. — Spójrz na te piękne antylopy impala.

— Z całym szacunkiem, uważam, że pułkownik traci czas — powiedział Curtis.

Były to ostre słowa, tym bardziej że padły z ust sierżanta, który się rzadko odzywał.

— A co byś sugerował? — spytał Stafford.

— Dorwać Hendrixa na osobności, przyłożyć mu solidnie, dopóki nie przyzna się, że jest podstawiony — oświadczył stanowczo.

— Sierżant Curtis ma rację — orzekł Chip.

— Niezła myśl — przyznał Stafford. — Problem tylko, jak go odseparować od Gunnarssona. Nie chcę go ostrzec. — Ani kogokolwiek innego, pomyślał. Dochodziło jeszcze szczególne prowadzenie przez Brice'a fundacji Ol Njorowa; Stafford nie powiedział Chipowi o dwudziestu siedmiu milionach funtów, z których tamten się nie wyliczył. Jedno z drugim zupełnie się nie wiązało.

— Dziwne, jeszcze ich nie widać — powiedział Nair, gdy już chwilę kręcili się w miejscu. Do tej pory jadący przed nimi Nissan nie pokazał się.

— Pewnie wytropili lwa po drugiej stronie wzgórza — zasugerował Chip. — przy lwach turyści zatrzymują się na dłużej. O ile znam życie, to nabijają kiesę Kodakowi.

— Ale nie Gunnarsson i Hendrix — powiedział Nair.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, wreszcie Nair poruszył się niespokojnie.

— Wciąż ani śladu. Długo to trwa, nawet jak na lwa.

— Może po drugiej stronie wzgórza odchodzi w bok jakiś szlak — zastanawiał się Stafford.

— Nie ma niczego takiego — stanowczo oświadczył Nair.

– Czyli musieli zboczyć z drogi.

– Adam by tego nie zrobił bez uprzedzenia. – Chip przydeptał papierosa. – Jedźmy, Nair. Tylko do tamtego wierzchołka.

Nair przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszyli. Na szczycie wzniesienia zatrzymali się i spojrzeli na niewielką dolinę po drugiej stronie. Niżej w odległości jakichś czterystu metrów na środku drogi stał Nissan. Nie było w tym nic nadzwyczajnego; wozy wycieczkowe zatrzymywały się tak na terenie całego rezerwatu. Zwykle oznaczało to, że dostrzeżono coś niezwykłego – na przykład śmierć.

Chip sięgnął po lornetkę i badawczo przyjrzał się pojazdowi.

– Zjedź tam, Nair – powiedział cicho.

Zjechali na wolnym biegu i zatrzymali się obok Nissana. W samochodzie nie było żywej duszy.

Pierwszą, dziwną myślą, jaka przyszła Staffordowi do głowy, była historia „Mary Celeste”. Chip skierował do Naira potok słów w języku, którego Stafford nie rozumiał, domyślił się tylko, że musiało to być suahili.

Obaj wysiedli i nie zwracając uwagi na opuszczony pojazd, rozglądali się po okolicy. Doliną musiał płynąć jakiś strumień, teraz wyschnięty, gdyż zachował się tam niewielki przepust, pozwalający na przepływ wody pod drogą. Zarośla były niezwykle gęste i zielone.

Stafford i Curtis wysiedli, chcąc do nich dołączyć, lecz Chip powstrzymał ich:

– Nie zbliżajcie się.

– Gdzież oni, do diabła, poszli? – zapytał Stafford. Wysiadanie z samochodu na terenie rezerwatu uważano za przestępstwo; można było zgubić turystów, a wtedy ucierpiałby interes.

Chip zatrzymał się i podniósł z ziemi coś, co błyszczało w słońcu – były to rozbite okulary słoneczne.

– Nie poszli dobrowolnie.

– Porwano ich! – z niedowierzaniem stwierdził Stafford. – Kto mógł to zrobić.

– Jeshi la Mgambo – odparł Nair. – Zgadzasz się Chip?

– Też tak sędzę. – Chip otworzył drzwi Nissana i zajrzał do środka.

– Obrabowany – powiedział. – Nie ma ani aparatów fotograficznych, ani lornetek. Wszystko zniknęło.

Nair obejrzał się na drogę.

– Tam, na górze, musieli mieć człowieka, który nas obserwował. – Odwrócił się i wskazał. – Tam też. Wciąż jeszcze mogą się tu gdzieś czać.

— Cholera, masz rację — odparł Chip. Szybko wrócił do ich Nissana i otworzył tylne drzwi. Stafford oglądał wcześniej pojazd, więc nie wiedział, skąd Chip wytrzasnął dwa karabiny, które właśnie trzymał w ręku. Jeden z nich rzucił Nairovi, a Stafforda zapytał:

— Umiesz się tym posługiwać?

— Twierdzono, że tak — odparł Stafford z powagą. — Czy zechcielibyście łaskawie wyjaśnić, co tu się dzieje?

— Później — powiedział Chip i wręczył mu karabin.

— Ja też wiem, jak się z tym obchodzić — upomniał się Curtis.

— Ty pojedziesz do Keekorok najszybciej, jak tylko potrafisz — powiedział Chip. Z kieszeni wyciągnął notes i pióro. Błyskawicznie coś napisał.

— Oddaj to kierownikowi domku myśliwskiego. On zadzwoni na posterunek policji w Mara New Bridge. — Podeszedł do siedzenia kierowcy i wyjął mapę Masai Mara. — Jesteśmy dokładnie tutaj. Dobra, sierżancie, ruszaj!

Curtis spojrział na Stafforda, który kiwnął głową.

— Którym wozem? — spytał.

— Naszym — odparł Chip. — Ale zaczekaj. — Jeszcze raz przeszedł na tył wozu, a kiedy się wyprostował, trzymał pistolet maszynowy. Jeden z tych niewielkich izraelskich Uzi, które są podobno jedną z najlepszych konstrukcji na świecie. Miał również dwa pudełka amunicji i zapasowy magazynek. — Ruszaj — powiedział. — Nigdzie nie stawaj. A gdyby ktoś próbował cię zatrzymać, nie zważaj na nic i rozjedź go.

— Tak jest — automatycznie odpowiedział Curtis, bezbłędnie reagując na rozkazujący ton głosu Chipa. Usiadł za kierownicą, koła zabuksowały i po chwili odjechał w chmurze pyłu.

Stafford sprawdził karabin. Broń o charakterze sportowym, nie wojskowym, powtarzalna, z magazynkiem na pięć naboji. Magazynek był pełny, wprowadził więc nabój do komory, przesunął bezpiecznik, wyjął magazynek i umieścił w nim jeszcze jeden nabój. Resztę amunicji schował do kieszeni. Obserwujący go Chip z aprobatą skinął głową.

— Już to przerabiałeś — stwierdził.

Nair przyklęknął obok Nissana i spoglądał na pokrytą kurzem drogę.

— Jest ich sześciu — orzekł. — Tak przynajmniej uważam.

— Jakich sześciu? — gniewnie dopytywał się Stafford.

— Jeshi la Mgambo — powiedział Chip. — Tanzańczycy. Tak zwana Tanzańska Rezerwa Policji. Paramilitarna organizacja o bardzo kiepskiej dyscyplinie. Coś takiego zdarzyło się już trzy lub cztery razy. Przekraczają granicę, wygarniają turystów z całego autobusu i

przepędzają na drugą stronę. Tam obrabowują ich ze wszystkiego, co mają i zostawiają. Do Keekorok turyści mogą wrócić jedynie pieszo. Rząd wystosował już do Tanzańczyków kilka not protestacyjnych. — Wzruszył ramionami. — Na jakiś czas jest spokój, a potem znów zaczynają.

— I mają broń?

— Kałasznikowy — padła chłodna, krótka odpowiedź.

Stafford syknął i spojrzał na swój karabin. Rosyjskie Kałasznikowy są bronią w pełni automatyczną, mogą rzygać kulami niczym gumowy wąż wodą. Karabinek sportowy, choć trudno go uznać za zabawkę, nie mieścił się w tej samej klasie.

— Czy idziemy za nimi?

Chip rzucił mu szybkie spojrzenie.

— A masz inny pomysł? Curtis jest najstarszy, ma prawie sześćdziesiątkę. Dlatego go odesłałem. Ta wyprawa może okazać się bardzo niebezpieczna.

— Gdyby Curtis poznał wasze powody, mógłby mieć pretensje — Stafford uśmiechnął się lekko.

— Poza tym mamy tylko trzy karabiny.

— Granica biegnie tam, ze trzy kilometry stąd — odezwał się Nair. — Nie uprzedzili nas zbyt, a jeńcy jeszcze bardziej opóźnią ich marsz. Poza tym muszą przejść Losemai.

— Nic trudnego o tej porze roku — powiedział Chip. — Chodźmy.

Ruszyli pieszo, gdyż tropienie z Nissana jest niemożliwe, a Chip musiał odnaleźć ślady. Szedł pewnie, kierując się znakami uchodzącymi uwagi Stafforda, który maszerując z tyłu rozmyślał o ludziach, którzy potrafią wyczarować cały arsenał tak, jak magik wyciąga króliki z kapelusza. W dodatku Uzi nie jest artykułem, jaki można ot tak sobie kupić w najbliższym sklepie.

W afrykańskim buszu występuje gatunek akacji zwany czepota. Nazwa mówiła sama za siebie. Chip i Nair wiedzieli to dostatecznie dobrze, by uważać na cierniste gałęzie, w przeciwieństwie do wlokącego się z tyłu Stafforda. Czuł się on niczym oplatany drutem kolczastym, a uszczerbku doznawał przy tym jego humor, na równi z ubraniem i skórą.

Po jakimś czasie nabrał wprawy i nauczył się poruszać śladami mistrzów. Poszło znacznie łatwiej. Chip narzucił szybkie tempo, zatrzymując się tylko czasami, by się obejrzeć. Dwukrotnie wskazał ślady, jakie zostawili ścigani — odciski stóp na pokrytej pyłem ziemi. Nair skinął głową.

— Wojskowe buty — powiedział cichym głosem.

W pewnym momencie Chip rozrzucił szeroko ramiona, więc zatrzymali się natychmiast. Skinął głową i okrążyli łukiem skrawek terenu, na którym Stafford dojrzał węża, niezbyt długiego, lecz o grubości ramienia muskularnego mężczyzny. Później Chip wyjaśnił mu, że to bitis arietans i dodał:

— Większość węży usuwa się z drogi, gdy wyczują, że nadchodzisz, ale nie bitis arietans — ten stary leń. Bardzo jadowity. Lepiej nie spotkać go w nocy.

Panował upał i Stafford pocił się straszliwie. Intensywne ćwiczenia fizyczne nie są wskazane na równiku, na wysokości tysiąca pięciuset Getrów, zwłaszcza bez aklimatyzacji. Kenijska drużyna olimpijska odbywa obozy szkoleniowe na wysokości trzech tysięcy metrów, gdzie powietrze jest rozrzedzone i organizm przystosowuje się do małej ilości tlenu. Kiedy wracają na poziom morza są w świetnej formie, mają przewagę nad przeciwnikiem. Stafford stanowił jednak przypadek odwrotny i cierpiał, podczas gdy Chip i Nair zachowali znacznie lepszą formę.

Teren składał się z falistych równin, od czasu do czasu pojawiały się odsłonięte skały. Drzewa, przeważnie akacje o spłaszczonych wierzchołkach, rosły nieregularnie. Gęstniały tylko w pobliżu wyschniętych teraz strumieni, gdzie trawa sięgała do pasa. Na tym otwartym terenie wzrok sięgał bardzo daleko.

Dobry czas uzyskiwali więc w dolinach, między wzniesieniami, zwalniali natomiast, gdy dochodzili do wierzchołków. Czołgali się wtedy, by zerknąć w następną, płytką dolinę. Kiedy doszli do szczytu jednego z takich wzniesień, Chip powiedział cicho:

— Jesteśmy w Tanzanii. Tam jest Losemai.

Przed nimi rozciągał się szeroki pas zwartej roślinności, znaczący rzekę Losemai. Nie różnił się niczym od podobnych miejsc w kenijskim Masai Mara. Chip wziął lornetkę.

— Osłoń mnie przed słońcem — powiedział.

Stafford uniósł rękę tak, by rzuciła cień na soczewkę i pomyślał, że Chip opanował wszystko, co potrzebne w tym zawodzie. Teraz najwyraźniej chciał uniknąć odbicia światła, byłoby ono niczym unoszący się semafor. Zastanowił się, gdzie mógł się tego wszystkiego nauczyć. Coraz więcej spostrzeżeń dotyczących Chipa i Naira nie dawało się złożyć w logiczną całość.

Chip badał leżący przed nimi teren, wolno przesuwając lornetkę po łuku. Nagle znieruchomiał niczym myśliwski pies, wystawiający zwierzyne.

— Tam. Wchodzą między drzewa na godzinie drugiej. — Znowu użył określenia wojskowego.

W oddali Stafford dostrzegł mikroskopijne punkciki. Natężył wzrok, próbując je policzyć.

— Wychodzi mi trzynastu — uprzedził go Chip. — Miałeś rację, Nair. To są Jeshi la Mgambo, jest ich sześciu. Plus sześcioro z grupy i Adam. Są tam wszyscy.

— Jak sądzisz, zatrzymają się przy Losemai? — zastanawiał się Nair. — Jak to zazwyczaj wygląda?

— Mogą się zatrzymać — odparł Chip. — Mają tam szczelną osłonę, a miejsce doskonale nadaje się do oskubania turystów.

— Wygląda na to, że mają sporo kłopotów przy zupełnie nieznacznym zysku — rzekł Stafford.

— Nie martw się, ciągną z tego procederu wystarczające korzyści — parsknął Chip. — Wyobraź sobie przeciętnego turystę — przyjeżdża tutaj, żeby fotografować zwierzęta, musi więc mieć dobry aparat fotograficzny albo kamerę. Do tego teleobiektywy i inne przedmioty, na przykład zegarek.

Mają także pieniądze, czekci podróżne i karty kredytowe, a to też ma swoją wartość. Taki turysta, szczególnie jakiś Niemiec lub Amerykanin, może być warty do tysiąca funtów, a więc o wiele więcej, niż przeciętny Tanzańczyk zarobi przez rok.

— Nie zwracaj sobie głowy przekonywaniem Maxa o czymś, co widzi na własne oczy — rzekł kwaśno Nair. — Jak się tam przedostaniemy?

— Ostatni już wszedł między drzewa — powiedział Chip. Opuścił lornetkę, zsunął się z wierzchołka i przetoczył na plecy, a następnie rozejrzał wokół.

— Nie możemy pójść za nimi tą drogą — oznajmił, wskazując kciukiem za siebie. — Mogli zostawić kogoś na straży. Wiem, że są niezdyscyplinowani, ale nie stać nas na ryzyko. Nair przesunął wzrokiem po grzbiecie skał.

— Tamto rzadkie pasmo drzew może skrywać strumień, spływający do Losemai.

Moglibyśmy się za nim ukryć.

— Rzucimy na to okiem — zgodził się Chip.

Ruszyli wzdłuż grzbietu, trzymając się poniżej grani. Okazało się, że rzeczywiście jest tam strumień, a raczej będzie po nadejściu pory deszczowej. Teraz koryto wyschło, chociaż gdyby wkopać się dostatecznie głęboko, można by znaleźć wilgoć, wystarczającą do utrzymania zieleni akacji w porze suchej. Silny prąd wody w czasie deszczów werznął się w miękką glebę, tworząc kanał prawie metrowej głębokości. Mógł on z powodzeniem być jakąś osłoną.

Czołgając się na brzuchach zaczęli posuwać się krętym korytem. Stafford nie robił tego od czasu zakończenia służby wojskowej i wyszedł z wprawy. W pewnej chwili gwałtownie cofnął rękę, którą już miał położyć na czymś ruchomym. To coś uciekło na bok i dopiero wtedy rozpoznał skorpiona. Tym razem oblał go pot nie tylko z powodu afrykańskiego upału.

Zajęło im sporo czasu, ale w końcu dotarli pod osłonę drzew opasujących Losemai i mogli wreszcie wstać. Chip położył palec na ustach i ostrożnie doszli do rzeki, gdzie przyczaili się na brzegu pod osłoną wysokiej trawy. Stafford rozgarnęła ją i spojrzał na drugą stronę.

Żadną miarą rzeki nie można było uznać za wielką, o tej porze roku była też bardzo płytka. Stafford przypuszczał, że udałoby mu się ją przejść suchą stopą, skacząc z jednej łachy piasku na drugą. Błotnista brązowa woda płynęła leniwie. W prześwicie, po drugiej stronie, na samym brzegu piła wodę żyrafa na szeroko rozkraczonych nogach. Na piasku coś się poruszyło i zobaczył krokodyla ześlizgującego się do wody. Jej powierzchnia ledwie się zmarszczyła. Szybko zrezygnował ze skakania z łachy na łachę.

— Nie sądzę, żeby przeszli na drugą stronę — szepnął Chip. — Spłoszyliby tę żyrafę. Pójdziemy wolno tym brzegiem w górę rzeki.

Ruszyli dalej, zachowując wojskowy szyk. Chip z pistoletem maszynowym na szpicie, za nim Stafford, jako wsparcie. Na skrzydle, w odległości około pięćdziesięciu metrów szedł Nair, widoczny tylko chwilami, gdy przemykał między drzewami, przyciskając do piersi karabin.

Była to bardzo mozolna praca. Brzeg rzeki wypełniały różne odgłosy — rechotanie żab, ćwierkanie koników polnych i cykad. Czasami Stafford drgał nerwowo, kątem oka dostrzegając jakiś ruch, ale zawsze okazywało się, że to mignął tylko ptak o jasnym upierzeniu, przelatujący na drugi brzeg. W pewnym momencie usłyszał plusk wody i zobaczył odpływające małe, brązowe zwierzątko, któremu Chip zakłócił spokój w jego

nadbrzeżnym domku.

Nagle Chip przyklęknął na jedno kolano i oburącz uniósł nad głowę Uzi. Stafford zatrzymał się i odbezpieczył karabinek. Chip przywołał go do siebie gestem, podszedł więc i ukląkł obok niego. Z oddali dobiegły ich jakieś głosy i głośny wybuch śmiechu.

— Oslaniaj mnie — powiedział Chip i poczołgał się do przodu.

Na moment Stafford stracił go z oczu w wysokiej trawie, po chwili jednak dojrzał go ponownie. Chip dał mu znak ręką, więc podczołgał się do niego. Chip obserwował coś zza rozsuniętych traw.

— Popatrz — odezwał się cicho. Głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Stafford rozgarnął źdźbła trawy i ujrzał polanę nad rzeką. Stali tam wszyscy, Tanzańczycy i grupa turystów. Tanzańczycy mieli na sobie polowe bluzy w maskujące plamy, każdy z nich uzbrojony był w pistolet maszynowy. Dwóch miało przymocowane do pasów granaty, a jeden, z naszywkami sierżanta, miał pistolet w kaburze.

Grupa turystów znajdowała się w opłakanym stanie. Pozbawiono ich większości odzieży, a panna i pani Roche zostały w samej bieliźnie. Twarz pani Roche nosiła ślady łez. Jej mąż, groteskowa postać o wielkim brzuchu wydętym nad kalesonami, próbował ją uspokoić. Michele Roche zbladła pod opalenizną i wyglądała, jakby właśnie przechodziła żółtaczkę. Wydawała się przestraszona, a młody Kosters mówił coś do niej cicho, trzymając dłoń na jej ramieniu.

Nawet jeśli Gunnarsson odczuwał strach, to nie okazywał tego. Twarz pociemniała mu z gniewu, gdy schyliwszy się, by podnieść but został trącony lufą karabinu. Natychmiast wyprostował się buntowniczo i krzyknął:

— Do diabła, musicie zostawić nam buty. — W odpowiedzi zobaczył przeczący ruch głowy i dostał kolejne pchnięcie lufą. Upuścił but i spojrzał groźnie.

Hendrix, także rozebrany, stał w pewnym oddaleniu od reszty grupy, między dwoma Tanzańczykami. Młody Murzyn siedzący na ziemi z nieruchomą, pozbawioną wyrazu twarzą, musiał być Adamem Muliro — przewodnikiem. Przed nim, oślepiająco błyszcząc, leżała zdobycz — aparaty i kamery, obiektywy, lornetki, a także inny sprzęt, przemieszany ze stertą ubrań.

Stafford pozwolił, aby trawa wolno wysunęła się z palców i utworzyła naturalną zasłonę. Chip szepnął mu do ucha:

— Nic nie zrobimy. Moglibyśmy spowodować masakrę.

Z pewnością miał rację. Kałasznikowy napełniały Stafforda obawą, a widok granatów przestraszył go jeszcze bardziej. Był żołnierzem i wiedział, czego może dokonać taka broń.

Gdyby więźniów zwolniono i pozwolono im wrócić do Keekorok, jak to zazwyczaj bywało, wówczas jedynymi niewygodami, jakich by zaznali, byłyby oparzenia słoneczne i otarte stopy. W tych okolicznościach strzelanina nie wchodziła w rachubę. Byli mniej liczni, gorzej uzbrojeni i nie mogli narażać jeńców.

Chip machnął ręką, nakazując Staffordowi, aby się wycofał. Ten cofnął się i odwrócił, ciągle leżał płasko. Po chwili obejrzał się i zobaczył, jak skulony Chip biegnie w jego kierunku. Mijając go, gwałtownie machnął ręką, a następnie rzucił się na oślep w kępę gęstej trawy i zniknął mu z oczu. Stafford zrozumiał w czym rzecz, poderwał się i biegiem ruszył w stronę najbliższego drzewa.

Ledwie zdążył tam dotrzeć, gdy usłyszał głosy. Pień był cieńszy niż jego ciało, dlatego wolno obchodził go dookoła tak, by przez cały czas znajdował się między nim, a nadchodzącymi ludźmi. Zbliżyli się i mógł już rozróżnić głosy, wylapywał nawet słowa, lecz nie rozumiał ich znaczenia. Gdy minęli go, zaryzykował i wyjrzał. Hendrix kuśtykał brzegiem rzeki, szedł bosy, najwyraźniej obolały. Ubrany był tylko w slipy. Za nim maszerowało dwóch Tanzańczyków, z których jeden wciąż poszturchiwał go lufą karabinu. Po chwili zniknęli z pola widzenia.

Chip wysunął głowę z trawy. Ręką zatoczył duże koło, a następnie zbiegł na brzeg rzeki i podążył za nimi. Stafford odwrócił się, by odszukać Naira i zobaczył go wychodzącego z ukrycia. Gestem nakazał mu aby podążył w ślady Chipa, sam natomiast zatoczył szerokie koło. Chip wciąż znajdował się na szpicy, Stafford przeszedł na skrzydło, a Nair został jako straż tylna. Stafford trzymał się jakieś pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt metrów od rzeki, idąc równoległe do niej. Pilnował, by nie zgubić Hendrixa i prowadzących go porywaczy.

W pewnym momencie znalazł się na tyle blisko, by usłyszeć lament Hendrixa:

— Dokąd mnie zabieracie? Co takiego zrobiłem? — Rozległ się odgłos uderzenia i zduszone stęknienie. Na chwilę zapadła cisza. Hendrix powiedział żałośnie: — Boże! Mój Boże! — Stafford domyślił się, że uderzono go kolbą w nerki, ale nie zaryzykował, by zbliżyć się do nich.

W ten sposób przeszli spory kawałek, mniej niż kilometrów, po czym Stafford ich zgubił. Cofnął się o jakieś sto metrów i zobaczył, że zatrzymali się. Hendrix stał na samym brzegu rzeki, zwrócony do Tanzańczyków, jednego całkiem młodego, drugiego — nieco starszego mężczyzny. Młody trzymał Hendrixa na muszce, starszy, z karabinem przewieszonym na pasku, palił papierosa. Wyjął niedopałek z ust, przyjrzał mu się krytycznie, niedbale wyrzucił i zdusił nogą. Wreszcie powolnym ruchem ściągnął karabin. Przyłożył go do ramienia i trzymając palec na spuście, wycelował w Hendrixa.

Stafford pospiesznie uniósł karabinek, ale w tym właśnie momencie Chip otworzył ogień ze swojego Uzi. Seria trafiła bandytę w plecy i rzuciła do przodu. Młodszy Tanzańczyk odwrócił się gwałtownie i Stafford strzelił mu prosto w głowę. Na środku czoła wykwitło trzecie oko. Zatoczył się do tyłu i z pluskiem wpadł do rzeki. Po tych nieoczekiwanych hałasach znów zapadła cisza, przerywana jedynie bzykaniem owadów i skamleniem Hendrixa, spoglądającego na rozciągnięte przed nim ciało.

Chip ostrożnie wyszedł z ukrycia z wysuniętą czujnie bronią. Za nim Nair. Po chwili dołączył do nich Stafford.

— Ten drań chciał zastrzelić Hendrixa. — We własnym głosie usłyszał niedowierzenie. Pstryknął palcami. — Tak po prostu.

Chip trącił nogą ciało, schylił się, żeby sprawdzić tętno na szyi.

— Zupełnie oszaleli — powiedział obojętnie, prostując się. — Nigdy czegoś takiego nie próbowali. — Zwrócił się do Naira: — Wróc ze sto metrów i pilnuj.

Stafford podszedł do Hendrixa. Twarz miał zalaną łzami, a z jego gardła wydobywały się odgłosy przypominające gęganie. Stafford chciał mu pomóc stanąć, ale ten oklapł zupełnie i skulił się w pozycji embrionalnej.

— Człowieku, na miłość boską, wstawaj — powiedział Stafford. — Czy chcesz, żeby cię zabili?

— Jest już niemal martwy z przerażenia — ocenił Chip.

— Jeżeli się nie ruszy, to i na nas sprowadzi śmierć — odparł Stafford ponuro. — Musieli przecież usłyszeć te strzały.

— Mogli się ich spodziewać — powiedział przytomnie Chip. — Miejmy nadzieję, że nie odróżniają Uzi od Kałasznikowa. Są dość daleko. — Schylił się i zaczął przeszukiwać kieszenie zabitego.

Stafford podszedł na brzeg rzeki, który w tym miejscu miał ze dwa metry wysokości. Woda płynęła ospale i ciało zastrzelonego nie oddaliło się zbyt wiele. Był to pierwszy człowiek, którego zabił, i na samą myśl o tym robiło mu się niedobrze. Wojsko zaliczał głównie w czasie pokoju, a nawet w tych odległych dniach, jakie spędził w Korei, zaskakująco rzadko spotykał wroga, do którego musiał strzelać. Natomiast później, podczas służby w wywiadzie wojskowym, nie musiał już wyciągać broni.

— Żadnego znaku identyfikacyjnego; tylko to — powiedział Chip i uniósł jakiś banknot. — Dwadzieścia szylingów kenijskich. — Schował je do kieszeni. — Pomóż mi ściągnąć z niego rzeczy.

— Po co go rozbierać?

Chip wskazał brodą na Hendrixa.

— Nie zajdzie daleko bez ubrania i butów. A nie mamy zbyt wiele czasu, zaledwie kilka minut. Spodziewają się powrotu tych ludzi i jeżeli się nie zjawią, ktoś pójdzie ich szukać.

Podczas gdy Stafford rozsznurowywał buty Tanzańczyka, Chip zdarł z niego zakrwawioną i podziurawioną kulami bluzę, potem razem wzięli się do zdejmowania spodni. Rozbieranie martwego człowieka jest szczególnie uciążliwym zajęciem. Nie udziela żadnej pomocy. Wreszcie przetoczyli ciało na brzeg i zrzucili je do wody. Wpadło z pluskiem do błotnistej koryta. Drugie ciało też już zniknęło.

— Nikt ich teraz nie znajdzie — powiedział Chip. — Wygląda na to, że chowają się tu krokodyle. Przetrywają ciała pod wodą, dopóki nie dojrzeją do zjedzenia. — Myśl była makabryczna.

Ubrali Hendrixa, który też nie okazywał im pomocy. Znajdował się niemal w stanie katatonii. Stafford zwrócił uwagę, że Hendrix nie miał blizny na żadnym ramieniu, blizny, która powinna się tam znajdować. Nie skomentował tego. Nagle uniósł wzrok, słysząc Chipa:

— Jeden z twoich problemów został rozwiązany; odseparowałeś Hendrixa od Gunnarssona. Co dalej?

O tym Stafford nie pomyślał.

— Później się zastanowimy — odparł. — Wynośmy się stąd w diabły. Dźwignęli Hendrixa na nogi i Stafford dwukrotnie uderzył go mocno w twarz. Hendrix potrząsnął głową, uniósł rękę i potarł policzek.

— Czemu to zrobiłeś? — spytał.

Ale tępy, kretyński wyraz jego oczu zaczął znikać.

— Żeby wbić ci trochę rozumu do głowy — powiedział Stafford. — Musimy ruszać, jeśli nie chcesz tu zdechnąć.

Powoli wracała mu zdolność pojmowania.

— O Boże, tak! — zgodził się.

Chip omiół wokół ziemię gałęzią, zasypując pyłem kilka krwawych plam i usuwając wszelkie ślady ich obecności. Udał się też na miejsce, skąd strzelał i pozbiierał wszystkie łuski, jakie udało mu się znaleźć. Następnie wrzucił do rzeki oba Kałasznikowy.

— Chodźmy, Nair — powiedział. Stafford wziął swój karabinek. Ruszyli w drogę.

Odbili od rzeki, kierując się na północny wschód, w stronę granicy. Szli tym samym wąskim potokiem, którym przedostali się na dół, dopóki nie znaleźli stosunkowo bezpiecznego schronienia po drugiej stronie żlebu. Tam wypoczęli trochę i odbyli krótką

naradę wojenną. Na znak Chipa Nair stanął na straży przy Hendrixie, sam natomiast odszedł na bok ze Staffordem.

— Co teraz? — zapytał Chip.

Aż do tej chwili Stafford nie miał okazji do konstruktywnego myślenia. Wszystkie wysiłki skupił na przeżyciu i wyplątaniu się z kłopotów. Nie zastanawiał się nad implikacjami tego, co zobaczył. Martwili go natomiast nadzy ludzie, zmierzający do Keekorok. Jeśli idą w słońcu, ulegną okropnym poparzeniom. A Chip wspomniał, że nocny marsz mógł okazać się jeszcze bardziej niebezpieczny.

— Jak daleko jest do Keekorok? — zapytał.

— Jakies osiemnaście, dziewiętnaście kilometrów, oczywiście w linii prostej. Ale nikt nie chodzi w buszu po linii prostej. Czyli ze dwadzieścia cztery kilometry.

Kawał drogi, całodzienny marsz. Stafford nie martwił się o Gunnarssona czy Kosterse. Gunnarsson był dość twardy, a młody Holender wyglądał na sprawnego. Michele Roche zapewne też da radę, natomiast z jej rodzicami sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej. Zanosilo się na to, że zasiedziały handlarz win, wyglądający jakby sam lubił kosztować swoich produktów, i jego podstarzała żona mieli przed sobą cholernie ciężkie chwile.

— Dziwna sprawa, Chip. A jeśli chodzi o te napady, czy kiedyś już kogoś zabito?

Chip pokręcił głową.

— Zawsze tylko rabowano. Żadnych zabójstw ani nawet gwałtu. Jakiś rok temu zgarnęli trzy Nissany pełne Niemców, ale wszyscy wrócili bezpiecznie.

— Dlaczego więc teraz? — spytał Stafford. — Niemal doszło do morderstwa z premedytacją. Wyglądało to niczym jakaś zaplanowana egzekucja.

— Nie wiem — odparł Chip. — Nie mogę tego zrozumieć.

— A ta czarująca scena na polanie, kiedy Gunnarsson domagał się swoich butów. Czy zauważyłeś coś szczególnego w związku z Hendrixem?

— Tak, oddzielono go od reszty.

— I trzymano pod strażą. Dlaczego Tanzańczycy mieliby oddzielać Hendrixa od stadka i zabijać? Gdybyś mógł mi odpowiedzieć na to pytanie, byłbym bardzo szczęśliwy, gdyż twierdę, że wyjaśniłoby nam to wiele spraw.

— Nie mam żadnej odpowiedzi — przyznał szczerze Chip.

— Ja też. — Stafford zadumał się na moment.

— No cóż, masz teraz Hendrixa — odezwał się po chwili Chip. — Jeżeli chcesz go o coś zapytać, to korzystaj z okazji, nim dołączy do pozostałych.

— Ktokolwiek pragnął usunąć Hendrixa z drogi, chciał to zrobić w sposób ostateczny —

zastanawiał się Stafford. — Nie chodziło w tym też o utrzymanie wszystkiego w tajemnicy. Wyobraź sobie, Chip, że znajdujesz się w tej grupie turystów i widzisz, jak odchodzą z Hendrixem. Jakiś czas później słyszysz strzały, potem wracają uśmiechnięci Tanzańczycy, którzy byli z Hendrixem. Co byś sobie pomyślał?

— Pomyślałbym, że Hendrix został zastrzelony, zapewne w czasie próby ucieczki.

— Ja też — przytaknął Stafford. — Podobnie musi uważać teraz reszta grupy, z tą różnicą, że nie wrócili strażnicy Hendrixa. Ale musieli słyszeć strzały. Czy to brzmi rozsądnie?

— Może być.

Nair wydał szczególny, świergotliwy gwizd i przywołał ich ruchem ręki. Wrócili na krawędź grzbietu, a Nair wskazał pas drzew przy Losemai.

— Wychodzą.

Miniaturowe figurki ukazywały się kolejno na otwartej równinie. Chip, z lornetką przy oczach, liczył je.

— ...cztery, pięć, sześć.

— Nikogo więcej?

— Nikogo. Tylko grupa bez Hendrixa. Tanzańczycy odesłali ich do domu. — Spojrzał na zachodzące słońce. — Bez butów nie dadzą rady iść zbyt szybko. Spędzą noc w buszu.

— Niebezpieczne?

Pokręcił głową.

— Jeżeli zachowają ostrożność, to nie. Tylko straszne. Ale Adam się nimi zajmie, jeśli wykażą dość rozsądku, by mu na to pozwolić. Zaczekamy na nich tutaj.

— Pogadamy — rzekł Stafford.

Nagle Hendrix drgnął.

— Powiedzcie mi, kim jesteście?

— Tymi, którzy ratują życie — odparł Stafford. — Twoje życie. A teraz zamknij się. — Spojrzał na Naira. — Niech się uciszy. A jeżeli nie będzie chciał, to ty go ucisz. — Nie chciał, żeby Hendrix nabrał błędnego mniemania na temat swych wybawicieli. Miał zamiar zmiękczyć go, a w takim razie najlepiej byłoby, gdyby Hendrix uznał, że wpadł z deszczu pod rynnę.

Stafford skinął głową na Chipa i odciągnął go na bok.

— Nie znam motywów próby zamordowania Hendrixa — powiedział. — Ale jak dotychczas tylko cztery osoby wiedzą, że nie zginął. Ty, ja, Nair i sam Hendrix. A byłoby po nim, gdybyś wtedy nie strzelił z Uzi. Zdecydował ułamek sekundy.

— Do czego zmierzasz?

— Przypuśćmy, że nie dołączy do reszty. Przypuśćmy, że nadal będzie uchodził za martwego. Komuś cholernie pomiesza to szyki.

— Komu?

— Skąd mam, do diabła, wiedzieć? Ale sześciu Tanzańczyków nie próbuje rozmyślnie zamordować dziedzica trzech milionów funtów. Przeciętny Tanzańczyk nie miałby nawet pojęcia o istnieniu Hendrixa. Ktoś musiał wydać rozkazy. Teraz ten ktoś uzna, że Hendrix zginął. Tajemnicze może mu się wydać zniknięcie obu Tanzańczyków, ale najprawdopodobniej nie będzie sobie tym zawracał głowy. Ocaleli członkowie grupy turystycznej opowiedzą swoje i wszystko złoży się w całość — śmierć Hendrixa, bo jeżeli nie zginął, to dlaczego się nie pokazuje? Ale ja go będę miał. Nie jest kartą atutową, ale dzokerem do wyciągnięcia w odpowiedniej chwili.

Chip dłuższy czas wpatrywał się milcząco w Stafforda.

— Niewiele wymagasz, prawda? — odezwał się w końcu. Kolejno wyliczył na palcach: — Po pierwsze, porywamy Hendrixa; po drugie, musimy go przeszmuglować z Mara, bo nie może przecież minąć żadnej z bram; po trzecie, w tym czasie musimy mu zapewnić żywność i wodę; po czwarte, musimy znaleźć dla niego miejsce po wyprowadzeniu z Mara; po piąte, trzeba zapewnić strażników; po szóste... — zamilkł. — Słuchaj, w ten sposób może człowiekowi zabraknąć palców.

— Do tej pory zawsze wykazywałeś pomysłowość — zachęcił go Stafford. Chip posłał mu nikły uśmiech.

— Rozpęta się istne piekło — powiedział. — Sprawa trafi na czołówki gazet. Amerykański multimilioner porwany i zamordowany — znakomita historia na pierwszą stronę, nadziana dyplomatycznym dynamitem. Rząd kenijski zostanie zmuszony do złożenia protestu wobec Tanzanii, a rząd amerykański zapewne się do tego przyłączy. Cóż więc się stanie, kiedy w końcu wypuścimy go na wolność? Wówczas to nasze głowy znajdą się na pieńku.

— Wcale nie — zaproponował Stafford. — Nie powie ani słowa. Nie może niczego powiedzieć. Zapominasz, że wcale nie jest Hendrixem.

— O niczym nie zapominam — odparł Chip zimno. — Wiem tylko to, co mi powiedziałaś. Niczego jeszcze nie udowodniłeś.

Stafford odwrócił głowę i spojrzał na Hendrixa.

— Spytajmy, jak się nazywa — zaproponował.

— Dobrze, ale nie tutaj. Wynieśmy się najpierw z Tanzanii.

Stafford zawahał się, gdyż martwili go uczestnicy wycieczki, szczególnie państwo Roche.

— A co z tamtymi, czy nic im się nie stanie?

— Już ci mówiłem, zajmie się nimi Adam — odparł Chip niecierpliwie. — Nic im nie będzie. Słuchaj, Max, sami możemy iść szybciej. Wrócimy do Keekorok i wyślemy samochody, żeby zabrały ich na granicy. A w drodze możesz pogadać z Hendrixem.

Jeżeli da się tak zrobić, to wygląda to na dobre rozwiązanie.

— W porządku — rzekł wreszcie Stafford. — Ruszajmy.

— Ale nie obiecuję niczego, dopóki nie udowodnisz, że masz rację co do Hendrixa — powiedział Chip. — Musisz to zrobić.

Tak więc wrócili do Kenii, ale inną drogą. Zmienili kierunek i podążyli na północny wschód, w stronę Mara New Bridge.

— Cokolwiek się stanie, będziemy musieli przedstawić policji jakąś historię — powiedział Chip. — I musi to być historia, w której nie występuje broń! Doktor Robert Ouko nie ustosunkuje się grzecznie do obywateli dokonujących zbrojnego wtargnięcia do Tanzanii.

— Kto to jest?

— Minister Spraw Zagranicznych. Wyśle ostrą notę dyplomatyczną do Dar—es—Salaam i nie życzyłby sobie osłabiania jej wymowy jakąś strzelaniną.

— A jak nakłonisz Hendrixa, by trzymał język za zębami?

— Chyba nie sądzisz, że nie pomyślałem o tym.

Po drodze wymyślili historię. Po odesłaniu Curtisa do Keekorok w celu podniesienia alarmu, mężnie i nieco bezsensownie rzucili się w pościg za Tanzańczykami. Kiedy uświadomili sobie, że mają wtargnąć na terytorium tanzańskie, stanęli, zawrócili i zgubili się po drodze. Po kilku godzinach błędzenia w ciemnościach odnaleźli w końcu drogę w pobliżu Mara New Bridge, a jako praworządni obywatele zgłaszają się teraz na posterunek policji.

Była to wątła historyjka, której nie należało dokładniej sprawdzać. Zakładała ona również całkowitą nieobecność Hendrixa. Fakt ten podniósł Stafforda na duchu, gdyż wskazywał, że Chip milcząco zaakceptował jego propozycję zatrzymania Hendrixa w ukryciu. Podejrzewał jednak, że zajmował się również konstruowaniem innej historyjki, mogącej przywrócić Hendrixa do scenariusza.

Tymczasem, aż do zmierzchu, maszerowali wytrwale przez busz. Co jakiś czas Hendrix protestował, domagał się też wyjaśnienia ich tożsamości i jeszcze paru spraw, jakie mu przyszyły do głowy. Nair uciszył go, wyjmując kirpan — ceremonialny, lecz żadną miarą nie czysto dekoracyjny nóż, noszony przez Sikhów. Jego widok uciszył Hendrixa tak skutecznie, jak gdyby Nair odciął mu nim język.

Zatrzymali się, kiedy z nieba zniknęły resztki nocy. Wciąż mieli przed sobą kawał drogi, ale Chip upozorował decyzję odkryciem niewielkiej wklęsłości terenu, może raczej dolinki, osłoniętej ze wszystkich stron.

— Na dole możemy rozpalić małe ognisko — powiedział. — Nikt go nie zobaczy.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Stafford. — W Kenii czy w Tanzanii?

— Rzuć monetę, to się przekonasz — odparł Chip z rozbajającym uśmiechem.

Zebrali więc drewno na ognisko. Nie nastęrczyło im to większych trudności, gdyż w buszu pełno jest wyschniętych drzew. Ogień miał ich nie tyle ogrzać, co raczej odstraszyć zwierzęta. Chip stwierdził, że nie mają się co obawiać lwów czy innych wielkich drapieżników, lecz raczej hien.

— Rzucają się na śpiących ludzi — powiedział. Ognisko zbudowali więc w ten sposób, by zawsze móc chwycić dla obrony płonąca żagiew.

Gdy ogień zapłonął, Chip spojrział na Stafforda, po czym skinął głową w stronę Hendrixa.

— Twój ruch.

— W porządku. — Zwrócił się do Hendrixa: — Jak się nazywasz?

— Hendrix, Henry Hendrix. Ludzie mówią do mnie Hank. A kim wy jesteście?

— To bez znaczenia — odparł Stafford. — Za to z ciebie jest kłamca. — Zamilkł na chwilę.

— Zauważyłem, że nikomu nie podziękowałeś za uratowanie życia.

Oczy Hendrixa zalśniły w blasku płomieni.

— Do diabła, kiedy tylko otwierałem usta, mówiono mi, żebym się zamknął.

— A teraz chcemy, żebyś mówił. W zasadzie nawet zdecydowanie do tego zachęcamy.

Kim jest Gunnarsson?

— Przyjaciel. I, dobrze, dzięki za to, co zrobiliście. Myślałem już wtedy, że po mnie.

Naprawdę.

— Nie ma o czym mówić — rzekł sucho Chip.

— Kto to jest Hamsun — Olaf Hamsun? — spytał Stafford.

— Nigdy o nim nie słyszałem — odparł Hendrix.

— Może lepiej go znasz jako Biggie'ego?

— Ach, Biggie! To facet, którego znałem jeszcze w Los Angeles. Po co te pytania?

— Kim jest Hardin?

— Nie znam nikogo takiego.

— Powinieneś go znać. Zabrał cię z Los Angeles do Nowego Jorku.

— Ach, ten. Nie przedstawił się.

— I pojechałeś z Los Angeles do Nowego Jorku z nieznanym facetem? Wymyśl coś lepszego. Za chwilę nam powiesz, że nie znasz nawet swojego nazwiska. Jak ono brzmi?

Zamrugnął oczyma.

— Hendrix — rzekł ponuro. — Słuchajcie, nie wiem, czego chcecie, ale nie podobają mi się te wszystkie pytania.

— Mało mnie obchodzi, czy ci się to podoba, czy nie — powiedział Stafford. — Nie dbam też o to, czy będziesz żył, czy zginiesz. Co Biggie nosił na szyi?

Zmiana tematu zaskoczyła Hendrixa.

— Cóż to za idiotyczne pytanie. Skąd mam, do cholery, to wiedzieć?

— Był twoim przyjacielem. Gdzie spotkałeś Gunnarssona?

— W Nowym Jorku.

— Gdzie się podziąła blizna z twojego ramienia?

Hendrix spojrział na niego ze zdumieniem.

— O czym, do cholery, mówisz?

— W Los Angeles postrzelono cię w ramię. — Stafford westchnął. — Ranę opatrzył ci Hardin. Powinieneś mieć więc bliznę. Gdzie ona jest?

— Rany dobrze mi się goją — odrzekł ponuro Hendrix.

— Jesteś największym kłamcą, od czasów Ananiasza — stwierdził Stafford. — Powinno ci się usta przemyć mydłem. Nie jesteś żadnym Hendrixem, więc kim?

Zawahał się, a Nair wtrącił:

— Dlaczego ktoś chciał, żebyś zginął? Czy dlatego, że nazywałeś się Hendrix?

— Otóż to — powiedział Chip ze śmiechem. — Rozpoczął się okres polowa na Hendrixów. Oczywiście jest to nielegalne. W Kenii polowanie na dzikie zwierzęta jest zakazane.

— Ale nie w Tanzanii — odparł Nair. — Tam jest ono zgodne z prawem, mogłoby ująć im na sucho.

— Może ktoś chce powiesić wypchaną głowę Hendrixa na ścianie, w charakterze trofeum — podsunął Chip.

— Musieliby dać szklane oczy — powiedział Nair. — Czy udałoby się im dopasować kolor?

— Wydaje mi się, że teraz używają do tego plastiku — mówił dalej Chip.

— Z plastiku wszystko da się zrobić.

Wreszcie ta idiotyczna wymiana zdań dotarła do Hendrixa.

— Zamknijcie się, czarne bydlaki! — krzyknął.

Zapadła śmiertelna cisza, wreszcie Chip odezwał się chłodno:

— W ten sposób nie mówi się do ludzi trzymających broń. — Akurat w oddali rozbrzmiał ochrypły ryk, aż Hendrix drgnął gwałtownie. — Lew

— oznajmił Chip. — Może powinniśmy zostawić go lwom? Może one chcą mieć trofeum?

Hendrix zaszlochał spazmatycznie.

— Obserwowano cię od chwili opuszczenia Stanów — wyjaśnił Stafford.

— Wiemy, że nie jesteś Hendrixem. Powiedz nam, kim jesteś, a zostawimy cię w spokoju.

— Jezu Chryste! Gunnarsson mnie zabije.

— Gunnarsson nawet się do ciebie nie zbliży — obiecał Stafford. — Zostaw go nam. A jak, do diabła, sądzisz, co niemal stało się tam, nad rzeką? Trzymaj się dalej swojej wersji i już jesteś trupem.

Nocne odgłosy w buszu nasilały się. W oddali znów zaryczał lew, a całkiem blisko coś warknęło, a jakieś inne zwierze pisnęło przerażająco. Pisk urwał się raptownie. Chip dołożył do ognia jeszcze jedną gałąź.

— Lampart złapał pawiana — powiedział.

Nair wziął karabin i wstał, wpatrując się w ciemność.

Na Hendrixie wywarło to piorunujące wrażenie. Rozejrzał się wokół i zadrżał. Miał za sobą ciężki dzień. Został porwany, niemal go zamordowano, a teraz przesłuchiwali go uzbrojeni nieznajomi, którzy najwyraźniej wiedzieli o nim wszystko, nie znali jedynie nazwiska. A na dodatek wszystko to działo się w miejscu, gdzie zagryzały się dzikie zwierzęta. Nic dziwnego, że się załamał.

— Obronicie mnie przed Gunnarssonem? Możecie mi to zagwarantować?

Stafford zerknął na Chipa, ten zaś skinął głową.

— Umieścimy cię w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt cię nie znajdzie. Ale musisz obiecać pełną współpracę. Opowiedz nam o wszystkim.

Hendrix wciąż się wahał.

— Czy ktoś ma papierosa? — Chip sięgnął do kieszeni po paczkę i wytrząsnął jednego. Hendrix przypalił go płonąca gałązką z ogniska. Zaciągnął się głęboko i najwyraźniej uspokoił. — W porządku. Nazywam się Jack Corliss, a Gunnarsson złożył mi propozycję kilka tygodni temu. Chryste, wolałbym żeby nigdy do mnie nie trafił.

Historia okazała się w miarę prosta. Corliss pracował w nowojorskim banku. Specjalizował się w komputerach i wymyślił sposób manipulowania księgami komputerowymi, a Gunnarsson przyłapał go na tym. Od tej chwili zaczął go jawnie szantażować. Stafford nie sądził, żeby Gunnarsson musiał się specjalnie wysilać, gdyż Corliss miał już inklinacje w tym kierunku.

— Musiałem sporo przeczytać na temat Hendrixa — mówił Corliss. — O jego rodzinie. Później doszły nagrania — dużo nagrań. Rozmowy Hendrixa z Gunnarssonem. Nie wydaje mi się, by Hendrix wiedział, że te rozmowy są rejestrowane. Na prośbę Gunnarssona wiele opowiadał o sobie, a wszystko w przyjacielskiej atmosferze. Gunnarsson upił go kilka razy i wtedy wyszło parę dobrych rzeczy.

— Dobrych dla kogoś, kto miał udawać Hendrixa — rzucił Chip.

Corliss kiwnął głową.

— Sprawa wyglądała wspaniale. Hendrix był samotny, nie miał żadnej rodziny. Gunnarsson twierdził, że wszystko jest śmiertelnie proste.

— Śmiertelny jest tu słowem operacyjnym — powiedział Stafford. — Co jeszcze ci naobiecował prócz szansy, że nie pójdziesz do więzienia? — Corliss unikał jego wzroku. — Chcemy usłyszeć resztę.

— Ćwierć miliona dolarów — wymamrotał. — Gunnarsson uznał, że później powinienem mieć trochę grosza, żeby wszystko dobrze wyglądało.

— Dwunasta część dochodu — powiedział Stafford. — Ty ryzykujesz, a Gunnarsson zbiera śmietankę. Aleś się dał zrobić, Corliss. Czy naprawdę wierzyłeś, że uda ci się przeżyć, by móc się cieszyć tymi pieniędzmi?

— Na miłość boską! Nie miałem żadnego wyboru. Gunnarsson trzymał mnie za jaja.

— Gdzie jest teraz Hendrix?

— Skąd mam wiedzieć? — zniecierpliwił się Corliss. — Nie widziałem faceta na oczy.

— Odsunięty w sposób ostateczny — odezwał się Chip. — Chyba tak to się określa w CIA, prawda?

Stafford kiwnął głową.

— Poza Hardinem nikt nie wiedział, że przyjechał do Nowego Jorku. Chyba dlatego Hardin został wyrzucony i sędzę, że miał piekielne szczęście, jemu też mogło się coś takiego zdarzyć. Ale Gunnarsson nie docenił Hardina. Nigdy nie przypuszczał, że wściekłość pchnie Hardina do Anglii.

— Co się teraz ze mną stanie? — apatycznie spytał Corliss.

— Chip i Nair zabiorą cię stąd i umieszczą w bezpiecznym miejscu. Dostaniesz ubranie i żywność, ale nie będziesz wolny, dopóki wszystko się nie skończy. Później przetransportujemy cię do Stanów i lepiej, żebyś tam zniknął. Zgadzasz się, Chip?

— Jeśli pójdziesz na współpracę i nie sprawi problemów — zastrzegł Chip. — Jeżeli natomiast zrobi coś głupiego, nie ma żadnych gwarancji.

— Nie sprawię kłopotów — gorliwie obiecał Corliss. — Pragnę się tylko wydostać z tego przeklętego kraju. — Przez chwilę wsłuchiwał się w nocne odgłosy i zadrżał, szczelnie okrył się sfatygowaną kurtką, chociaż wcale nie było zimno. — Przeraza mnie.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział Stafford. — Na ogół nie strzela się do ludzi bez przyczyny. Kto chciałby cię zabić, Corliss? Nie Gunnarsson. Nie zabijałby kury znoszącej złote jajka. A więc kto?

— Nie wiem — odparł Corliss gwałtownie. — Nikomu nie mogłoby zależeć na mojej śmierci. Nie wiem, jak z Hendrixem. Sami powiedzieliście, że rozpoczął się sezon polowań

na Hendrixów.

— Tak się tylko mówiło — odrzekł Stafford.

Corliss pokręcił głową, jakby zdumiony tym, co mu się przytrafiło.

— W Kornwalii miałem wypadek samochodowy, a nie jestem przecież kiepskim kierowcą. Na wzgórzu nagle wysiadły hamulce.

— Nie zawsze musi to być karabin. — Stafford wzruszył ramionami.

— Qui bono? — niespodziewanie odezwał się Chip po łacinie. Uśmiechnął się, widząc wyraz twarzy Stafforda, jego zęby zaśniły w blasku płomieni.

Ten czarny bydlak chodził na uniwersytet. — Kto dziedziczy po Hendrixie?

Stafford zastanawiał się przez chwilę, nim odpowiedział:

— Przypuszczalnie najbliższy krewny. Corliss twierdzi, że Hendrix nie miał rodziny, ale oczywiście jest w błędzie, chociaż o tym nie wie. Najbliższym krewnym byłby jego kuzyn Dirk Hendriks, zakładając naturalnie, że Henry Hendrix nie sporządził testamentu.

— Myślę, że możemy przyjąć takie założenie — sucho powiedział Chip.

Stafford pokręcił głową.

— To niemożliwe. Dirk wrócił do Anglii razem z Farrarem. W jaki sposób mógłby zorganizować porwanie do Tanzanii? Do tego potrzebna jest organizacja na miejscu. A poza tym, sam też odziedziczył trzy miliony. Jaki miałby motyw?

— Lepsze sześć niż trzy — odezwał się Nair z ciemności po drugiej stronie ogniska. — Niektórzy są chciwi.

— Nie rozumiem tego — powiedział Stafford. — Hendriks nie ma żadnych powiązań z Kenią. Do licha, jest Południowoafrykańczykiem. Nigdy nie był w tym kraju, aż do przyjazdu z Farrarem. W jaki sposób człowiek, który nie zna żadnego z dwóch krajów, mógłby zorganizować w Kenii porwanie przez Tanzańczyków? Powiedziałbym, że Południowoafrykańczycy są o wiele gorzej widziani w Tanzanii, niż w Kenii.

— Tak — przytaknął Chip. — Jesteśmy tolerancyjni. Nie mamy nic przeciwko Południowoafrykańczykom, dopóki odpowiednio się zachowują. Tanzańczycy podchodzą do tego inaczej.

Przez jakiś czas roztrząsali jeszcze tę kwestię, ale do niczego nie doszli.

— Może błędnie rozumiemy — rzekł w końcu Stafford. — Wiem, że dotąd podczas tych tanzańskich napadów nie zginął żaden turysta. Ale prędzej czy później tak się musiało stać, kiedy ludzie noszą karabiny. Może ten zamach na Corlissa należy uznać za statystyczne odchylenie — aberrację tanzańską.

— Nie — sprzeciwił się Chip. — Mogę zrozumieć, że karabin wystrzelił i kogoś zabije. Ale

tu dwóch ludzi celowo zabrało Corlissa i, jak sam powiedziałeś, to, czego byłeś świadkiem, najbardziej przypominało egzekucję. Dokonano tego z premedytacją.

— Jezu! — westchnął Corliss.

— Ale dlaczego? — spytał Stafford.

Pytanie było czysto retoryczne.

Ogień należało podtrzymywać przez całą noc, więc jeden miał pełnić wartę, podczas gdy reszta spała. Pierwsza wachta przypadła Staffordowi.

Mocą nie wypowiedzianej umowy Corlissa nie uwzględniono; nikt by nie zasnął, wiedząc, że ten strażnik jest wyposażony w dwa karabiny i pistolet. Gdy dobiegł końca czas warty Stafforda, rozciągnął się na ziemi, bez nadziei na zaśnięcie, ale obudził się dopiero wtedy, gdy Nair szarpnął go za ramię.

— Świt — oznajmił.

Stafford wstał obolały i zeszywniały. W czasie służby wojskowej na Saharze wielokrotnie spał na ziemi, pod gołym niebem. Lecz to sport dla młodych, a w miarę upływu lat nie jest to już zabawne.

— Gdzie Chip? — zapytał, rozglądając się dookoła.

— Wyruszył o brzasku — dziesięć minut temu. Powiedział, że wróci za godzinę, najwyżej dwie. — Nair skinął głową w stronę Corlissa. — Musimy poczynić pewne przygotowania w związku z nim. Nikt go nie może zobaczyć, łącznie z policją.

Stafford przeciągnął się.

— Wiem, że obaj wykazujecie zdumiewającą skuteczność działania, ale chciałbym wiedzieć, w jaki sposób Chip to załatwi. LZK wciąż musi mieć spore wpływy.

— Ludowy Związek Kenii już nie istnieje. — Nair uniósł brwi. — Jak więc może mieć wpływy?

— W porządku, Nair, niech będzie po twojemu.

— Max, chciałbym cię ostrzec. Otwarta rozmowa o LZK jest wysoce nierozsądna. Tego typu gadanina może zaprowadzić cię do więzienia. W Kenii to ciągle drażliwy temat.

Stafford pojednawczo uniósł rękę.

— Z mych ust nie padnie już ani słowo. — Nair przytaknął poważnie.

Upłynęło dwie i pół godziny, zanim wrócił Chip. Sprowadził ze sobą dwóch ludzi, których przedstawił jako Daniela Wekese i Osano Gichure.

— Dobrzy przyjaciele — oznajmił.

— Tylko przyjaciele? — ironizował Stafford. — A nie szwagrowie?

Chip zignorował zaczepkę.

— Zajmą się Corlissem i wyprowadzą go z Mara.

— Gdzie go zabiorą?

— Później do tego dojdziemy. Nie wrócili jeszcze ci turyści, a granica po stronie kenijskiej aż roi się od policji. — Potarł policzek. — Zapewne są dalej w Tanzanii. Bose europejskie stopy sprawiają, że idą bardzo wolno. Chociaż, o ile znam Adama, powinni zjawić się nad ranem.

— A znasz go?

— Tak. Chcę z nim porozmawiać. Chcę dowiedzieć się dokładnie, w jaki sposób zgarnęli ich Tanzańczycy. Chcę też coś zjeść, więc ruszajmy.

Chip rozmówił się z Corlissem. Obiecał mu opiekę pod warunkiem absolutnego posłuszeństwa. Ruszyli dalej, kierując się znów na północ. Karabiny i Uzi zostawili dobrym przyjacielom Chipa, a on sam kazał Staffordowi opróżnić kieszenie z amunicji.

— Gdyby policja znalazła choćby jeden nabój, wpakowalibyśmy się w nie lada kłopoty — uprzedził.

Oświadczył, że po drodze spotkał patrol.

— Trzymaj się tylko uzgodnionej wersji, a wszystko będzie w porządku. Okazało się, że Chip miał rację. Szli przez godzinę i spostrzegli jadący w ich stronę samochód, który podskakiwał na wybojach drogi wiodącej przez busz. Siedzieli w nim: porucznik policji i konstabl, obaj uzbrojeni. Opowiedzieli im swoją historyjkę, a porucznik pokręcił głową.

— Śledzenie tych ludzi było bardzo nierozsądne, mogło się okazać niebezpieczne. Cieszę się, że pan Chipende miał na tyle rozumu, by powstrzymać was od przekroczenia granicy.

Stafford spojrział wilkiem na Chipa, przykładowego obywatela.

— Mam nadzieję, że nie zepsuło to pańskich wakacji, panie Stafford — zagadnął pogodnie porucznik. — Zapewniam, że te incydenty należą do rzadkości. Pewne niecywilizowane elementy w sąsiednim kraju wymykają się spod kontroli.

— Czy są jakieś wiadomości o grupie turystycznej? — spytał Nair.

Porucznik spojrział ze smutkiem.

— Jeszcze nie. Gdy wrócą, zostaną gorąco powitani. Wskakujcie. Zawiozę was do Keekorok w sam raz na drugie śniadanie.

Ruszyli z powrotem do domku myśliwskiego w Keekorok i dotarli tam w ciągu pół godziny; niezbyt długo, lecz wystarczająco by Stafford zdążył się zastanowić, czy do normalnych obyczajów kenijskich oficerów policji należało rozdawanie klapsów za podobne do ich wykroczenia. Spodziewał się ostrej reprimendy, a ten porucznik przeproszał go za zmarnowane wakacje. Może z jego punktu widzenia każdy europejski turysta jest idiotą.

Ich przyjazd spowodował drobne zamieszanie. Mimo iż wyszedł do nich kierownik i próbował cichcem ulokować ich w domkach, zostali zauważeni i otoczeni przez zaciekawiony, różnojęzyczny tłum. Wiedziano, że nie wrócili na noc i że wciąż brakuje drugiej grupy. Sądząc zaś z wyrazu twarzy kierownika i jego wymijających odpowiedzi, wszyscy nagle poczuli się przypadkowymi świadkami wydarzeń politycznych.

Oczekiwał ich również Curtis, z twarzą wykrzywioną szczerym uśmiechem ulgi. Uwolnił Stafforda od szczególnie natarczywego Amerykanina i powiedział:

— Mam nadzieję, pułkowniku, że wszystko w porządku.

— Jestem tylko zmęczony i nieco wyczerpany podróżą, sierzancie. Zaprowadź mnie na śniadanie i do łóżka.

— Kierownik kazał panu podać śniadanie do pokoju. Myślał, że tak będzie lepiej.

— Lepiej dla kogo? — skrzywił się Stafford. Domyślał się, że kierownik pragnął jedynie, by natychmiast zniknęli, nie zarażając innych turystów wirusem złych wiadomości. Sytuacja mogła ulec pogorszeniu w chwili powrotu reszty; porwanie turystów nie było dobrą reklamą dla domku myśliwskiego Keekorok. Dalsze pogorszenie może nastąpić, gdy okaże się, że jeden z turystów nie wróci w ogóle i gdy będzie wiadomo, że to amerykański milioner. Kierownik nawet nie przypuszczał, co go jeszcze czeka.

— Posłuchałem twojej rady, sierzancie — oznajmił przy śniadaniu Stafford i zrelacjonował najnowsze wydarzenia. — Oddzieliliśmy Hendrixa od Gunnarssona.

Curtis zwykle był człowiekiem flegmatycznym, zachowującym niewzruszony spokój, ale ta historia sprawiła, że grube, czarne brwi podpełzły mu do góry, niczym dwie włochate gąsienice. Istniała nawet obawa, że zaatakują łysinę. Gdy Stafford skończył, milczał przez chwilę, zanim przypomniał sobie, że należy zamknąć usta.

— A więc macie Hendrixa — to znaczy Corlissa. Gdzie?

Stafford posmarował masłem grzanekę.

— Nie wiem. Chip, nie wiadomo skąd, ściągnął dwóch typów, którzy wzięli go ze sobą. — Odgryzł kęs i powiedział niewyraźnie: — Sierzancie, chyba powinniśmy cię przechrzcić na Aladyna. Wyczyściłeś lampę i uwolniłeś dzina. Moje najdrobniejsze życzenie jest dla Chipa rozkazem i nie mam pojęcia, jak on to, do diabła, robi. Czysta magia.

— Właśnie coś do mnie dotarło — odezwał się Curtis.

— Co takiego?

— Pamięta pan, kiedy przyjechaliśmy do Masai Mara i zatrzymaliśmy się przy bramie. Chip nas wprowadził. Żeby dostać się do rezerwatu, jakiegokolwiek rezerwatu, należy zapłacić.

Stafford kiwnął głową.

— Powiedział, że jesteśmy jego gośćmi.

— Ale on też nie płacił — obstawał Curtis. — Nie dał żadnych pieniędzy. Pokazał jakąś kartę i podpisał się w książce.

Stafford był zmęczony i tęsknym wzrokiem spoglądał na łóżko. — Może miał bilet sezonowy — wymamrotał. Istniało jednak nikłe prawdopodobieństwo, ażeby bilet sezonowy mógł być ważny na cztery osoby.

Curtis obudził Stafforda.

— Zapewne pułkownik chciałby wiedzieć, że przybyła druga grupa. Od razu oprzytomniał.

— Oczywiście. Która godzina?

— Właśnie minęła druga. — Stafford zmrużył oczy i zdeorientowany spojrzał na zasunięte zasłony. — Po południu — wyjaśnił uprzejmie Curtis.

Stafford nałożył koszulkę, szorty i wsunął stopy w sandały.

— Jeżeli pułkownik nie ma nic przeciwko temu, pójdę z Nairem zobaczyć Corlissa — powiedział Curtis.

— Dlaczego?

— Chip mówił, że brakuje im żywności, więc ją zawieziemy. — Umilkł na chwilę. — Lepiej, żebyśmy wiedzieli, gdzie on jest.

Stafford kiwnął przyzwalająco głową.

— Wykonać, sierżancie.

W holu panował gwar i ścisk, spowodowany przez komitet powitalny ciekawskich — gości, którzy nie pojechali oglądać zwierząt. Zebrało się ich sporo. Stafford podejrzewał, że obserwowanie zwierzyny w Masai Mara przestało być aktualną częścią programu turystycznego, przynajmniej dopóki nie ucichnie ta burza. Oglądanie zwierząt to jedna sprawa, a narażanie się na porwanie — zupełnie inna.

Podszedł do opartego o ścianę Chipa.

— Jak się czują?

— Jeszcze ich nie widziałem i przez jakiś czas nie mamy na to szansy. Są pod silną eskortą policji.

Po chwili weszli uratowani turyści, poprzedzeni chmarą funkcjonariuszy. Cała szóstka — rodzina Roche, Gunnarsson, Koters i Adam Muliro. Nie szli zbyt swobodnie, ale stopy mieli już zabandażowane i dostarczono im odzież, choć kiepsko dopasowaną i nieodpowiednią, lecz niezbędną.

Tłum napierał zewsząd, wykrzykując pytania, ale policjanci utworzyli kordon, nikogo nie dopuszczając.

Starszy sierżant policji uniósł obie ręce; w jednej z nich trzymał trzcinkę.

— Proszę o spokój! Ci ludzie nie czują się dobrze. Pilnie potrzebują opieki lekarskiej. Proszę zrobić przejście.

Na chwilę zapanował spokój, po czym ktoś zawołał:

— Jest ich tylko sześcioro. Kogo brakuje?

— Nie pojawił się jeszcze pan Hendrix. Ciągłe go szukamy.

Zaczęły błyskać flesze aparatów, Stafford obserwował Gunnarssona. Wydawał się mu zawiedziony i pokonany. A więc tak wygląda człowiek, którego wykiwano na sześć milionów dolarów. Podobnie musiało wyglądać wielu ludzi podczas krachu w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku w Nowym Jorku, nim wyskoczyli z okien drapaczy chmur — wyraz nieukierunkowanego gniewu, wywołanego niesprawiedliwością porządku rzeczy. Nie znaczy to, że Gunnarsson popełniłby samobójstwo. Nie należał do tego typu ludzi, a poza tym wcale nie stracił tych pieniędzy, bo ich nigdy nie miał. Niemniej był to dla niego ciężki cios.

Po wyprowadzeniu całej grupy zniknął Staffordowi z oczu. W chwili, gdy przechodził Adam Muliro, Chip wykonał jakiś gest, na który Adam odpowiedział niedostrzegalnym ruchem głowy.

— Szybko się z nim nie zobaczymy — powiedział Chip. — Chodźmy popływać.

Pomysł był dobry, odczekali więc, aż tłum się przerzedził i poszli w stronę basenu. Znajdowali się już w połowie drogi, gdy ktoś ich dogonił.

— Pan Stafford? — Odwrócił się i zobaczył mężczyznę, który pytał przed chwilą o brakującego uczestnika wycieczki.

— Eddy Ukiru — „Standard”. Czy mogę zamienić z panem parę słów?

Z tyłu, za Ukiru, jakiś człowiek czał się z dziennikarskim aparatem fotograficznym. Stafford zerknął na Chipa, który wzruszył ramionami:

— Czemu nie?

Stafford udzielił więc wywiadu prasowego. Podczas rozmowy, ku widocznemu niezadowoleniu Ukiru, przyłączył się do nich reporter z konkurencyjnej gazety „Nation” i Stafford musiał powtórzyć kilka szczegółów. W zasadzie trzymał się przygotowanej wersji, potwierdzonej przez Chipa. Ukiru dał wyraz ostrożnemu niedowierzeniu:

— A więc zawróciliście na granicy? — dopytywał się. — Skąd wiedzieliście, że to granica? Nie ma tam przecież żadnego ogrodzenia ani oznakowania.

— O to musi pan już zapytać pana Chipende — odparł Stafford wymijająco.

Tak też dziennikarz uczynił, a Chip szybko przeszedł na suahili. W końcu Ukiru wzruszeniem ramion przyjął do wiadomości jego tłumaczenie, fotografowie zrobili zdjęcia i odeszli.

— Cholernie szybko się tu dostali. Jakim cudem? — zapytał Stafford.

— Kierownik musiał zadzwonić do swojej dyrekcji, ci zaś powiadomili policję w Nairobi. Sporo możliwości przecieków do prasy. Pewnie wynajęli samolot. Tam jest pas startowy.

— Tak, widziałem go — przyznał Stafford. — Ale nie miałem pojęcia o telefonie. Nie widziałem żadnych przewodów.

— Kierownik ma w swoim biurze radiotelefon — wyjaśnił z uśmiechem Chip. — A drutów nie możemy używać, bo słonie przewracają słupy telegraficzne. Chodźmy wreszcie popływać.

Stafford pragnął znaleźć się w pobliżu Gunnarssona. Okazja ku temu nadarzyła się podczas koktajlu, poprzedzającego kolację. Z wyjątkiem Adama Muliro członkowie ocalałej grupy w komplecie siedzieli w barze, odpowiadając na dziesiątki pytań. Panowała atmosfera ogólnej euforii. Często rozlegał się śmiech rodziny Roche i Kosterse. Teraz, gdy wyszli z przygody cało, wydawała się im prawie nierealna, stając się pomysłem na konwersację w trakcie proszonych obiadów na kilka najbliższych lat. Przygoda jest zaledwie niedogodnością, gdy się ją rozpamiętuje w spokoju.

Stafford rozmawiał z Kostersem i Michele Roche. Bez większych trudności uzyskał od nich relacje, po czym, z udanym zdumieniem, zapytał:

— Ale co z Hendrixem? Co się z nim stało?

Euforyczna wesołość zniknęła bez śladu.

— Nie wiem — przyznał bezradnie Kosterse. — Zabrali go i zaraz potem usłyszeliśmy strzały.

— Myślicie, że nie żyje?

— Nie wrócił — ze smutkiem powiedziała Michele. — Nie widzieliśmy go już więcej.

Stafford zerknął na Gunnarssona. Nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. Siedział z wyciągniętymi nogami, ponuro wpatrując się w zabandażowane stopy. Ktoś znalazł mu kaptcie i przyciął tak, by pasowały do nóg w bandażach. Stafford wziął drinka i podszedł do niego.

— Przeżyliście paskudne chwile. Och, nazywam się Stafford.

Gunnarsson zmierzył go wzrokiem.

— Stafford? To pan próbował iść za nami?

— Nie doszliśmy daleko — skrzywił się Stafford. — Zgubiliśmy drogę i tylko wyszliśmy na cholernych głupców.

— Czy mogę zaproponować panu drinka? — Stafford usiadł. — Jestem John Gunnarsson.

— Odwrócił się i spojrział na Stafforda, kręcąc przecząco głową. — Nic byście nie wskórali. Ci faceci byli chodzącym arsenałem, ale dzięki za dobre chęci. Czego się pan napije?

– Dżinu z tonikiem.

Gunnarsson przywołał kelnera i złożył zamówienie, po czym westchnął.

– Chryste, cóż za przeżycie. Nieraz znajdowałem się w trudnych sytuacjach, ale ta należała do najtrudniejszych.

– Mówiono mi, że zdarzały się już takie wypadki – zagadnął zdawkowo Stafford.

– Taak. Ci dupowaci Kenijczycy powinni wzmocnić straż graniczną. Wie pan, co było najgorsze? Nic tak nie odbiera człowiekowi sił, jak rozebranie go do rosołu. – Prychnął. – No, może nie całkiem, zostawili nam przecież slipy. – Zadumał się. – Kiepsko się wracało w słońcu i wśród cierni. Wydaje mi się, że stopy mam wielkości futbolówki. W dodatku jeszcze ta przekłeta hiena...

– Hiena?

– Wielka jak sukinsyn. Truchtała, jak sądzę, równo za nami, w odległości jakichś stu metrów. Tylko czekała, by ktoś został z tyłu lub odpadł. Gdyby nie ten neg... ten czarny facet, Adam Jakiśtam, nigdy byśmy nie wrócili. Był dobry.

– Słyszałem, że ktoś nie doszedł – powiedział Stafford.

– O Jezu! – szyja Gunnarssona nabrzmiała.

– Co się z nim stało? Nazywał się chyba Enderby, prawda?

– Hendrix. – Gunnarsson spojrzał groźnie. – Nas było sześcioro, ich sześciu i Adam, ten kierowca. Problem polegał na tym, że mieli broń. Kałasznikowy. Wie pan, co to takiego?

Stafford pokręcił głową.

– Nie stykam się z takimi rzeczami.

– Ma pan szczęście. To produkowane przez Rosjan karabiny samoczynne. Zupełnie nic nie mogliśmy zrobić. Beznadziejna sprawa. – Zacisnął dłoń w pięść. – Później dwóch odciągnęło Hendrixa i po jakimś czasie rozległy się strzały. Wtedy, proszę sobie tylko wyobrazić, pozostała czwórka czarnuchów wybuchnęła śmiechem.

– Nie potrafię – rzekł ponuro Stafford. – Czy ci ludzie nosili mundury?

– Taak. Kombinezony ochronne. Prawdziwa drużyna wojskowa. Jezu, ale kłopoty zaczną się dopiero, kiedy wrócę do Nairobi. Taki czyn wobec obywatela amerykańskiego nikomu nie ujdzie na sucho.

– Co ma pan zamiar zrobić? – spytał Stafford z zainteresowaniem.

– Co zrobić! Zrobię piekło u amerykańskiego ambasadora, ot co! Hendrix był naprawdę miłym facetem i chcę, by go odnaleziono – żywego lub martwego. A jeśli nie żyje, chcę krwi, nawet gdybym miał z tym pójść do ONZ.

Stafforda zastanowiło to oświadczenie. Jeżeli Gunnarsson był gotów narobić smrodu na

tak wysokim szczeblu, znaczyło to, że prawdziwy Hendrix nie mógł już przeciw temu zaprotestować. Jak to Chip określił: „odsunięty w sposób ostateczny”. Zabójstwo świeżo upieczonego amerykańskiego milionera z pewnością znajdzie się w nowojorskich gazetach, jeśli Gunnarsson chciał rozdmuchać sprawę. Oznaczało to również, że sam czuł się bezpieczny.

— Długo pan go znał? Chodzi mi o Hendrixa?

— Jakiś czas, niezbyt długo — odparł Gunnarsson. — Ale nie w tym rzecz, panie Stafford. Chodzi o to, że nie mogą zrobić czegoś takiego z obywatelem amerykańskim i mam zamiar wykrzyknąć to głośno i wyraźnie.

Tak, była to jego jedyna szansa, gdyby Hendrix—Corliss ocalał i znajdował się w rękach Tanzańczyków. Tylko silna presja dyplomatyczna wywarta na Tanzanię przez Kenię i Stany Zjednoczone mogła zwrócić Gunnarssonowi jego chodzący kufer pieniędzy. Wymagało to wprawdzie opanowania, ale Gunnarsson miał go wystarczająco dużo.

— Życzę panu wszystkiego najlepszego — powiedział Stafford. — Pozwoli pan, że teraz ja postawię drinka.

Po niedługim czasie pożegnał się.

— Powodzenia — rzekł, przechodząc za krzesłem Gunnarssona i klepnął go w ramię. Gunnarsson podskoczył z wrzaskiem. Obolałymi stopami uderzył o podłogę, wydając kolejny, przesywający krzyk. Stafford grzecznie przeprosił, twierdząc, że zapomniał o oparzeniach słonecznych i szybko się oddalił.

Następnego ranka wyruszyli do Nairobi tak samo jak wielu innych ludzi, tyle że z odmiennych przyczyn. Po zorientowaniu się, w jakim stanie grupa wróciła z wymuszonego na nich, krótkiego pobytu w Tanzanii, bardziej bojaźliwi turyści udali się do recepcji, by uregulować rachunki. Kierownik był przygnębiony, ale pogodził się z faktami.

Jeszcze raz przebyli karkołomną drogę do Narok i odetchnęli z ulgą, wjeżdżając na asfaltową szosę, prowadzącą aż do Nairobi. Przed hotelem „Norfolk” zaparkowali akurat w czasie lunchu. Stafforda spotkała niespodzianka. Gdy otworzył drzwi swego pokoju, natknął się na kopertę wsuniętą przez szparę. Zawierała lakoniczną wiadomość: „Wróciłem. Wpadnij. Pokój 14. Ben”.

Rzucił torby, udał się do pokoju numer czternaście i zapukał. Ostrożny głos spytał:

— Kto tam?

— Stafford.

Trzasnął zamek i drzwi otworzyły się na oścież. Gdy wszedł, Hardin naskoczył na niego:

— Gdzieś się, do diabła, podziewał? Od dwóch dni dzwonię co dwie godziny i nikt mi nie odpowiada. Wskakuję więc do samolotu i co tu zastaję? Nikogo nie ma. — Najwyraźniej czuł się dotknięty.

— Spokojnie, Ben — powiedział Stafford. — Musieliśmy wyjechać, ale teraz już wiemy więcej. — Zamilkł i przeanalizował w myślach to oświadczenie. — Gdybym jeszcze wiedział, co to wszystko znaczy.

Hardin przyjrzał się Staffordowi z bliska.

— Masz podrapaną twarz. Spotkałeś się gdzieś z jakąś damą?

Stafford usiadł.

— Gdy skończysz się wygłupiać, możemy rozmawiać dalej. Zostałeś wysłany w określonym celu. Znalazłeś coś?

— Właśnie zamówiłem lunch do pokoju. Nie chciałem jeść w miejscu publicznym, nie wiedząc, gdzie przebywa Gunnarsson. Odwołam go.

— Nie, zjemy razem — zaproponował Stafford. — Podwój tylko zamówienie.

— W porządku. — Hardin telefonicznie przekazał zamówienie, potem otworzył lodówkę i wyciągnął dwie butelki piwa. — Jan—Willem Hendryxx — stary człowiek i podróżnik. Wydałem sporo twoich pieniędzy, Max, telefonowałem bardzo dużo. Rachunki są ogromne. Musiałem pojechać do Belgii. — Uniósł rękę. — Nie martw się, leciałem ekonomiczną klasą.

— Myślę, że firma to wytrzyma.

Hardin podał Staffordowi otwartą butelkę i szklanę.

— Napisałem szczegółowy raport, ale streszczenie mogę przekazać ci teraz. Dobra?

— Wal.

Hardin usiadł.

— Jan—Willem Hendryxx, urodzony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym w — możesz wierzyć lub nie — w Holboken.

— W Stanach! — Zdumiony Stafford otworzył szeroko oczy.

— Mnie też to uderzyło — przyznał Hardin. — Ale nie, oryginalne Holboken jest małą miejscowością tuż pod Antwerpią w Belgii. Rodzice biedni, ale uczciwi, a to więcej niż możemy powiedzieć o Janie—Willemie. Przyzwoite, jak na tamte czasy, wykształcenie, ale w wieku siedemnastu lat uciekł na morze. Przypuszczam, że tłukł się trochę po świecie, osiadł jednak w Południowej Afryce w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, gdzie poślubił Annę Vermuelen.

Potarł brodę.

— W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, w Johannesburgu był strajk, jeżeli tak można to nazwać. Obie strony dysponowały artylerią i według mnie bardziej przypominało to wojnę domową. W każdym razie Jan—Willem zniknął, zostawiając Annę z całym majdanem — w tym małe bliźniaki, Jan i Adrian. Jan został później ojcem Dirka Hendrixa, natomiast Adrian ojcem Hanka Hendrixa — faceta, którego znalazłem w Los Angeles. Czy nadążasz?

— Wszystko jest całkiem jasne — odparł Stafford.

— Jan—Willem wskoczył na frachtowiec płynący do San Francisco, polubił klimat kalifornijski i zdecydował się tam osiedlić. Weź pod uwagę, że były to czasy prohibicji. Większość ludzi, gdy słyszy o prohibicji, myśli o „burdzie rumowej” pod Atlantic City, ale równie wiele alkoholu płynęło na Zachodnim Wybrzeżu, z Kanady, albo z Meksyku, a Hendryxx wszedł w ten interes. Kiedy odwołano zakaz, był już nieźle ustawiony.

— Chcesz powiedzieć, że był gangsterem z prawdziwego zdarzenia?

Hardin wzruszył ramionami.

— Można tak to ująć. Ale zrobił błąd — nigdy nie przyjął obywatelstwa amerykańskiego. Kiedy więc powinęła mu się noga, nie wpakowano go do więzienia, tylko deportowano do kraju, w którym się urodził, jako niepożądanego obywatela. Przybył do Antwerpii w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

— Ben, pracowicie spędziłeś ten czas — przyznał Stafford. — W jaki sposób odkryłeś to wszystko?

— Przeczucie. To, na co trafiłem w Belgii, dowodziło, że Hendryxx był oszustem. Miał jakoby zostać zabity w Johannesburgu w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, ale przecież tak się nie stało. Zacząłem się więc zastanawiać, dokąd mógł się udać. Istniało spore prawdopodobieństwo, że jako oszust figurował w kartotekach. Mam jeszcze paru dobrych kumpli w FBI z okresu, kiedy sam pracowałem w CIA. Sprawdzili. Hendryxx ma tam opasłe akta. Gdy zainteresowało się nim FBI, został prześwietlony bardzo dokładnie. Stąd właśnie ten rachunek telefoniczny. Spędziłem bitych sześć godzin na rozmowach ze Stanami.

Przerwało im wejście pokojowego, który zjawił się z lunchem i nakrył do stołu. Hardin zaczekał, aż wyszedł, i podjął relację.

— Nie wiem, czy Hendryxxowi wyszło na dobre, że akurat wtedy przyjechał do Antwerpii. Zapewne tak. Niemiecka ofensywa rozpoczęła się dziesiątego maja, Holandia i Belgia padły, a wkrótce po nich i Francja. Antwerpia znalazła się w rękach niemieckich w dwa tygodnie po przyjeździe Hendryxxa. Jego historia w czasie wojny jest mglista, ale z tego, do czego udało mi się dotrzeć, wynika, że siedział głęboko w belgijskich szwindlach, działał na czarnym rynku i tak dalej. Oczywiście wówczas uznawano taką postawę za patriotyczną, ale wydaje mi się, że Hendryxx nie stronił również od robienia interesów z Niemcami.

— Kolaborant?

Hardin wbił zęby w kanapkę i z pełnymi ustami powiedział:

— Nigdy tego nie udowodniono. Ale po wojnie był znacznie zamożniejszy niż przed wojną. Założył spółkę importowo—eksportową, a kiedy powołano Europejską Wspólnotę Gospodarczą, zaczął działać po swojemu, co oczywiście znaczy, że nielegalnie. Istniało mnóstwo przepisów EWG, które dały się różnie interpretować. Na maśle płynącym barkami w górę Renu z Holandii do Niemiec zmieniano etykiety i odsyłano z powrotem do Holandii, a Hendryxx zgarniał pieniądze. Z jedną barką mógł kilkakrotnie powtarzać ten sam numer tak długo, dopóki ładunek nie zjełczał. Brał zresztą udział w wielu podobnych, nielegalnych przedsięwzięciach.

— Cholerny stary oszust — podsumował Stafford.

— W ciągu tych lat jeszcze dwukrotnie się ożenił, popełniając tym samym podwójną bigamię, gdyż jego pierwsza żona, Anna, wciąż żyła w Południowej Afryce. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym przeszedł na emeryturę i osiadł na Jersey, zapewne ze względu na podatki. Był już wtedy bardzo stary. Zmarł w ubiegłym roku, zostawiając niemal sto milionów dolarów, z czego większość poszła na rzecz fundacji Ol

Njorowa w Kenii. Koniec historii.

Stafford gapił się na Hardina.

— Ben, chyba żartujesz. A gdzie tu jakikolwiek związek z Kenią?

— Nie ma żadnego — przyznał lekko Hardin.

— Ale musi być.

— Ja nie umiałem go wyniuchać. — Pochylił się. — A powiem ci coś jeszcze. Hendryxx nigdy nie był zbyt grubą rybą, w dodatku oszuści jego pokroju zwykle sporo wydają. Wątpię, czy przez całe życie zarobił więcej niż pięć milionów dolarów. Najwyżej dziesięć. Naturalnie całkiem nieźle, ale nie robi to zeń rekina finansowego. Skąd więc się wzięła reszta forsy?

— Za każdym razem, gdy znajdujemy coś nowego, cała sprawa staje się jeszcze bardziej mętna — rzekł zde gustowany Stafford.

— Sprawdziłem jeszcze parę innych rzeczy — mówił dalej Hardin. — Pojechałem na Jersey i obejrzałem świadectwo zgonu Hendryxxa w Graffe — to tamtejsze biuro notarialne. Stary zmarł na atak serca. Rozmawiałem z jego lekarzem, Mortonem, który to potwierdził. Powiedział, że Hendryxx mógł odejść w każdej chwili, ale... — Hardin pokręcił głową.

— Ale co? — zainteresował się Stafford.

— Nic, do czego można by się przyczepić, odniosłem jednak wrażenie, że Mortona coś trapi. — Hardin ponownie napełnił szklanę. — Po powrocie do Londynu sprawdziłem Mandeville'a, prawnika, który w Londynie zajmował się sprawą spadku. Skrajnie pracowity facet. Zdobywa sobie pozycję, broniąc grup neonazistów, facetów, którzy trafiali do sądu za rozruchy na tle rasowym. Nie sądzę jednak, by miało to coś wspólnego z nami.

— Nie — przyznał Stafford. — Czy rozmawiałeś z nim?

— Nie mogłem. Spędza urlop w Południowej Afryce. — Hardin upił nieco piwa. — A co nowego u was?

Stafford opowiedział mu i kiedy skończył, zrobiło się późne popołudnie, a nie wypita kawa wystygła. Hardin wysłuchał wszystkiego z uwagą.

— Nieźle użyliście — skomentował. — Gdzie jest teraz ten Corliss?

— Curtis widział go wczoraj — odparł Stafford. — Przebywał na odległym polu namiotowym w Masai Mara, ale nie mam gwarancji, że siedzi tam jeszcze. Co sądzisz o projekcie, jaki Gunnarsson mi przedstawił?

— Słuszny gniew nie leży w stylu Gunnarssona — rzekł Hardin. — Bez wątplenia chce, żeby Corliss wrócił i jeżeli zamierza to załatwić w taki sposób, wiesz, co to oznacza — Hendrix nie żyje.

— Też na to wpadłem — przyznał Stafford.

— Ale jest coś jeszcze. — Hardin wyciągnął portfel. — Dostałem to na poste restante w Londynie od Jacka Richardsona. Jemu przysłał to Charlie Wainwright z Los Angeles. Charlie pamiętał, że interesowałem się Biggie'em.

Wyjął z portfela wycinek prasowy i podał go Staffordowi. Zawierał skrót artykułu z wychodzącego w Los Angeles „Examiner”, mówiący o katastrofalnym pożarze, jaki wybuchł w pewnym domu w Santa Monica. Zginęło w nim sześć osób — wszyscy mieszkańcy. Uważano, że przyczyną wypadku był przegrzany piec garncarski, który eksplodował. Podano nazwiska ofiar. Pięciu Stafford nie znał, ale szóstą ofiarą był Olaf Hamsun, Biggie.

Spojrzał na Hardina i powiedział wolno:

— Czy myślisz to samo, co ja?

— Tak, jeżeli również uważasz, iż Gunnarsson stara się zachować wszystko w tajemnicy.

— Ben, masz cholerny fart. Jakim cudem Gunnarsson cię przeoczył?

— Jak sam powiedziałeś — czysty przypadek. Razem z tym wycinkiem, Jack Richardson przysłał mi list. Napisał w nim, że dom z pokojami do wynajęcia, gdzie mieszkałem, też się spalił. Może w samą porę wymknąłem się do Londynu. — Hardin potarł brodę. — Z drugiej strony, to wcale nie musiał być Gunnarsson. W Bronxie bywa, że podpalają domy, by zgarnąć ubezpieczenie. Całe to cholerne miejsce przecież się rozlatuje.

Stafford sięgnął po wycinek.

— Czy to była cała komuna?

— Chyba tak.

— Oznacza to, że jesteś zapewne jedyną osobą, która może stwierdzić, że Hendrix, który zgłosił roszczenia do spadku jest podstawiony. Co więcej, oznacza to, że Gunnarsson, jeśli zrobi wielką awanturę w ambasadzie, ma pewność, że nie wyskoczysz skądś, by udowodnić mu, że się myli. Jeżeli Gunnarsson uważa, że zostałeś wyeliminowany z gry — a tak się właśnie zachowuje — daje nam to pewną przewagę.

— Co mam zrobić? Ubrać się w białą koszulę i udawać ducha, by wystraszyć go na śmierć?

— Coś wymyślimy. Wróćmy jednak do głównej kwestii. Komu mogłoby zależeć na śmierci Hendrixa? Chip zadał pytanie: kto po nim dziedziczy? Odpowiedź brzmi: jego kuzyn i jedyny krewny, Dirk Hendrix. Twierdziłem, że nie mógł tego zorganizować, bo przebywa w Anglii, ale obecnie odległości nie są przecież żadnym problemem.

— Był w Anglii — sprostował Hardin. — Zapomniałem ci powiedzieć. Przyleciał dziś rano tym samym samolotem, co ja.

— Naprawdę? — zdziwił się Stafford.

— Wszystko w porządku, Max. Nigdy mnie nie spotkał. Poza tym leciał pierwszą klasą, a ci faceci z przodu nie zadają się z boi polloi z ekonomicznej.

— Widzę, że obracam się w towarzystwie prawdziwych jajogłowych — zakpił Stafford. — Najpierw Chip wyjechał z łaciną, teraz ty z greką.

Hardin przesunął rękę po zarysie kości szczękowej.

— Od samego początku miałeś dziwne uczucie co do Hendriksa, prawda? Czy mógłbyś mi powiedzieć dlaczego?

— W tej sprawie podejrzewam każdego — westchnął Stafford. — Im więcej o niej wiem, tym bardziej wydaje mi się dziwna. — Wzruszył ramionami. — A jeśli chodzi o Dirka, to chyba tylko intuicja. Tak naprawdę nigdy go nie lubiłem, nawet zanim przyjechałeś ze swoimi rewelacjami na temat Gunnarssona.

Hardin spojrzał na niego bystro.

— Czy ma to coś wspólnego z jego żoną?

— Ależ nie, na Boga! A przynajmniej nie w tym sensie, jak myślisz. Alix nic dla mnie nie znaczy, oprócz tego, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie lubię jednak patrzeć, jak ktoś rani moich przyjaciół. To zamożna kobieta, a Dirk tuczy się jej kosztem, a przynajmniej robił to do chwili, nim wybuchła sprawa Hendryxa. Jak na mój gust jest za bardzo rozrywkowy. — Stafford zmienił temat. — Ile czasu spędziłeś w Kenii wtedy, gdy pracowałeś dla CIA?

— Parę lat.

— Potrafisz się tu poruszać?

— Jasne. Niewiele się zmieniło.

— Masz tu jeszcze jakieś kontakty?

— Przypuszczam, że parę. Zależy, czego potrzebujesz.

— Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o Pete Chipende i Nairze Singhu, szczególnie o Chipie. Zauważyłem, że ma skłonność do wydawania rozkazów, a Nair je posłusznie wykonuje.

— W jakim celu? — Hardin zmarszczył brwi. — Sądząc z twojej relacji, są ogromnie pomocni.

— O to właśnie chodzi — odparł Stafford. — Za dużo pomagają i są zbyt skuteczni. Kiedy chciałem pozbyć się Corlissa, Chip po prostu zanurzył się w najgęstszym buszu i bez kłopotu wrócił z dwoma przyjaciółmi. Jest jeszcze kilka innych spraw. Po pierwsze znają się na żołnierce — nie są amatorami. Prawdę mówiąc są zawodowcami w każdym calu. Jest również coś, co mi zasygnalizowałeś tuż przed odlotem do Anglii.

— Co takiego?

— Powiedziałeś, że za Chipem i Nairem stoją inni. Że może ich nie widać, ale muszą istnieć. Myślę, że miałaś rację, uważam także, że jest to szeroko rozgałęziona organizacja, i chcę wiedzieć jaka, nim zanurzymy się w tym wszystkim po uszy. To prawda — Chip bardzo się przydaje, ale wolę się upewnić, że nie popycha do więzienia lub do trumny. Wolałbym nie wpakować się w jakąś polityczną kabałę.

Hardin zadumał się na chwilę.

— Nie wiem, kto tu jest obecnie na placówce CIA. Chyba wybiorę się do ambasady zobaczyć, czy nie spotkam kogoś znajomego.

— Zechcą z tobą rozmawiać?

— Zależy — wzruszył ramionami. — CIA niczym nie różni się od innych organizacji. Są w niej dranie, ale i przyzwoici faceci również. — Skrzywił się. — Tylko czasami trudno ich rozróżnić. Gunnarsson okazał się draniem.

— Dobra — powiedział Stafford. — Ale nie chodź do ambasady, zanim nie upewnimy się, że Gunnarssona tu nie ma. Pogadam o tym z Chipem. — Uśmiechnął się. — W ten sposób może mi pomagać do woli. Poproszę, żeby sprawdził Gunnarssona i dam ci znać.

Gdy Stafford wrócił do pokoju, akurat zadzwonił telefon. Zgłosił się Chip.

— Gdzie się podziewałeś? — zapytał. — Wszedłeś do hotelu i rozplynąłeś się.

Stafford spojrział na zegarek. Rozmowa z Hardinem zajęła mu znaczną część popołudnia.

— Miałem coś do załatwienia — odparł wymijająco.

Przez długą chwilę zapanowała cisza. Z tonu głosu Chipa można było odczytać, że jest zaskoczony. Wreszcie Chip odezwał się:

— Wyszło parę nowych szczegółów. Muszę się z tobą zobaczyć.

— Chodź na górę.

— No, co tam masz? — spytał, gdy Chip znalazł się już w pokoju.

— Brice'a — rzekł Chip. — Chciałeś informacji o jego pobycie w Zimbabwie. Wtedy nazywało się Rodezja. Harry i Mary Brice prowadzili gospodarstwo nieopodal Umtali, nad rzeką Sabi. Mieli syna Charlesa. Kiedy ogłoszono JDN i Rodezja uzyskała niepodległość, Charles Brice pokłócił się z rodzicami i wyjechał z kraju. Później, gdy uaktywnili się partyzanci, farmę zniszczono, a rodziców Brice'a zabito.

— Wszystko zgadza się z opowieścią Brice'a — skomentował Stafford.

— Dokładnie — przytaknął Chip.

— Skąd się tego wszystkiego dowiedziałeś?

— Już ci mówiłem. Bracia w Zimbabwie nie odmawiają pomocy. Prosiłeś, żeby sprawdzić

Brice'a. Został więc sprawdzony.

— I wychodzi z tego bielszy niż śnieg. — Stafford nie zastanawiał się zbyt nad tym określeniem, gdyż myślał nad tym kolejnym, spektakularnym przykładem efektywności Chipa. — Chip, musisz mieć za sobą niezłą organizację — stwierdził. — Kiedyś zarzucałeś mi, że zatajam informacje. Powiedz mi więc, kim, do diabła, jesteś?

— Lepiej się czasem powstrzymać od stawiania pytań — upomniał go Chip.

— Niemniej zadaję je.

— A na pewne pytania lepiej nie odpowiadać.

— To nie wystarcza.

— Niczego więcej się nie dowiesz — oświadczył Chip otwarcie. — Nie przeszkadzaj, Max, nie mąć wody. Mogą z tego wyniknąć kłopoty. Kłopoty dla ciebie, dla wszystkich. Zejdź z tego tematu i przyjmuj pomoc. Pomogliśmy, wiesz o tym.

— Wiem, że pomogliście — przyznał Stafford. — Ale nie wiem, dlaczego.

— A ja nie zamierzam ci niczego wyjaśniać. Przestudiuj historię Kenii od chwili opuszczenia jej przez Brytyjczyków i sam wyciągnij wnioski. — Zamilkł na chwilę. — Poruszyłeś pewien temat z Nairem, a on ci poradził, żebyś trzymał język za zębami. Jest to rada, do której powinieneś się zastosować. A teraz pójdźmy dalej. Dzisiaj rano przyleciał z Londynu Dirk Hendriks. Zatrzymał się w „New Stanley”. Czy w dalszym ciągu ma być obserwowany?

— Tak. Skąd wiesz, że przyleciał rano?

— Jak ci już kiedyś mówiłem, mam na lotnisku przyjaciół. Sprawdzamy listy pasażerów każdego londyńskiego lotu, prawdę mówiąc — każdego europejskiego. Stąd też wiemy, że i twój Hardin przyleciał dzisiaj rano.

Stafford wyprostował się.

— Czy nas też obserwujecie?

— Przestań się wściekać — rzekł Chip ze śmiechem. — Mój przyjaciel z lotniska przekazał mi tę informację bez żadnych podtekstów. Czy z Hardinem właśnie spędziłeś całe popołudnie? Powinienem być zgadnąć. Czy już wiesz wszystko?

Obie strony mogą zatajać informacje. Stafford powiedział więc:

— Okazało się, Chip, że ślad prowadzi do nikąd. Hendryxx był starym człowiekiem. Nie da się tak szybko przegrzebać osiemdziesięciu lat życia. Wiem, że Ben ma spore doświadczenie, ale nie jest cudotwórcą.

— Szkoda — skwitował Chip.

— Gdzie jest teraz Corliss?

— Niedaleko. Jeśli ci na tym zależy, mogę go dostarczyć w ciągu godziny.

— Ale miejsca nie zdradzisz.

— Tak jest. Uczysz się, Max. — Spojrzał na zegarek. — Gunnarsson będzie tu przed zachodem słońca, wraca do „New Stanley”. Boję się, że trudno go będzie przyskrzynić.

— Co masz na myśli?

— Ani on, ani Corliss nie złamali kenijskiego prawa. Testament Hendryxxa sporządził prawnik z Jersey i zapewne zgodnie z tamtejszym prawem. Jeżeli Gunnarsson podstawia Corlissa za Hendrixa, nie jest to tutaj żadne przestępstwo, nie oszukano bowiem obywatela Kenii. Na tej podstawie nie możemy ich zatrzymać. Co więc zamierzasz?

— Nie wiem — przyznał Stafford z rezygnacją. — Wiem tylko, że przemawiasz do mnie niczym prawnik.

— Skąd wiesz, czy nie jestem prawnikiem? — uśmiechnął się Chip.

— Nic nie wiem. Jesteś cholernym kameleonem. Jeśli władze kenijskie nie mają żadnego haka na Gunnarssona, nic nie powstrzyma go od wyjazdu. Sądzę, że nie wyjedzie, zanim nie przekona się, co stało się z Corlissem, ale wszystko możliwe. Byłoby nam na rękę, gdyby coś mogło mu przeszkodzić.

— Zawsze mógłby zgubić paszport — zasugerował Chip. — Może by go to nie powstrzymało, ale spowodowałoby opóźnienie do czasu otrzymania dokumentów z ambasady amerykańskiej.

— W jaki sposób miałby zgubić paszport? — spytał Stafford.

Chip rozpostarł ramiona.

— Wciąż się to komuś zdarza. Dziwne, prawda? Przysparza to dużo roboty pracownikom ambasady. — Wstał. — Muszę iść. Mam jeszcze kupę pracy, trzeba uzgodnić pewne sprawy. Spokojnie, Max, nie przejmuj się za bardzo. — Odwrócił się, by odejść, ale jeszcze cisnął na stolik kilka gazet. — Myślałem, że zainteresują cię najświeższe wiadomości.

Wyszedł, a Stafford położył się i zapalił papierosa. Jeśli Chip był członkiem Kenijskiej Unii Ludowej, to z pewnością nie przyznałby się do tego. Z drugiej strony, jeżeli nie należał do niej, to dlaczego dawał do zrozumienia, że tak jest? A może była to sugestia? Czy może Stafford zbyt wiele odczytywał z dwuznaczników Chipa?

Ale to jeszcze nie wszystko. Bez względu na to, czy należał, czy nie należał do zdelegalizowanej partii politycznej, dlaczego z takim oddaniem pomagał Maxowi Staffordowi, posuwając się aż do porwania Corlissa i kradzieży paszportu Gunnarssona, czyli w obu przypadkach dopuszczając się przestępstwa. Stafford był głęboko przekonany, że nie działo się to na prośbę jakichś Hindusów z Londynu, którzy czuli wdzięczność do

Curtisa.

Sięgnął po gazety i przejrzał strony tytułowe. Porwanie grupy turystów i zniknięcie Hendrixa dostało się na czołówki zarówno w „Standardzie”, jak i w „Nation”. Możliwe, że gdyby nie Hendrix, sprawę by zatuszowano. Stafford podejrzewał, że silne naciski ze strony rządowej doprowadziły do wyciszenia wszystkiego, co dawało niezbyt korzystny obraz kraju. Lecz Hendrix stanowił wyjątek — przedtem nikt nie zginął.

Artykuł wstępny w „Standardzie” nawoływał do złożenia niezwłocznie ostrej noty protestacyjnej do rządu tanzańskiego i domagał się wydania Hendrixa, żywego bądź martwego. Ktoś z „Nation” usiłował przeprowadzić wywiad z ambasadorem amerykańskim, ale ten odmówił. Anonimowy, jak zwykle, rozmówca stwierdził, że władze amerykańskie przypatrują się całej historii z niezwykłą uwagą i że podjęły już odpowiednie kroki. Jakie — nie wyjawiał.

W żadnej z gazet nie zamieszczono wywiadu, jakiego Chip i Stafford udzielili Eddy'emu Ukiru, reporterowi ze „Standardu” i jego koledze z „Nation”. Nigdzie nie widniała najmniejsza choćby wzmianka o Staffordzie, Chipie, Nairze i Curtisie. Żadnych fotografii. Jak gdyby nigdy nie mieli najmniejszego związku z tą chwilową sensacją. Oczywiście było to małe piwo w porównaniu ze sprawą Hendrixa, ale dla Stafforda zakrawało to na dziennikarską fuszerkę. Odrzucił gazety na bok i pomyślał, że może Ukiru i jego kompan nie zdążyli na czas z materiałem.

Dopiero gdy zasypiał wieczorem, uświadomił sobie, że nawet słowem nie wspomniał Chipowi o tym, iż testament Hendryxxa został spisany na Jersey. Skąd więc Chip o tym wiedział?

Dirk Hendriks jechał krętą drogą w dół skarpy, kierując się w stronę Rift Valley i Naiwasza oraz czegoś, o czym zawsze myślał, lecz o czym nie wspominał głośno — die Kenya Stasie. Nie znaczy to, że nadawało się do użytku — gotowość do akcji miało uzyskać dopiero po zakończeniu tej sprawy. Mimo wszystko Frans Potgeiter odwalił kawał dobrej roboty, biorąc pod uwagę skromne fundusze, jakimi dysponował. Był sprytnym facetem.

Minął kościół, położony u stóp zbocza, a wybudowany przez włoskich jeńców w czasie wojny, i skręcił w stronę Naiwasza. Musnął wzrokiem drogowskaz do Narok i uśmiechnął się. Potgeiter odniósł również sukces w Masai Mara, po tym, jak wielu innych sromotnie zawiodło. Za dużo było partackiej roboty, za dużo wtrącania się. Jak mówiło przysłowie: „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”. Ale w końcu wszystko zaczęło się wreszcie układać.

Przed Naiwasza skręcił z głównego szlaku i ruszył drogą wiodącą brzegiem jeziora, obok hotelu „Lakę Naivasha”, do Ol Njorowa. W samo Południe zatrzymał się przed wartownią i dał znak klaksonem. Portier zjawił się natychmiast.

— Tak, sahibie?

— Jestem Hendriks. Jestem umówiony z panem Brice'em.

— Już, sahibie. — Portier zawrócił i brama otworzyła się. Gdy Hendriks wjeżdżał, tamten krzyknął ostrzegawczo: — Pole, pole! — Hendriks nie wiedział co to znaczy, dopóki jadąc szybko nie uderzył w pierwszy garb wystający z jezdni, aż zgrzytnął zębami. Zwolnił i pomyślał, że powinien nauczyć się suahili. W przyszłości mogło mu się to przydać.

Zaparkował przed budynkiem administracji i wszedł do środka. W chłodnym holu podszedł do recepcji, w której siedział muskularny młody Murzyn, ubrany schludnie w białą koszulę i szorty. Inny młody Kenijczyk siedział przy biurku z boku i walił w maszynę do pisania.

— Jestem Hendriks, przyjechałem do pana Brice'a — powiedział Hendriks.

— Tak, oczekuje pana. Proszę tędy. — Hendriks podążył za nim przez boczne drzwi i korytarz do biura Brice'a. Z uznaniem pokiwał głową. Potgeiter świetnie wszystko zorganizował, nikt nie mógł się włóczyć po budynku bez kontroli.

Brice siedział za biurkiem, uniósł wzrok i uśmiechnął się na widok Hendriksa. Kenijczyk wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

— Goeie middag, meneer Potgeiter; hoe gaan dit? — odezwał się Hendriks.

Uśmiech gwałtownie zniknął z twarzy Brice'a.

— Żadnego afrikaans — rzekł ostro. — I nazywam się Brice, zawsze Brice. Zapamiętaj!

Hendriks uśmiechnął się i opadł na krzesło.

— Myślisz, że jest tu podsłuch?

— Wiem, że nie ma — powiedział dobitnie Brice, potwierdzając to walnięciem dłoni w biurko. — Ale nie nabierajmy złych przyzwyczajzeń.

— Jestem Południowoafrykańczykiem — odparł Hendriks. — Powinienem znać afrikaans.

— A ja nie — uciął Brice. — Trzymajmy się więc angielskiego, zawsze wyłącznie angielskiego.

— Niech więc będzie angielski — zgodził się Hendriks. — Nawet gdy spiskujemy.

Brice kiwnął głową, zamykając tym temat.

— Jak ci poszło w Londynie?

— W porządku. Ten stary dureń Farrar w przyszłym tygodniu dokona podziału. — Hendriks roześmiał się. — Na to konto, zaraz po powrocie, dał mi czek na sto tysięcy funtów. Wkrótce zaczną ci się napępniać kufry.

— A skoro mowa o czasie — rzekł Brice. — Mam już dosyć pracy bez pełnej niezależności finansowej. — Pokręcił głową. — W Europie za bardzo skomplikowano całą tę sprawę. Powinniśmy zachować bezpośrednią kontrolę. Kiedy Farrar był tutaj, zadał mi kilka podchwytliwych pytań.

— Musieliśmy to umiejscowić na Jersey — powiedział Hendriks. — Czy sądzisz, że wolelibyśmy płacić Brytyjskiemu Ministerstwu Skarbu podatek spadkowy od czterdziestu milionów funtów? Nie po to przeprowadzono całą operację, żeby ładować w Angoli pieniądze. Jeżeli zaś chodzi o Farrara, to Mandeville krótko go trzymał. Farrar jest prawniczym snobem. Pochlebia mu współpraca z wybitnym adwokatem. A Mandeville jest dobry, najlepszy. — Hendriks uśmiechnął się lekko. — Powinien mieć wzgląd na to, ile mu płacimy.

Brice zbył sprawę machnięciem ręki.

— Nigdy nie rozumiałem i nie chciałem zrozumieć, jak to wygląda od strony europejskiej. Miałem własne kłopoty.

Ty miałeś kłopoty! Pomyślał Hendriks z goryczą, ale powstrzymał się od komentarzy. Myślami wrócił do chwili, gdy Alix oznajmiła mu z radością o swej ciąży. Spadło to na niego niczym grom, gdyż w przypadku urodzenia dziecka przed śmiercią Hendryxxa automatycznie stałoby się ono jednym ze spadkobierców, a do tego nie można było dopuścić. Dziecko odziedziczyłoby dwa miliony z tych funtów, co usytuowałoby Alix w

samym centrum operacji.

Chciał zmienić testament i rozmawiał na ten temat z Mandeville'em. Usłyszał jednak, że nie uda się to z Farrarem. Hendryxx był już wówczas zgrzybiały i nie bardzo przy zdrowych zmysłach, Farrar zaś uosabiał prawość. Dlatego też Hendryxx musiał umrzeć przed narodzeniem dziecka. Sprawa była ryzykowna — jak zawsze w przypadku morderstwa — ale udało się ją załatwić. A na to wszystko nałożyły się jeszcze kłopoty spowodowane przez Henry'ego Hendrixa, który zniknął z pola widzenia gdzieś w Ameryce. W każdym razie ten problem również udało się rozwiązać. Czy jednak na pewno?

— Twój kuzyn, Henry, był jednym z waszych problemów, który przerzuciliście na mnie. Dlaczego, do diabła, w ogóle pozwolono mu przyjechać do Afryki?

— Zgubiliśmy go — przyznał Hendriks. — A Pretoria przeoczyła to. Kiedy wreszcie dotarło do nich, że Henry jest ważny, bo stary już nie żył, Farrar zaangażował amerykańską agencję i sam zaczął go szukać. Przedstawiciel agencji dotarł do Henry'ego na jakieś dziesięć minut przed nami. Dziesięć minut i centymetr — parsknął.

— Centymetr? — powtórzył ze zdziwieniem Brice.

— Nasz człowiek strzelił do niego. Trafił w ramię. Centymetr na prawo i Henry nie sprawiałby już żadnych kłopotów.

— No cóż, wreszcie go mamy z głowy — odparł Brice. — Dopilnowałem tego. Czytałeś ostatnie gazety?

Hendriks kiwnął głową.

— Sprawie poświęcono parę wzmianek w angielskiej prasie. — Pochylił się. — Jesteś w błędzie, Brice. Henry wciąż sprawia nam kłopoty. Gdzie jest to cholerne ciało? Potrzebujemy go. Te trzy miliony są zamrożone, dopóki śmierć nie zostanie udowodniona. Nie możemy czekać siedem lat, by je odebrać. W tym stanie rzeczy należy przyjąć, że on tylko zaginął.

Brice westchnął. Wstał i podszedł do okna. Zwrócony plecami do Hendriksa, powiedział:

— Nie tylko on zaginął. Nie wróciło też dwóch moich ludzi.

— Co! — Hendriks zerwał się na równe nogi. — Co powiedziałaś?

Brice odwrócił się.

— Słyszałeś przecież. Straciłem dwóch ludzi.

— Wyjaśnij — rzekł w napięciu Hendriks.

— Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak zaplanowałem. Czytałeś przecież w gazetach. Opowiadania tych turystów całkowicie się zgadzały, z wyjątkiem jednej rzeczy. Mieli

zobaczyć ciało, a nie zobaczyli. Nie było go tam, ani żadnego z moich ludzi.

— Czy Henry mógł się na nich rzucić i uciec? Jakie mieli uzbrojenie?

— Standardowe wyposażenie armii tanzańskiej. Kałasznikowy.

Hendriks potrząsnął głową.

— Nie wierzę, żeby Henry miał tyle odwagi, by dobrać się do nich. W każdym razie, gdyby uciekł, byłby już z powrotem. — Zastanawiał się przez chwilę. — Może naprawdę złapali go Tanzańczycy? Myślę o tych autentycznych.

— Wątpię — odparł Brice. — Parlament podnosi wrzask, a minister Spraw Zagranicznych wywiera nacisk na Tanzanię. Paru moich chłopców na okrągło pilnuje granicy. Tanzańczycy intensywnie przeszukują obszar na południe od Masai Mara. Po co mieliby to robić, gdyby trzymali Hendrixa lub jego ciało?

— W takim razie pozostaje jedno rozwiązanie — rzekł Hendriks chłodno. — Twoi ludzie cię nabierają.

— Nie ci — stanowczo oświadczył Brice. — To byli dwaj z najlepszych. — Zamilkł, a po chwili dodał: — Poza tym muszą pamiętać o rodzinach, które zostawili w domu.

— A więc jakie jest tego wyjaśnienie?

— Nie wiem. — Brice przetarł oczy i kwaśno zapytał: — A tak w ogóle, kto wymyślił tę idiotyczną operację?

— My — przypomniał Hendriks. — Ty i ja.

Brice nic na to nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami.

— Cóż, wkrótce dostaniemy większość pieniędzy.

— To prawda — odrzekł Hendriks i ponownie usiadł. — Ale drażni mnie, że mamy zablokowane trzy miliony. Cholernie ciężko się napracowałem, żeby te pieniądze ściągnąć tutaj. — Zmienił temat. — Dlaczego ogłosiłeś, że spadek to tylko siedem milionów? Czy nie jest to ryzykowne?

Brice rozłożył ręce.

— Kto to sprawdzi na Jersey? Do diabła, człowieku; idę o zakład, że nawet jeden na stu Kenijczyków nie wie, gdzie leży Jersey. Nawet jeden na tysiąc.

— A co będzie, jeżeli jednak ktoś wie? — nie ustępował Hendriks.

— Nie ma problemu — odparł Brice. — Powiem, że zostałem błędnie zacytowany, źle zrozumiany. Ze siedem milionów to spodziewany dochód roczny, po zainwestowaniu głównych funduszy. Mamy wszystko do zyskania i nic do stracenia. — Spojrzał na zegarek. — Zjemy lunch, a potem oprowadzę cię po obiekcie. W czasie ostatniego pobytu nie pokazałem ci najważniejszego. Farrar przyssał się gorzej niż pijawka.

— Zostanę na lunch — zgodził się Hendriks. — Ale reszta może poczekać. Muszę wracać do Nairobi i narobić szumu. Mój dawno utracony kuzyn znów zaginął i cóż oni, do cholery, robią w tej sprawie? Żeby wszystko wyglądało jak należy, muszę odegrać rolę zrozpaczonego krewnego. Chodźmy zjeść. Jestem głodny.

Gunnarsson wściekał się w Nairobi. Bolały go stopy i otarte plecy. Nie to było jednak zasadniczą przyczyną jego gniewu. Krew go zalewała, bo w amerykańskiej ambasadzie zbywano go wykrętami.

— Do diabła! — powiedział. — Zostałem porwany, a mój przyjaciel nie wrócił do tej pory. Jeżeli nie mogę zobaczyć się z ambasadorem, to z kim, do cholery, mogę tu rozmawiać? I nie próbujcie mnie sprzedać jakiemuś trzeciorzędnemu urzędnikowi. Domagam się konkretnego działania. Urzędnik westchnął.

— Zobaczę, co da się zrobić. — Odszedł do telefonu. — Jest tam pan Pasternak?

— Przy telefonie.

— Siedzi tu u mnie pan Gunnarsson, oczekujący na widzenie z ambasadorem. Opowiada mi jakąś niedorzeczną historię, że został porwany i że jego przyjaciel wciąż jeszcze nie wrócił. Według mnie ma świra, ale nie potrafię się go pozbyć.

Pełna niedowierzania cisza wwiercała mu się w ucho, wreszcie Pasternak odezwał się:

— Gleeson, czy ty nie czytasz gazet? Nie oglądasz telewizji? Nie słuchasz radia?

— Przez dwa tygodnie byłem na safari — usprawiedliwił się Gleeson.

— Taak, coś się stało — ironizował Pasternak. — Zatrzymaj tego faceta. Już schodzę. I na miłość boską, zapoznaj się z ostatnimi doniesieniami. — Odłożył słuchawkę, otworzył szufladę biurka i sprawdził, czy magnetofon i taśmy są gotowe do nagrywania, po czym udał się na spotkanie z Gunnarssonem.

Gunnarsson wciąż był wściekły, więc Pasternak próbował go ułagodzić.

— Przykro mi, że kazano panu czekać, panie Gunnarsson, tym bardziej że sprawiono panu zupełnie idiotyczny kłopot. Czy zechce pan pójść tędy?

— Zwolnił, dostosowując się do kuśtykania Gunnarssona i poprowadził go w stronę windy. — Sądzę, że ma pan za sobą ciężkie chwile.

— Dobrze pan sądzi — mruknął Gunnarsson. — Jakie stanowisko zajmuje pan tutaj?

— Nic specjalnego — przyznał Pasternak. — Jestem trzecim sekretarzem. Zdaje pan sobie sprawę, że wszystkich nas obeszła ta historia, szczególnie ambasadora. W tej właśnie chwili rozmawiał z kenijskim ministrem spraw zagranicznych, próbując wymóc na nim jakieś działanie. A musimy też wykonywać resztę naszej pracy — ludzie gubią przecież karty kredytowe, czeki podróżne i tak dalej.

— To jest ważniejsze — oświadczył kwaśno Gunnarsson. — Straciliście amerykańskiego obywatela.

— Robimy, co można, panie Gunnarsson — zapewnił go Pasternak.

— Jesteśmy również przekonani, że może nam pan pomóc. — Wyszli z windy i ruszyli korytarzem, aż do drzwi jego gabinetu. — Tutaj. Czy napije się pan kawy?

— Dziękuję. — Gunnarsson usiadł przed biurkiem, wyciągając z ulgą nogi. natomiast Pasternak podniósł słuchawkę i zamówił dzbanek kawy.

Pasternak usiadł, otworzył szufladę biurka i, zanim wyjął notes i położył go na biurku, dyskretnie uruchomił magnetofon. Sięgnął po pióro.

— Czytałem relacje w prasie — zaczął. — Ale wie pan, jak to jest z gazetami. Chętnie wysłucham relacji z pierwszej ręki. Gdyby pan nie zjawił się u nas, rozbilibyśmy chyba obóz pod pańskimi drzwiami. Chciałbym, żeby mi pan teraz opowiedział, jak do tego doszło. Proszę nie pomijać niczego, nawet gdyby zdawało się to panu nieistotne.

Gunnarsson opowiedział więc całą historię. Pasternak czasem coś notował, czasem zadawał uściślające pytania.

— Mówi pan, że ci ludzie nosili mundury. Czy mógłby pan je opisać? — Innym razem: — Twierdzi pan, że byli wyposażeni w Kałasznikowy. Skąd pan to wie?

— Interesuję się bronią. Potrafię rozpoznać Kałasznikowa.

Zakończył wreszcie:

— Później dotarliśmy do Keekorok i to wszystko. Tylko Hank Hendrix nie wrócił.

— Rozumiem. — Pasternak odłożył pióro. — Jeszcze kawy?

— Chętnie. Suszy mnie od tego gadania.

— Co pana łączy z Hendrixem? — zapytał Pasternak, nalewając kawę.

— Wiążą nas interesy — odparł Gunnarsson. — Poza tym jesteśmy przyjaciółmi.

Pasternak ze zrozumieniem kiwnął głową.

— Tak, to naturalne, że poruszyła pana ta sprawa. Czym się pan zajmuje, panie Gunnarsson?

— Prowadzę Gunnarsson Associates; jesteśmy firmą ochroniarską, z siedzibą w Nowym Jorku. Zajmujemy się ochroną instytucji, a także prowadzimy sprawy dochodzeniowe. Ale raczej rzadko.

— Sprawy dochodzeniowe — powtórzył z namysłem Pasternak. — Macie na to uprawnienia w stanie Nowy Jork?

— W większości stanów — uściślił Gunnarsson. — Jesteśmy całkiem dużą organizacją.

— A co pan robi w Kenii?

— No cóż, Hank miał tu parę spraw. Odziedziczył spory majątek. Ja Wybrałem się na przejażdżkę. Wie pan, zrobiłem sobie wakacje. — Gunnarsson spojrzał na Pasternaka znad

filiżanki. — Niech pan posłucha, rozpęta się wściekła afera, ponieważ Hank właśnie odziedziczył sześć milionów dolców. W kraju gazety rozdmuchają to jak diabli.

Pasternak uniósł brwi.

— Panie Gunnarsson, Departament Stanu nie działa na podstawie prasowych artykułów. Ale zainteresował mnie pan. Twierdzi pan, że Henry Hendrix odziedziczył z Kenii sześć milionów dolarów?

Gunnarsson pokręcił głową.

— Wcale tego nie powiedziałem. Odziedziczył spadek po swym dziadku, ale testament zawierał pewien warunek. Otóż Hank powinien każdego roku przepracować miesiąc w tutejszej fundacji dobroczynnej.

— W której fundacji?

— Ol Njorowa — wydukał Gunnarsson nieznanne słowo. — To niedaleko Naiwasza.

— Tak — zadumał się Pasternak. — Czytałem, że dostali jakieś pieniądze, ale nie wiązałem tego z Hendrixem. — Zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł: — Jak długo zostanie pan jeszcze w Kenii?

— Chyba jeszcze trochę — odparł Gunnarsson. — Zaczekam, żeby zobaczyć, czy wróci Hank. Chcę też zmobilizować ambasadora. Zniknął amerykański obywatel, i wygląda na to, że nikt się tym specjalnie nie przejął. Uprzedzam pana, Pasternak, że zamierzam zrobić piekło.

Pasternak nie skomentował tego. Przysunął do siebie notatnik i powiedział:

— Gdyby zechciał pan podać mi nazwę hotelu, w którym się pan zatrzymał i swój adres domowy, to myślę, że moglibyśmy na tym skończyć.

— Po co wam mój domowy adres?

— Wątpię, czy bez końca będzie pan przebywał w Kenii — rozsądnie odparł Pasternak. — Możemy chcieć jeszcze z panem porozmawiać już po powrocie do domu. Gdyby zaś miał pan zamiar podróżować po Kenii, chcielibyśmy z wyprzedzeniem poznać pańskie plany.

— Dlaczego?

— Być może zaistnieje konieczność szybkiego nawiązania kontaktu. Na przykład w celu dokonania identyfikacji. — Również to życzenie było rozsądne. Pasternak zapisał oba adresy, wcisnął klawisz i wstał.

— To wszystko, panie Gunnarsson. Dziękuję, że pan przyszedł. — Podał mu rękę. — Zrobimy co w naszej mocy, by poznać losy pana Hendrixa.

— Lepiej go znajdźcie — powiedział Gunnarsson. Wiele zależy od Hanka. Do gabinetu wszedł jakiś człowiek.

— Strażnik zaprowadzi pana na dół — powiedział Pasternak i uśmiechnął się. — Jeżeli zajmuje się pan ochroną, to rozumie pan chyba, dlaczego nie chcemy, by ludzie sami blakali się po budynku.

Gunnarsson mruknął i wyszedł, nie mówiąc już ani słowa. Pasternak wysunął szufladę i zatrzymał magnetofon, a następnie przewinął taśmę. Przesłuchał ją jeszcze raz, koncentrując się na jednym z fragmentów. Czy ktoś, kogo po amatorsku interesuje broń, potrafiłby rozpoznać Kałasznikowa? Po kraju krążyło ich bardzo niewiele. Oczywiście, entuzjasta mógł studiować ilustracje w książkach. Natomiast Gunnarsson pracował w czymś, niejasno zwanym „ochroną”, co mogło stanowić eufemizm czegoś bardziej niebezpiecznego. Parę niejasnych wątków wymagało uporządkowania. Ponownie przesłuchał nagranie i zmarszczył brwi, gdyż zauważył, że obaj z Gunnarssonem zgodnie mówili o Hendrixie w czasie przeszłym.

Pasternak podszedł do maszyny do pisania i wystukał prośbę o wszelkie dostępne informacje na temat Johna Gunnarssona, podając jego adres w Nowym Jorku. Osobiście zaniósł ją do pokoju szyfrantów.

Telex zaadresowano do Langley, w Wirginii.

Godzinę później Pasternakowi przeszkodzono ponownie. Zadzwoił telefon.

— Pyta o pana pan Hardin — oznajmił Gleeson.

Pasternak zmarszczył brwi, szukając w pamięci. Po chwili twarz mu rozjaśniała.

— Czy nie przypadkiem Ben Hardin?

Zapadła cisza, ale doszło do niego kilka stłumionych słów.

— Tak, Ben Hardin — potwierdził Gleeson.

— Każ go wprowadzić na górę. — Pasternak rozłączył się i wykręcił inny numer. — Przyślijcie jeszcze trochę kawy. — Kiedy Hardin wszedł do pokoju, wstał i uśmiechnął się. — Witaj, Ben. Co robisz w Kenii?

Uścisnęli sobie ręce i Hardin usiadł.

— Coś jakby urlop roboczy — odpowiedział. — Od lat tu nie byłem. W Nairobi trochę się zmieniło, ale prowincja wcale. Pomyślałem sobie, że wpadnę sprawdzić, czy nie ma jeszcze kogoś znajomego.

— I znalazłeś mnie. — Pasternak uśmiechnął się. — Tak, rzeczywiście minęło kupę czasu. Co teraz porabiasz?

— Pracuję dla pewnego brytyjskiego towarzystwa. — Hardin wzruszył ramionami. — Trzeba jakoś zarabiać na życie.

— Na twoim miejscu trzymałbym się Kenii — doradził Pasternak. — Nie wybieraj się

przypadkiem do Tanzanii. Po tym, co zrobiłeś w Dar—es—Salaam, wciąż jeszcze będziesz na liście. Wiem, że minęły już lata, ale ci faceci mają długą pamięć.

— Nie zbliżam się do Tanzanii — odparł Hardin. — Ani do granicy. Słyszałem, że nawet dla turystów nie jest tam zbyt bezpiecznie.

— Słyszałeś o tym?

— Pisali w londyńskich gazetach — mówił Hardin. — Tam o wszystkim przeczytałem.

— W Nowym Jorku też napiszą — stwierdził ponuro Pasternak. — Jeżeli jeszcze tego nie zrobili, to na pewno zrobią. Właśnie był tu jeden z porwanych, żeby mi nauragać. Ten drugi Amerykanin, który wrócił. Gunnarsson był w bardzo awanturnicznym nastroju.

— Gunnarsson! — Hardin okazał stosowne zdumienie. — Z Gunnarsson Associates w Nowym Jorku? — Pasternak skinął głową. — A niech mnie jasny piorun!

— Znasz go?

— Pracowałem dla niego po opuszczeniu Agencji. On zresztą też kiedyś pracował w Firmie.

— Nie wiedziałem o tym — powiedział Pasternak. Nalał do kubków kawę, rozważając informację. To by wyjaśniało znajomość Kałasznikowów, lecz nie wyjaśniało, dlaczego Gunnarsson nie podał prawdziwego źródła swej wiedzy. Chyba że nie chciał się afiszować niegdysiejszym związkiem z CIA. Wielu ludzi było wrażliwych na tym punkcie. Ale Gunnarsson nie wyglądał przecież na wrażliwca. — Co to za facet?

— Patentowany skurwiel — rzekł Hardin i zawahał się. — Mike, wolałbym, żeby Gunnarsson nie wiedział, że się kręcę w pobliżu. Nie rozstaliśmy się w zgodzie, a teraz pracuję dla konkurencji. Nie przypadłoby mu to do gustu.

Pasternak wzruszył ramionami.

— Nie ma powodu, Ben, żebym mu o tym mówił. Dla kogo pracujesz?

— Stafford Security Consultans z Londynu. Wstąpiłem do nich, kiedy Gunnarsson mnie wylał.

Następna ekipa ochroniarska! W umyśle Pasternaka fakty ułożyły się w nowy wzór.

— Powiedziałeś „urlop roboczy”. Na ile jest pracą, a na ile urlopem?

— Mniej więcej po połowie — oświadczył Hardin. — Mój szef, Max Stafford, też jest w Nairobi. Dokonujemy pobieżnego oglądu Kenii, by sprawdzić, czy dojrzała już do tego, abyśmy rozpoczęli tu naszą działalność. — Zastanawiał się przez moment. — Do diabła załóżę się, że i Gunnarsson dlatego tu przyjechał. Uprzedzę Stafforda. — Wypił łyk kawy. — Macie tu jakąś robotę?

Pasternak uśmiechnął się wyrozumiale.

— Chyba pamiętasz, że nie należy o to pytać, Ben. Nie jesteś już Agencji i mimo że w niej byłeś, nic ci nie mogę powiedzieć, i dobrze o tym wiesz. — Nachylił się w stronę Hardina. — Wydaje mi się, że nie przyszedłeś tu tylko pogadać o dawnych czasach, więc czemu tego z siebie nie wydusisz?

— Zawsze byłeś bystry — pochwalił go Hardin z rozbijającym uśmiechem. — Sprawa przedstawia się tak. Stafford ma Europę mniej więcej obstawioną. Naszymi klientami są międzynarodowe korporacje, a parę z nich nie zadowala posiadane tutaj zabezpieczenie, dlatego też chcą, żeby Stafford otworzył filię w Kenii. No cóż, nie ma zamiaru robić tego w ciemno, a poza tym, aby cała sprawa się opłacała, musi mieć więcej niż dwóch klientów, dlatego też przyjechał sprawdzić wszystko osobiście. Czy na razie jest to zrozumiałe?

— Nieźle ci idzie — oświadczył Pasternak sucho. — Przejdź jednak do sedna.

— Natknęliśmy się na dwóch facetów, wygląda na to, że idealnie się nadają do naszej roboty, są sprawni i skuteczni. Stafford jednak obawia się, że mogą być powiązani z Ludowym Związkiem Kenii, a to mu niezbyt pasuje. Jeżeli Stafford myśli tu o założeniu stałego biura, nie może sobie pozwolić na kontakty ze zdelegalizowaną partią polityczną.

— Gdyby coś takiego się wydało, byłby skończony — z powagą zgodził się Pasternak. Sięgnął po pióro. — Co to za faceci?

— Czarny Kenijczyk Pete Chipende oraz Sikh, Nair Singh. Znasz ich? Pasternaka tak to zaskoczyło, że bezwiednie nabazgrał coś w notatniku.

Opanował się szybko i zapisał nazwiska.

— Nie, ale jeśli dasz mi trochę czasu, to chyba mógłbym ich sprawdzić. — W myślach rozważał konsekwencje tego, co właśnie usłyszał. — Co to za gość, ten Stafford?

— Na razie nie najgorszy — oświadczył rozsądnie Hardin. — Jak dotąd na niczym nie wpadł, przynajmniej nic o tym nie wiem.

— Pewnie kiedyś się na niego natknę — powiedział Pasternak. — Może umówilibyśmy się na drinka?

— Czemu nie? Mieszkamy w „Norfolk”.

— Dzisiaj jestem zajęty, ale zadzwonię do ciebie jutro. W porządku?

— Oczywiście. Stafford to interesujący facet. Był pułkownikiem wywiadu w armii brytyjskiej.

— Doprawdy? Z niecierpliwością oczekuję spotkania.

Hardin wyszedł, a Pasternak ponownie zasiadł do maszyny i wystukał kolejną prośbę o informacje. Tym razem obiekt zainteresowania stanowił Max Stafford, a teleks, po zakodowaniu miano wysłać do amerykańskiej ambasady w Londynie. Po chwili

zastanowienia napisał jeszcze jedno pismo, tym razem prosząc o dane Hardina i zaadresował je do Langley. W Kenii zaczyna się coś dziać, pomyślał Pasternak.

Gunnarsson siedział w kawiarni „Cierniste drzewo”, przy hotelu „New Stanley” i popijał drinka z wysokich szklanek w towarzystwie Dirka Hendriksa. Właśnie wychodził z ambasady amerykańskiej, kiedy usłyszał, jak ktoś zwraca się do pełniącego wartę żołnierza piechoty morskiej:

— Nazywam się Dirk Hendriks. Gdzie mógłbym się czegoś dowiedzieć o Henrym Hendrixie, którego porwano do Tanzanii?

— Proszę zapytać w recepcji — wskazał Marine.

Gunnarsson dotknął ramienia Hendriksa.

— Czy pan jest kuzynem Hanka Hendrixa?

— Tak, zgadza się.

— Nazywam się John Gunnarsson. Byłem z nim.

— Gdzie pan był?

— Z pańskim kuzynem, kiedy go porwano. — Gunnarsson wskazał kciukiem w stronę recepcji. — Lepiej niech pan porozmawia ze mną, nim zacznie pan przebijać głową ten mur.

Dirk spojrzał na niego z zainteresowaniem.

— Chce pan powiedzieć, że też został porwany?

— Tak. Dlatego też nie mogę teraz zbyt szybko chodzić. Kazali nam wracać na piechotę i nabijało mi się w stopy mnóstwo cierni.

— Nie ma potrzeby chodzić — rzekł Hendriks. — Mam tu swój samochód. Dokąd pojedziemy?

— Mieszkam w hotelu „New Stanley” — oświadczył Gunnarsson. — Możemy wypić drinka w „Ciernistym drzewie”.

Ta kawiarnia na wolnym powietrzu, serwująca lekkie zakąski i orzeźwiające drinki, była w Nairobi prawdziwą instytucją. Na środku rosła tu duża, rozłożysta akacja, rzucająca miły cień. Od niej właśnie wzięło swą nazwę „Cierniste drzewo”. Osobliwość stanowił słup ogłoszeniowy, otaczający pień akacji. Przyjęło się zostawiać na nim informacje dla przyjaciół. Zwykło się mówić: „Na ciernistym drzewie zostawię ci wiadomość, gdzie jestem”. Miejscowa firma, handlująca piwem, dostarczała nawet bloczki kartek, co z pewnością nie zaszkodziło dochodom kawiarni.

Usiedli przy jednym z niewielu wolnych stolików, a Hendriks złapał załatanego kelnera i zamówił drinki. Po chwili wrócił do rozmowy, którą prowadzili w samochodzie.

— I wówczas po raz ostatni widział pan mojego kuzyna?

— Taak. Potem usłyszeliśmy strzały, a faceci wokół nas wybuchnęli śmiechem.

— Ale nie widział pan jego ciała?

Gunnarsson pokręcił głową.

— Nie, ale w tym wszystkim było coś dziwnego. We trzech popędzili nas w dół rzeki, a jednego zostawili do pilnowania łupu. Uszliśmy jakieś osiemset metrów, kiedy zaczęli się denerwować i coś trąkotać między sobą.

— Co ich tak zdenerwowało?

— Skąd miałbym wiedzieć. Może to, że nie potrafili znaleźć Hendrixa. Dwóch zostało z nami, a trzeci, z naszymi sierżanta, oddalił się. Po jakimś czasie wrócił i długo się naradzali. — Gunnarsson wzruszył ramionami. — Wtedy nas przegonili. Sierżant wskazał na wzgórze, a tamci popchnęli nas lufami. Byliśmy szczęśliwi, że wyszliśmy z tego cała.

Hendriks zmarszczył brwi.

— Czy widział pan wtedy tych dwóch, którzy zabrali mojego kuzyna?

— Nie, nie widziałem.

Kelner przyniósł im drinki. Hendriks sięgnął po swoją szklankę i zadumał się.

— Czy Henry miał szansę ucieczki? — zapytał. — A jeśli tak, to dlaczego nie wrócił?

— Już się nad tym zastanawiałem — powiedział Gunnarsson. — Mógł uciec, a strzały mogły chybić. Oczywiście obaj Tanzańczycy ruszyli za nim w pościg. Mimo wszystko mógł im zwać. — Gunnarsson niewątpliwie żywił taką nadzieję.

— Dlaczego więc nie wrócił?

— Czy pan tam był? — retorycznie spytał Gunnarsson. — To przeklęty kraj, a wszystko w nim kropka w kropkę do siebie podobne. Hank mógł się zgubić, tak samo jak ci faceci, którzy poszli za nami. Proszę też nie zapominać, że rozebrano go, podobnie jak i nas. Jeżeli Tanzańczycy go nie dopadli, w każdej chwili możemy się go spodziewać.

— Kto poszedł za wami? — ożywił się Hendriks.

— Inna grupa turystów znalazła opuszczony samochód i próbowała nas odszukać. Nie udało się im, zgubili drogę i spędzili noc w buszu.

— Niczego takiego nie napisali w gazetach — rzekł po namyśle Hendriks.

— Po powrocie rozmawiałem z jednym z nich — powiedział Gunnarsson. — Jakiś Stafford. Mówił, że...

— Max Stafford! — z niedowierzaniem zawołał Hendriks.

— Nie powiedział, jak mu na imię. — Gunnarsson zamilkł, ze szklanką podniesioną do warg, zafrapowany pewną myślą. Jedyne Max Stafford, o którym słyszał, był szefem Stafford Security Consultants w Londynie. O co tu, do diabła, chodziło?

Hendriks też się zamyślił. Stafford mówił mu, że wybiera się na urlop do Kenii. Ale czy naprawdę tylko przypadek sprawił, że został zamieszany w poszukiwania Hanka Hendrixa?

— Czy wie pan, gdzie teraz przebywa Stafford? — zapytał.

— Nie mam pojęcia. Wyjechał z Keekorok i od tego czasu już go nie widziałem. Zna go pan?

Hendriks z roztargnieniem skinął głową.

— Wydaje mi się, że tak.

— Cóż za zbieg okoliczności — skomentował Gunnarsson.

— Prawda? — odpowiedział, myśląc jednocześnie, że chciałby natychmiast zatelefonować. — Miło mi się z panem rozmawiało, panie Gunnarsson. Czy zatrzymał się pan tutaj, w „New Stanley”?

— Tak.

— Może więc przed wyjazdem zjadłby pan ze mną kolację. Jutro rano zadzwonię do pana. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o zniknięciu mojego kuzyna, ale w tej chwili jestem umówiony. Czy zechce mi pan wybaczyć?

— Oczywiście. — Gunnarsson patrzył w ślad za odchodzącym Hendri—ksem. Działo się coś cholernie dziwnego, lecz nie bardzo potrafił to zrozumieć. Jeżeli Stafford, z którym rozmawiał w Keekorok, był Maxem Staffordem ze Stafford Security Consultants, to z pewnością nie wchodził tu w grę przypadek. Postanowił, że musi zatelefonować i z mozołem podniósł się z krzesła.

Tego samego wieczoru w restauracji hotelu „Norfolk” Stafford jadł kolację w towarzystwie Curtisa. W połowie posiłku przyłączył się do nich Hardin.

— Właśnie widziałem się z Chipem — zakomunikował. — Mówi, że po południu Gunnarsson i Dirk Hendriks pili razem i rozmawiali w „Ciernistym drzewie”.

Stafford odłożył sztućce.

— Na Boga, rzeczywiście?

— To niezbyt korzystne dla pułkownika — mruknął Curtis.

— Nie. — Stafford spojrział na Hardina. — Pamiętasz, Ben, jak szedłeś za Gunnarssonem i Corlissem do kancelarii Mandeville'a w Loncoln's Inn? Czy Gunnarsson spotkał się tam z Dirkiem?

Hardin popatrzył w sufit, z natężeniem przypominając sobie tamtą sytuację.

— Gunnarsson i Corliss weszli do środka, a potem Gunnarsson wyszedł — rzekł z namysłem. Pstryknął palcami. — Gunnarsson wyszedł dokładnie w tej samej chwili, kiedy wchodzili Dirk i Alix — minęli się w drzwiach.

— Czy coś wskazywało na to, że się znają?

— Nie.

— Więc jakim sposobem poznali się tutaj? — zapytał Stafford.

— Rozmawiałem na ten temat z Chipem i może uda się sprawę wyjaśnić

— powiedział Hardin. — Gunnarsson udał się na policję, a następnie do ambasady amerykańskiej zrobić awanturę o to, że tak ociągają się z wyjaśnieniem losów Hendrixa. Widziałem się z Mike'em Pasternakiem i opowiedział mi o tym. — Hardin powtórzył swoją rozmowę z Pasternakiem.

— Chip twierdzi, że Hendriks i Gunnarsson musieli się spotkać w holu najwyraźniej przypadkowo.

— Dla nas jest to nieszczęśliwy zbieg okoliczności — stwierdził Stafford.

— Jeśli w kontekście zniknięcia Hendrixa Gunnarsson wspomniał o mnie Dirkowi, to nabrał on podejrzeń.

— Dlaczego miałby coś podejrzewać? — dopytywał się Hardin. — Nie wiem, co masz przeciwko Dirkowi Hendriksowi, jest tylko facetem, który odziedziczył fortunę. To Gunnarsson i Corliss próbują się dostać do majątku.

Stafford właśnie miał odpowiedzieć, kiedy podszedł do niego kelner i wręczył złożoną kartkę.

— Od tego pana, przy narożnym stoliku.

Stafford spostrzegł przyglądającego mu się mężczyznę. Ten skinął głową i zajął się swoim talerzem. Stafford przeczytał: „Byłbym wdzięczny, gdyby po kolacji zechciał mi pan poświęcić chwilę czasu”. Jako podpis widniał nieczytelny zakrętas.

Stafford zerknął w kierunku nieznanego, kiwnął głową i podał liścik Hardinowi.

— Znasz go?

Hardin przerwał studiowanie menu.

— Nie znam. — Dokończył składanie zamówienia i zakomunikował:

— Pół godziny temu dzwonił Mike Pasternak. Chce się z tobą spotkać. Czy odpowiada ci jutro o czwartej?

— Myślę, że tak.

— Umówiłem was tutaj, obok basenu. Może wreszcie dowiesz się czegoś konkretnego o Chipie.

— Może. — Stafford zamyślił się, próbując dopasować poszczególne fragmenty łamigłówki, analizował je kolejno i sprawdzał, czy pasują do wzoru. Rzeczywiście, nic nie miał przeciwko Dirkowi, prócz instynktownej niechęci... Przypuśćmy jednak, że spotkanie

Dirka z Gunnarssonem nie było czystym przypadkiem, że znali się już wcześniej. Stwierdzono, że Gunnarsson jest oszustem, kim więc mógł być Dirk? Zostawał jeszcze Brice z instytutu Ol Njorowa, który w niewytłumaczalny sposób zgubił dziesiątki milionów funtów. Jeżeli Dirk rozmawiał z Brice'em i dowiedział się, że Stafford odwiedził Ol Njorowa oraz Keekorok, niewątpliwie zacznie coś podejrzewać.

Stafford z irytacją potrząsnął głową. Wszystko to fantazje, czyste spekulacje.

— Co jeszcze Dirk robił dzisiaj? — zapytał.

— Pojechał do Ol Njorowa, został tam na lunch, następnie wrócił do Nairobi, gdzie poszedł na policję, a potem do ambasady amerykańskiej.

— Gdzie spotkał Gunnarssona? Czy rozmawiał z kimś w ambasadzie?

— Nie — odparł Hardin. — Od razu poszedł z Gunnarssonem do „Ciernistego drzewa”.

— To spotkanie mogło zostać wcześniej zaaranżowane — odezwał się Curtis.

— Niewiele mówisz, sierzancie — powiedział Stafford. — Ale zawsze z sensem.

— Ale dlaczego mieliby spotkać się w ambasadzie? — nie ustępował Hardin. — Obaj zatrzymali się w „New Stanley”, dlaczego więc nie tam?

— Nie wiem — przyznał Stafford, zmęczony myślowymi kombinacjami. Dopił kawę i skinął w stronę narożnego stolika. — Lepiej sprawdzę, czego chce tamten facet.

Przebiegł salę restauracyjną, a gdy zbliżył się, nieznajomy podniósł na niego wzrok.

— Abercrombie—Smith — przestawił się wstając. — A pan nazywa się Stafford.

Był niskim, krępy męczyzną po pięćdziesiątce, o mocno opalanej kwadratowej twarzy i starannie przystrzyżonych wąsikach. Miał w sobie coś z wojskowego, może tylko nieco sztywną postawę. Spod serwetki wyjął wizytówkę i wręczył ją Staffordowi. Jego pełne nazwisko brzmiało Anthony Abercrombie—Smith i, jak głosiła wizytówka, pracował w Głównej Komisji Brytyjskiej w Bruce House, przy Standard Street w Nairobi. Nie było jednak napisane, czym się zajmuje.

— Chciałem się z panem spotkać — oświadczył. — Spodziewaliśmy się pana w biurze.

— Nawet nie przyszło mi to do głowy — przyznał Stafford.

— Hm! Niemniej powinien się być pan zjawić. Mniejsza o to. Przy okazji zjemy lunch. Nie widzę potrzeby zachowywania oficjalności urzędowego spotkania. — Ponownie skoncentrował uwagę na swym talerzu, więc Stafford doszedł do wniosku, że audiencja dobiegła końca i odszedł.

Stafford już czekał, kiedy punktualnie o dwunastej Abercrombie—Smith przyjechał po niego. Hardin i Curtis wzięli Nissana i pojechali do pobliskiego ogrodu zoologicznego pod Nairobi.

Abercrombie—Smith ruszył na północ, przez tę część Nairobi, której Stafford jeszcze nie widział, prowadząc uprzejmą konwersację na temat hinduskich świątyń i tętniących życiem targowisk, które mijali. Po jakimś czasie wjechali na zamożne przedmieście. Domy były obszerne — przynajmniej z tego, co dało się zauważyć, gdyż usytuowano je z dala od drogi i dyskretnie osłonięto żywopłotami i drzewami. Stafford spostrzegł, że przed wieloma z nich stali strażnicy, co zainteresowało go z zawodowego punktu widzenia.

— To Muthaiga — wyjaśnił Abercrombie—Smith. — Raczej ekskluzywna część Nairobi. Mieści się tutaj większość ambasad. Mój przełożony, główny komisarz, też mieszka niedaleko stąd. — Skręcili i po chwili zjechali z drogi. Stojący przy bramie Kenijczyk zasalutował. — A to klub „Muthaiga”.

Pomieszczenia klubu okazały się chłodne i przestronne. Ściany zdobiły trofea myśliwskie: gazel, impali i lampartów. Weszli do sali klubowej i usiedli w wygodnych fotelach.

— A teraz, drogi przyjacielu — powiedział Abercrombie—Smith — czego się napijesz?

Stafford poprosił o gin z tonikiem, więc tamten zamówił dwa takie drinki.

— To jeden z najstarszych klubów w Kenii — oznajmił Abercrombie—Smith. — I jeden z najbardziej ekskluzywnych. — Spojrzał na drugi koniec sali, gdzie przy stoliku zarzuconym papierami siedziało dwóch Sikhów pograżonych w dyskusji. — Choć nie tak ekskluzywny jak niegdyś — westchnął. — Za moich czasów nigdy nie rozmawialiśmy w klubie o interesach.

Stafford nie przerywał, pozwalając mówić Abercrombie—Smithowi. Jego pogawędka miała bardziej poważny charakter niż zazwyczaj. Rozwodził się na temat politycznej sytuacji w Wielkiej Brytanii oraz Ameryce, niebezpieczeństwa rosyjskiej interwencji w Afganistanie i Polsce, i tak dalej. Wciąż jednak była to pogawędka. Stafford pozwalał mu mówić, wtrącając czasem jakąś uwagę, by podtrzymać rozmowę, i czekał, aż przejdzie do sedna sprawy. Tymczasem rozglądał się po klubie „Muthaiga”.

Najwyraźniej stanowił on relikwiarz czasów kolonialnych; doskonały wodopój, jaki stworzyli sobie wyżsi urzędnicy państwowi oraz bardziej zamożni i wpływowi kupcy — w tamtych czasach oczywiście wyłącznie biali. Zapewne właśnie tutaj podejmowano ważne decyzje,

nie zaś w Radzie Ustawodawczej lub sądach. Nadejście Uhuru musiało być bolesne dla członków klubu, którym przyszło dostosować się do wielorasowego towarzystwa. Stafford zastanawiał się, kto był pierwszym odważnym nie—białym, który wystąpił o przyznanie mu członkostwa.

Dopili drinki i Abercrombie—Smith zaproponował, by zmienili miejsce.

— Może przejdziemy do jadalni — rzekł. Wciąż jeszcze nie powiedział nic godnego uwagi. Stafford kiwnął głową, wstał i poszedł za nim do jadalni, wypełnionej w równych proporcjach białymi, czarnymi i Azjatami.

Wspólnie przejrzeni kartę, a Stafford na początek poprosił o melona.

— Polecam tilapię — rzekł Abercrombie—Smith. — To smaczna ryba słod—kowodna. Curry też jest tutaj nadzwyczajne. — Stafford skinął głową, więc tamten zamówił curry dla nich obu, a poza tym butelkę reńskiego wina do ryby i zimne piwo do curry. — Kelner odszedł. Abercrombie—Smith nachylił się nad stołem. — Nie da się przecież pić wina do curry, prawda? A poza tym cóż może być lepszego do curry niż zimne piwo.

Stafford uprzejmie przytaknął. Kimże był, by nie zgadzać się z gospodarzem?

Przy melonie dyskutowali o krykicie i trwającym właśnie meczu, przy rybie omówili bieżące kwestie Afryki Wschodniej. Stafford pomyślał, że w ten określony sposób Abercrombie—Smith dochodził do zasadniczego tematu. Pod jednym względem miał jednak rację — tilapia była doskonała.

Gdy na stole zjawiły się talerze z curry, gospodarz rzekł:

— Częstuj się, drogi przyjacielu. W zasadzie spodziewaliśmy się, że zwróci się pan do nas po tym niefortunnym incydencie w Masai Mara. — Spojrzał na Stafforda pytająco unosząc brwi.

— Nie widziałem powodów — odparł Stafford. — Nie miałem się na co skarżyć. — Nałożył sobie ryżu.

— Mimo wszystko chodzi o porwanie!

Stafford podał mu talerz z ryżem.

— To nie mnie porwano — oświadczył krótko.

Curry miało mocny, pikantny aromat.

— Hm — mruknął Abercrombie—Smith. — No właśnie. — Niemniej tak właśnie myśleliśmy. Czy zechciałby pan opowiedzieć mi, co tam zaszło?

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Stafford i spróbował curry, a następnie przedstawił dokładnie opracowaną wersję.

— Rozumiem. Rozumiem. Mówi pan, że zawróciliście na granicy. Skąd wiedzieliście, że

to granica? O ile sobie przypominam, w tej dzicy nie ma żadnych ogrodzeń, ani oznakowań. Ogrodzeń nie ma oczywiście ze względu na wędrówki gnu, a słonie potrafią zniszczyć każdy słup informacyjny.

— Tak jak i słupy telegraficzne — rzekł Stafford, a jego gospodarz przytaknął skinieniem głowy. Stafford jadł curry i uznał, że jest doskonałe. — O to musiałby pan zapytać Pete Chipende. On jest miejscowym ekspertem.

— Proszę skosztować sambals — zachęcił Abercrombie—Smith. — Wyśmienicie je tutaj przyrządzają. Pomidory i cebulki są marynowane w ziołach, ale oczywiście banany i z całą pewnością kokosy — nie. Zapewniam, że kokosy są całkowicie świeże, nie to podsuszone świństwo, jakie jadacie w Anglii. Polecam też ostry sos korzenny z mango. — Nałożył sobie curry.

— Ach tak, Chipende. Interesujący człowiek, nie sądzi pan?

— Bardzo inteligentny — orzekł Stafford.

— Jestem skłonny się z tym zgodzić, tak, z pewnością inteligentny. Jak to się stało, że był z wami?

Abercrombie—Smith stawał się zbyt wścibski.

— Zaoferował nam swoje usługi w charakterze przewodnika i agenta turystycznego.

— A Nair Singh? Też wystąpił jako agent turystyczny? — Uniósł brwi.

— Czy to aby nie lekka przesada, drogi przyjacielu?

— Chip chciał, żeby Nair jechał jako kierowca — odparł Stafford. — Twierdził, że Nair lepiej prowadzi. — Taka właśnie była prawda, ale nie spodziewał się, że ktoś w nią uwierzy.

Abercrombie—Smith zaczął się śmiać. Śmiał się tak bardzo, że przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć głosu. Zakrztusił się curry i upłynęło nieco czasu, nim doszedł do siebie. Otarł usta serwetką i wciąż tłumiąc śmiech, powiedział:

— O, mój drogi, a to dopiero, to naprawdę paradne. — Odłożył serwetkę — Czy nie wiedział pan, że Peter Chipende przez trzy kolejne lata brał udział w Rajdzie Safari? Nie wygrał go wprawdzie, ale zawsze kończył, co przecież jest sukcesem nie lada.

Stafford słyszał o Rajdzie Safari. Był to najbardziej wyczerpujący, długodystansowy wyścig samochodowy na świecie. Sądząc po stanie drogi między Narok a Keekorok, mógł w to uwierzyć. Przeklinał Chipa, który postawił go w tak niezręcznej sytuacji i rzekł:

— Nie miałem o tym pojęcia, jestem obcy w tych stronach.

— A więc to panu powiedział pan Chipende? No, no.

Stafford zdecydował się na gadaninę, jaką sam został wcześniej tak obficie uraczony.

— To curry jest rzeczywiście wyjątkowe, dziękuję, że mi je pan zarekomendował. Jak pan

sądzi, czy mógłbym dostać przepis od szefa kuchni? Sam uważam się za niezłego kucharza.

Abercrombie—Smith spojrział na niego kamiennym wzrokiem. Z pewnością umiał zorientować się, kiedy ktoś z niego kpi. Wykazał jednak opanowanie.

— Przypuszczam, że to sekret firmowy, drogi przyjacielu. — Machinalnie bawił się serwetką. — Przebywa pan tu od niedawna, Stafford, ale otarł się pan o wielu interesujących ludzi. To znaczy mnie interesujących.

Stafford pomyślał, że bardziej zainteresowałoby to MI—6, czy jaki tam teraz śmieszny numer nadali wywiadowi zagranicznemu.

— Na przykład z kim? — zapytał.

— No cóż, zacznę od Petera Chipende i Naira Singha. Dalej dwóch byłych agentów CIA — Hardin i Gunnarsson, że nie wspomnę już o sierżancie sztabowym Curtisie, ale on jest płotką i pan przywiózł go ze sobą.

— To curry jest tak smaczne, że chyba zjem jeszcze trochę. — Stafford nałożył sobie nową porcję. — Wygląda na to, że pan także przejawia nadmierne zainteresowanie moją osobą.

— Pułkownik Max Stafford — zadumał się Abercrombie—Smith. — Niegdyś z wywiadu wojskowego.

— Stare dzieje — zauważył Stafford. — Opuściłem armię dziesięć lat temu, a tak w ogóle to nie używam mojego stopnia.

— Mimo wszystko został pan pułkownikiem w wieku trzydziestu pięciu lat. Musi się pan znać na rzeczy.

— Proszę przejść do sedna. Czego pan chce?

— Chcę wiedzieć, co robi pan w Kenii?

— Jestem na urlopie, którego bardzo potrzebowałem — odrzekł Stafford. — Mie miałem wakacji już od trzech lat.

— Poprzedni pański urlop też był raczej nietypowy. Spędza pan wakacje w szczególnych miejscach. To chyba właśnie trzy lata temu był pan na Saharze i wrócił z przestrzelonym ramieniem?

Stafford odłożył widelec.

— To już przestaje być zabawne. — Starał się opanować. Poza tym chciał pozwozić jeszcze trochę tego żartownisia. Milczał przez chwilę. — Co jeszcze chce pan wiedzieć? Z pewnością to nie wszystko.

— Zgadza się — przyznał lekko Abercrombie—Smith. — Chodzi mi głównie o parę szczegółów dotyczących Chipende. — Kto by nie chciał ich poznać, pomyślał Stafford. — No i oczywiście chciałbym wiedzieć, czy Hardin i Gunnarsson są rzeczywiście byłymi agentami

CIA, jak utrzymują. Ciekawi mnie też pańskie zainteresowanie fundacją Ol Njorowa.

— A czy może mi pan podać jakiś powód, dla którego miałbym to wszystko wyjaśniać? — wolno zapytał Stafford.

Abercrombie—Smith zabębnił palcami po stole.

— Chyba nie jest panu obce pojęcie patriotyzmu? — zapytał.

— Jak powiedziała Edith Cavell, patriotyzm to za mało. I jak twierdził Sam Johnson, patriotyzm jest ostatnim schronieniem łajdaków.

— Samuel Johnson był zacierzewionym, starym głupcem — uciął Abercrombie—Smith. — I nie przyszedłem tutaj, by przerzucać się cytatami.

— Wcale tak nie uważam — Stafford uśmiechnął się rozbijając. Abercrombie—Smith nie spuszczał z niego oczu.

— Czyli patriotyzm to za mało. A więc domyślam się, że chodzi panu o pieniądze.

— Wart jest pracownik zapłaty swojej — zareplikował Stafford. — Tak się jednak składa, że jest pan w błędzie. Gdyby nie to, że jestem pańskim gościem, powiedziałbym, co może pan zrobić ze swoimi cholernymi pieniędzmi.

— Do licha, Stafford — powiedział. — Nie stać pana na odrobinę rozsądku?

— Stać, jeżeli tylko znajdę ku temu jakiś powód. Jak na razie czuję się dotknięty zagłębianiem się w moje sprawy, co najwyraźniej zrobił pan bardzo gruntownie.

— No więc dobrze, wobec tego ja spróbuję wykazać się odrobiną rozsądku. Czy nie rozumie pan, że znajduje się w niezwykle drażliwej sytuacji? Stafford Security Consultants prowadzi w kraju ochronę tuzina kontrahentów przemysłu obronnego. — Wyrecytował nazwy połowy z nich.

— Oczywiście, że kazaliśmy pana przeświecić. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy tego zaniedbali. W tych okolicznościach nie możemy ryzykować, że przejdzie pan na drugą stronę. Chyba pan to rozumie, prawda?

Stafford rozumiał doskonale. Jego własne kontakty ze służbą wywiadowczą obejmowały kontrwywiad — MI—5 i policyjną Sekcję Specjalną. Obie te instytucje liczyły tak niewielu pracowników, że nie mogli nawet myśleć o podjęciu równie drobiazgowej pracy, jaką gwarantował Stafford przy podpisaniu kontraktu. W konsekwencji czuli się zadowoleni z faktu, że firma Stafford Security stała po ich stronie. Stafford wiedział jednak, że wymagano od niego gwarancji lojalności. W przeszłości zbyt wielu agentów zmieniło orientację.

— A więc sam pan widzi — ciągnął Abercrombie—Smith. — Myślę, że teraz dostrzeże pan korzyści płynące ze współpracy, a jeżeli nie, to pańska firma w Anglii może znaleźć się w poważnych kłopotach.

Zamilkł, kiedy podszedł kelner, by uprzątnąć naczynia ze stołu. Stafford z ulgą powitał tę chwilową przerwę, ponieważ Abercrombie—Smith wodząc wzrokiem za znikającymi talerzami nie mógł kontrolować wyrazu jego twarzy, gdy analizował tę próbę otwartego szantażu.

Kiedy kelner zniknął, Abercrombie powiedział:

— Polecam coś, co usunie smak curry, nim wypijemy kawę. Chyba nie ma pan nic przeciwko owocom liczi? Są świeże, drogi przyjacielu; zupełnie inne niż te konserwowane słoństwa, jakie macie w Anglii.

— Dobrze — machinalnie zgodził się Stafford. — Wezmę liczi.

Zjedli więc owoce, a następnie przeszli do sali klubowej na kawę. Po drodze Stafford, przeprosiwszy, wyszedł do holu, gdzie odnalazł portiera i kazał mu zamówić taksówkę.

— Ile to potrwa? — zapytał.

— Nie dłużej niż pięć minut, sahibie.

— Proszę mnie zawiadomić, gdy tylko się zjawi. Będę w sali klubowej.

— Tak, sahibie. Natychmiast.

Gdy wrócił, Abercrombie—Smith poczęstował go cygarem, ale grzecznie odmówił. Abercrombie—Smith wyjął srebrny nożyk i odciął koniuszek, by z namaszczeniem przystąpić do zapalania. Kiedy wreszcie, ku jego zadowoleniu, cygaro rozżarzyło się, odłożył nożyk i rzekł:

— Myślę, że teraz, drogi przyjacielu, możemy przystąpić do omówienia interesów.

— Sądziłem, że nie rozmawia pan w klubie o interesach.

— Ależ! Mówiłem o interesach komercyjnych.

— Ma pan na myśli parszywe robienie pieniędzy.

— Dokładnie to. Ta sprawa jest inna.

Stafford osłodził kawę i zamieszał.

— Sam Johnson, którym zdaje się pan pogardzać, miał coś do powiedzenia na ten temat. Powiedział, że niewiele jest zajęć bardziej niewinnych, niż robienie pieniędzy. Czy propozycja, jaką przed chwilą złożył mi pan w swoim klubie, jest mniej parszywa niż robienie pieniędzy?

Abercrombie—Smith uniósł brwi.

— Mój drogi, wydaje mi się, że jest pan moralistą. Skrupuły! Myślałem, że w pańskiej profesji skrupuły są nie na miejscu, zdecydowanie zawadzają. — Podniósł głos. — Proponuję, by skupił się pan na ochronie swojej osoby oraz zabezpieczeniu pańskiego... eee... zysku w interesach, skoro tak wielką wagę przywiązuje pan do zdobywania pieniędzy.

— Pozwolił sobie na otwartą pogardę.

Ale jego pogardę Stafford mógł przeboleć.

— Mam na imię Max. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, bym zwracał się do pana Anthony? — Upił łyk kawy.

Zmiana tematu zaskoczyła Abercrombie—Smitha.

— Jeżeli już pan koniecznie chce — odparł sztywno. Wywodził się ze sformalizowanego świata angielskich szkół prywatnych i klubów londyńskich, gdzie źle widziano zwracanie się do siebie po imieniu.

— A więc słuchaj, Tony. Jesteś tylko nędznym szantażystą — pospolitym przestępcą. Gdyby bezpieczeństwo Wielkiej Brytanii miało zależeć od ciebie czy ludzi twojego pokroju, to Boże miej nas w opiece. Osobiście nie mam nic przeciwko szantażowi, ale twoja niezręczność jest niedopuszczalna. Staraleś się mnie podejść równie subtelnie jak kurwa w Soho.

Abercrombie—Smith zdumiał się równie mocno, jak gdyby zaatakowało go i ugryzło nowo narodzone jagnię. Poczzerwieniał na twarzy.

— Licz się ze słowami — zaprotestował.

— Będę do ciebie mówił, jak mi się podoba.

— A więc odmawiasz współpracy. Jak już zaznaczyłem, może się to okazać niebezpieczne.

Stafford odstawił filiżankę i rozparł się w fotelu.

— Podoba mi się twoja koncepcja współpracy, ale wątpię, czy taka jest jej słownikowa definicja. Rób, co mówię, bo inaczej... czy tak? — Pochylił się. — W ciągu minionych dziesięciu lat stworzyłem sporą instytucję. Stafford Security Consultants to przede wszystkim organizacja obronna, lecz może również zostać wykorzystana do ataku. Jeśli doszukam się zmiany na gorsze w prowadzonych przeze mnie interesach, znajdę przyczynę. Jeżeli ty nią będziesz, zniszczę cię. Nie twój departament czy jakiegoś idiotę, który cię zatrudnia, ale ciebie samego. Zniszczę cię. Czy wyrażam się jasno?

Abercrombie—Smith niemal dostał apopleksji. Bełkotał przez chwilę, wreszcie wysapał:

— To niesłychane. Jeszcze nigdy nie ośmielono się do mnie zwracać w ten sposób.

— Szkoda — odparł Stafford i wstał, gdyż właśnie do sali wszedł portier.

— Gdyby ktoś wcześniej wziął cię za pysk, może miałbyś większe szansę, by stać się w miarę przyzwoitym człowiekiem. — Uniósł rękę. — Nie wstawaj. Sam znajdę drogę.

Zanim taksówka podwiozła go pod hotel „Norfolk”, zdążył nieco ochłonąć. Kiedy zapłacił już taksówkarzowi, zastanowił się, czy przypadkiem nie ukreślił bata na samego siebie.

Stafford zawsze uważał za cnotę, by nie przysparzać sobie niepotrzebnych wrogów, a z Abercrombie—Smithem obszedł się ostro. Mimo wszystko ten człowiek przyprawiał go o mdłości niefrasobliwym założeniem, iż wystarczy tylko gwizdnąć, a Stafford przybiegnie do nogi. Doszedł do wniosku, że na przyszłość powinien się mieć na baczności.

W recepcji wziął klucz od pokoju i znalazł wiadomość, że Hardin czeka na niego przy hotelowym basenie. Minął dziedziniec obok ptaszarni, skąd dochodziło ćwierkanie i szczebiot, i pod łukowato sklepionym przejściem udał się w stronę basenu. Bez trudu odnalazł Hardina, który na jego widok zawołał:

— Gdzieś ty był? Znowu dzwonił Pasternak i powiedział, że musi przesunąć wasze spotkanie na wcześniejszą godzinę. Zjawi się tu lada chwila.

— Zaliczyłem pranie mózgu — wyjaśnił kwaśno Stafford. — Czy Pasternak nie jest przypadkiem kierownikiem placówki CIA w Kenii?

— Możliwe — odparł Hardin z uśmiechem. — Ale nie afiszuje się z tym.

— Powiedz mi o nim coś więcej — poprosił Stafford.

— Nie znałem go wtedy, gdy pracowałem tutaj. Poznaliśmy się dopiero w Langley. Nie zaprzyjaźniliśmy się zbyt, ale od czasu do czasu szliśmy na drinka. Dobrze się złożyło, że go tu spotkałem.

— A gdzie Curtis?

— Poszedł do miasta. — Hardin zerknął ponad ramieniem Stafforda.

— Jest już Pasternak.

Pasternak okazał się chudym, długonogim, smukłym mężczyzną o twarzy bez wyrazu.

— Mike Pasternak — przedstawił się, gdy uścisnęli sobie ręce. — To miło, że zechciał pan się ze mną spotkać, panie Stafford.

— To żaden kłopot. Nie sądzę jednak, bym mógł wiele panu wyjaśnić. Zajmuję się ochroną i moim zadaniem jest dochowywanie tajemnicy. Napije się pan?

— Ja przyniosę — zaoferował się Hardin. — Piwo, Mikę?

Pasternak kiwnął głową i Hardin poszedł do baru usytuowanego obok basenu.

— Mówił mi Ben, że interesuje pana Pete Chipende — zaczął Pasternak.

— Zgadza się. Usiądźmy — gestem zaprosił Stafforda.

Zajęli przy stole miejsca naprzeciw siebie i Pasternak w zamyśleniu spojrzął na Stafforda.

— Wiele bym dał za wyjaśnienie powodów, dla których obraca się pan w towarzystwie Pete'a Chipende.

— Czy Ben nie powiedział panu tego?

— Taak. — Pasternak zmusił się do czegoś na kształt uśmiechu. — Nie uwierzyłem mu. Mam nadzieję, że pan mi wszystko wyjaśni.

— Obawiam się, że to moja sprawa, panie Pasternak — odparł Stafford.

— No cóż, przypuszczałem, że zajmie pan właśnie taką postawę. Mam nadzieję, że wie pan, w co się pakuje. — Pasternak zapalił papierosa. — Ben mówił mi, że pracuje pan w tej samej branży co Gunnarsson, tyle że w Europie. Powiedział mi również, że kiedyś służył pan w wywiadzie wojskowym.

— Zgadza się. To jest w aktach. Natomiast pan pracuje w CIA, ale pewnie nie zechce tego przyznać wprost.

— A czy spodziewał się pan tego? — Pasternak uśmiechnął się, po chwili jednak spoważniał. — Dziwna sprawa, Hendrix — nowo kreowany milioner i Gunnarsson, były agent CIA, znajdują się wśród turystów porwanych do Tanzanii. Zjawia się Stafford, facet również z wywiadowczą przeszłością, i rusza w pościg za porywaczami, a razem z nim Chipende i Nair Singh. Później spotykam Bena, także byłego agenta CIA. Czy nie uważa pan, panie Stafford, że to szczególny zbieg okoliczności?

— Czy zna pan człowieka o nazwisku Abercrombie—Smith z Głównej Komisji Brytyjskiej? — zapytał Stafford.

Pasternak wyprostował się.

— Niech mi pan tylko nie mówi, że i on w tym siedzi. Cokolwiek to jest.

— Właśnie jadłem z nim lunch. A teraz zjawił się pan. Może powinniśmy wynająć centrum konferencyjne Kenyatty na kongres dla przedstawicieli tajnych służb — sucho odparł Stafford. — Ale dlaczego pana interesuje Chipende?

Pasternak zmierzył Stafforda dziwnym wzrokiem.

— Czy pan żartuje?

— Nigdy nie żartuję z poważnych spraw, panie Pasternak. Naprawdę chciałbym wiedzieć.

— Wygląda na to, że mimo wszystko marnuję swój czas — oświadczył. — A prawdopodobnie i pański. Nadchodzi już Ben z piwem. Pozwoli pan, że ja zapłacę.

— Proszę nie zawracać sobie tym głowy. Niech mi pan tylko powie coś o Chipende. Abercrombie—Smith też chciałby coś o nim wiedzieć. Dzisiaj po południu próbował to na mnie wymusić.

— Z powodzeniem?

— Dostał po uszach.

— Nie chciałbym doświadczyć tego samego, panie Stafford. Lepiej więc skoncentrujmy się na piwie.

Podszedł Hardin z tacą i postawił ją na stole. Popijając piwo gawędzili na obojętne tematy, jak na przykład konieczność przestawienia gaźnika samochodu podczas jazdy z Mombasy, znajdującej się na poziomie morza, do Eldoret, leżącego na wysokości niemal trzech tysięcy metrów. Sądząc ze zdziwionych spojrzeń, jakimi obrzucił ich Hardin, musieli go mocno zaskoczyć.

Pasternak opróżnił szklankę.

— Muszę już iść — oświadczył i wstał. — Miło mi, że mogłem pana poznać, panie Stafford.

— Proszę jeszcze kiedyś wpaść — rzekł z ironią Stafford.

Przeszedł z Pasternakiem przez dziedziniec. Pasternak zatrzymał się przy ptaszarni i powiedział:

— Czy zauważył pan, że w Afryce nie ma śpiewających ptaków? Ćwierkają i szczebioczą, ale nie śpiewają. — Zamilkł na chwilę. — Czy mogę coś panu poradzić?

— Ależ oczywiście — odrzekł Stafford z uśmiechem. — Najwspanialsze w radach jest to, że nie trzeba się do nich stosować.

— Proszę uważać na Gunnarssona. Dzisiaj rano otrzymałem raport w jego sprawie. Ten facet mnie niepokoi.

— To najbardziej zbędna rada, jaką kiedykolwiek dostałem — powiedział Stafford, tłumiąc rozbawienie. — Niemniej dziękuję. — Uścisnęli sobie ręce i Pasternak odszedł.

Stafford odwrócił się, by udać się do swego pokoju, ale natknął się na Hardina.

— Rozmawialiście jakimś szyfrem czy co? To spotkanie miało przecież dotyczyć Chipa.

— Ben, teraz już wiem, na czym stoję. — Stafford poklepał go po plecach. — Mówiono kiedyś, że Bismarck potrafi milczeć w siedmiu językach, ale idę o zakład, że jego milczenie było bardziej wymowne niż jego przemówienia. A mnie interesuje tylko to, czego Pasternak nie powiedział.

— Bzdury! — skwitował zde gustowany Hardin.

Następnego ranka, po śniadaniu, Stafford zwrócił się do Hardina:

– Słuchaj, Ben, mam już dość tych podchodów. Teraz my zaczniemy trochę naciskać.

– Od kogo masz zamiar zacząć?

– Od Chipa. Sierżancie?

Curtis zeszywniał.

– Słucham, pułkowniku.

– Kontaktowałeś się z Chipem. Chcę go mieć u siebie w pokoju o dziesiątej.

– Tak, proszę pana. – Curtis odsunął krzesło i wyszedł z pokoju.

– Dlaczego właśnie Chip? – zapytał Hardin. – Jest po naszej stronie.

– Naprawdę? – Stafford pokręcił głową. – Pete Chipende jest wyłącznie po swojej stronie. W dodatku ukrył gdzieś Corlissa, co daje mu przewagę, gdyby zechciał to wykorzystać. Ty znalazłeś Corlissa, ale trzyma go Chip, co mi się absolutnie nie podoba.

– Masz rację – przyznał Hardin. – Ale nie sądzę, by dał się łatwo przycisnąć.

– Zobaczymy – odparł Stafford.

Curtis zameldował się z powrotem o dziewiątej trzydziści.

– Chip przyjdzie o dziesiątej, zgodnie z życzeniem pułkownika. Pytał, czego pułkownik od niego chce. Odpowiedziałem, że pułkownik mi się nie zwierza.

– Zrobię to teraz – rzekł Stafford. I wyjaśnił Curtisowi co ma zrobić.

– Czy jesteś tego pewien, Max? – spytał Hardin.

– Tak. Pasternak mi powiedział.

– Przecież w ogóle nie rozmawialiście o czymś takim.

– Bo i niczego nie mówił – odpowiedział Stafford i zostawił zaskoczonych Hardina.

Następne pół godziny spędził na zabezpieczeniu sobie tyłów.

Napisał list do Jacka Ellisa w Londynie, prosząc go o wykorzystanie możliwości Stafford Security Consultans dla dokładnego sprawdzenia niejakiego Anthony'ego Abercrombie—Smitha; od urodzenia do chwili obecnej; szkoły, do których uczęszczał, kluby, praca, przyjaciele – jeżeli ich ma, lokaty kapitału i wszystko, co mu przyjdzie do głowy.

Wkładając kartkę do koperty Stafford przypomniał sobie powiedzenie kardynała Richelieu: „Jeśli dasz mi sześć linijek napisanych przez najbardziej uczciwego człowieka, i tak znajdę w nich przyczynę do powieszenia go”. Z pewnością powinno się to również odnosić do Abercrombie—Smitha, gdyby zaszła potrzeba przyciśnięcia go.

Wreszcie zakleił kopertę i w tym momencie przyszedł Chip.

— Chciałeś mnie widzieć?

Stafford obrzucił spojrzeniem Hardina i Curtisa.

— Tak. Gdzie jest Corliss?

— W bezpiecznym miejscu — zapewnił Chip.

— Bez wątpienia. Ale gdzie to jest?

— Nie martw się, Max — powiedział Chip, siadając. — Jeżeli go potrzebujesz, dostarczę ci go za pół godziny.

Stafford uśmiechnął się łagodnie.

— Wciąż mi powtarzasz, żebym się nie martwił, co właśnie piekielnie mnie niepokoi. — Pozornie zmienił temat. — A przy okazji, Abercrombie—Smith przesyła ci pozdrowienia.

Chip nieznacznie zawahał się, zapalając papierosa, jednak po chwili dmuchnął dymem.

— Kiedy się z nim widziałeś?

— Zjedliśmy wczoraj lunch w klubie „Muthaiga”.

— Czego chciał?

— Oficjalnie chodziło mu o to, dlaczego po porwaniu nie zgłosiłem się do biura głównego komisarza. Ale tak naprawdę żądał wiadomości na twój temat.

Chip uniósł brwi.

— Doprawdy? I co mu powiedziałeś?

— A niby co mogłem powiedzieć? Niczego o tobie nie wiem.

Hardin drgnął.

— Zgadza się.

— Czy wiesz, kim on jest? — zapytał Chip.

— Pewnie jest zarejestrowany jako radca handlowy czy ktoś taki — odparł Stafford z uśmiechem. — Ale w rzeczywistości jest człowiekiem MI—6 w Nairobi, spełniając tę samą funkcję, co Mike Pasternak w CIA.

Chip usiadł na łóżku.

— Kręciłeś się tutaj sporo. Czy z nim też rozmawiałeś?

— Pogawędziliśmy przy piwie. Nic ważnego.

— Choć jesteś obcy w tym kraju, to poznajesz najbardziej interesujących ludzi.

— Nie schodziłem z własnej drogi, by ich szukać — powiedział Stafford.

— Przyciągam ich niczym garnek miodu osy. Wygląda na to, Chip, że wzbudzamy pewną sensację. Kiedy możemy spodziewać się KGB?

— Nie należy z tego żartować — oświadczył ze śmiertelną powagą Chip.

— Nie podoba mi się to wszystko.

— Daj spokój — zbył Stafford. — Nie jest tak źle. Zwrócili się do mnie w sposób dość otwarty. Hardin znał Pasternaka z dawnych lat, więc Pasternak nie mógł zaprzeczać, że należy do CIA. Jeżeli zaś chodzi o Abercrombie—Smitha, to jest to postać jak z kiepskiego żartu.

— Nie lekceważ Abercrombie—Smitha — ostrzegł Chip. — Może wydaje ci się, że te wszystkie wstawki w stylu „drogi przyjacielu” są zabawne, ale pamiętaj, że to twarde. Słuchaj, Max, dlaczego miałbyś zwracać na siebie uwagę służb wywiadowczych dwóch krajów?

— Nie jestem wcale przekonany, że tak jest — odparł Stafford. — Wyglądało raczej na to, że to nie mną tak się interesują. Wydaje mi się, że to ty wzbudzasz ogólną ciekawość. Obaj chcieli wiedzieć, czym się zajmujesz.

— Robię przecież tylko to, co mi każeś. — Chip uśmiechnął się kwaśno.

— Chyba im to powiedziałaś?

— Zapomniałem — usprawiedliwił się Stafford. — Jakoś wyszło mi z głowy.

— Niezwykle zabawne.

— Słynę z poczucia humoru — zgodził się Stafford. — Dam ci jeszcze jedną próbkę. Chip, w której gałęzi kenijskiego wywiadu pracujesz?

— Żartujesz? — Chip popatrzył na niego w napięciu.

— Nie w dwóch służbach wywiadowczych, Chip — w trzech. A może dołożymy jeszcze jedną, żeby było cztery.

— Przestaję cię rozumieć, Max — odezwał się Hardin.

— Ja też przestałem już dawno — roześmiał się Chip.

Stafford zaczął wyliczać na palcach.

— Po pierwsze, od ręki potrafiłeś załatwić nam pokoje w każdym hotelu czy domku myśliwskim, jakiego sobie życzyłem, i to w szczycie sezonu turystycznego. Do tego trzeba mieć dojścia. Po drugie, zbyt szybko otrzymałeś z Zimbabwe informacje na temat Brice'a. Po trzecie, w nadzwyczaj krótkim czasie potrafiłeś umieścić Adama Muliro w grupie Corlissa jako przewodnika i kierowcę. Po czwarte, w Masai Mara również mało czasu zajęło ci ściągnięcie pomocy i wsadzenie Corlissa do aresztu. Po piąte, jak na zwykłego obywatela jesteś zbyt dobrze poinformowany o personaliach obcych agentów działających w Kenii. Po szóste, kiedy rozmawiałem z Pasternakiem, szybko wyklepał litanie nazwisk ludzi związanych z wywiadem, wśród nich znalazło się twoje i Naira. Zażartowałem, że powinniśmy urządzić kongres tajnych służb wywiadowczych, a Pasternak nie zaoponował. Po siódme, dziennikarze przeprowadzili z nami wywiad i sfotografowali nas, ale nic z tego

nie ukazało się w prasie, a to także wymaga dojść. Nie dziwię się, że wolałeś, by twojego zdjęcia nie zamieszczono w prasie — powszechnie znany agent to pojęcia sprzeczne. Po ósme... — Stafford urwał. — Chip, jak sam powiedziałeś w Masai Mara, w ten sposób może człowiekowi zabraknąć palców.

— Nie twierdziłem, że nie mam za sobą organizacji — powiedział Chip. — Ludowy Związek Kenii... — urwał. — Ale nie zamierzam rozmawiać na ten temat.

— Lepiej nie — zgodził się ponuro Stafford. — Bo zaserwowałbyś nam nowy stek kłamstw. Najlepsze zachowałem na koniec. Po ósme, kiedy wjeżdżaliśmy do Masai Mara, nie zapłaciłeś. Drobną oszczędność, która zdemaskowała cię całkowicie. Pokazałeś wtedy jakąś legitymację, którą najprawdopodobniej masz teraz przy sobie. Sierzancie!

Nim Chip się zorientował, Curtis zaszedł go od tyłu i unieruchomił. Szarpał się, ale nie dał rady sierżantowi, który w swoim czasie ujarzmił wielu niesfornych marynarzy.

— W porządku. Ben, przeszukaj go — polecił Stafford.

Hardin wprawnie przetrząsnął kieszenie Chipa i wyrzucił ich zawartość na łóżko. Stafford wszystko sam sprawdził. Wśród rzeczy rozrzuconych na łóżku niczego jednak nie znalazł. Jedynym dokumentem było prawo jazdy.

— Do licha! — zaklął. — Ben, spróbuj jeszcze raz.

Hardin odnalazł legitymację w kieszonce ukrytej w spodniach — plastikową kartę, przypominającą do złudzenia kartę kredytową, gdyby nie to, że widniała na niej fotografia Chipa.

— W porządku, sierzancie. Możecie go puścić.

Curtis zwolnił uchwyt, a Chip otrzepał się, rozprostowując myśliwskie ubranie. Stafford stuknął paznokciem w kartę.

— Ni mniej, ni więcej tylko pułkownik — oświadczył, po czym oschle dodał: — Z pewnością mam starszeństwo. Wywiad wojskowy?

— Tak — rzucił Chip. — Nie powinniście byli tego robić. Mógłbym kazać was wydalić z kraju.

— Mógłbyś — przyznał Stafford. — Ale nie zrobisz tego. Wciąż nas potrzebujesz. — Zmarszczył brwi. — Do tej pory nie rozumiem, czym cię tak zainteresowaliśmy? Dlaczego się do nas przyssałeś?

Chip wzruszył ramionami.

— Rzeczywiście istniało powiązanie z LZK. W Londynie Curtis dostał adres ich domu — kryjówki. Nie był on wcale tak ukryty, ponieważ dokonaliśmy infiltracji i przejęliśmy Curtisa. Naturalnie bardzo nas interesowało, dlaczego ty, były agent brytyjskiego wywiadu,

prorowadzisz śledztwo z pomocą LZK. W miarę upływu czasu sprawa stawała się coraz ciekawsza. I bardziej skomplikowana.

— Mówi, że skomplikowana — parsknął Hardin. — Nic się w niej kupy nie trzyma.

— Powiedz mi — rzekł Stafford — kim było tych dwóch ludzi, których wyczarowałeś w Masai Mara, żeby zajęli się Corlissem?

Chip uśmiechnął się nieznacznie.

— Pożyczyłem ich z posterunku policji w Mara i przebrałem w cywilne ubrania.

— A gdzie jest teraz Corliss?

— Dwieście metrów stąd — wyjaśnił spokojnie Chip. — W celi głównej kwatery policji, na rogu Harry Thuku Road. Mówiłem ci, że jest zupełnie bezpieczny. — Zapalił kolejnego papierosa. — W porządku, Max. Co robimy dalej?

— A jakie ty masz zamiary?

— Jestem gotów kontynuować wszystko bez zmian.

— A ja mam dalej wybierać ci kasztany z ognia — zakpił Stafford. — Nie, Chip. Koniec z sekretami, od tej pory dzielimy się wszystkimi informacjami. Zmęczyło mnie już chodzenie z kłapkami na oczach. Wiesz, że chodzi tu o coś więcej, nie o samego Gunnarssona, który próbuje podstawić fałszywego Hendrixa. Gra idzie o cholernie wysoką stawkę.

— A jaka jest stawka? — spytał Chip.

— Nie bądź głupi. Zakładam, że to ty mi powiesz.

— Około dwudziestu siedmiu milionów funtów — rzekł lekko Chip. — Pieniądze, których Brice nie zdeklarował ze spadku po Hendryxxie.

— Bzdury! — uciał Stafford. — Nie chodzi o pieniądze i doskonale o tym wiesz. Ale w jaki sposób do tego dotarłeś?

— Ponieważ ciekawiła cię fundacja Ol Njorowa, ja też się nią zainteresowałem — powiedział Chip. — Zadzwoiłem do Głównej Komisji Kenijskiej w Londynie i poprosiłem, by ktoś sprawdził testament. Zupełnie proste. Ale powiedz mi coś więcej.

— Sam sobie powinienem dać kopa — stwierdził Stafford. — Miałem to wszystko jak na dłoni, od chwili gdy Ben wrócił po sprawdzeniu starego Hendrixa i oznajmił, że nie miał żadnych związków z Kenią. Zabiło mi to potężnego ćwieka. Ale później zrozumiałem, o co chodzi.

— Co dostrzegłeś?

— Wyjątkowo wyraźne powiązania z Południową Afryką — oznajmił Stafford.

— Bingo! — spokojnie poświadczył Chip. — No i co dalej?

— Wszędzie, gdzie spojrzałem, widoczne były związki z Południową Afryką. Mieszkał tam

stary Hendryxx. Dirk Hendriks jest Południowoafrykańczykiem. Mandeville, wybitny adwokat, Doradca Królowej, jest prawnikiem, spędzającym urlop w Południowej Afryce. Właśnie teraz. Uważam, że Farrar, ten prawnik z Jersey, jest tylko parawanem, założę się, że to Mandeville spisał testament. — Stafford wziął głęboki oddech. — Brice popełnił błąd, zaniżając wysokość majątku Hendryxxa. Okazał się zbyt chciwy. Masz stuprocentową pewność, Chip, że on jest czysty? Bo ja idę o zakład, że to kolejny Południowoafrykańczyk.

Przez następną godzinę roztrząsali ten problem, próbując bez większego powodzenia dopasować fragmenty swej wiedzy.

— W porządku, osiągnęliśmy zgodność poglądów — rzekł w końcu Chip.

— Uważamy, że Dirk Hendriks może być agentem wywiadu Południowej Afryki i że to samo może dotyczyć Brice'a. Nie potrafimy jednak ustalić roli Gunnarssona w tym wszystkim, ani tego, kto próbował zabić Corlissa.

— Wcale nie Corlissa — odezwał się nagle Hardin. — Hanka Hendrixa. Ktoś przecież strzelał do Hanka w Los Angeles, a to zdarzyło się przed dokonaniem przez Gunnarssona zamiany.

— A więc uważasz, że ten, kto chce go zabić, nie wie o zamianie?

— spytał Stafford. — To możliwe. — Spojrzał na Chipa. — Zdarzenie na granicy tanzańskiej wygląda autentycznie, w tym sensie, że takie porwania zdarzały się już wcześniej. Co o tym sądzisz, Chip? Czy łatwo wejść w posiadanie tanzańskich mundurów i Kalasznikowów?

Chip uśmiechnął się lekko.

— Dysponując odpowiednią sumą pieniędzy możesz na granicy tanzańskiej kupić wszystko. Jeśli zaś chodzi o te przeklęte Kalasznikowy, to są one wszędzie — W Tanzanii, Somalii, Etiopii, Ugandzie. Nie ma problemu. Myślisz, że porwanie zostało tak ukartowane, by zwalić winę na Tanzańczyków? — Pokiwał z namysłem głową. — Całkiem prawdopodobne.

— W takim razie musiał je zorganizować Brice — rzekł Hardin. — Dirk Hendriks siedział wtedy w Anglii.

— Ale to wszystko przypuszczenia — przypomniał Stafford. — Niczego nie jesteśmy pewni. Jaki ruch teraz wykonasz, Chip? W końcu to twój kraj.

— Nie możemy wystąpić jawnie przeciwko fundacji — oświadczył Chip.

— Wywołało by to poruszenie. Artykuły w prasie i spory rozgłos. Muszę się z tym zwrócić do mojego przełożonego. — Uniósł rękę. — Tylko nie pytaj, kto to jest.

— Czy pułkownik nie ma nic przeciwko pewnej sugestii? — odezwał się nagle Curtis.

— Gadaj, sierżancie — przyzwolił Stafford. — Przyda się każdy dobry pomysł.

— Oddajmy Corlissa Gunnarssonowi. Potem stańmy z boku i zobaczymy, co z tego wyniknie.

— Masz paskudne pomysły — wtrącił Hardin. — To tak, jakby wystawić go na strzelnicę.

— Ale w ten sposób moglibyśmy zobaczyć, kto strzela. — Stafford spojrzął na Chipa. — Co o tym sądzisz? Potrzebowałby jakiegoś dobrego alibi.

— Żadne tłumaczenie nie pomoże — zawyrokował Chip. — Trzymaliśmy go zbyt długo. Tak czy owak, wyjdzie na okropnego kłamcę, a przy okazji sami się odsłonimy. — Zastanawiał się przez chwilę. — Nie, lepiej umieścić kogoś wewnątrz Ol Njorowa, żeby się dobrze rozejrzał.

— Może niczego nie znaleźć — rzucił ponuro Hardin.

— Wydaje mi się, że da się coś tam wyszperać. — Chip zdusił papierosa.

— Od kiedy zwróciliście moją uwagę na Ol Njorowa, zacząłem się dokładnie przyglądać instytutowi, jak na uczelnię rolniczą, to środki bezpieczeństwa przekraczają znacznie potrzeby.

— Huntowie wytłumaczyli tę sprawę — rzekł Stafford. — Judy twierdziła, że ginęły rzeczy — głównie drobne narzędzia rolnicze, nie mające większego znaczenia. Inaczej jednak ma się sprawa z sadzonkami eksperymentalnymi— Alan Hunt natomiast opowiedział historię o lamparce. — Zastanowił się nad Huntami. — Słuchaj, Chip, przecież cały personel nie może należeć do południowoafrykańskiego wywiadu. Huntowie są białymi Kenijczykami, a doktor Odhiambo raczej nie nadaje się na agenta.

— Zapewne jest to tylko komórka — zgodził się Chip. — Wracając jednak do Hendriksa — od jak dawna mieszka w Anglii?

— Nie wiem — przyznał Stafford. — W moim życiu pojawił się dwa lata temu, kiedy poślubił Alix.

— Jeżeli pracuje dla wywiadu Południowej Afryki, to umieszczono go w Anglii jako „śpiocha” i Anglikom nie przypadnie to do gustu. Uważam, że wskazane jest nawiązanie kontaktu z Londynem i to na wysokim szczeblu. — Chip wstał. — A ja zorientuję się, czy dam radę umieścić kogoś w Ol Njorowa.

— Zaczekaj chwileczkę — rzekł Stafford. — Dirk wie, że jestem w Kenii. Powiedziałem mu, że wybieram się tutaj i uprzedziłem, że możemy się spotkać. Myślę, że uda mi się wprosić do Ol Njorowa. Poza tym Huntowie zaprosili mnie na lot balonem.

— Pojedziesz sam? — zapytał Hardin.

— Nie, zabiorę sierżanta. — Stafford uśmiechnął się do Curtisa. — Co byś powiedział na

lot balonem, sierzancie?

Wyraz niesmaku, jaki pojawił się na twarzy Curtisa, stanowił wymowną odpowiedź.

Atmosfera napięcia w gabinecie Brice'a groziła niemal wybuchem, po tym, gdy Hendriks spytał:

– Czemu mnie, do diabła, nie uprzedziłeś, że Stafford był w to zamieszany?

– Bo nie wiedziałem — uciał Brice.

– Chryste, był tutaj! Do licha, spotkałeś się z nim!

– A skąd miałem wiedzieć, kim jest? — żałośnie odparł Brice. — Nigdy o nim nie wspominałeś. Wtedy wiedziałem tylko, że jest znajomym Huntów. Jedli kolację w hotelu „Lake Naivasha”. Był z nim jeszcze Hindus, Sikh — Nair Singh.

– Któż to znowu?

– Przyjaciel Alana Hunta. Studiowali razem na uniwersytecie.

– A później Stafford zjawiał się w Masai Mara, goniąc za Hendrixem. Nie potrafiłeś dodać dwa do dwóch?

– Nic o tym nie słyszałem. Nie pisano w prasie na ten temat. Kim w ogóle jest ten Stafford?

– Przyjaciel Alix — odparł Dirk w zadumie. — I jest bystry, Brice, cholernie bystry. — Opowiedział Brice'owi dokładnie, kim jest Stafford i czym się trudni. — To nie może być zbieg okoliczności, że tu i tam wyskakuje nieoczekiwanie w krytycznych momentach. Czy w trakcie pobytu tutaj wspominał o mnie?

– Nie.

– Dlaczego nie? — zastanawiał się Dirk. — Wiedział, że mam przyjechać. — W myślach rozważał wszelkie możliwe odpowiedzi na to pytanie, po czym wykrzyknął: — Wielki boże!

– Cóż się znowu stało? — spytał zmęczonym głosem Brice.

– Widział ten cholerny testament, oto, co się stało — odrzekł zjadliwie Dirk. — Kiedy byłem w Południowej Afryce, do Alix przyszedł jakiś Hardin. Dirk opowiedział o wszystkim Brice'owi, a na zakończenie dodał: — Ja nigdy nie spotkałem tego Hardina. Alix twierdziła, że wrócił do Stanów.

– I nigdy nie przyszło ci do głowy, by mi o tym powiedzieć? — spytał kwaśno Brice.

– Za bardzo byłem zaabsorbowany Hendrixem. Ale teraz nie ma to żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, że Stafford wie, iż instytut odziedziczył znacznie więcej niż siedem milionów.

– Możemy to łatwo wytłumaczyć — odparł Brice, wzruszając ramionami. — Już ci

mówiłem. Będę tylko musiał zgłosić pełną wielkość masy spadkowej. Szkoda, że tak się stało. — Wstał i zaczął spacerować. — Opowiedziałeś mi cholernie dziwną historię. Jakiś Amerykanin, Hardin, powiadamia twoją żonę o tym, że masz nie znanego ci kuzyna. Co więcej, zadał sobie trud sporządzenia kopii testamentu. Dlaczego miałby to robić?

— Według tego, co mówiła Alix, nabrał podejrzeń w stosunku do swego pracodawcy. Mówiłem ci, że nigdy nie spotkałem tego człowieka.

— A dla kogo pracował?

— Dla jakiejś prywatnej agencji detektywistycznej.

— Jak się nazywa?

— Nie wiem. Alix nie powiedziała.

— A kto zatrudnił tę agencję?

— Farrar, prawnik z Jersey.

Brice przerwał spacer i zatrzymał się przed Hendriksem.

— Powiedz mi coś — rzekł chłodno. — Skąd Farrar wiedział, że istnieje jakiś amerykański spadkobierca? — Dirk milczał, więc Brice podjął: — Ile osób wiedziało o istnieniu spadkobiercy w Ameryce?

— Pretoria wiedziała — odparł Dirk. — Ja wiedziałem, ale nawet nie zbliżyłem się do Farrara. Oczywiście wiedział też Mandeville — zamilkł raptownie.

— Mandeville wiedział — powtórzył Brice. — Wiedział wybitny Doradca Królowej. Wiesz, Hendriks, co się stało? Podczas gdy ludzie z Pretorii uganiaли się za Hendriksem po Los Angeles, szukali go również amerykańscy detektywi, zatrudnieni przez Farrara za namową Mandeville'a. Pretoria niemal dorwała Hendriksa, ale uratowała go ekipa Mandeville'a. Cóż za idiotyzm! Czy ktokolwiek słyszał coś o koordynacji działań i łączności? Sami ze sobą walczyliśmy, ty skończone głupcze. — Ton jego głosu był posępny. — Dlaczego Mandeville postąpił tak pochopnie?

— Zawsze twierdził, że Pretoria działa opieszale — przypomniał ponuro Dirk.

— Chyba lepiej, żebyś z nim pomówił. Zorientuj się, czy prawidłowo rozumiesz. Jeżeli tak, uprzedź go, żeby już nigdy nic nie robił bez wyraźnego rozkazu. — Podniósł słuchawkę.

— Proszę sprawdzić, ile się czeka na połączenie z Londynem. — Rozłączył się i powiedział:

— Możesz go też zapytać o nazwę tej amerykańskiej agencji detektywistycznej.

— Po co? To już nie ma żadnego znaczenia.

— Skąd możesz to wiedzieć? Masz kryształową kulę? — Dłoń Brice'a spadła na blat biurka jak wystrzał. — W trakcie tej operacji zbyt wiele rzeczy wymknęło się spod kontroli. Nie po to się tutaj namęczyłem, żeby cała sprawa została storpedowana przez czyjąś

nieudolność. — Usiadł. — A teraz opowiedz mi coś więcej o Staffordzie. Jak to się stało, że widział testament?

— Hardin sporządził kopię i przyniósł ją do Alix. Przebywałem właśnie w Południowej Afryce, więc Alix zwróciła się po radę do Stafforda. Hardin pokazał mu testament.

— A więc zna szacunkowy stan majątku, kręcił się tutaj, był w Masai Mara, kiedy porwano Hendrixa. Ten człowiek, którego spotkałeś... Ten...?

— Brice niecierpliwie pstryknął palcami.

— Gunnarsson.

— Gunnarsson mówił ci, że Stafford podążył za napastnikami. Czy tak?

— Zgadza się. Później Stafford powiedział mu, że jego grupa zgubiła się w buszu.

— Aha, zgubili się? Ciekawe. — Brice uniósł brwi i znacząco spojrział na Hendriksa. — Straciłem dwóch ludzi, a twojego kuzyna ciągle nie ma. Omawialiśmy to już wcześniej, ale wtedy nie wiedzieliśmy o Staffordzie.

— W zamyśleniu potarł brodę. — Widzę, że będziemy musieli dowiedzieć się o nim czegoś więcej. — Zadzwoił telefon i Brice odebrał.

— Oo! — zakrył dłonią słuchawkę. — Ktoś do ciebie. Kto wie, że tutaj jesteś?

— Nikt — zdziwił się Hendriks. — Po rozmowie z Gunnarssonem poszedłem do ambasady amerykańskiej, a potem już nikomu nie mówiłem, gdzie jadę.

— Ktoś jednak wie. — Brice podał mu słuchawkę. — Lepiej dowiedz się, kto to taki.

Hendriks sięgnął po słuchawkę.

— Dirk Hendriks, słucham.

— Cześć, Dirk. W końcu udało mi się ciebie złapać — odezwał się Stafford, a Hendriks na dźwięk jego głosu niemal upuścił słuchawkę.

— Mówi Max. Pomyślałem, że zadzwonię do Ol Njorowa i sprawdzę, czy cię tam nie ma. Co u ciebie?

— W porządku — odparł Dirk. — Zakrył dłonią mikrofon i cicho powiedział: — To Stafford.

— Latałeś już kiedyś balonem? — zapytał Stafford.

— Co takiego? — pytanie zaskoczyło Dirka.

— Czy latałeś balonem z Huntami? Właśnie rozmawiałem z Alanem. Okazali się tak uprzejmi, że zaprosili mnie na jutrzejszy lot. Zatrzymam się w hotelu „Lake Naivasha”. Musimy zjeść razem kolację.

— Tak, koniecznie — machinalnie zgodził się Dirk. — Zaczekaj chwilę.

— Ponownie zakrył mikrofon. — Przyjeżdża tutaj. Opowiada jakieś brednie o lataniu

balonem z jakimś Huntem. Zatrzyma się w hotelu.

Brice uśmiechnął się.

— Daj mi słuchawkę. — Wziął ją i powiedział: — Witam, panie Stafford, tu Charles Brice. Słyszę, że wybiera się pan jutro z Alanem Huntem. Proszę posłuchać, nie ma mowy, by spał pan w hotelu, zapraszam pana do nas. Pomijając inne względy, będzie to też wygodniejsze dla Alana. Tak, nalegam. O której możemy się pana spodziewać? W porządku, a więc do zobaczenia.

Kiedy odłożył słuchawkę, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Wolę go mieć na oku. Wejdz do mej sieci — powiedział pajak do muchy.

Gunnarsson leżał na łóżku w swoim pokoju w hotelu „New Stanley”, czytając jakąś kieszonkową powieść, która go zupełnie nie interesowała. Kilkakrotnie zgubił wątek i musiał się cofać o parę stron, czuł się więc znudzony i poirytowany. Prawdą było, że leżenie sprawiało ulgę jego wciąż obolałym stopom, tak naprawdę czekał jednak na rozmowę z Londynem.

Zadzwoił telefon, sięgnął więc po słuchawkę.

– Gunnarsson.

– Panie Gunnarsson, mówi George Barbour z Peacemore, Willis and Franks w Londynie. Jak rozumiem, chciałby pan znać aktualne miejsce pobytu Maxa Stafforda ze Stafford Security Consultants.

– Tak.

– Z tego, co nam wiadomo, pan Stafford przebywa obecnie na urlopie w Kenii. Londyn opuścił osiemnastego.

A więc ten drań czekał już w Nairobi, pomyślał Gunnarsson.

– Mam nadzieję, że nie ostrzeżliście Stafford Security — powiedział. Barbour poczuł się urażony.

– Panie Gunnarsson, orientuje się pan przecież, jak dyskretnie zasięgamy informacji.

– W porządku. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę, po czym przysunął do siebie książkę telefoniczną i zaczął obdzwaniać hotele w Nairobi. Poszcęściło mu się za piątym razem, kiedy wykrcił numer „Norfolku”. Tak, pan Stafford mieszka w „Norfolk”. Nie, w tej chwili nie ma go w pokoju. Najprawdopodobniej wyjechał na safari, ale nie zwolnił pokoju. Nie, miejsce pobytu pana Stafforda jest nieznane. Czy chciałby pan zostawić wiadomość?

Gunnarsson był jak najdalszy od tego, więc zaraz odłożył słuchawkę. Wrócił do łóżka i próbował uporządkować myśli. Nigdy nie spotkał Stafforda, ale wiele o nim słyszał od przedstawicieli Peacemore, Willis and Franks. Nie istniał żaden Peacemore, ani Willis czy Franks. Trójczłonową nazwę wymyślił Gunnarsson, gdyż dobrze brzmiała, odpowiednio dla londyńskiego City. Działalności doglądał Terence Ferney, który, jeśli chodzi o Stafford Security Consultants, od czasu do czasu nabierał właściwości żrących. „Stafford tak się nadyma, że aureola zaczyna go ugniatać — powiedział kiedyś. — Ale jest dobrym dyrektorem, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jego ochrona jest szczelna i dobrał sobie porządnych ludzi — choćby Jacka Ellisa”.

Gunnarsson widział się z Ferneyem w Londynie i gdy tamten chełpił się, jak to zdołali obejść ochronę Stafford Security w Electromics w trakcie przejmowania firmy, Gunnarsson zgasił go szorstko:

— Wygrałeś raz, a przegrałeś pięć razy. Słabo się spisujesz, Terry. Weź się w garść.

A więc to Stafford podążył za nim w Masai Mara. Czy mógł tu zadziałać przypadek? Szef jednej z największych organizacji ochroniarskich w Ameryce zostaje porwany, a szef jednej z największych organizacji ochroniarskich w Europie akurat znajduje się pod ręką. Bzdura!

Ale w jaki sposób Stafford do niego dotarł? I czy miał coś wspólnego ze zniknięciem Corlissa? Czy znał prawdę na temat Corlissa — że ten został podstawiony w miejsce Hanka Hendrixa? I dlaczego w ogóle się wtrącał? Gunnarsson jeszcze raz podniósł słuchawkę i wykręcił numer centrali.

— Chciałbym zamówić rozmowę z Nowym Jorkiem.

Hardin również leżał, ale na łóżku polowym obok basenu w hotelu „Norfolk”. Opalał się. Ułożył się na brzuchu, bacznie obserwując bąbelki powietrza unoszące się w szklance piwa Premium i doszedł do wniosku, że nie zarabia na sobie. Stafford i Curtis wyjechali do Ol Njorowa, Chip ze swymi chłopakami pilnował Gunnarssona, więc Hardinowi nie pozostało nic do roboty. Odczuwał niezadowolenie i mgliste poczucie winy.

Leżał tak przez godzinę, chłonąc słońce, po czym przepłynął dziesięć długości basenu, a następnie wytarł się i przebrał w szatni. Przeszedł rozświetlony dziedziniec, kierując się w stronę tylnego wejścia do hotelowego holu, kiedy jednak tam wszedł, wykonał zgrabny zwrot i wycofał się na dziedziniec. Zobaczył bowiem stojącego przy pulpicie recepcji Gunnarssona, który rozmawiał z urzędnikiem.

Już miał wrócić do swojego pokoju, gdy z holu wyłonił się Nair Singh, mrużąc oczy przed nagłym uderzeniem światła. Kiedy nałożył okulary przeciwsłoneczne, Hardin poklepał go po ramieniu.

— A niech to diabli! — powiedział. — Niewiele brakowało, bym się nadział na Gunnarssona. Powinniście mnie ostrzec.

— Dzwoniłem — usprawiedliwił się Nair. — Nikt u ciebie nie odbierał telefonu.

— Byłem na basenie. Skąd, do diabła, wziął się tu Gunnarsson?

— Wydaje mi się, że próbuje znaleźć Stafforda — powiedział Nair. — Dowiedział się, kim naprawdę jest. Zadał sobie trud zadzwonienia do Londynu, by ustalić, czy Stafford, którego spotkał w Keekorok, jest tym samym Staffordem ze Stafford Security Consultants.

— Skąd wiesz?

— Założyliśmy podsłuch. — Nair uśmiechnął się. — Zwykła procedura. Godzinę temu dzwonił do Nowego Jorku, domagając się posiłków. Ściąga trzech ludzi.

— Kogo? — dopytywał się Hardin. — Czy wymienił nazwiska?

Nair kiwnął głową.

— Walters, Gottschalk i Rudinsky.

— Gottschalka nie znam — oświadczył Hardin. — Ale Walters to dobry specjalista, a Rudinsky już wcześniej pracował w Afryce. Też był kiedyś w Agencji. Robi się tutaj coraz goręcej. Kiedy mają się zjawić?

— Pojutrze, rannym samolotem. Mnóstwo czasu, żeby zdecydować, co robimy. Omówię sprawę z Chipem, może zakazać im wstępu, jako niepożądanym obywatelom.

— Lepiej wracać do roboty — rzekł Hardin, skinąwszy głową w stronę holu. — Gunnarsson może ci się wymknąć.

— Nie da rady. Obstawia go trzech ludzi, a w samochodzie mamy nadajnik. Ciągle tkwi w recepcji. — Nair popatrzył na Hardina ironicznie. — Mam w turbanie radio, teraz robią takie miniaturowe cuda.

— Sprytne — rzekł Hardin z podziwem i z zainteresowaniem przyjrzał się turbanowi. Zwoje materiału na uszach Naira kryły również słuchawkę.

Nagle Nair gestem nakazał ciszę i przechylił głowę na bok.

— Właśnie wychodzi... wsiada do taksówki. Zobaczymy dokąd pojedzie, ale najpierw sprawdzimy w recepcji.

— Ciekawe, w jaki sposób Gunnarsson doszedł do Stafforda? — zastanawiał się Hardin.

— Pewnie przez Dirka Hendriksa — odparł Nair. — Nie ma to większego znaczenia. Wyjechał już z Harry Thuku Road. Sprawdźmy, czego chciał.

Udali się do holu, by wypytać recepcjonistę.

— Ten mężczyzna, który był tutaj przed chwilą... — zaczął Nair.

— Pan Andrews? Ten Amerykanin?

— Tak — przytaknął Hardin. — Pan Andrews. Czy szukał kogoś?

— Chciał się widzieć z panem Staffordem. To chyba pański przyjaciel, prawda? Widziałem panów razem.

Hardin kiwnął głową.

— Co pan powiedział Andrewsowi?

— Powiedziałem mu, gdzie można znaleźć pana Stafforda. — Recepcjonista zerknął nerwowo na Hardina. — Czy źle zrobiłem?

— Chyba nie — oświadczył Hardin, myśląc dokładnie co innego. — Dokąd go pan

skierował?

— Do szkoły Ol Njorowa. Pan Stafford wspomniał coś przed wyjazdem. Uprzedził, że nie będzie go przez kilka dni, ale zatrzymał pokój.

— Dziękuję — Hardin posłał Nairovi spojrzenie pozbawione wyrazu, a kiedy odeszli, rzekł: — Max zachował się bardzo nierozsądnie.

— Nie mógł przewidzieć, że Gunnarsson zacznie go szukać. — Nair skoncentrował się na wysłuchaniu radiowego komunikatu. — Gunnarsson wysiada z taksówki na ulicy Muindi Mbingu. — Zamilkł na moment. — Wchodzi do biura United Touring Company. UTC zajmuje się między innymi wypożyczaniem samochodów.

Podjęli decyzję bez zbędnych dyskusji.

— Spakuję rzeczy — oświadczył Hardin. — Będę gotów za piętnaście minut. — Gdy wychodził z holu, Nair już sięgał po telefon.

Stafford znów musiał się poddać rytualnej kontroli, nim otworzono przed nim bramę Fundacji Ol Njorowa. Podjechał do bloku administracyjnego, zaparkował Nissana i wszedł do środka. W holu podał swoje nazwisko czarnemu Kenijczykowi, siedzącemu za pulpitem. Rozejrzał się i zobaczył to, czego nie zauważył podczas pierwszej wizyty. Chip miał rację — ochrona była szczelniejsza, niż można by się spodziewać po tak niewinnej organizacji.

Nikt nie mógł przedostać się do budynku, omijając obrotowe drzwi. Szedł też o zakład, że drzwi za każdym otwarciem wysyłały sygnał, a przynajmniej wysyłałyby, gdyby to on odpowiadał za ochronę. Popatrzył wokół okiem zawodowca i na styku dwóch ścian i sufitu dostrzegł delikatny odbłask światła. Domyślił się, że to szerokokątny obiektyw kamery. Była niewidoczna, chyba że ktoś właśnie jej szukał. Stafford zastanawiał się, gdzie umieszczono monitor.

— Pan Hendriks zaraz przyjdzie — oznajmił człowiek zza pulpitu. — Proszę usiąść.

Stafford rozsiadł się na wygodnej sofie, z niskiego stolika wziął jakieś czasopismo i przerzucił kartki. Naukowy magazyn traktował o uprawach tropikalnych, co nie zainteresowało go zbyt. Po chwili zjawił się Hendriks i z wyciągniętą ręką przeszedł przez kołowrót.

— Max! Miło mi cię widzieć.

Stafford miał podstawy, by wątpić w autentyczność tego oświadczenia, ale wstał i uściśnął podaną dłoń.

— To miłe ze strony Brice'a, że zechciał mnie przyjąć — powiedział. — Równie dobrze mógłbym zamieszkać w hotelu. To niedaleko stąd.

— Charles nawet nie chciał o tym słyszeć, kiedy tylko dowiedział się, że jesteśmy przyjaciółmi — oznajmił Hendriks. — Dlaczego nie wspomniałeś mi o tym w czasie poprzedniego pobytu?

— Krótko rozmawiałem z Brice'em, przyjechałem przecież do kogoś innego — do Alana i Judy Huntów. Znasz ich?

— Nie, ale jestem tu dopiero od niedawna. Właśnie wróciłem z Anglii.

— A jak się miewa Alix i młody Max? — spytał Stafford uprzejmie.

— Do twarzy jej z macierzyństwem — odparł Hendriks i ujął Stafforda za ramię. — Chodź zobaczyć się z Charlesem. — Poprowadził Stafforda przez kołowrót i dalej korytarzem, wreszcie otworzył drzwi. — Jest już Max — oznajmił.

Brice jowialnie powitał Stafforda.

— A więc wrócił pan, by wraz z Alanem Huntem zostać nieustraszonym człowiekiem—ptakiem. Nigdy bym się nie odważył, chyba niezbyt ufam temu urządzeniu, wygląda zbyt delikatnie. — Wskazał Staffordowi fotel.

Kiedy usiedli, odezwał się Hendriks:

— Mam kiepskie wiadomości na temat kuzyna Henry'ego. Oczywiście słyszałeś już?

Stafford spodziewał się tej rozmowy i miał przygotowaną odpowiedź.

— Więcej niż słyszałem — odparł lekko. — Byłem tam. Nie w tej uprowadzonej grupie, ale w innej, która nieco niezdarnie rzuciła się na pomoc. Nie wiedziałem wtedy, że Hank Hendrix jest w to wszystko zamieszany. Po powrocie do Keekorok doznałem szoku słysząc to nazwisko. Prawdę mówiąc myślałem początkowo, że to mogłeś być ty.

— Dziwne, że pańska przygoda nie została opisana w prasie — wtrącił Brice.

— Kiepscy dziennikarze — machnął ręką Stafford. — Czy wykryto coś nowego?

— Nic — powiedział Dirk. — Byłem na policji i w amerykańskiej ambasadzie, ale wygląda na to, że nikt niczego nie wie, a jeśli nawet wie, to trzyma w tajemnicy.

— Całe wydarzenie nie wpłynęło korzystnie na i tak już niezbyt dobre stosunki dyplomatyczne między Kenią a Tanzanią — zauważył Brice i zmienił temat. — Przypuszczam, że chciałby się pan odświeżyć. Na górze mam kilka sypialni dla specjalnych gości — czasami odwiedzają nas członkowie zarządu lub urzędnicy rządowi. Może pan zająć jedną z nich.

— To bardzo uprzejme z pana strony.

— Nie ma o czym mówić. Wie pan, tworzymy tu raczej zamkniętą społeczność — coś jakby klasztor, gdyby nie kilka znajdujących się wśród nas kobiet, na przykład Judy Hunt. Dobrze nam zrobi widok nowej twarzy.

Z pewnością nasze rozmowy ożywią się i wzbogacą o nowe tematy. Dirk zaprowadzi pana do pokoju, a później, że się tak wyrażę, proszę upolować Hunta.

— Dobrze — zgodził się Dirk. — Zaprowadzę cię na górę. Masz pokój obok mojego.

— I zapraszamy na kolację — dodał Brice.

— Oczywiście to ty jesteś tutaj specjalnym gościem — powiedział Stafford do Hendriksa, kiedy wchodzili po schodach. — Jak ci się podoba to miejsce?

— Niewiele na razie widziałem, zbyt byłem zaabsorbowany sprawą kuzyna. Ale na pewno robi to wrażenie. Oto twój pokój.

„Mnisi” w klasztorze Brice'a nieźle sobie żyją, pomyślał Stafford, rozglądając się po sypialni, której nie powstydziliby się trzygwiazdkowy hotel. Dirk wskazał drzwi.

— Tam jest łazienka. Jeżeli mi dasz kluczyki do samochodu, każę przynieść twój bagaż.

— Nie jest zamknięty.

— W porządku. Pomieszczenie dla personelu znajduje się po drugiej stronie korytarza. Jesteśmy tam umówieni z Huntem za piętnaście minut. Wypijemy drinka.

— Wiem, gdzie to jest.

— Ach, racja — powiedział Dirk. — Zapomniałem, że już tu byłeś. Oddalił się, a Stafford nie miał wątpliwości, że zarówno Nissan, jak i walizka, zostaną starannie przeszukane. Nie miał nic przeciwko temu, gdyż nie było w nich niczego kompromitującego. Wprawnym okiem obrzucił pokój, szukając elektronicznego podsłuchu. Nie miał żadnych wątpliwości, że w pokoju musiał być podsłuch. Brice bez wątpienia interesował się prywatnymi rozmowami członków zarządu i urzędników rządowych.

Lampa stołowa była czysta, podobnie jak i lampka nocna. Niczego też nie przymocowano pod stolikiem do kawy, toaletką i łóżkiem. Z powątpiewaniem spojrzął na telefon. Zapewne również znajdował się na podsłuchu, ale nie miało to większego znaczenia. Gdyby z niego skorzystał, to wyłącznie w celu odbycia zupełnie nieszkodliwej rozmowy. Aparat mógł jednak służyć także do innych celów. Odkręcił pokrywkę słuchawki, wytrząsnął mikrofon i dokładnie go obejrzał. Wydawał się bez zarzutu, umieścił go więc na miejscu i skrzył słuchawkę. Zajęło mu to piętnaście sekund.

Kiedy odstawił telefon, rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Kenijczyk, który wcześniej stał za pulpitem w holu na parterze. Wniósł walizkę Stafforda. Postawił ją obok toaletki i oznajmił:

— Pan Hunt czeka w pokoju personelu, sahibie.

— Dziękuję. Proszę mu powiedzieć, że przyjdę za kilka minut. — Stafford wyjął zestaw toaletowy i udał się do łazienki. Gdy wyszedł, uwagę jego zwrócił dość stereotypowo

wyglądający obraz na ścianie. Była to reprodukcja przedstawiająca słonia, pędzla Davida Shepharda, typowa dla antykwariatów w Nairobi. Przyjrzał się jej dokładniej, zwracając jednak uwagę nie na samo płótno, lecz na ramę wykonaną z surowego, białego drewna, która wydawała się zaskakująco gruba. Z tyłu ramy znalazł małą dziurę po sęku i uśmiechnął się.

Z kieszeni marynarki wyjął ołówkową latarkę i dokładnie sprawdził otwór. Ustawiając światło pod odpowiednim kątem i poruszając nim rytmicznie, kilkakrotnie dostrzegł na dnie otworu metaliczny odblask — membranę miniaturowego mikrofonu. Gdy odłożył latarkę, poczuł ulgę. Gdyby nie znalazł podsłuchu, martwiłby się, gdyż jak dotychczas wszystkie podejrzenia co do Hendriksa i Brice'a zostały zbudowane na podstawie nikłych przypuszczeń. Ale to rozstrzygało. Żadna niewinna organizacja nie zakładałaby podsłuchu we własnych pomieszczeniach. W grubej ramie obrazu ukryto mały nadajnik oraz zasilające go baterie, a gdzieś w Ol Njorowa zapewne znajdował się odbiornik sprzężony z uruchamianym przez dźwięk magnetofonem. Zlikwidowanie podsłuchu nie stanowiło większego problemu, wystarczyło wsunąć do otworu igłę i zniszczyć mikrofon, ale w ten sposób od razu by się zdradził. Lepiej zostawić go w spokoju i tylko kontrolować tu swoje wypowiedzi, podobnie jak w całym Ol Njorowa.

Nim opuścił pokój, wyjął z walizki małą lornetkę i podszedł do okna. W oddali dostrzegł kawałek ogrodzenia z siatki wyznaczającego granicę instytutu. Ocenił jego wysokość na trzy metry. Wieńczyły go trzy nitki drutu kolczastego. Gdzieś po drugiej stronie Curtis także dokonywał podobnych oględzin ogrodzenia, mając za zadanie przeprowadzenie rekonesansu na całym jego obwodzie. Stafford odłożył lornetkę i z lekkim sercem udał się do pomieszczenia dla personelu.

W gabinecie Brice'a Dirk Hendriks odłożył słuchawkę. Chcąc skontaktować się z Mandeville'em w Londynie napotkał na pewne trudności. Prawnik przebywał w sądzie i Hendriks zażyczył sobie, aby po powrocie natychmiast do niego zadzwonił. Teraz właśnie skończył z nim rozmawiać, a to, co usłyszał, zaparło mu dech w piersiach.

— Co się stało? — zapytał Brice. — Co powiedział Mandeville?

— Tą nowojorską agencją była Gunnarsson Associates — głucho odparł Dirk.

— Co takiego? — Brice'owi opadła szczeka. — Chcesz powiedzieć, że człowiek, z którym rozmawiałeś w Nairobi, to ten sam, który odnalazł w Stanach Hendrixa?

— Na to by wyglądało. — Hendriks wstał. — Po okolicy nie może się kręcić zbyt wielu Gunnarssonów, a ten Gunnarsson z Nairobi jest Amerykaninem.

— Znajdował się w tej samej grupie, co twój kuzyn. Najwyraźniej razem podróżowali.

Dlaczego jednak prywatny detektyw miałby wciąż kręcić się w pobliżu, skoro wykonał już zadanie? W dodatku posuwając się aż do przyjazdu do Kenii. I dlaczego Henry Hendrix miałby mu na to pozwalać!

— Może uważał, że potrzebuje ochrony, skoro odziedziczył tyle pieniędzy?

— Mało prawdopodobne. — Brice bębnił palcami o biurko.

— Czy ja wiem? — zaproponował Hendriks. — Strzelano do niego w Los Angeles, a do tego ta sprawa samochodu w Kornwalii. Mógł nabrać podejrzeń.

— No tak, to jest jakieś uzasadnienie — przyznał zmęczonym głosem Brice. — Możliwe też, że Gunnarsson i Stafford są jakoś powiązani ze sobą.

— Zastanawiał się przez chwilę. — Jakkolwiek jest, Gunnarssona należy obserwować. Musimy wiedzieć, z kim się widuje, a przede wszystkim, czy kontaktuje się ze Staffordem.

— Mam wracać do Nairobi? — spytał Dirk.

— Nie, zostań tutaj, żeby przypilnować Stafforda. Wyślę Patterssona.

— Brice wstał. — Pójdę do gabinetu radarowego i powiem mu to od razu. Mówisz, że Gunnarsson mieszka w „New Stanley”?

Dirk kiwnął głową. Brice był już niemal w progu, gdy Dirk rzekł nagle:

— Zaczekaj chwilę. Właśnie sobie coś przypomniałem. — Brice odwrócił się i pytająco uniósł brwi. Dirk powiedział: — Kiedy rozmawiałem z Gunnarssonem w „Ciernistym drzewie”, miałem dziwne uczucie, że już go gdzieś widziałem, tylko nie mogłem tego umiejscowić. Teraz już wiem.

— Gdzie?

— Czy pamiętasz, jak po raz pierwszy przyjechałem do Kenii z Henrym i Farrarem? Mieszkaliśmy w hotelu „Lake Naivasha”. Przyłączyłeś się tam do nas i razem zjedliśmy kolację.

No i?

Gunnarsson siedział sam przy narożnym stoliku.

Dirk Hendriks wszedł do pomieszczenia dla personelu i zastał Stafforda pogrążonego w rozmowie z Alanem Huntem, który właśnie mówił:

— Tak czy inaczej chcę jutro polecieć. Jim Odhiambo potrzebuje paru zdjęć działek eksperymentalnych. Balon bardzo się do tego przydaje.

Stafford skinął Dirkowi ręką i rzekł:

— Alan, chyba nie znasz jeszcze Dirka Hendriksa, wnuka dobroczyńcy fundacji Ol Njorowa. Alan Hunt.

Mężczyźni podali sobie dłonie.

— Jeśli o mnie chodzi, to szczodrość pańskiego dziadka przyszła w samą porę — powiedział Hunt. — Mam nadzieję zagarnąć z tych siedmiu milionów funtów jakąś część na chromatograf gazowy.

— Nawet nie mam pojęcia, co to takiego — roześmiał się Dirk.

— Siedem milionów! — rzekł Stafford z udanym zdumieniem. — Z pewnością jest tego więcej.

— Rocznie — odparł Dirk lekko. — Charles Brice na tyle ocenia przychód roczny po zainwestowaniu całego kapitału. Oczywiście należy jeszcze odjąć podatki, ale prowadzić rozmowy z rządem, by ta kwota została z nich zwolniona. W końcu fundacja nie jest organizacją dochodową.

Wszystko to miało pozory prawdopodobieństwa.

— Musiałem źle zrozumieć Brice'a — powiedział Stafford.

Hunt aż gwizdnął.

— Ja z całą pewnością go nie zrozumiałem, tak samo zresztą, jak przedstawiciele prasy. Ile w końcu zostawił nam pański dziadek?

— W chwili jego śmierci musiało tego być około trzydziestu czterech milionów, ale sprawy spadkowe i poświadczenie autentyczności testamentu zajęły trochę czasu, kiedy to pierwotna kwota uległa powiększeniu. Powiedzmy więc — trzydzieści siedem milionów.

Hunt wybuchnął ostrym śmiechem.

— Teraz już wiem, że dostanę mój chromatograf gazowy. Wypijmy na to konto.

Zamówili drinki, a Stafford zapytał z zainteresowaniem:

— Mówiłeś, że wykonujesz zdjęcia dla doktora Odhiambo. Nie widzę w tym sensu. Przecież może on oglądać swoje uprawy na ziemi, prawda?

— Tak — zgodził się Hunt. — Ale ten sposób jest szybszy. Działki eksperymentalne

fotografujemy w podczerwieni. Jeżeli wiesz, na co patrzeć, to w podczerwieni doskonale wychodzą rośliny, którym coś dolega albo są chore. Zaoszczędza to Jimowi wielu kilometrów męczącego dreptania.

— Cuda nauki — skomentował Hendriks.

— Ten sam system zastosowano w satelitach — powiedział Hunt. — Ale one mogą objąć większe tereny niż ja.

Stafford skosztował piwa.

— A skoro mówimy o satelitach, to kto jest właścicielem satelity używanego do obserwacji wędrówek zwierząt? Nie mogli go przecież wystrzelić tutejsi pracownicy.

Hunt roześmiał się.

— Mało prawdopodobne. To amerykańskie urządzenie. Naukowcy zajmujący się migracjami zwierząt poprosili o umieszczenie w nim małej paczuszki. Jest niewielka i nie wymaga dużej mocy, więc Jankesi zgodzili się. Ale satelita robi dużo więcej niż kontrolowanie ruchów gnu. — Wskazał na sufit. — Jest usytuowany tam, na wysokości ponad trzystu pięćdziesięciu kilometrów i obserwuje chmury nad większą częścią Afryki oraz Oceanu Indyjskiego; prowadzi długoterminowe badania monsunów.

— Orbita geostacjonarna — powiedział Stafford.

— Zgadza się. To na równiku. Tutaj znajdujemy się o jakiś stopień na południe. Jest też dość stabilny; wykonuje nieznaczne ruchy, jednak nie na tyle duże, by się nimi przejmować.

— Nie nadążam za wami — poskarżył się Hendriks. — Rozumiem z tego co trzecie słowo. — Pokręcił głową i dodał kwaśno: — Dziadek chciał, bym rokrocznie pracował tu przez pewien czas, ale nie wiem, co mógłbym robić. Nie mam odpowiedniego przygotowania. Na uniwersytecie studiowałem nauki humanistyczne.

— Niewątpliwie Brice da panu u siebie jakąś pracę administracyjną — pocieszył go Hunt i pociągnął łyk piwa.

Z pewnością tak zrobi, pomyślał Stafford, a głośno zadał pytanie:

— Na jakim uniwersytecie, Dirk?

— Potch. To znaczy Potchefstroom w Transwaalu.

Stafford zapamiętał tę informację, mogła się okazać użyteczną wskazówką, gdyby w przyszłości zaszła potrzeba dokładnego sprawdzenia Hendriksa.

— Max, jeżeli jutro chcesz się zabrać z nami, to pamiętaj, że wyruszamy wcześniej — przed śniadaniem. Rano powietrze jest łagodniejsze — powiedział Hunt. — Zadzwoń do ciebie o szóstej trzydzieści. — Stafford kiwnął głową, a Hunt spojrzał na Dirka. — A pan nie chciałby się wybrać? Jest miejsce dla jeszcze jednej osoby.

Hendriks pokręcił przecząco głową.

— Brice już zamówił mnie na jutrzejszy ranek. Może innym razem. Staffordowi ulżyło. Miał swoje powody, by przelecieć się na Ol Njorowa i wołał, żeby Hendriks go w tym czasie nie obserwował. Huntowie wydawali mu się czysti. Urodzili się w Kenii i zwerbowanie ich przez wywiad południowoafrykański było mało prawdopodobne. Uważał, że tak samo jak większość personelu naukowego stanowili część niewinnego kamuflażu, za którym stał Brice. Miał też swoje własne przypuszczenia, gdzie krył się robak w tym rumianym jabłuszku.

Hunt oznajmił, że musi wrócić do pracy, dopił piwo i wyszedł. Stafford i Hendriks trochę jeszcze gawędzili, prowadząc dziwną rozmowę. Każdy z nich starał się wysondować rozmówcę i jednocześnie samemu niczego nie ujawnić. Słowny pojedynek zakończony został wynikiem remisowym.

W drodze do Naiwasza Gunnarsson zaczął układać fragmenty łamigłówek, a końcowy efekt do jakiego doszedł, był przerażający. Należał do twardzieli, którzy nie dawali się łatwo nastraszyć, ale teraz martwił się, gdyż paczka wykonana w Nowym Jorku zaczynała mu się rozlatywać; sznurek się rozplatał, opakowanie rozdarło, a co gorsza, zniknęła zawartość.

Corliss zniknął, do diabła!

W Nowym Jorku zachowywał taką ostrożność. Po dostarczeniu Hendrixa przez Hardina, nikt już nie widział Hendrixa, gdyż osobiście przemycił go z budynku i umieścił w kryjówce w Connecticut. Jediną osobą, oprócz Hardina, która widziała Hendrixa, była jego sekretarka, siedząca w sąsiednim pomieszczeniu, ale nie znała jego nazwiska, gdyż po prostu nie wymieniono go. Udało mu się też pozbyć Hardina. Skończony dureń, tak łatwo dał się podpuścić i wybuchnął, co wystarczająco uzasadniło jego zwolnienie.

Gunnarsson bębnił palcami po kierownicy. Dziwne jednak, że kiedy usiłował powtórnie odszukać Hardina, nie mógł trafić na żaden ślad. Pewnie zaszył się w jakiejś dziurze i lizał rany. Gunnarsson wzruszył ramionami i przestał zaprzętać sobie nim głowę. Ten facet należał do przeszłości i nie odgrywał roli w obecnych kłopotach.

Niemniej raport Hardina okazał się interesujący i wartościowy. Oto Henry Hendrix, hippisowski wyrzutek pozbawiony rodziny. Nikt na świecie nie dbał o to, czy żyje, czy nie, gdyż nikt nie wiedział, że facet w ogóle istnieje. Nikt, oprócz członków dziwacznej komuny w Los Angeles, a Biggie i jego grupa nie liczyli się zupełnie.

W ten sposób, po odizolowaniu Hendrixa, stworzył warunki do szwindlu doskonałego, a zysk, jakiego się spodziewał był wielki — nie mniej niż sześć milionów dolarów. Hendrix

zgadzał się na wszystko, mówił swobodnie, sądząc, że informacje mają służyć brytyjskiemu prawnikowi. Nie zdawał sobie również sprawy z tego, że cicho obracające się szpule magnetofonu rejestrują każde słowo.

No i wreszcie Corliss. Człowiek słaby, poddany presji, nie nastreczył większych kłopotów. Jego działalność została ujawniona przez Gunnarsson Associates podczas rutynowej kontroli, a kiedy Gunnarsson stanął z nim twarzą w twarz i przedstawił swoje warunki, szybko się ugiął. Nikt w firmie nie zastanawiał się specjalnie, kiedy porzucił pracę i nie wszczęto przeciw niemu postępowania sądowego. Wszyscy wiedzieli, że wycisza się małwersacje komputerowe. Żaden bank nie pali się do rozgłaszania, że został obrobiony przez komputerowego wirtuoza, gdyż źle to wpływa na interesy. Tak więc Corliss również został odizolowany, a Gunnarsson upewnił się, że Corliss i Hendrix nigdy się nie spotkali.

Następnie Corliss został przygotowany do przejęcia roli Hendrixa. Na szczęście przypominał go nieco z wyglądu — obaj byli blondynami, mniej więcej w tym samym wieku. Ułatwiło to sfalszowanie paszportu. Później należało pozbyć się Hendrixa. Gunnarsson dopilnował tego osobiście. Szkoda, ale było to konieczne i obecnie Hendrix rezydował na dnie cieśniny Long Island, zamknięty w betonowym bloku.

Gunnarsson wspominał też Biggie'ego i jego komunę. Nagłe pojawienie się Hendrixa, który z dnia na dzień został multimilionerem, wywołałoby zainteresowanie prasy i telewizji. Biggie'emu mógł wpaść w ręce jakiś artykuł w prasie zachodniego wybrzeża, może nawet zdjęcie w telewizji. Należało więc coś zrobić także w tej sprawie i raz jeszcze Gunnarsson osobiście dopilnował rozwiązania.

Uśmiechnął się ponuro, kiedy przypominał sobie, że to właściwie Hardin podsunął mu ten pomysł. Skoro już raz wybuchł piec do wypalania ceramiki, to mógł z powodzeniem wybuchnąć ponownie, tym razem o wiele groźniej. Koniec Biggie'ego i całej komuny. Wtedy też zaczął na poważnie szukać Hardina i odkrył, że mieszka w jakimś zapchlonym hotelu w Bronxie. Kolejny pożar domu z pokojami do wynajęcia w Bronie przeszedł niezauważony. Nie poświęcono mu nawet najmniejszej notatki. Zero. Martwiło to Gunnarssona, bo nie miał pewności, czy załatwił Hardina. Dyskretne dochodzenie ujawniło, że ciało ofiar nie dało się zidentyfikować, gdy zaś dalsze poszukiwania Hardina niczego nie dały, uspokoił się.

Później wszystko poszło już gładko. W Londynie zaakceptowano Corlissa, a ten stary osioł, Farrar, wypłacił nawet dwieście tysięcy dolców na poczet przyszłego spadku. Oczywiście była to tylko kropla w morzu, przekąska przed głównym daniem. Potem przyjechali do Kenii, a cały plan diabli wzięli, kiedy Corlissa porwano do Tanzanii. Gunnarssona męczyła niepewność co do jego dalszych losów.

— Jezu! — westchnął głośno, odcięty od świata w swoim samochodzie. — Jeżeli przeżył, może być gorąco.

Rozważył możliwości. Jeśli Corliss nie żył, oznacza to tylko koniec marzeń o sześciu milionach dolarów, ale poradzi sobie z resztą i spokojnie wróci do Stanów. Gdyby jednak Corliss żył, istniała alternatywa — albo wytrwał jako Hendrix, albo się wygadał. Gdyby zachował zimną krew i pozostał w swojej drugiej skórce, to wszystko było w porządku i niczego nie trzeba zmieniać. Jeżeli natomiast wyjawiał prawdziwe nazwisko, spowodowałby tym lawinę kłopotów. Wszyscy zaczęliby wypytywać o autentycznego Hendrixa. Gunnarsson miał szansę wyłgać się i z tego, zwalając winę na nieobecnego Hardina. Mógł przysiąc, że uwierzył Hardinowi na słowo, więc nie wątpił w tożsamość Corlissa. Tłumaczenie było nie najgorsze. Wszystko zależałoby od tego, jak szeroko Corliss otworzyłby dziób.

Ale stawka była strasznie wysoka — sześć milionów dolarów lub jego własny kark. Sfrustrowany Gunnarsson uderzył dłonią w kierownicę, aż samochodem nieznacznie zarzuciło na bok. Corliss! Gdzie podziewał się ten głupi sukinsyn?

W dodatku wtrącił się jeszcze ktoś inny — Max Stafford! Nieprawdopodobne, by znalazł się tam przypadkiem, ale z drugiej strony nie istniały żadne powiązania. A więc Stafford coś zwęszył. W jaki sposób? Wrócił myślami do czasu, kiedy obaj z Corlissem przebywali w Londynie. Analizując swój plan nie doszukai się żadnego słabego punktu. Cóż więc, do diabła, robił Stafford i ile wiedział? Taki był właśnie cel jego wyprawy do Naiwasza — zdobyć informacje. Tylko ostrożnie. W tej chwili miał za mało ludzi — potrzebował pomocników do węszenia — jednak w ciągu dwóch dni ten problem zniknie.

Zjechał z krętej szosy na skarpie i ruszył prostą, dziurawą drogą, wiodącą do Naiwasza, nie zdając sobie sprawy, że jedzie za nim Mercedes taksówkarskiej firmy Kenatco, utrzymujący stałą odległość około czterystu metrów. Nie było zresztą szansy, bo o tym wiedział, rozdzielały ich również dwie cysterny i ciężarówka z piwem.

Gdy skręcał z głównej szosy przez wyboisty przejazd kolejowy w drogę prowadzącą wzdłuż jeziora, pomyślał przelotnie o raporcie Hardina — a raczej o tym jego fragmencie, w którym opisał zamach na Hendrixa w Los Angeles.

— Co, u diabła? — wymamrotał. Czyżby to coś — czymkolwiek „to” było, zaczęło się już wtedy? Jak to Hardin powiedział? Dwóch facetów z nieamerykańskim akcentem, być może Szwabów, węszyło za Hendrixem. A później ktoś do niego strzelał. To wymagało przemyślenia.

Skręcił na teren hotelu „Lakę Naivasha”, zaparkował i zamknął samochód, po czym udał

się do recepcji, by wynająć pokój. Kiedy już załatwił formalności, spytał:

— Który pokój zajmuje pan Stafford?

— Stafford? Nie sądzę... — Po chwili kierownik powiedział: — W tej chwili nie mieszka u nas żaden Stafford, proszę pana. Przypominam sobie jakiegoś pana Stafforda, ale już się wyprowadził.

— Rozumiem — odparł Gunnarsson z namysłem. — Gdzie się podział ten facet?

— Każę wnieść pańskie bagaże do pokoju.

— Otworzę samochód. — Gunnarsson odwrócił się i wpadł na jakiegoś Hindusa. Podążył na parking nieświadomy, że Nair Singh wciąż go obserwuje. Szybkim krokiem przeszedł w stronę samochodu i otworzył go. Boy hotelowy zabrał bagaże. On zaś rozejrzał się wokół. Jego uwagę przykuła stojąca nieopodal taksówka. Zmrużył oczy i podszedł do niej.

Zatrzymał się w odległości pięciu metrów i popatrzył uważnie. Jedna antena radiowa — w porządku, kierowca lubi słuchać muzyki w czasie jazdy. Dwie anteny radiowe? No cóż, może taksówka była podłączona do centrali. Ale trzy anteny? Wystarczająco dobrze znał się na swojej robocie, by wiedzieć, co to znaczy. Sprawdził to jednak, zbliżając się od strony siedzenia kierowcy i zaglądając na tablicę rozdzielczą. Ujrzał tam przyrząd z pewnością nie należący do normalnego wyposażenia — miernik siły sygnału.

Powoli wycofał się i wrócił do swojego samochodu. Schylił się i sprawdził podwozie. Pod zderzakiem wymacał coś małego, co przesunęło się lekko pod naciskiem palców. Odczepił to i wyciągnął. Trzymał w ręce małe, szare, niepozorne metalowe pudełko, z którego wystawały dwa sztywne druty. Zbliżył je do zderzaka. Pudełko przyłgnęło z trzaskiem, gdy chwycił magnes, umieszczony pod spodem.

Gunnarsson podniósł się i z zaciśniętymi ustami spojrzał na taksówkę. Ktoś go śledził. Ktoś, kto tak bardzo nie chciał go zgubić, że umieścił na jego samochodzie sygnalizator radiowy, by ułatwić sobie podróż. Szybko wrócił do hotelu i podszedł do kontuaru recepcji.

— Kto przyjechał tamtą taksówką? — spytał.

— Którą, proszę pana?

— Mercedesem — odparł Gunnarsson z irytacją. — Należy do Kenatco, a przynajmniej tak jest oznakowany.

— Może ten hinduski dżentelmen, który był tu przed chwilą — rzekł kierownik. — Wyszedł już.

Gunnarsson biegiem zawrócił, kiedy jednak ponownie ujrzał taksówkę, odjeżdżała właśnie w obłoku pyłu. Stał przez chwilę, podrzucając sygnalizator w dłoni, wreszcie cisnął go na ziemię i zgniół obcasem. Ktoś prowadził dziwne gierki, a on nie wiedział, kto.

Należało się nad tym zastanowić, nim uczyni jakiś pochopny krok. Udał się więc do swojego pokoju i położył na łóżku. Po chwili zadzwonił do Kenatco Taxi Company w Nairobi i podał zapamiętany numer rejestracyjny.

Zgodnie z jego przewidywaniami w Kenatco stwierdzili, że to nie ich taksówka.

O szóstej trzydzieści obudził Stafforda dzwonek telefonu stojącego obok łóżka. Początkowo czuł się zdezorientowany, ale oprzytomniał, słysząc Hunta.

— Max, wyruszamy za pół godziny. Spotkamy się w holu.

— Nie martw się — powiedział Hunt pół godziny później. — Weźmiemy śniadanie ze sobą. — Wsiedli do Land Rovera i Hunt wyjechał poza teren instytutu, a następnie skierował się w górę krętą, nieutwardzoną drogą, biegnącą obok ogrodzenia z siatki. — Wiatr jest idealny — oświadczył. — Myślę, że będziemy mogli przelecieć przez Wrota Piekieł. Latałeś już kiedyś balonem?

— Nie, nigdy. — Stafford nie przyznał się, że pomyślał, by w czasie pierwszego lotu przelecieli przez Wrota Piekieł, zdecydowanie przyprawił go o mdłości.

Hunt zjechał z drogi i Land Rover zaczął podskakiwać na otwartym terenie buszu.

— Jesteśmy na miejscu.

Stafford wysiadł sztywno z Land Rovera i w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów dostrzegł Judy. Stała obok czegoś, co przypominało kosz na bieliznę.

— Czy ona też leci?

— Tak, obsługuje kamerę.

— Cześć! — przywitała ich, kiedy podeszli. — Jedliście śniadanie? — Stafford pokręcił głową. — To dobrze! Będzie wam lepiej smakowało po locie.

Przyjrzał się „koszowi na bieliznę” i zrozumiał, że to w nim właśnie mieli przebywać podczas lotu. Judy miała rację, bez wątpienia lepiej było zjeść śniadanie po wszystkim. Stafford rzadko odczuwał lęk, ale bał się wysokości. Mógł się wspinać po zboczu, ale na szczycie za nic nie zbliżyłby się do krawędzi. Tego typu lęk nie był czymś nadzwyczajnym. Zastanawiał się, jak też spiesz się w ciągu kilku najbliższych godzin.

Obrzeże kosza obito zamszem, a z każdego narożnika wznosiły się teowniki. Podtrzymywały skomplikowany przyrząd ze stali nierdzewnej, podłączony do dwóch zwojów przewodów. Stafford przypuszczał, że jest to palnik, ogrzewający powietrze. Za koszem, rozłożona na ziemi, leżała wielobarwna powłoka balonu. Była większa niż się spodziewał i wydawała się bardzo krucha. Czterech czarnych Kenijczyków rozciągało ją, napinając stalowe linki.

— Jest większy, niż się spodziewałem — zwrócił się do Hunta. O wrażeniu kruchości nie wspomniał.

— To Cameron N-28, co oznacza, że ma dwadzieścia osiem tysięcy metrów

sześciennych pojemności. Po napełnieniu, jego wysokość od podłogi kosza do korony czaszy balonu wynosi ponad osiemnaście metrów.

— Co to za materiał?

— Gęsto tkany nylon, powlekany poliuretanem w celu zamknięcia porów. Ta powłoka jest niemal nowa, stara była zbyt porowata. Traciłem przez to powietrze i wydajność. Oczywiście wszystko dzieje się za sprawą ultrafioletu. Mimo że materiał jest specjalnie impregnowany, słońce go w końcu niszczy. Żywot balonu jest tu nieporównanie krótszy, niż w Anglii. Pomogę chłopakom.

Hunt podszedł bliżej i zaczął sprawdzać osprzęt. Stafford odwrócił się i zobaczył Judy, pracującą przy koszu. Mocowała do jego ścianki duży aparat płytkowy.

— Mogę w czymś pomóc?

— Właśnie skończyłam — odparła z uśmiechem. — Wyruszamy za dziesięć minut.

— Tak szybko? — Spojrzał na sflaczałą nylonową powłokę i nie wydało mu się to możliwe.

Po chwili wrócił Hunt.

— No dobra, ruszamy z tym w górę. Lucas, bierz wentylator. Chuma, trzymasz linę korony. Reszta zaczyna trzepotać. — Odwrócił się do Stafforda. — Max, pomożesz nam przechylić kosz na bok, tylko powoli i ostrożnie.

Przechylili kosz tak, że palniki zostały skierowane do wnętrza balonu. Dwaj Kenijczycy trzepotali nylonem, wprowadzając powietrze do powłoki. Wielkie fale zaczęły ją wolno rozdymać i unosić. Lucas podszedł od tyłu z wentylatorem, który przypominał ogromny wentylator elektryczny, ale napędzał go mały silnik spalinowy Hondy. Silnik prychnął i z rykiem zaskoczył, wdmuchując powietrze do czaszy.

— W porządku, Lucas! — powiedział, przekrzykując hałas wentylatora. — Dołącz do Chumy przy linie korony. Judy i Max, do kosza.

Stafford i Judy stanęli po obu stronach kosza. Nie wiedział, co robić, ale gotów był pójść w jej ślady. Balon napełniał się gwałtownie. Nagle rozległ się głęboki ryk i niebieski płomień, długi ze dwa metry, o trzydziestocentymetrowej średnicy, wystrzelił w otwartą gardziel balonu. Zaskoczony Stafford aż podskoczył, po czym spojrzał na Judy. Śmiała się, więc odpowiedział jej niepewnym uśmiechem.

Ryk nie ustawał, a balon powiększał się, niczym kwiat rozkwitający w przyspieszonym tempie. Gdy Hunt zgasił płomień, a jeden z Kenijczyków wyłączył wentylator, zapanowała błoga cisza. Hunt spojrzał w górę, na unoszący się balon.

— Trzymać kosz — rzekł i posłał do czaszy kolejną porcję płomieni. Dwaj Kenijczycy

dołączyli do Stafforda i Judy, gdy kosz zaczął się poruszać niczym żywa istota. Powoli prostował się, w miarę jak powłoka wypełniała się gorącym powietrzem. Hunt znowu zgasił płomień i krzyknął:

— Puście linę korony. — Kosz wyprostował się natychmiast, kiedy balon szarpnął się na uwięzi. — Trzymać! — krzyknął Hunt, a cztery pary czarnych rąk zacisnęły się na zamshowym obrzeżu. — Max, wsiadaj.

Z boku znajdował się rodzaj wyplatanego stopnia, więc Stafford postawiwszy na nim nogę, przerzucił drugą do środka. Hunt chwycił go za ramię i pomógł odzyskać równowagę. Judy wspięła się z drugiej strony. Natychmiast zaczęła odkręcać zawór jednej z butli, rozmieszczonych w każdym rogu kosza. Hunt puszczał teraz krótkie, kilkusekundowe strumienie płomieni. Staffordowi wydało się, że dostraja urządzenie. Po chwili rozkazał:

— Puścić. — I niemal od razu: — Trzymać!

Lucas toczył po ziemi w stronę kosza jakąś butlę. Judy odpięła tę, przy której pracowała i wymieniła na dostarczoną przez Lucasa. Następnie klepnęła brata w ramię.

— Gotowe do lotu — powiedziała. Zwiększył na moment płomień, po czym rzekł:

— Puścić. — Przez chwilę na pozór nic się nie działo, po czym Stafford zdał sobie sprawę, że oderwali się od ziemi. Unosili się w kompletnej ciszy, a lekki podmuch wiatru, który odczuwał na dole, zniknął.

— Wiatr jest w sam raz — powiedział Hunt. — Przelecimy nad grządką warzywną Jima, zrobimy zdjęcia i ruszymy na Wrota Piekieł. Żeby zrobić zdjęcia, musimy nabrać wysokości. — Palnik znów zahuczał, a Stafford poczuł na twarzy żar, kiedy spojrzał w wielkie, puste wnętrze powłoki, w której zniknął płomień. Zauważył też, że ziemia oddala się coraz szybciej i zaczyna się roztaczać coraz szerszy widok.

— Instytut — wskazał Hunt... — Przelecimy nad nim. Jesteś gotowa, Judy? Nachyliła się i zerknęła przez wizjer.

— Wszystko w porządku.

Stafford wyciągnął swój aparat. Był to Pentax 110; nie „szpiegowski” aparat jak Minox, jednak na tyle mały, by bez zwracania uwagi dało się go zmieścić w kieszeni. Był wyposażony w zestaw dobrych obiektywów.

Zamilkł huk palnika.

— Uniesiemy się jeszcze trochę — zagadnął Hunt. — Co o tym wszystkim sądzisz?

Ku zaskoczeniu Stafforda zniknęły jego wcześniejsze obawy.

— Uważam, że to cudowne — odparł szczerze. — Tak spokojnie. Pomijając huk palnika, ale on nie pracuje przez cały czas.

— Tam na dole jest Dirk Hendriks — powiedział Hunt. — Rozmawia z Brice'em przed budynkiem administracji. — Pomachał do nich. — Gdybyśmy byli niżej, moglibyśmy pogawędzić.

— Jak wysoko lecimy?

— Dochodzimy do sześciuset metrów. To jakieś dwa tysiące czterysta metrów nad poziomem morza. Judy, zbliżamy się do działek eksperymentalnych.

— Widzę. — Zrobiła z dziesięć zdjęć, w tym czasie Stafford też trochę popstrykał. Wreszcie wyprostowała się. — Wystarczy — powiedziała. — Pracę mamy z głowy. Teraz pora na przyjemności.

— Wracając do huku palnika — zaczął Hunt. — Trudno wyprodukować cichy silnik, według mnie to niemożliwe. Ten nasz ma około czterech tysięcy koni mechanicznych. Czegoś takiego nie da się wyciszyć, kiedy buchnie.

— Chyba żartujesz — rzekł Stafford z niedowierzaniem.

— Nie, to prawda. Zawartość jednej z tych butli gazowych wystarcza przeciętnemu gospodarstwu domowemu na dwa miesiące gotowania — my zużywamy ją w niespełna pół godziny. Ale nie wykorzystujemy maksymalnej mocy, więc przypuszczam, że uzyskujemy jakieś trzy tysiące koni. W Anglii i Ameryce stosują propan, lecz w afrykańskim upale byłoby to nieco ryzykowne, dlatego używamy butanu, mającego mniejszą wartość kaloryczną. Musimy jeszcze podnieść ciśnienie azotem. Temu właśnie służy tamten mały cylinder.

Staffordowi trudno było uwierzyć w moc silnika.

— Ten zegar wskazuje temperaturę — nie tutaj, lecz na koronie balonu. — Hunt skinął kciukiem do góry. — Optymalna temperatura wynosi sto stopni Celsjusza.

— Ależ to punkt wrzenia wody.

— Zgadza się — spokojnie przyznał Hunt. — Gdyby wzrosła powyżej stu dziesięciu, znajdę się w kłopotach — nylon tego nie lubi — dlatego tak skrupulatnie obserwuję ten cholerny przyrząd.

— Zbliżamy się do wejścia Wrót Piekieł — oznajmiła Judy. — Alan, zejdz nisko nad Kolumną Fischera.

— W porządku, ale później muszę wyjść do góry. — Wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował ich. Uśmiechnął się, gdy Stafford z powątpiewaniem spojrział na butle butanu. — Jest zupełnie bezpiecznie, dołożymy tylko trochę gorącego powietrza.

Przez szczelinę w pionowych urwiskach wpłynęli w wąwóz Wrót Piekieł. Hunt od czasu do czasu sięgał do pokręteł palnika i puszczał krótki płomień. Poza tym panowała zupełna

cisza i Stafford słyszał dzwoniące cykad i świergot ptaków. Dym z jego papierosa unosił się leniwą spiralą. Uświadomił sobie, że dzieje się tak dlatego, bo poruszają się z identyczną prędkością jak wiatr. Wszystko to było przedziwne.

— Tam jest Lucas w samochodzie pościgowym — odezwała się Judy. Spojrzał w dół i zobaczył Land Rovera ciągnącego przyczepę, który jechał drogą prowadzącą przez dno wąwozu. — Oto jeden z problemów baloniarstwa — trzeba jakoś wrócić na miejsce startu.

Stafford spojrzął na ogrom powłoki ponad nimi, później jeszcze raz na Land Rovera. Wydawało się niemożliwe, by konstrukcję wielkości sześciopiętrowego gmachu dało się tak poskładać, by zmieściła się do małej przyczepy. Przed nimi, z dna wąwozu, wznosił się wielki słup skalny, zwężający się na górze w szpic.

— Kolumna Fischera — powiedziała Judy. Otworzyła wieko skrzynki, przytroczonej do ścianki kosza i wyjęła lornetkę. — Powinniśmy zobaczyć ryjówki skalne. Możesz nie wierzyć, ale to najbliżsi krewniacy słońia. Sympatyczne stworzenia.

— Nie za bardzo — wtrącił Hunt. — Przenoszą wściekliznę.

Znajdowali się teraz zupełnie blisko ziemi, nie wyżej niż piętnaście metrów, a Hunt utrzymywał tę wysokość krótkimi płomieniami. Przez chwilę Stafford sądził, że rozbiją się o kamienny słup, ale minęli go o jakieś sześć metrów.

— Tam — powiedziała Judy. — To właśnie ryjówki.

Były to małe zwierzątka, które z wyglądu wzięłyby za rodzaj szczurów. Kilkadziesiąt z nich przestraszyło się i pędem skryło w skalnych szczelinach. Kiedy już minęli kolumnę, Hunt rzekł:

— Nigdy jeszcze nie leciałem tak blisko „Starego Fischera”. To dawny czop wulkaniczny. — Przesunął pokrętko i przez dłuższą chwilę palnik huczał głośno. — Wznosimy się. Zobaczysz większe zwierzęta.

Balon uniósł się i przed nimi rozpostarł się dziwny kraj — obraz Wrót Piekieł. Na zboczach po stronie wschodniej roilo się od ptaków fruujących szybciej, niż te, które Stafford widział kiedykolwiek. Judy wyjaśniła, że to jerzyki Nyanza. Zauważył inną, mniejszą kolumnę, która według Judy nazywała się Embarta. Gdy wzniesli się ponad zbocze, po stronie wschodniej, ukazał się krater wulkanu Longonot. Hunt zgasił płomień.

— O jakich zwierzętach mówiłeś? — spytał wreszcie Stafford.

— Typowi mieszkańcy tych stron — elandy, zebry, impale. Może żyrafy. Zobaczył je wszystkie. Stada zebra odwracały się, gdy mijał je cień

balonu, a żyrafy odbiegały galopem, kołysząc się niczym konie na biegunach. Jednak żadne ze zwierząt nie oddalało się zbyt daleko i gdy tylko balon przeleciał, spokojnie pasły się

dalej.

— Czy jesteśmy na terenie rezerwatu? — zapytał Stafford.

— O nie — odparł Hunt. — Ale poza rezerwatem też znajduje się mnóstwo zwierzyny. — Dryfowali teraz niżej i Hunt spoglądał przez lornetkę. — Spójrz tam — wskazał, podając ją Staffordowi. — To drzewo, obok dużej skały. Na gałęzi na prawo siedzi lampart. Zastanawiam się, czy to on odwiedzał instytut. — Lampart omiótł ich obojętnym spojrzeniem i ziewnął, gdy balon bezszelestnie przeleciał obok.

— Zbliża się orłosep brodaty — odezwała się Judy. W jej głosie dźwięczała nutka niepokoju. Stafford uniósł wzrok tam, gdzie wskazywała i ujrzał dużego, kołującego ptaka.

— To oznacza, że czas już zakończyć nasz lot — powiedział Hunt.

— Kiedy orłosep leci do góry, balon opada.

— Dlaczego? — zapytał Stafford. — Czy mógłby nas zaatakować? — Wyobraził sobie ostry dziób i szpony rozdzierające cienką tkaninę powłoki.

Hunt i jego siostra zanieśli się śmiechem.

— Nie — wykrztusił wreszcie. — Orłosep nie atakuje. Żywi się padliną. Ale jeżeli już lata, to znaczy, że ziemia nagrzała się dostatecznie, by powstawały słupy wznoszącego się ciepłego powietrza, silne na tyle, by go unosić. A balony nie lubią takich słupów, zaczyna zbyt mocno rzucać, co może być zdecydowanie niebezpieczne. Dlatego właśnie latamy o świcie.

— Spojrzał przed siebie. — Niemniej pokonamy całą drogę przez Wrota Piekieł.

Wszyscy umilkli, a Staffordowi wydało się, że śni, popadł jak gdyby w trans. Przed nimi, na szczycie przełęczy, w lekkim wietrze sunęły obłoki białego dymu, a z ziemi dobiegało wyraźne warczenie pawianów. Dolecieli już niemal do końca Bram Piekieł, gdy w końcu zrozumiał, dlaczego tak nazwano to miejsce. To, co wziął za dym, okazało się parą, wydobywającą się z setek szczelin. Gwałtowny syk stapał się z hukiem płomienia balonu.

— To by było na tyle — rzekł Hunt. — Przygotujcie się do lądowania. Judy, poinstruuuj Maxa.

— Kiedy Alan powie „teraz”, przykucnij w koszu i złap jeden z tych sznurowych uchwytów — o, w ten sposób — zademonstrowała.

Balon zakołysał się nieco, kiedy przelatywali nad strumieniami pary. Stafford dostrzegł na ziemi postrzępione wycieki lawy i pomyślał, że gdyby mieli wśród nich lądować, nie wyszłoby to na dobre powłoce balonu. Przelecieli jednak dalej na wysokości piętnastu metrów, kierując się w stronę otwartej przestrzeni łąki.

— Teraz! — powiedział Hunt, a Judy i Stafford posłusznie przykucnęli. Stafford zdążył

jeszcze dostrzec elanda, wpatrującego się w niego ze zdumieniem.

Kosz zetknął się z ziemią. Stafford odwrócił głowę i zobaczył, że Hunt szarpie jedną z linek. Nad nim rozdarł się czubek powłoki i przeświecało błękitne niebo. Później kosz przewrócił się na bok, a on upadł na plecy, obok Judy. Zapadła cisza i przestali się poruszać.

— Koniec przejażdżki — oznajmiła dziewczyna i wpełzła na zewnątrz. Stafford też się wytoczył i wstał. Za sobą mieli wycieki lawy i obłoki pary, tuż przy nich leżała powłoka balonu, wyglądająca niemal tak samo, jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy — bezwładna i martwa. Z oddali zbliżał się Land Rover. Hunt stał obok kosza. Uśmiechnął się szeroko i spytał:

— Jakie to uczucie być bohaterem przestworzy?

— Do licha — wolno odparł Stafford. — Myślę, że to najwspanialsze przeżycie, jakiego doświadczyłem.

— To jeszcze nie wszystko — zakomunikował Hunter. — Ciąg dalszy nastąpi. Ale najpierw pomóż mi wyciągnąć cylindry gazowe.

Wyciągnęli je i przetoczyli na bok. Nadjechał Land Rover i wysiedli z niego Lucas oraz pozostali Kenijczycy. Lucas podszedł, niosąc kosz z pokrywą.

— Śniadanie! — z satysfakcją zakomunikowała Judy. Otworzyła koszyk i wyjęła plastikowe pudełka. — Kurczak na zimno, gotowane jajka, owoce. Mam nadzieję, że nie zapomniałam zapakować sałatki.

— Zapominasz o najważniejszej rzeczy — powiedział Hunt. Schylił się i wyciągnął duży termos. — Zgodnie ze starą tradycją baloniarzy po ukończeniu pierwszego lotu pije się szampana. — Otworzył termos i wyjął butelkę. — Dobrze schłodzony — poinformował z uśmiechem. — Dlatego właśnie lubimy latać z nowicjuszami, żeby napić się potem szampana.

Rozsiedli się na opróżnionych butlach, popijając śniadanie szampanem, a w tym czasie Lucas i jego przyjaciel pakowali balon. Dał się złożyć w kostkę o boku nieco ponad metrowym. Po posiłku wspięli się na zastygłe wycieki lawy i obejrzelni miejsce, skąd wydobywała się para. Powietrze wypełniał zapach siarki, a ziemia pod stopami była gorąca.

— Ol Karia znajduje się dwa kilometry stąd. — Hunt wskazał kierunek. — Prowadzą tam wiercenia w poszukiwaniu pary. Doszli już niemal do tysiąca siedmiuset metrów głębokości.

Stafford popatrzył na wydobywające się wokół opary.

— Nie widzę w tym sensu. Po co wiercą tak głęboko? Tutaj jest tego mnóstwo.

— Ale to słabizna. Do napędzania turbiny potrzebna jest para pod wysokim ciśnieniem.

Stafford pokręcił głową.

— Nie sądzę, bym marzył o zamieszkaniu na terenach wulkanicznych. Wolę, by moja terra była firma.

— O, tu jest dość stabilnie — odparł Hunt. — Przed czterema laty w Rowie zdarzyło się trzęsienie ziemi, ale nie spowodowało większych szkód, nie licząc zniszczonego odcinka drogi schodzącej po skarpie od strony Nairobi.

Stafford odwrócił się i spojrzał w kierunku Longonot. Krater rysował się wyraźnie.

— Czy ten wulkan jest aktywny?

— Nie tak bardzo, jak by się wydawało. Parę fumaroli, to wszystko. Nazwałbym go spokojnym. Byłem kiedyś w kraterze. Są tam pieczary, niektóre nawet dość spore, powstałe w wyniku wybuchów gazów. Aktywne wulkany występują na południu, w Tanzanii, szczególnie aktywny jest Ol Doinyo Lengai.

Odwrócili się, by wrócić do Land Rovera i Stafford spostrzegł stojącą w pobliżu taksówkę oraz, ku swemu wielkiemu zaskoczeniu, stojących przy niej Hardina i Naira.

— A skąd oni się tu wzięli? — spytał zaskoczony Hunt.

Nair podszedł i zajął Huntów rozmową, umożliwiając tym samym Hardinowi i Staffordowi rozmowę na osobności.

— Od wczoraj wiele się wydarzyło — mówił Hardin. — Nie wiedzieliśmy, jak się z tobą skontaktować, ale Nair wpadł na pomysł, by pojechać w ślad za balonem. Nieźle nas przegoniłeś.

Zrelacjonował wydarzenia dotyczące Gunnarssona, a Stafford spojrzał na przystrojoną antenami taksówkę.

— Okazaliście się skończonymi durniami, próbując takich sztuczek z zawodowcem pokroju Gunnarssona. Ostrzeżliście go tylko.

— To Nair, nie ja — tłumaczył się Hardin.

— Słuchaj, musimy się naradzić: ty, ja, Nair, Curtis i Chip, jeżeli kręci się gdzieś w pobliżu. — Stafford wyjął z kieszeni aparat fotograficzny i wyciągnął z niego film. — Spotkamy się, gdy tylko wywołacie ten film i zrobicie odbitki.

— W jaki sposób mamy dać ci znać?

— Z mojej sypialni widać ogrodzenie — powiedział Stafford. — Po jego drugiej stronie znajduje się miejsce, gdzie na przestrzeni jakichś stu metrów wypalono trawę. Curtis będzie wiedział, gdzie to jest, obszedł całe Ol Njorowa. Pośrodku wypalonego obszaru rośnie akacja. Kiedy będziecie gotowi, niech ktoś zawiesi na jednym z cierni dość dużą gazetę tak, jakby zaczepił ją podmuch wiatru. Zauważę ten sygnał. Gdzie się zatrzymaliście?

— Nie mogłem zostać w hotelu „Naivasha” — rzekł Hardin. — Mieszka tam Gunnarsson. Zameldowałem się w miejscu o nazwie „Safariland” — powiedział i objaśnił, gdzie to jest.

— A więc tam się spotkamy.

— Nad czym mamy radzić? — spytał Hardin.

— Jak postraszyć tobą Gunnarssona i pognać go w stronę wilczego stada, okupującego w tej chwili Ol Njorowa — rzekł z zimnym uśmiechem Stafford.

Resztę poranka Stafford spędził włączając się po terenie Ol Njorowa, najpierw w towarzystwie Hunta, później z Dirkiem Hendriksem. Pokazano mu szopy służące do rozkrzewiania, laboratorium, gdzie badano glebę, laboratorium, gdzie badano nawozy, oraz inne laboratorium i jeszcze inne laboratorium... Do mózgu pompowano mu bez skrępowań terminy naukowe, które natychmiast wylatywały mu z głowy. Udało mu się jednak zachować fason, okazując dość inteligentne zainteresowanie. Jednocześnie rozglądał się uważnie.

Doszedł do kilku wniosków, po pierwsze — Hunt na pewno nie siedział u Brice'a w kieszeni. Przez cały czas, kiedy przebywał w towarzystwie Hunta, dyskretnie obserwowało ich trzech mężczyzn, dwóch czarnych i jeden biały, którzy najwyraźniej nie mieli nic lepszego do roboty, niż szwendanie się za nimi. Kiedy Hunt przeprosił i poszedł zająć się swoimi sprawami, a Hendriks przejął rolę oprowadzającego, oni również zniknęli. Nasuwał się więc wniosek, że nie ufano, iż Hunt będzie trzymał Stafforda z dala od niebezpiecznych miejsc, wierzono natomiast w lojalność Hendriksa.

Drugi wniosek, do którego doszedł, to przekonanie, że nim sterują, a gdyby nie ramka z wmontowanym podsłuchem w jego sypialni, dałby się teraz nabrać. Wytrwale demonstrowano mu, że Ol Njorowa jest otwartą księgą, w której może przeczytać każdą jej naukową kartę. Problem polegał na tym, że język naukowy był dla niego językiem obcym i przydałby mu się tłumacz.

W końcu Dirk spojrział na zegarek.

— Myślę, Max, że na tym skończymy. Już prawie pora lunchu. Zobaczyłeś prawie wszystko. — Roześmiał się. — Co wcale nie oznacza, że posiadam kwalifikacje na przewodnika. Sam niewiele wiem o tym miejscu. Brice miał cię oprowadzić osobiście, ale coś mu wypadło.

— Tak — odparł Stafford. — Musi być strasznie zapracowany. — Rozejrzył się wokół. — Jak duże jest to wszystko?

— Około dwóch mil kwadratowych. — Nieco ponad trzy kilometry kwadratowe.

— Nie mogę przyzwyczaić się do kontynentalnych miar — powiedział Stafford.

— W Południowej Afryce obowiązuje teraz system metryczny. Jesteśmy dwujęzyczni w matematyce.

Gdy tak szli spacerkiem w stronę budynku administracji, odległej o jakieś czterysta metrów, Stafford uprzytomnił sobie, że na trzech kilometrach kwadratowych można ukryć

cholernie dużo. Czy jednak rzeczywiście? Przyjmując, że Ol Njorowa prowadziła działalność prawdziwej uczelni rolniczej, większość personelu stanowili z pewnością autentyczni specjaliści w dziedzinie rolnictwa. Musieli chodzić po całym terenie i łatwo mogli się natknąć na coś niedozwolonego i zastanawiającego. Nie, pomyślał Stafford, ukrycie czegoś w Ol Njorowa nie było takie proste.

Weszli do jadalni, przecisnęli się między stolikami do miejsca zajmowanego przez Brice'a. Judy Hunt siedziała razem z bratem i pomachała Staffordowi, kiedy ich mijali. Odwzajemnił gest, a w tym momencie za ramię złapał go doktor Odihambo.

— Podoba się panu, panie Stafford?

— Bardzo — zapewnił go.

Usiedli wreszcie przy stoliku Brice'a. Stafford rozejrzał się po sali, wypełnionej gwarem ożywionych rozmów.

— Czy podobał się panu lot z Huntem? — spytał Brice.

— Było wspaniale. — Stafford skosztował zupy, którą postawiono przed nim. — Alan twierdzi, że latanie balonami na gorące powietrze staje się w Anglii popularne. Po powrocie chyba zajmę się czymś takim.

Brice skrzywił się.

— Nie sądzę, by przypadł mi do gustu sport, w którym każde lądowanie kończy się rozbiciem. A kiedy zamierza pan wrócić do kraju?

— Lada dzień. Prawdę mówiąc i tak siedzę tu już za długo. Wie pan przecież, że prowadzę interes, którego należy pilnować.

— Tak. — Brice posmarował masłem kromkę chleba. — Dirk opowiadał mi trochę o tym, co pan robi. To musi być pasjonujące i pełne przygód.

— Ma pan ma myśli coś w typie przygód płaszcza i szpady? — Stafford roześmiał się. — Niewiele przygód można przeżyć siedząc za biurkiem w City, panie Brice.

— Proszę mi mówić Charles — powiedział Brice.

Do stolika zbliżył się kelner i podał Hendriksowi jakąś kartkę. Ten rzucił na nią okiem i przekazał Brice'owi. Wymienili szeptem parę uwag, po czym Hendriks przeprosił ich i odszedł od stolika.

— Właśnie przybył pański eee... znajomy — rzucił zdawkowo Brice.

— Może zje z nami lunch.

— Oo? — Stafford uniósł brwi. — Któż to taki? W Kenii znam niewiele osób.

— Wydaje mi się, że spotkałeś go w Keekorok, w Masai Mara. To ten Amerykanin — Gunnarsson. Ciekawe, czego chce. Zresztą mniejsza o to, dowiemy się już niedługo. A co

sądziysz o Ol Njorowa po rannej wizytacji?

Staffordowi udało się donieść do ust łyżkę pełną zupy, nie wylewając ani kropli.

— Miejsce naprawdę godne uwagi — odparł. — Wykonujesz tutaj świetną robotę. — Odsuwając od siebie talerz pomyślał, że najbliższe kilka minut może okazać się interesujące.

— Teraz, kiedy dostaliśmy spadek po Hendryxxie, będziemy mogli rzeczywiście pchnąć sprawę. Dotychczas wszystko szło opornie. — Brice uniósł wzrok na widok wchodzących do jadalni Hendriksa i Gunnarssona.

— Czy to pan Gunnarsson?

— Tak. — Stafford z uwagą obserwował twarz Gunnarssona. Na jego twarzy odmalowało się najpierw zakłopotanie, potem obawa, a następnie podejrzliwość.

Obaj z Brice'em podnieśli się, a Hendriks dokonał prezentacji:

— To pan Brice, dyrektor fundacji, a Maxa Stafforda już pan chyba poznał.

— Naturalnie — rzekł Gunnarsson.

Brice kazał podać jeszcze jedno nakrycie. — Spotkaliśmy się w Keekorok. — W jego wzroku, kiedy spoglądał na Stafforda, malowało się teraz zmieszanie.

— Zgadza się — potwierdził Stafford. — Jak tam pańskie stopy, panie Gunnarsson?

— Lepiej — odburknął Gunnarsson siadając. Przyglądał się im: Hendriksowi, kończącemu zupę, Brice'owi z butelką w ręce, który uprzejmie pytał, czy miałby ochotę się napić, Staffordowi, który odchylił się nieco, by kelner mógł postawić przed nim talerz. Znajdowali się tutaj wszyscy i cóż to, do diabła, miało znaczyć?

— Poszedłem do amerykańskiej ambasady i nie poszczęściło mi się lepiej liź panu, panie Gunnarsson; całkiem gładka ściana. Czy miał pan jakieś mieści o moim kuzynie? — zagadnął Hendriks.

— Nie — odparł krótko Gunnarsson. Wpatrywał się w swój talerz. — Co pan robi w Kenii, panie Stafford?

— Zwykły urlop — Stafford zbył go lekko.

— Jeżeli jest pan podobny do mnie, to nie jeździ pan na urlopy — mruknął Gunnarsson. Spojrzał na Dirka. — Czy wie pan, kim on naprawdę jest?

Hendriks wyglądał na zaskoczonego.

— Tak, to Max Stafford.

— Ale czy wie pan, czym się zajmuje?

— Właśnie przed pana przyjściem rozmawialiśmy na ten temat — odezwał się Brice. Pociągnął łyk wina. — To musi być interesująca praca.

— Pan Gunnarsson pracuje w tej samej branży — zauważył Stafford.

— Tyle że w Stanach Zjednoczonych. Można powiedzieć, że jesteśmy konkurentami. Lub nimi zostaniemy. — Uśmiechnął się do Gunnarssona.

— Myślę o rozszerzeniu obszaru moich wpływów.

— Myśli pan o wejściu na teren Stanów? — zapytał Gunnarsson. W jego uśmiechu nie było śladu pogody. — To ciężki kawałek chleba.

— Chyba nie cięższy, niż w Europie — odparł spokojnie Stafford.

— Albo Kenii. — Gunnarsson skończył jeść zupę. — Oprócz tego, że znikają ludzie, dzieją się tutaj ciekawe rzeczy. Ostatnio w moim samochodzie zainstalowano podsłuch. Urządzenie sygnalizujące zamocowano do zderzaka.

Stafford uniósł brwi.

— Któż mógłby zrobić coś takiego?

— Pan dysponuje odpowiednią wiedzą — powiedział bez ogródek Gunnarsson, wzruszając ramionami.

Stafford odłożył sztućce.

— Proszę posłuchać. Jak już panu wyjaśniłem, przebywam w Kenii na urlopie. Oprócz tego jestem przyjacielem rodziny Hendriksów. Chyba mogę tak powiedzieć, co, Dirk?

— Oczywiście — uśmiechnął się Dirk. — Szczególnie teraz, gdy moja żona nadała naszemu synowi twoje imię. — W jego głosie zabrzmiała nutka goryczy.

— Wiemy wszystko na temat Maxa Stafforda — oznajmił chłodno Brice.

— Natomiast nie znamy powodów, które pana przywiodły do Kenii, panie Gunnarsson. Odnalazł pan Henry'ego Hendrixa w Los Angeles i dostarczył do Londynu. W jakim jednak celu towarzyszył mu pan do Kenii, gdzie tak tajemniczo zniknął? — Złączył palce opuszkami. — Wygląda na to, że to raczej pan powinien udzielić wyjaśnień, a nie Max Stafford.

Gunnarsson zmierzył go niechętnym wzrokiem.

— Nie sądzę, bym musiał się tłumaczyć, panie Brice, skoro jednak pan pyta, to Hendrix chciał, bym tu z nim przyjechał. — Uśmiechnął się. — Jest sympatycznym, młodym człowiekiem i zżyliśmy się. Można powiedzieć, że zostaliśmy przyjaciółmi i do Kenii przyjechałem na jego wyraźne życzenie.

Brice wzruszył ramionami i zwrócił się do Stafforda.

— Naprawdę, Max, masz zamiar zająć się baloniarstwem? — Ostentacyjnie zmienił temat.

— Możliwe. Według mnie to wspaniały sport.

Rozmowa zesłała na tematy ogólne, a Brice rozprawiał entuzjastycznie o przyszłości Fundacji Ol Njorowa, która właśnie zyskała fundusze. Gunnarsson od czasu do czasu rzucał jakąś uwagę, ale głównie zdawał się koncentrować na swoim talerzu. Miał świadomość występujących przy stole napięć, ale nie potrafił zidentyfikować ich źródeł. Wystarczyło mu to jednak, by uznać, że coś dziwnego dzieje się w Ol Njorowa. Jego uwagi nie przyciągało to, o czym mówiono, lecz te tematy, które pominięto. Na przykład Brice i Hendriks niewiele rozmawiali o zniknięciu Hanka Hendrixa.

Stafford popijał kawę, gdy nagle wpadł na pewien pomysł. Mógł jakoś wykorzystać podsłuch umieszczony w ramie obrazu — w sposób, którego Brice nie przewidział. Odstawił filiżankę i rzekł:

— Panie Gunnarsson, chciałbym zamienić z panem kilka słów.

— Na jaki temat?

— No cóż, wiadomo panu, że Stafford Security rozszerza swoją działalność. Chciałbym z panem przedyskutować kilka eee... zasad postępowania.

Gunnarsson prychnął.

— Zasady postępowania! — Uśmiechnął się ponuro. — Oczywiście, możemy porozmawiać.

— Może po lunchu, u mnie w pokoju — zasugerował Stafford.

Gunnarsson dopił kawę.

— Już jest po lunchu.

— Mam nadzieję, że wybaczycie nam — zwrócił się Stafford do Brice'a. Zwykle nie rozmawiam o interesach w takich okolicznościach, skoro jednak pan Gunnarsson jest tutaj, nadarza mi się nieoczekiwana sposobność...

— Ależ oczywiście — powiedział Brice. — Nigdy nie należy tracić okazji. Stafford wstał i odszedł, a Gunnarsson podążył w ślad za nim. Na chwilę zapanowało milczenie, wreszcie odezwał się Brice:

— Chodźmy, chciałbym przysłuchać się tej rozmowie. — Wstali.

W drzwiach Stafford obejrzał się. Zobaczył kroczącego za sobą Gunnarssona, a Hendriks i Brice właśnie unosili się z krzesel. Uśmiechnął się lekko, idąc po schodach do swojego pokoju i biorąc po dwa stopnie na raz. Wszedł do środka, odsunął się na bok, by przepuścić Gunnarssona i zamknął drzwi. Gunnarsson odwrócił się gwałtownie.

— Co ty kombinujesz, Stafford?

— Siadaj — odparł Stafford. — Ulżyj stopom. — Spojrzał z namysłem na kopię Shepherdę wiszącą na ścianie i doszedł do wniosku, że powinien dać Hendriksowi i Brice'owi trochę

czasu na dotarcie do posterunku nasłuchowego. Wyciągnął więc paczkę papierosów. — Palisz?

Gunnarsson wziął papierosa, a Stafford pstryknął zapalniczką. Bez pośpiechu zapalił papierosa, powoli wydmuchnął dym i rzekł:

— Czy to prawda, co mówi Brice? Że to ty dostarczyłeś Henry'ego Hendrixa ze Stanów do Londynu?

— A co ci do tego? — Gunnarsson spojrzał na niego groźnie.

— Nic. Ale jeśli to prawda, powinieneś wyjaśnić parę rzeczy. — Uniósł rękę. — Nie mnie, ale pytania z pewnością padną. Dirk Hendriks zapewne uda się na policję, a oni zaczną zadawać pytania. Będą chcieli wiedzieć, dlaczego przyjechałeś do Kenii po dostarczeniu spadkobiercy. Lepiej, żebyś przygotował jakieś wiarygodne odpowiedzi. Nie wierzę w bajeczkę, którą opowiedziałeś Brice'owi.

— Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o sobie — odparł Gunnarsson.

— A co z tobą? Co ty robisz w Kenii? Byłeś w Masai Mara, kiedy Hank został porwany, a teraz siedzisz tutaj. Jak na zwykły zbieg okoliczności, to stanowczo za dużo.

— Słyszałeś już o tym na dole — rzekł Stafford zmęczonym głosem.

— Jestem przyjacielem rodziny Hendriksów. — Zawahał się. — No, może niezupełnie. Raczej przyjacielem Alix Hendriks. Kiedyś mogłem się z nią ożenić i Dirk wie o tym. Nie sądzę, by za mną przepadał.

— Czy to prawda, że jego żona ochrzciła dziecko twoim imieniem?

Kiedy Stafford przytaknął skinieniem głowy, Gunnarsson powiedział:

— Taak, rozumiem, że może go to drażnić. — Zaciągnął się. — Ale znalazłeś się w Keekorok w odpowiednim czasie, by odegrać bohatera. A teraz ktoś mnie śledzi.

— Kiedy to odkryłeś?

— Wczoraj, około południa, przy hotelu „Lake Naivasha”. Stafford rozłożył ręce.

— W takim razie to nie ja. W tym czasie byłem już tutaj i rozmawiałem z Alanem Huntem o planowanej wycieczce balonem. Możesz zejść na dół i zapytać go, jest w jadalni. — Strzepnął popiół do popielniczki. — Nie interesujesz mnie, Gunnarsson. Ale musiałeś komuś podpaść, jeśli wzbudziłeś takie zaciekawienie, a na mój gust ma to związek z twoim przyjazdem do Kenii razem z młodym Hendrixem.

— Ach, do diabła! — mruknął Gunnarsson. — Sprawa wygląda tak. To młody facet, jeszcze z mlekiem pod wąsem, który właśnie odziedziczył sześć milionów dolarów. Rozmawiał ze mną na ten temat. Martwił się, rozumiesz? Hank nie był głupi. Po prostu brakowało mu doświadczenia. Namówił mnie, żebym pojechał z nim jako opiekun.

— Jako ochrona osobista?

— Tak, coś w tym rodzaju.

Stafford roześmiał się.

— Gunnarsson, rozmawiasz z Maxem Staffordem. Lepszy od ciebie próbowali mnie nabrać. Szef Gunnarsson Associates nie podjąłby się sam takiego zadania. Wysłałbyś kogoś ze swoich łobuzów. Opowiedz lepiej, jak było naprawdę.

— W porządku, czemu nie? — westchnął Gunnarsson. — Prawda jest taka, że stałem obok tych sześciu milionów dolców i kombinowałem, jak odkroić z tego kawałek dla siebie. Przekonałem Hankę, żeby zabrał mnie do Kenii.

— Miałaś zamiar go wykiwać — rzekł Stafford bez ogródek.

— Chyba tak. Nie wiedziałem tylko w jaki sposób. Próbowałem właśnie wymyślić jakiś szwindel, kiedy go porwano i, być może, zabito. Jak ci się to podoba?

Stafford wstał i podszedł do okna. Gunnarsson był odpowiednio przejęty, a historia, jaką opowiedział była sprytnie zbliżona do prawdy. Pomiął tylko, że w Stanach Zjednoczonych zamienił Corlissa na Hendrixa. Stafford żywił nadzieję, że Brice i Hendriks usłyszeli tę wersję.

Spojrzał ponad gruntami Ol Njorowa i zeszywniał na widok płachty gazety, zaczeplonej na akacji po drugiej stronie ogrodzenia. Nair uwinął się z wykonaniem odbitek, a to oznaczało, że mogli już odbyć konferencję.

Odwrócił się i powiedział:

— No cóż, cała sprawa nie ma nic wspólnego ze mną. — Wziął walizkę, położył ją na łóżku i otworzył. Wyjął neseser z przyborami toaletowymi i schował golarzkę.

— Co robisz? — spytał Gunnarsson.

Stafford zapiął suwak skórzanego nesesera i wrzucił go do walizki.

— A jak ci się wydaje? Pakuję się. Przyjechałem tutaj tylko po to, żeby przelecieć się balonem z Alanem Huntem. Poleciliśmy dzisiaj rano i sprawa zakończona. Kiedy spakuję tę walizkę, zejdę, by pożegnać się z Brice'em, Dirkiem i Hutami. Później wracam do Nairobi. Jeśli chcesz się zabrać, to proszę bardzo.

— Mam swój samochód.

— A jeżeli chcesz znać moje dalsze ruchy — z ironią dorzucił Stafford — to jutro lub pojutrze rannym lotem udaję się do Londynu. Wszystko zależy od tego, czy będzie miejsce. Czy to cię satysfakcjonuje?

Gunnarsson obserwował, jak składa koszulę.

— Dlaczego miałbyś sprawiać mi satysfakcję?

— Nie mam pojęcia — odparł Stafford. — Ale ten pobyt zaplanowałem sobie jako wakacje, pierwsze od trzech lat i nie wyszły mi tak, jak bym chciał. Zupełnie przypadkowo zostałem wplątany w porwanie grupy turystów i od tamtego momentu wszyscy kwestionują moje motywacje. Nawet Brice zadał mi kilka dwuznacznych pytań. No cóż, zmęczyło mnie to i wracam do domu. — Pootwierał jeszcze szuflady, by sprawdzić, czy spakował wszystko. Następnie zamknął głośno walizkę, mając nadzieję, że Brice wysłuchał całej rozmowy.

— Jak ci się wydaje, Gunnarsson — powiedział — co stało się z młodym Hendrixem? Ostatecznie byłś tam.

— Nie wiem, co o tym myśleć. A ty?

— Według mnie porwania dokonali Tanzańczycy. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej. Ale uważam, że zabili Hendrixa, zapewne przypadkowo, a potem pochowali. A może wcale nie pogrzebali, może zajęły się nim ścierwojady. Uważam, że marnujesz czas. Szwindel ci nie wyszedł. Dlaczego nie wrócisz do domu jak ja?

Gunnarsson zmierzył Stafforda ironicznym spojrzeniem.

— Jeszcze dużo wody upłynie, nim przyjmę od ciebie jakąś radę. Coś mi się tu nie podoba, choć ty zdaje się tego nie dostrzegasz. Zostanę, by to sprawdzić.

Stafford wzruszył ramionami i wziął walizkę.

— Rób, jak uważasz. — Podeszedł do drzwi. — Przypuszczam, że się spotkamy, zapewne w Nowym Jorku. Zbieraj siły do walki.

— Walczę twardo — ostrzegł go Gunnarsson.

— Nie mam nic przeciwko temu. — Stafford zatrzymał się w progu, z ręką na klamce. — Schodzisz czy może uważasz, że odziedziczyłeś ten pokój?

— Idź do diabła! — warknął Gunnarsson, ale wstał i zszedł za Staffordem po schodach. Rozstali się na parterze. Gunnarsson wrócił do jadalni, a Stafford poszedł do Nissana, by odstawić walizkę. Gdy po chwili znów wchodził do budynku administracji, czuł satysfakcję. Rozmowa, jaką przeprowadził z Gunnarssonem, była w rzeczywistości skierowana do Brice'a i Hendriksa, dlatego miał nadzieję, że podsłuch umieszczony w ramie działał.

Po powrocie do jadalni zobaczył całą trójkę pogrążoną w rozmowie. Dosiadł się do ich stolika, a Brice rzekł:

— Właśnie mówi nam pan Gunnarsson, że wyjeżdżasz.

— Zgadza się. Wpadłem tylko pożegnać się i podziękować za gościnę.

— Stafford spojrział na Hendriksa. — Przykro mi z powodu twego kuzyna, Dirk. Bądź ze mną w kontakcie i daj znać, co słyhać. Po powrocie mam w planie parę wyjazdów, ale każdy list zaadresowany do biura znajdzie mnie.

— Postaram się.

— Czy uzgodniłście z panem Gunnarssonem dzielące was kwestie?

— spytał Brice. — Mam nadzieję, że tak.

Stafford roześmiał się.

— Nie dzielą nas żadne kwestie — przynajmniej nie tutaj. — Kelner postawił przed nim filiżankę i napełnił ją kawą. — Pewnie pojawią się dopiero w Nowym Jorku. — Gunnarsson prychnął, a Stafford zrewanżował mu się, dodając: — Dlatego właśnie uprzedziłem Dirka, że czekają mnie wyjazdy.

— Myślisz, że wykorzystasz moją nieobecność, żeby się wepchnąć do interesu? — Gunnarsson zdusił śmiech. — Nie ma szans, koleś.

Stafford dopił kawę, po czym zwrócił się do Brice'a i wyciągnął rękę.

— Miło mi było pana poznać, panie Brice, Charlesie. Mam nadzieję, że spełnią się twoje plany co do Ol Njorowa. — Uścisnęli sobie dłonie, Stafford wstał i obszedł stół. Klepnął Hendriksa w ramię. — Kiedy wracasz do Londynu, Dirk?

— Nie wiem, wygląda na to, że będę miał pełne ręce roboty.

— Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym odwiedził Alix i mojego chrześniaka?

— Oczywiście, że nie. Alix powita cię z radością.

Stafford rozejrzał się po sali.

— Lepiej złapię Alana, zanim wyjdzie. Do widzenia i jeszcze raz dziękuję za wszystko.

Pomachał ręką i szybkim krokiem przeciął jadalnię, by pochwycić Alana w progu.

— Alan, wyjeżdżam już. Dzięki za wspaniały lot.

— Zrobiłem to tylko ze względu na możliwość wypicia szampana — odparł Hunt z rozbajającym uśmiechem.

Stafford ujął go pod łokieć i skierował w stronę holu.

— Chciałbym zamienić z tobą parę słów. Urodziłeś się w Kenii, prawda?

— Zgadza się.

— Jest to więc twój kraj ojczysty. Co sądzisz o sposobie sprawowania władzy przez rząd?

— Generalnie rzecz biorąc, nieźle. Nasz rząd popełnia omyłki, ale który rząd tego nie robi. — Hunt zmarszczył brwi. — Do czego zmierzasz, Max?

Wyszli z budynku na słońce i skierowali się w stronę Nissana. Stafford spytał:

— Czy uważasz się za patriotę?

— Cóż to za pytanie — odparł Hunt. — Chodzi ci o to, czy umarłbym za swój kraj i tak dalej?

— Wolałbym, żebyś raczej dla niego żył — rzekł poważnie Stafford. — Słuchaj, Alan,

wyłonił się pewien problem. Czy wiesz, gdzie jest „Safariland”?

— Oczywiście.

Stafford sprawdził czas.

— Czy mógłbyś się tam ze mną spotkać za pół godziny? Chciałbym, żebyś poznał kilka osób.

— Chyba dałbym radę — niezdecydowanie oświadczył Hunt. — O co w tym wszystkim chodzi?

— Dowiesz się po przyjeździe. — Stafford otworzył drzwiczki Nissana i wsiadł. — Wolałbym, żebyś zachował to w tajemnicy. Może lepiej wymyśl jakieś zakupy w Naiwasza.

Hunt uśmiechnął się lekko.

— Lubisz sekrety, ale niech ci będzie.

— Do zobaczenia. — Stafford wycofał wóz z parkingu i skierował się w stronę bramy Ol Njorowa, jadąc bardzo wolno ze względu na wybrzuszenia na jezdni. Spojrzał w lusterko i zobaczył, jak z budynku administracji wychodzi Brice i idzie na spotkanie Hunta. Miał nadzieję, że Hunt ma dość rozsądku, by trzymać język za zębami.

Stafford spodziewał się zobaczyć w „Safariland” Hardina. Zamiast niego, gdy Nissan zahamował, na powitanie wyszedł mu Curtis.

— Witam, sierzancie — powiedział, wysiadając. — Gdzie są wszyscy? Coście ustalili?

— Pułkownik Chipende uznał za wskazane przeprowadzić spotkanie na wyspie Crescent — wyjaśnił Curtis. — To taka wyspa na jeziorze, proszę pana. Jeżeli pułkownik zechce pójść za mną, to łódź już czeka.

Stafford uśmiechnął się. Teraz, kiedy Chipende został ujawniony, Curtis oddawał mu należne honory wojskowe.

— Myślę, sierzancie, że możemy w dalszym ciągu mówić do niego Chip — powiedział wyrozumiale. Spojrzał na zegarek. — Poczekamy jeszcze. Spodziewam się kogoś. To potrwa jakieś piętnaście minut.

Czekali więc. Po kwadransie zjawił się Hunt, przywożąc ze sobą, ku niezadowoleniu Stafforda, Judy. Wysiedli z samochodu, a Stafford powiedział z pretensją:

— Prosiłem cię, żebyś nikomu więcej nie mówił. Hunt skrzywił się.

— Chciałem mieć świadka.

— Ja też jestem patriotką — dodała Judy. — Co się dzieje, Max? Wszystko to jest bardzo tajemnicze.

Stafford stał przez chwilę niezdecydowany, wreszcie wzruszył ramionami.

— Niech będzie. Możesz z nami pojechać.

— Aleś łaskawy — skomentowała ironicznie.

— Wcale nie chciałem — uciął i zwrócił się do Curtisa: — Idziemy. Curtis poprowadził ich na brzeg jeziora, gdzie znajdowało się molo z nieokorowanych pni. Przycumowano do niego odkrytą łódź. Przy sterze siedział czarny Kenijczyk. Wsiedli, a sternik uruchomił podwieszany silnik. Wkrótce, rozwinąwszy przyzwoitą prędkość, płynęli w kierunku wyspy, leżącej o jakieś półtora kilometra od brzegu.

— Dlaczego płyniemy na wyspę Crescent? — spytała Judy.

— Sam nie wiem, ale wkrótce się przekonamy — odparł Stafford. Trącił Curtisa łokciem. — Kto tam jest?

— Puł... — Curtis przełknął i zaczął jeszcze raz. — Chip i Nair oraz pan Hardin. I jeszcze jeden człowiek. Ale nie wiem, kto to jest.

Zastanowiło to Stafforda, nawet coś mruknął, ale nie przejął się zbyt wiele informacją. Na zmartwienia będzie miał czas wtedy, gdy uzna, że może to spowodować jakieś kłopoty.

— Chodzi o Naira Singha? — spytał Hunt.

— Tak — krótko odparł Stafford i zapatrzył się w leżącą przed nimi wyspę.

W końcu dopłynęli do skalistego wybrzeża. Na brzegu powitał ich Chip. Spojrzał na Huntów i zmarszczył brwi, po czym zwrócił się do Stafforda:

— Czy mógłbym zamienić z tobą słowo? — Stafford kiwnął głową i odeszli na bok. — Max, chyba źle się stało. Po co ich przywiozłeś?

— Wcale nie ich — zirytował się Stafford. — Chciałem sprowadzić samego Hunta; jego siostry nikt nie zapraszał.

— A w ogóle po co ci Hunt?

— Musimy mieć kogoś wewnątrz i wybrałem Hunta — oświadczył Stafford. — Miałem swoje powody i wyjaśnię je. Ale mówił mi Curtis, że i ty przygotowałeś jakąś niespodziankę. Chip kiwnął głową.

— Wybacz, ale go nie przedstawię. Występuje tutaj... eee... incognito.

— Któryś z twoich szefów?

— Możliwe. — Chip uśmiechnął się wymijająco.

— A więc dlatego spotkaliśmy się tutaj, na wyspie — domyślił się Stafford. — W porządku, nie traćmy czasu. Mamy sporo do przedyskutowania.

Chip zawahał się, ale kiwnął głową.

— No dobra, chodźmy.

Stafford przywołał Curtisa oraz Huntów i wszyscy podążyli za Chipem w górę stoku, prowadzącego na plażę. W pewnej chwili Stafforda wystraszyło jakieś zwierzę, które poderwało mu się spod nóg. Dostrzegł tylko białą obrzeżony zad.

— Kozioł wodny — obojętnie wyjaśnił Curtis.

— Mają tu spokój — dorzucił Chip. — Przyplývają ze stałego lądu. Duże koty nie przepadają za wodą, a musiałyby przepłynąć przeszło kilometr, więc kozły są tu bezpieczne. — Stafford pomyślał z rozbawieniem, że nawet teraz Chip odgrywał przewodnika, ale stał się czujny, gdy Chip ostrzegł: — Uważajcie na węże.

W końcu dotarli do płaskiego terenu, na którym znajdowały się fundamenty jakiegoś budynku. Stafford nie wiedział, czy budynek się zawalił, czy też budowniczy zdołał położyć tylko fundamenty. Czekali tu na nich pozostali — Nair, Hardin oraz ten obcy. Był to niemłody czarny Kenijczyk o siwiejących włosach i pozbawionej wyrazu twarzy. Chip podszedł do niego i zaczął coś tłumaczyć ściszym głosem.

Stafford zbliżył się do Hardina.

— Cześć, Ben. Co to za facet?

— Nic nie mówi — tak samo, jak i Chip. Wydaje mi się, że to ktoś z góry. Nic nie mówi, sam się przekonasz.

— Zjawił się pewnie, by oszacować materiał dowodowy — powiedział Stafford. — Mam coś do przekazania.

Chip zbliżył się i rzekł do Huntów:

— Myślę, że powinniśmy się poznać, jestem Pete Chipende, ale mówcie do mnie Chip. To jest...

— Nie! — przerwał ostro Stafford. — Przestańmy się bawić w ciuciubabkę. — Spojrzał na Alana Hunta. — To pułkownik Peter Chipende z Armii Kenijskiej. — W oczach Chipa zapaliły się niebezpieczne błyski, ale zignorował je. — Naira już znacie, nie znacie tylko jego stopnia, podobnie zresztą jak i ja.

Nair wysunął się do przodu.

— Kapitan Nair Singh, do usług.

— Nie wiedziałem, że służysz w wojsku, Nair — zdziwił się Hunt.

— W dalszym ciągu nie wiecie — oświadczył kategorycznie Chip. — Tej rozmowy w ogóle nie było. Zrozumiano?

— Bena Hardina już spotkaliście, a to jest Curtis — powiedział Stafford. — Tamtego dżentelmena nie znam i nie sądzę, bym miał ochotę poznać. Chip ma rację. To, czego się tutaj dowiecie, musicie zatrzymać przy sobie.

— Wszystko to brzmi raczej złowieszczo. — Judy roześmiała się nerwowo.

— Tak — przytaknął Hunt. — Niczym szpiegowska opowieść. O co w tym wszystkim chodzi?

— Powiedz mu, Chip — rzekł Stafford.

— Mamy podstawy uważać, że Ol Njorowa nie jest tym, czym się wydaje, lecz umieszczoną w Kenii bazą obcego mocarstwa — ośrodkiem wywiadowczym — wyjaśnił Chip.

— Pan oszalał — zgorszył się Hunt.

— Alan, nie zapoznałeś się jeszcze z dowodami. Zaczekaj. — Stafford zwrócił się do Naira. — Masz fotografie? — Nair podał mu odbitki. — Niewiarygodnie szybko się z tym uporałeś — pochwalił go Stafford.

— Mój szwagier jest fotografem. To on zrobił.

— Nair, ten żart staje się coraz mniej zabawny — skrzywił się Stafford.

— Ale to prawda — zaprotestował Nair. — Mój szwagier naprawdę jest zawodowym fotografem w Naiwasza. Ale ponieważ robił je w takim tempie, uprzedził, że nie będą zbyt

trwale — kolory mogą wyblaknąć. Zrobi lepsze odbitki.

Stafford przejrzał je pobieżnie.

— Te na razie wystarczą. — Usiadł na skraju kruszejącego betonowego fundamentu i zaczął je rozkładać. Nim skończył, spytał: — Chip, czy zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Niewiele, prócz tego, że ktoś dopytywał się o Gunnarssona w „New Stanley”. Oczywiście nie było go tam, znajdował się już w tutejszym hotelu.

— Kto się wypytywał?

— Jeszcze nie wiemy. Jest pod obserwacją. Stafford uporał się z rozkładaniem fotografii.

— W porządku. To zdjęcia Ol Njorowa, wykonane dzisiaj rano z balonu Alana. Czy ktoś ma jakieś uwagi?

Odsunął się na bok i pozwolił obejrzeć zdjęcia pozostałym. Skupili się wszyscy, z wyjątkiem starszego Kenijczyka, który nadal siedział na pobliskim kamieniu i spokojnie palił fajkę. Przez pewien czas panowała cisza, wreszcie odezwał się Hardin:

— Taak. Co to za wieża, o, tutaj?

— Wieża ciśnień — wyjaśnił Hunt. — Woda jest wpompowywana na górę, a następnie rozprowadzana pod wpływem działania siły ciężkości.

Curtis chrząknął.

— Chciałbym nadmienić, panie pułkowniku, że ta wieża ciśnień znajduje się w nieodpowiednim miejscu.

— Dlaczego, sierżancie?

— Optymalnym miejscem do wybudowania wieży ciśnień byłoby najwyższe wzniesienie terenu. — Curtis wskazał inną fotografię. — To znaczy gdzieś tutaj.

— Czy ty też jesteś pułkownikiem? — Hunt spojrzał na Stafforda z zaciekawieniem.

— Próbuję przejść do rezerwy, ale sierżant Curtis mi nie pozwala — odparł z poważną miną Stafford. — No dobra, mamy więc wieżę ciśnień w nieodpowiednim miejscu.

Hardin sięgnął po zdjęcie.

— Jest usytuowana w pobliżu zewnętrznego ogrodzenia, w miejscu, gdzie ono zakręca. Wygląda na wieżę obserwacyjną. Dobre miejsce do umieszczenia dwóch kamer telewizyjnych.

— A co w nocy? — wtrącił Chip. — Czy ogrodzenie jest oświetlone?

— Nie, sprawdziłem to — rzekł Stafford.

— Mogą pracować na podczerwieni — stwierdził Nair. — Niczego byś wtedy nie zauważył.

— Jaka tam podczerwień. Nie nadążasz za zdobyciami techniki, Nair. Jeżeli ogrodzenie jest monitorowane przez kamery, to zapewne użyli fotowzmacniaczy — identycznych, jakie są stosowane w wojsku do celowników nocnych. Nawet w pochmurną, bezksiężycową noc daje to zupełnie przyzwoity obraz.

— Mówicie poważnie? — dopytywał się Hunt.

— Oczywiście. Czy coś jeszcze? — Stafford wskazał na fotografii.

— Tak — odezwał się Hardin. — Ale na tych zdjęciach tego nie widać.

— Zwrócił się do Hunta. — Tłumaczyłeś, że macie uzbrojonego strażnika z powodu lamparta, który przedostaje się przez ogrodzenie. Czy tak?

Hunt przytaknął.

— Brice wystawił patrol. Uznał, że lampart przechodzi po jakimś drzewie, które jest zbyt blisko ogrodzenia.

— Zgadza się, tak właśnie nam mówiłeś. — Hardin spojrzał na Curtisa.

— Powiedz mu, sierżancie.

— Działając na polecenie pułkownika, okrążyłem cały obwód ogrodzenia. Po stronie zewnętrznej roślinność została wycięta w odległości około dziesięciu metrów od ogrodzenia. Przy ogrodzeniu nie rośnie żadne drzewo. Znalazłem za to dowód stosowania środków chwastobójczych w postaci pustej, papierowej torby. Nie zabrałem jej, ale zapisałem, co to takiego. — Wyjął kartkę i podał ją Staffordowi.

— Bardzo silny środek — powiedział Hardin, zaglądając Staffordowi przez ramię. — To defoliant, który stosowaliśmy w Wietnamie. Teraz został już wycofany z użycia. Wygląda na to, że ktoś chciał zapewnić sobie czyste pole widzenia.

— Jaką długość na ogrodzenie? — zapytał Stafford.

— Ponad dziesięć kilometrów — odparł Curtis.

— Ogrodzenie płytowe o wysokości trzech metrów i długości dziesięciu kilometrów — skomentował Stafford. — Trochę przesadne zabezpieczenie niewinnego instytutu rolniczego, któremu brakuje środków, nie uważasz, Alan?

— Nigdy nie patrzyłem na to od tej strony — przyznał Hunt. — Kiedy przyjechałem do Ol Njorowa, to już stało. — Pokręcił głową. — I nie zauważyłem oczyszczonego pasa na zewnątrz.

Chip uniósł jedną z fotografii.

— A mnie to zainteresowało.

— Mnie również — wtrącił Stafford. — W zasadzie jest to klucz do całej tej przekłetej sprawy. Alan, co powiesz na ten temat?

Hunt wziął fotografię.

— Aa, to laboratorium migracji zwierząt. Niewiele wiem o nim. Nigdy nie byłem w środku.

— Opowiedz Chipowi o pięknych gnu — rzekł z ironią Stafford.

Hunt powtórzył wszystko, co wiedział o pracach dotyczących przemieszczania się zwierząt. Wzruszył na koniec ramionami.

— Niewiele więcej wiem, to nie moje podwórko. Tak czy owak nie należy ono do instytutu. Wypożyczają jedynie od nas pomieszczenie.

— Obszedłem całe Ol Njorowa — powiedział Stafford. — Zorganizowano mi wielkie zwiedzanie. Byłem wszędzie, z wyjątkiem tego, tak zwanego, laboratorium. Alan od dwóch lat pracuje w Ol Njorowa i też nie widział wnętrza.

— No cóż, nie jest używane przez okrągły rok — powiedział Hunt.

— A migracja gnu zacznie się dopiero za sześć tygodni.

— I tak rzadko tych ludzi widzujemy — wtrąciła ludy. — Trzymają się na dystans.

— Alan już o tym wspominał. — Stafford spojrział w niebo i marzycielskim głosem powiedział: — Gdzieś tam, w górze, na wysokości ponad trzech tysięcy metrów, znajduje się amerykański satelita do długoterminowego badania pogody, chwalebny projekt i bez wątplenia prawdziwy. Ale zawiera sprzęt używany przez tych ludzi z Ol Njorowa. Przyszło mi na myśl, że sygnał wysyłany z tej anteny parabolicznej do satelity, mógłby zostać retransmitowany i odebrany, powiedzmy w Pretorii, leżącej o jakieś dwadzieścia pięć stopni na południe. A może w jakiejś miejscowości w północnym Transwaalu, takiej jak Messina lub Louis Trichardt, które znajdują się o dwadzieścia dwa do dwudziestu trzech stopni na południe. — Uśmiechnął się. — Sprawdziłem na mapie.

— Wszystko to jedynie przypuszczenia — zaoponował Hunt. — Mówicie o kamerach telewizyjnych na wieży ciśnień, ale nie wiecie, czy tam rzeczywiście są. Natomiast całe to głędzenie o przesyłaniu sygnałów do Pretorii jest moim zdaniem jednym wielkim głupstwem. Jeżeli ściągnęliście mnie tutaj, żebym wysłuchiwał takich bzdur, to zmarnowaliście czas.

— Alan, czy szanująca się firma zakłada podsłuch w pokojach gościnnych? — Stafford zadał kolejny cios.

— Jesteś tego pewny? — ostro spytał Chip.

— Jestem pewien. Mikrofon i nadajnik zostały umieszczone w ramie obrazu ze słoniem.

— Opisał, co udało mu się odkryć.

Chip aż sapnął z ulgą.

— Dzięki Bogu! — powiedział. — To pierwszy mocny dowód, jaki udało nam się zdobyć.

— Tak też sobie pomyślałem — przyznał Stafford. Zrelacjonował szczegółowo wydarzenia dnia, a na koniec powiedział: — Wciągnąłem Gunnarssona do rozmowy na tematy osobiste, gdyż miałem całkowitą pewność, że Brice tego słucha. Przez cały czas rozmowy z Gunnarssonem mówiłem właściwie do Brice'a. — Uśmiechnął się szeroko. — Sprowokowałem Gunnarssona do stwierdzenia, że zostanie w Ol Njorowa, bo coś mu tam wydaje się podejrzane.

— Zawsze był z niego bystrzak — rzeczowo stwierdził Hardin. — Trzeba mu to przyznać. Ma oczy i uszy otwarte.

— Tak, ale Brice słyszał każde jego słowo. — Stafford roześmiał się.

— Ciekawe, co się teraz stanie.

Hunt spojrzał na siostrę.

— Co o tym sądzisz? —

— Nie byłam przekonana, dopóki Max nie wspomniał o tym obrazie w swoim pokoju — oświadczyła. — Ale teraz zaczyna to do mnie przemawiać.

— Czy widzieliście kamerę telewizyjną w holu budynku administracji?

— spytał Stafford.

— Nie, nie widziałem — zdziwił się Hunt.

— Nic dziwnego, trudno ją dostrzec, chyba że wiesz, czego szukać. Kiedy staniesz twarzą do recepcji, będziesz ją miał za sobą w lewym górnym rogu. Tylko, na miłość boską, nie gap się na nią! Zerknij dyskretnie.

Zdezorientowany Hunt potrząsnął głową.

— Wiesz, w ubiegłym roku Brice pokazał mi w czasopiśmie kilka rozpraw dotyczących laboratorium migracji zwierzęcych. Z tego, co widziałem, był to naprawdę dobry materiał.

— Wierzę. Najlepsza przykrywka jest zawsze autentyczna. — Stafford zwrócił się do Chipa. — Kiedy rozmawiałem z Gunnarssonem, zasygnalizowałem, że opuszczam Kenię i wracam do Londynu. Brice mógł w to uwierzyć albo nie. Czy możesz coś zrobić, by uwiarygodnić tę historię?

Chip zastanowił się.

— Nie wiemy jeszcze, jak wielką organizację zbudował Brice, a także ile wywęszył o nas. Każę zamówić bilety lotnicze na nazwiska twoje i Curtisa. Podaj mi numery waszych paszportów, a w razie czego zapis wykaże, że odlecieliście jutro rano. Musisz się na ten czas gdzieś zaszyc.

— Dlaczego nie tutaj? — zasugerował Nair. — Na Crescent. Wyspa leży w pobliżu Ol

Njorowa i jest spokojna. Możemy przywieźć namiot, śpiwory i wszystko, czego potrzebujecie.

— Będzie nam potrzebna łódź — powiedział Stafford.

Curtis nachylił się do niego i zakomunikował cicho:

— Może pułkownik chciałby wiedzieć, że ktoś nadchodzi.

— Gdzie?

— Wspina się ostrożnie po stoku, od strony wody.

Chip też usłyszał. Dał znak Nairowi i obaj podążyli w dół stoku, w różnych kierunkach. Zniknęli i przez chwilę nic się nie działo. Po jakimś czasie wrócili swobodnym krokiem. Chip po drodze rozdzierał kopertę.

— Wszystko w porządku, dostałem tylko wiadomość. — Wyjął z koperty kartkę i przebiegł ją wzrokiem. — To meldunek o tym facecie, który wypytywał o Gunnarssona w „New Stanley”. Ustalono, że jest z Ol Njorowa. Nazywa się Patterson.

Stafford zmarszczył brwi.

— Wydaje mi się, że słyszałem gdzieś to nazwisko.

— To pracownik ekipy zajmującej się migracją zwierząt — oświadczył Hunt. — Myślę, że to przesądza sprawę.

— Czy to nie ten człowiek, który był z Bricem, gdy po raz pierwszy spotkałem go w hotelu „Lake Naivasha”?

— Tak — potwierdziła Judy. — Alan, wydaje mi się, że Max uzasadnił dostatecznie wszystko. — Spojrzała na Stafforda. — Co mamy robić?

— Chip jest szefem — odparł Stafford.

— Niezupełnie — zaproponował Chip i wskazał na siwego Kenijczyka, właśnie wystukującego fajkę o kamień, na którym siedział. W trakcie narady Stafford zerkał na niego od czasu do czasu. Zachował pozornie obojętny wyraz twarzy, ale było oczywiste, że rejestruje każde słowo. — Najpierw muszę porozmawiać na osobności — oznajmił Chip. Odszedł na bok, a starszy mężczyzna schował fajkę i udał się za nim.

— Jeśli zostaniemy na tej wyspie, będziemy potrzebowali niezbędnych artykułów. — Piwa — powiedział do Naira Curtis.

Stafford uśmiechnął się, a Hardin spytał:

— A co ja mam robić?

— Zależy od tego, co planuje Chip, a to znów zależy od decyzji tamtego pana Anonima. A może raczej generała Anonima, jako że przypomina to operację wojskową. Musimy poczekać.

— Wiesz — odezwał się Hunt — nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

— Nie znasz jeszcze całej historii — powiedział Stafford. — Wydałaby ci się jeszcze bardziej nieprawdopodobna. — Zwrócił się do Hardina. — Wygląda na to, że Gunnarsson nie działa ani z Brice'em, ani z Hendriksem. Miał w planie swój własny szwindel.

— Wyrwanie do spółki z Corlissem majątku Hendryxxa — sprecyzował Hardin.

— Wszystko zaczęło się od ciebie, Ben — roześmiał się Stafford. — Czy wtedy, w Los Angeles, przypuszczałeś, że wykryjesz międzynarodowy spisek szpiegowski w środku Afryki? A dowiedzieliśmy się o tym tylko dlatego, że nabrałeś podejrzeń w stosunku do Gunnarssona. Wiesz, zdumiewało mnie to przez długi czas. Próbowałem poskładać całość z tych kawałków i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że istniały dwie układanki — jedna wokół Gunnarssona, a druga wokół Ol Njorowa.

— A więc co się teraz stanie? — spytała Judy.

— Podejrzewam, że wpadniemy w ręce polityków — odparł Stafford. — Wskazał głową: — Przypuszczam, że tamta para to szeregowi żołnierze. Gdyby mogli działać po swojemu, weszliby do Ol Njorowa i odkazili wszystko. Bezpośrednia droga. Ale politycy mogą mieć inne pomysły.

— Curtis tytułuje cię pułkownikiem — zagadnął Hunt. — Czy wciąż jesteś aktywny i w jakim zakresie?

— Na Boga, nie! Wyszedłem z wojska dziesięć lat temu. — Stafford usiadł. — Służyłem w wywiadzie wojskowym i poczułem się zmęczony tą pracą, bo była albo ignorowana, albo niszczone przez polityków, którzy nie wiedzieli, o co chodzi. Dlatego wycofałem się i założyłem własną, cywilną i komercyjną organizację. Zrezygnowałem z polityki światowej. — Zamilkł na chwilę. — Aż do tej pory.

Hardin uniósł głowę.

— Wraca Chip.

Stafford usłyszał jego kroki. Spytał:

— Jaki zapadł werdykt? — Spojrzał w bok i zauważył pana Anonima, idącego w dół stoku i znikającego wśród drzew.

— Musimy trochę poczekać — oświadczył Chip.

— Mogłem się domyśleć — powiedział Stafford. Ostentacyjnie wzruszył ramionami, jak gdyby chciał pokazać Alanowi Huntowi, że miał rację.

— A co z nami? — zapytał Hunt.

— Pracujecie normalnie — powiedział Chip. — Gdybyśmy was potrzebowali, damy znać. A do tego czasu żadnym działaniem ani najmniejszym drgnieniem mięśni twarzy nie dacie

poznać, że coś nie jest w porządku.

— A ja? — dopytywał się Hardin. — Co ja mam robić?

Chip wydał policzki.

— Sądzę, że to samo, co pan Stafford. Wolalbym, żebyś został tutaj, na wyspie Crescent.

Hardin trącił łokciem Naira.

— To znaczy, że potrzeba więcej piwa.

— Chip, rozmawiałeś z tym swoim kumplem — rzekł Stafford z lekką goryczą. — Przypuszczam, że to jakiś wyższy oficer. Czy mam rozumieć, że udał się po instrukcje?

Chip pokiwał z rezygnacją głową.

— Max, wiesz, jak to jest. Koła wewnątrz kółek. Każdemu ktoś siedzi na karku. Każde działanie w tej sprawie musi odbywać się na polecenie z góry. Mówimy teraz o kwestiach międzynarodowych, o konflikcie między państwami.

Stafford westchnął. Położył się na wznak i przykrył dłońmi oczy, by osłonić je przed słońcem.

— No więc zajmuj się swoim przeklętym konfliktem międzypaństwowym.

Brice stał przy oknie, spoglądając na tereny Ol Njorowa. Gdy gwałtownie zwrócił się twarzą do Hendriksa, miał ściągnięte brwi.

— Najpierw Stafford, a teraz Gunnarsson. Słyszałeś, co mówili. Dobierają się do nas.

— Max nie — zaprzeczył Hendriks. — Wraca do domu.

— W porządku. Ale Gunnarsson coś zwęszył. Kim on jest?

— Wiesz tyle samo, co ja — powiedział Hendriks. — To szef amerykańskiej agencji, która odnalazła Henry'ego Hendrixa w Kalifornii. Słyszałeś, co mówił Staffordowi. Próbował odkroić z tego kawałek dla siebie, ale mu się nie udało, kiedy stracił Hendrixa. Według mnie to cholerny oszust.

— Nie muszę cię pytać o zdanie — rzekł kwaśno Brice. — Sprawa jest oczywista.

Hendriks uniósł palec.

— Jedna sprawa wydaje się jasna — powiedział. — Kuzyn Henry chyba naprawdę nie żyje. Przynajmniej tak uważa Stafford.

— Niewiele nam to daje, skoro nie ma ciała. — Brice usiadł za biurkiem. — Słyszałeś Gunnarssona. Mówił, że zostaje, by przeprowadzić dochodzenie.

— No i czego może się dokopać? — spytał Hendriks. — Nie interesuje się nami. Jemu chodzi tylko o Henry'ego — a jego nie znajdzie. W końcu będzie musiał zrezygnować i wyjedzie do domu, tak jak Max. Nie ma tu czego szukać, nie teraz.

— Możliwe, ale musimy go mieć na oku.

— Jasne — zgodził się Hendriks. Wstał i podszedł do drzwi. — Gdybyś mnie potrzebował, będę w swoim pokoju.

Zostawił Brice'a i udał się na górę. W pokoju położył się na łóżku i zapalił papierosa; cofnął się myślami do chwili, kiedy to wszystko się zaczęło.

Uważał, że nastąpiło to wtedy, gdy powołano go do National Intelligence Service. Oczywiście wówczas nazywała się ona Bureau for State Security. Joel Mervis, ówczesny wydawca johannesburskiego „Sunday Timesa”, logicznie zastąpił for przyimkiem of, co w rezultacie dało akronim BOSS. Tani chwyt, ale został podchwycony przez gazety na całym świecie. Hendriks zastanowił się, jak wrażliwi byli jego rodacy w sprawach tego rodzaju. Wiele czasu zajęło im zorientowanie się w czym rzecz, po czym nazwę zmieniono na Departament of National Security, co dało akronim DONS, a oznaczało szlachecki tytuł w Hiszpani. Również on został przyjęty z pewnym rozbawieniem, więc dokonano kolejnej zamiany na National Intelligence Service. Niewiele dało się zrobić z NIS.

Przeszkolono go gruntownie i skierowano do pracy w terenie, głównie w Rodezji. Południowa Afryka rozpaczliwie próbowała wesprzeć rząd Smitha, lecz oczywiście w końcu nic z tego nie wyszło. Śmierć Salazara w dalekiej Portugalii przewróciła cały rząd kostek domina. Antykolonialny reżim w Portugalii oznaczał utratę Angoli i Mozambiku; wróg znajdował się u granic i Rodezji nie dało się uratować. Teraz Kubańczycy byli w Angoli i Afryka południowo—zachodnia została zagrożona. Przyszłość nie rysowała się najweselej.

Ale to była terażniejszość. W dniach, kiedy wydawało się, że Rodezję uda się uratować dla białej cywilizacji, Hendriks lubił swoją pracę. Aż wreszcie dostał kulę, wystrzeloną nie przez czarnego partyzanta, lecz, jak na ironię, przez popędliwego białego farmera. Wycofano go do Południowej Afryki, hospitalizowano, a następnie skierowano na miesięczny urlop.

Czas dłużył mu się straszliwie, więc musiał wyszukać sobie jakieś zajęcie. Był umysłowo i fizycznie aktywnym człowiekiem, nie odpowiadało mu więc wylegiwanie się na plaży w Clifton czy Durbanie i prażenie mózgu na słońcu. Zaczął wspominać swą babkę, którą pamiętał jak przez mgłę, oraz dziadka, który, jak uważano, zginął w trakcie Czerwonej Rewolty tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku w Johannesburgu. Nigdy nie znaleziono ciała i Hendriks postanowił sprawdzić ten fakt. Stosując techniki, jakich go nauczono, oraz zdobyte kontakty rozpoczął dochodzenie — zwykłą rozrywkę ludzi z wywiadu — i ustalanie drzewa genealogicznego. Opłaciło się. W starych rejestrach portowych wyszperał informację, że Jan—Willem Hendryxx wypłynął z Cape Town do San Francisco dnia dwudziestego piątego marca tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku — tydzień po tym, jak generał Smuts zdławił rewoltę. Tyle udało mu się ustalić przed zakończeniem urlopu.

Nie wrócił już do Rodezji. Wysłano go na placówkę do Anglii.

— Przejdź się raz do ambasady — poradzono mu. — Czegoś takiego będą oczekiwać. Ale więcej się do niej nie zbliżaj. Dadzą ci instrukcje, kontakty i tak dalej.

Tak więc Hendriks osiadł w Londynie, a jego zadania polegały głównie na śledzeniu przebywających na emigracji członków Afrykańskiego Kongresu Narodowego, zamieszkałych wówczas w Anglii, ustalaniu ich powiązań i kontaktów. Kiedy otrzymywał takie polecenie, sprawdzał również niektórych członków personelu licznych londyńskich ambasad.

Organizacje wywiadowcze postępują według własnych zasad. Rządy dwóch krajów mogą pozostawać w chłodnych stosunkach, natomiast przedstawiciele ich wywiadów często są zaprzyjaźnieni. Tak też wyglądały układy między Południową Afryką a Stanami

Zjednoczonymi, ściślej mówiąc, między BOSS i CIA.

Pewnego więc dnia Hendriks przekazał prośbę do Stanów. Czy ktoś mógłby wyświadczyć mu przysługę i sprawdzić, co stało się z Janem—Willemem Hendryxxem, który przybył do San Francisco w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku? Zaznaczył, że sprawa jest osobista i nie wymaga pośpiechu.

Dwa miesiące później otrzymał zdumiewającą odpowiedź. Wyglądało na to, że jego dziadek z powodzeniem nadawałby się na szefa mafii. Został deportowany ze Stanów w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Coraz bardziej zafascynowany Hendriks poprosił o tygodniowy urlop i spędził go w Brukseli. Dyskretnie przeprowadzone dochodzenie ujawniło, że dziadek miewa się zupełnie nieźle. Hendriks nie skontaktował się z nim. Zamiast odnowić więzy rodzinne, udał się do ambasady Południowej Afryki w Brukseli, gdzie odbył rozmowę z pewnym człowiekiem. Trzy miesiące później przygotował szczegółowy raport i wysłał go do Pretorii, co spowodowało, że ściągnięto go niezwłocznie do Południowej Afryki.

Bezpośrednim przełożonym Hendriksa był pułkownik Malan, masywnie zbudowany Afrykaner, o kwadratowej twarzy i chłodnych oczach. Otworzył leżącą na biurku teczkę i wyjął raport.

— Twoja propozycja jest doprawdy dziwaczna. — Raport pacnął o biurko. — Jak mocne są dowody, które zebrałeś przeciwko temu Belgowi, Hendryxxowi?

— Bardzo mocne. Jest szefem gangu przemytników heroiny, działającego w Antwerpii. Mamy wystarczające materiały, żeby na resztę życia wsadzić go do więzienia. Z drugiej strony, jeżeli pójdzie na współpracę z nami, możemy mu zapewnić luksus do końca życia. — Hendriks uśmiechnął się. — Co by pan wybrał?

— Nie jestem twoim dziadkiem — warknął Malan. Przekartkował raport.

— Pochodzisz z interesującej rodziny. Teraz sugerujesz, żebyśmy dali staremu mnóstwo forsy, tak ulokowanej, by nie mógł się do niej dostać. W dodatku ma sporządzić testament w taki sposób, by po jego śmierci pieniądze poszły tam, gdzie będziemy uważali. Zgadza się?

— Tak, proszę pana.

— Gdzie posłałbyś te pieniądze?

— Do Kenii — odparł Hendriks bez wahania. — Potrzebujemy pomocy w Afryce wschodniej.

— Tak — zadumał się Malan. — Ostatnio w ONZ—cie Kenyatta przybijał nas do krzyża. — Oparł się o krzesło. — Także Frans Potgeiter złożył nam interesującą propozycję, mamy

jednak kłopoty z funduszami. Znasz Potgeitera?

— Tak jest.

— Mógłbyś z nim pracować?

— Tak jest.

Malan pochylił się i postukał w raport.

— Twój dziadek jest stary, ale może jeszcze pożyć ze dwadzieścia lat, a na coś takiego nie pójdziemy.

— Wątpię, by tak się stało. — Hendriks z kieszeni marynarki wyjął kopertę i pchnął ją w kierunku Malana. — Oto aktualny raport o stanie zdrowia Hendryxxa. Zdobyłem go w przeddzień wyjazdu z Londynu. Ma słabe serce.

— W jaki sposób to zdobyłeś?

— Ślady wskazują, że ktoś włamał się do biura lekarza Hendryxxa.

— Hendriks uśmiechnął się. — Policja belgijska sądzi, że szukano narkotyków. Przestępcy spowodowali spore zniszczenia. Wie pan, jak to bywa z rozdrażnionymi włamywaczami.

Malan mruknął z aprobatą i pochylił się nad papierami. Po chwili odrzucił je na bok.

— Wygląda nieźle, ale każę to jeszcze przejrzeć lekarzowi. Mam nadzieję, że ambasada w Brukseli nie miała z tym nic wspólnego.

— Nie, proszę pana.

— Trzeba to załatwić z wielką ostrożnością, Hendriks. Oczywiście o wszystkim musi wiedzieć Departament Finansów. A sam testament

— należy go niezwykle starannie opracować. Mamy w Londynie świetnego prawnika, który nam pomaga. Poza tym sądzę, że trzeba Hendryxxa odizolować od przyjaciół i osadzić w miejscu, gdzie moglibyśmy go mieć na oku. Oczywiście pod warunkiem, że cała ta historia przejdzie. Ja nie mogę podjąć decyzji, więc musi trafić wyżej. — Uśmiechnął się dobrotliwie.

— Jesteś slim kerel, Hendriks — rzekł z uznaniem.

— Dziękuję panu. — Hendriks zawahał się. — Jeżeli Hendryxx nie umrze na czas, zawsze można mu... eee... dopomóc.

Wzrok Malana stał się kamienny.

— Cóż z ciebie za człowiek? — wyszeptał. — Kto przy zdrowych zmysłach sugerowałby zabicie własnego dziadka? Nie wracajmy już do tego tematu.

Operację zatwierdzono na najwyższym szczeblu, a działo się to w czasach, kiedy południowoafrykańskiemu wywiadowi i propagandzie powodziło się całkiem dobrze.

Dysponowały sporymi funduszami, a jeśli zachodziła potrzeba, to znajdowało się ich więcej. Hendryxxowi porządnie wykręcono ramię i uległ, gdy przedstawiono mu propozycję. Przeniesiono go z Belgii do domu na Jersey, pod nadzór pana i pani Adams — strażników w tym najbardziej luksusowym więzieniu. Jersey wybrano z powodu braku podatku spadkowego i niskiej stopy podatkowej. Nie znaczy to, że płacono wiele podatków — kiedy jakiś rząd zabiera się do ich omijania, zasięga rady prawdziwych ekspertów. Do machinacji wstrzyknięto piętnaście milionów funtów, które w chwili śmierci Hendryxxa, magicznym sposobem zmieniły się w czterdzieści milionów. Zdumiewające, co wspólny interes może uczynić z określoną kwotą pieniędzy powierzoną pod odpowiedni zarząd i tak ulokowaną, by narastała i mnożyła się.

Frans Potgeiter ukrył się, a następnie wypłynął znowu, już jako liberalny Rodezyjczyk o nazwisku Brice. Prawdziwy Brice szczęśliwym zbiegiem okoliczności zginął w wypadku drogowym, próbując pokonać trasę Johannesburgu — Durban w czasie krótszym niż pięć godzin. Wyjechał do Anglii, żeby ugruntować swoją reputację, a następnie przeniósł się do Kenii, by stanąć na czele Fundacji Ol Njorowa. Hendriks natomiast wrócił na swoją tajną placówkę w Londynie. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym nie zwała się lawinowo afera Muldergate i skończyły się dni nieograniczonych możliwości finansowych. Przecieki następowały jeden po drugim; założenie gazety „The Citizen” z funduszy rządowych, próba nabycia gazety amerykańskiej, przekupywanie amerykańskich polityków, działalność „Grupy Dziesięciu”. Wszystkie te grzeszki wyszły na jaw.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym minister informacji, Connie Mulder, został zmuszony do dymisji, następnie do wycofania się z parlamentu i zrzeczenia się członkostwa partii. Doktor Eschel Rhodie, sekretarz informacji, schronił się do Szwajcarii i pojawił w telewizji, grożąc, że zdradzi tajemnicę. Mulder ją zdradził — wymienił Vorstera, niegdyś premiera, a potem prezydenta Republiki Południowej Afryki, jako wtajemniczonego w te machinacje. Vorster wszystkiemu zaprzeczył.

Zebrała się Erasmus Judicial Commission of Enquiry i, wzięwszy pod uwagę materiał dowodowy, opracowała raport. Potępił on Vorstera, jako „posiadającego pełną świadomość popełnianych wykroczeń”. John Balthazar Vorster ustąpił ze stanowiska prezydenta państwa. Zapanował chaos.

Hendriks w Londynie z przerażeniem czytał dzienniki, spodziewając się, że lada dzień wybuchnie sprawa Hendryxxa i fundacji Ol Njorowa. Jednak w Pretorii ktoś musiał roztropnie i szybko zadziałać, by pozatykać przecieki. Nie mógł tego dokonać pułkownik

Malan, gdyż sam został wymieciony przez potok generalnych czystek i podał się do dymisji.

Hendriks martwił się o swojego wuja Adriana, którego oczywiście nigdy nie spotkał, a szczególnie trapiła go możliwość posiadania przez niego prawowitego potomka. Przeprowadzono dochodzenie w tej kwestii i tak trafił na Henry'ego Hendrixa, kończącego wówczas naukę w szkole średniej. Hendriks miał zamiar, jak to ujął, „zrobić coś w tej sprawie” – eufemizm, któremu Malan ukręcił łeb.

— Nie — sprzeciwił się Malan. — Nie zgadzam się na coś takiego. Gdy zaistnieje potrzeba, rozwiążemy problem w inny sposób.

Jednak po Uldergate, kiedy Malan odszedł i Hendriks chciał „coś zrobić”, Henry Hendrix zniknął z pola widzenia — nie dająca się wyodrębnić drobina w masie dwustu dwudziestu milionów Amerykanów. Hendriks, wciąż mieszkający w Londynie, próbował pobudzić Pretorię do działania, ale z powodu niedawnej wrzawy spowodowanej Muldergate nie podjęto żadnych kroków.

Dopiero kiedy Alix zaszła w ciążę i odejście Hendryxxa stało się koniecznością, Pretoria zaczęła działać, jednak bez przekonania i zbyt późno. W testamencie Hendryxx zapisał dwadzieścia tysięcy funtów swoim strażnikom, panu i pani Adams. Mandeville upierał się przy tym, twierdząc, że testament musi wyglądać wiarygodnie. Państwo Adams odwdzięczyli się Hendryxxowi mordując go. I chociaż z nieuprzejmą wytrwałością trzymał się życia, nie stanowiło to zbyt trudnego zadania, wzięwszy pod uwagę, że był zgrzybiałym starcem i spodziewano się jego śmierci lada chwila.

Pretoria sfuszerowała robotę w Los Angeles i Hendrix ocalał. Jakimś cudem przeżył również wypadek samochodowy w Kornwalii, ale teraz Potgeiter, może trochę niezręcznie, rozwiązał problem. Tylko czy na pewno?

Hendriksa wyrwał z zadumy dzwonek telefonu stojącego obok łóżka. Dzwonił Potgeiter.

— Zejdź tu na dół. Gunnarsson pojechał. Wysłałem za nim Pattersona.

Stafford uważał, że muchy jeziorowe stanowią największe niebezpieczeństwo na wyspie Crescent, dopóki omal nie skręcił sobie karku.

Chip, Nair i Huntowie odjechali — Huntowie z powrotem do Ol Njorowa, Chip do Nairobi, a Nair do Naiwasha po zapasy. Nair wrócił późnym popołudniem, łodzią wypełnioną prowiantem oraz sprzętem campingowym. Kiedy już pomogli mu wyładować wszystko na brzeg, powiedział:

— Rozbijemy obóz po drugiej stronie wyspy, żeby z lądu nie dostrzeżono światła.

— Zostajesz z nami? — spytał zaskoczony Stafford. Nair bez słowa kiwnął głową, a Hardin parsknął:

— Chip chyba uważa, że chcemy, by nas trzymano za rączkę. Stafford był innego zdania; uznał, że Nair chce ich mieć na oku.

Tajemnica Ol Njorowa została już niemal wyjaśniona i pozostawało tylko zniweczyć południowoafrykańską operację. Ale Chip, jak zapewne i inni, chcieli uniknąć jakichś pochopnych działań, dlatego też Nair miał dopilnować, by grupa Stafforda trzymała się na uboczu.

Przydźwigali prowiant na drugą stronę wyspy jakieś ponad pół kilometra, po czym rozbili obóz. Nair starannie zakładał moskitiery, zawieszane na drucianych ramkach ponad śpiworami. Grzebał się z tym dość długo, dopóki nie nabrał pewności, że zrobił to solidnie.

— Macie tu w okolicy wypadki malarii? — zainteresował się Hardin.

— Tutaj nie. — Nair uniósł wzrok. — Ale sporo tu much jeziorowych. — Nie zagłębiał się w szczegóły.

Curtis założył palnik na małą butlę propanu i zaczął otwierać konserwy. Wkrótce przygotował posiłek i zasiedli do jedzenia w chwili, gdy słońce zachodziło za Skarpą Mau. Przy kawie odezwał się Nair:

— Czas się kłaść.

— Tak wcześnie? — zaproponował Hardin. — Ledwie minęła szósta.

— Rób, jak uważasz — odparł Nair. — Ale po zapadnięciu zmroku wiatr zmienia kierunek i przygania muchy jeziorowe. Będziesz szczęśliwy, mając możliwość ukrycia się.

Stafford zrozumiał, co miał na myśli pięć minut później, kiedy zaczął się zaciekle opędzać od owadów. Kiedy wreszcie wlaź do śpiwora i pod osłonę moskitiery, poczuł jak puchnie mu skóra na ramionach i kostkach, swędząc przy tym straszliwie. Zorientował się również, że posłanie dzieli z nim kilkunastu intruzów, których nieopatrznie wpuścił. Upłynęło trochę

czasu, zanim upewnił się, że zabił ostatniego owada.

Curtis jak zwykle zachował spokój, ale od strony Hardina dobiegały nieustanne, stłumione przekleństwa.

— Do diabła, Nair! — zawył. — Jesteś pewny, że to nie moskity?

— Tylko muchy — uspokoił go Nair. — Nie zrobią ci krzywdy, nie przenoszą chorób.

— Możliwe, ale zżerają mnie żywcem. Do jutra zostanie ze mnie sam szkielet.

— Stanowią zagrożenie dla lotnictwa — wyjaśnił Nair. — Szczególnie nad Jeziorem Wiktorii. Blokują filtry powietrza oraz rurki Pitota. Z ich powodu rozbiło się kilka samolotów, ale nie słyszałem, by kogoś pożarły.

Stafford zapalił papierosa i spojrzał w niebo przez przezroczystą i prawie niewidoczną siatkę. Było bezchmurne i pełne diamentowego blasku gwiazd, coraz jaśniejszego, w miarę jak gasło światło na zachodzie.

— Nair?

— Co, Max?

— Czy Chip mówił ci coś przed odjazdem do Nairobi?

— O czym?

— Doskonale wiesz o czym — rzekł Stafford spokojnie.

Na chwilę zapadła cisza.

— Nie jestem wysokim oficerem — niemal usprawiedliwił się Nair. — Nie wiem o wielu sprawach.

— Ale nie zabraniają ci myśleć. Nie jesteś głupcem, Nair. Jak myślisz, co się teraz stanie?

Nair znów milczał.

— To duża rzecz, Max — odezwał się po chwili. — Ci na samej górze będą dużo ze sobą rozmawiać, będą się sprzeczać o najlepsze rozwiązanie. Sam wiesz, jak to bywa w pracy wywiadu.

Stafford wiedział. Kenijczycy mieli kilka możliwości, rozważył je w myślach. Mogli pójść na zwycięstwo propagandowe — wdrzeć się do Ol Njorowa przy pełnym rozgłosie, łącznie z kamerami telewizyjnymi oraz mocnymi przemówieniami na forum ONZ. Mogli też po cichu zgarnąć Brice'a i Hendriksa i bez zbędnych fanfar zlikwidować nielegalną operację. Oczywiście Południowa Afryka wiedziałaby o tym, ale nie mogliby absolutnie niczego zrobić. Kenijczycy mieliby w dyplomatycznym rękawie asa, qui pro quo na każde ustępstwo, jakie chcieliby wymusić na Południowoafrykańczykach — zróbcie to dla nas, albo podamy do publicznej wiadomości waszą bezprawną działalność. Stafford wątpił jednak, by Południowoafrykańczycy ulegli tego rodzaju szantażowi.

Istniało jeszcze trzecie rozwiązanie — nie robić nic. Rozpostrzeć delikatną sieć wokół Ol Njorowa, obserwować Brice'a, Hendriksa oraz ekipę od migracji zwierząt, a jeśli to byłoby możliwe, dostarczać im fałszywe informacje. Byłoby to najbardziej subtelne rozwiązanie, jakie sam preferował, ale Stafford nie dawał przeciętnemu politykowi zbyt wysokich ocen za subtelność. Przeciętny polityk miał horyzonty ograniczone czasem i większość skłaniała się ku rozwiązaniom krótkoterminowym. Czyż to nie Harold Wilson powiedział, że tydzień w polityce to długo?

Tak więc tej nocy w Nairobi odbędzie się wiele rozmów, gdy frakcje rządowe będą próbowały przeforsować swoje stanowisko. Miał nadzieję, że Chip oraz pan Anonim wykażą dość rozsądku, by swą nowo pozyskaną wiedzę na temat Ol Njorowa przedstawić wybranej garstce.

Poruszył się.

— Nair, czy sądzisz, że tę grupę turystów porwali Tanzańczycy?

— Biorąc pod uwagę okoliczności, to wątpię.

Stafford oparł się na łokciu.

— Kenijczycy?

— Może.

— Ale w jaki sposób Brice mógł ich zwerbować?

— Niektórzy wiele zrobią dla pieniędzy.

— Nawet zabijają, tak jak zamierzali zabić Corlissa?

— Nawet. — Nair zamilkł na moment. — Oczywiście mogli to być południowoafrykańscy Murzyni.

Staffordowi nie przyszło to do głowy.

— Czy czarny Południowoafrykańczyk mógłby się podać za Kenijczyka? Czy mogło mu się coś takiego udać?

— Równie łatwo, jak pewien Rosjanin Konon Mołody mógł podszyć się za Kanadyjczyka Gordona Lonsdale'a — odparł Nair oschle. — Wymaga to jedynie treningu.

Stafford zastanowił się nad tym.

— Zupełnie nie potrafię zrozumieć, dlaczego czarni mieliby pracować dla białych Południowoafrykańczyków. Dlaczego mieliby bronić supremacji białych?

— Południowoafrykańska armia pełna jest czarnych — odparł Nair. — Nie wiedziałeś o tym? Wielu służy w wojsku dla pieniędzy. Niektórzy mają inne powody — uczą się na przykład używać nowoczesnej broni. Ale w końcu wszystko sprowadza się do prostego faktu, że jeżeli jakiś człowiek ma określone poglądy, to zawsze znajdzie się ktoś o poglądach

zupełnie przeciwnych.

— Chyba tak — rzekł Stafford, ale bez przekonania.

— Białemu człowiekowi trudno zrozumieć mentalność czarnego — powiedział Nair. W jego głosie brzmiało rozbawienie, gdy dodał: — Nie mówiąc już o mentalności Hindusów. Nawet biali Południowoafrykańczycy, którzy powinni coś o tym wiedzieć, popełniają błędy.

— Na przykład jakie?

— Zaczniemy od tego, że kraje Afryki są sztucznymi tworem białego człowieka. Czarni tak naprawdę nie rozumieją sensu istnienia państwa. Są wierni idei plemienia.

— Tak — zamyślił się Stafford. — Chip wspominał coś na ten temat.

— No dobrze — ciągnął Nair. — Weźmy Zimbabwe, sztuczny twór, zwany niegdyś Południową Rodezją. Przeprowadzili wybory, żeby zobaczyć, kto obejmie rząd tymczasowy. Nkomo, Mugabe czy biskup Muzorewa. Nikt nie dawał wielkich szans Muzorewie. Stawiano na Nkomo, a w drugiej kolejności na Mugabe. Nawet Południowoafrykańczycy, którzy powinni lepiej się orientować, byli tego pewni.

— Dlaczego powinni się lepiej orientować?

— Wystarczająco długo przebywają w Afryce. Widzisz, w Zimbabwe są dwa główne plemiona — Ndebene i Mashona. Nkomo jest Ndebene, a Mugabe Mashona. Plemię Mashona jest czterokrotnie liczniejsze w porównaniu z Ndebene i w takim też stosunku Mugabe wygrał wybory. Całkiem proste.

— Głosowali według kryterium plemiennego?

— W większości. — Nair przerwał na chwilę, po czym dodał: — Gdyby Południowoafrykańczykom udało się usytuować tutaj dobrze finansowaną tajną bazę, mogliby wywołać sporo waśni między plemionami.

Stafford starannie zgasił papierosa, położył się i zaczął rozmyślać. Takie a nie inne usytuowanie Kenii w Afryce sprawiało, że stanowiła ona konglomerat etniczny i religijny, a wszystkie te różnice mógł wykorzystać zdecydowany i cyniczny wróg. Nair zapewne miał rację. Zasnął, wciąż o tym rozmyślając.

Obudził się o świcie i zaspanym wzrokiem zarejestrował jakiś ruch. Przewrócił się na bok i zobaczył nieopodal zgrabnie skaczącego jelonka. Był zaskakująco mały, rozmiarem przypominał niewielkiego psa, takiego jak foksterier, miał nogi grubości długopisu, zakończone miniaturowymi raciczkami. Zaokrąglony zad i różki, niczym dwa sztylety, dopełniały obrazu. Stafford nigdy nie widział czegoś równie rozkosznego.

Trzasnęła gałązka i jelonek pierchnął pod osłonę drzew. Stafford przekręcił się na drugi bok i zobaczył Naira, zbliżającego się od strony jeziora.

— To był dik—dik — oznajmił Nair.

— Czy muchy odleciały?

— Nie ma już żadnych much.

— To dobrze. — Stafford odrzucił siatkę i wylazł ze śpiwora. Nałożył spodnie, buty i wziął ręcznik. — Czy w jeziorze można się bezpiecznie umyć?

— Raczej tak, uważaj tylko na węże. Chociaż mało prawdopodobne, żebyś jakiegoś napotkał. — Gdy Stafford odwrócił się, zawołał jeszcze:

— Tam wśród drzew jest gniazdo rybołówów.

Kiedy Stafford dotarł na brzeg, z rozbawieniem pokręcił głową. Sposób bycia przewodnika grup turystycznych najwyraźniej przyłgnał także do Naira. Stado gazeli Thomsona usunęło mu się z drogi, bez pośpiechu, lecz zachowując bezpieczny dystans. Umył się już i właśnie wycierał, gdy nadszedł Hardin.

— Spokojne miejsce — zauważył Hardin.

— Tak. Bardzo tu ładnie. — Stafford nałożył koszulę. — Gdzie Curtis? Jego śpiwór był pusty.

— Wspiął się na szczyt tamtego grzbietu. — Hardin wskazał ręką.

— Chciał rzucić okiem na ląd.

— Trudno mu się wyzbyć wojskowych nawyków — skonstatował Stafford z uśmiechem. Hardin spojrzał na jezioro.

— Popatrz tam.

Stafford wyteżał wzrok, lecz nie dostrzegł niczego oprócz drobnych fal.

— O co chodzi?

— Zaczekaj! — Hardin wskazał ręką kierunek. — Był gdzieś tam. Zobacz, znowu wypłynął! Cholerny hipopotam.

Stafford zobaczył głowę wynurzającą się na powierzchnię i usłyszał sapanie, i parskanie. Po chwili hipopotam znów się zanurzył.

— No cóż, w końcu jesteśmy w Afryce — powiedział. — Co chciałbyś znaleźć w afrykańskim jeziorze? Niedźwiedzie polarne?

— Krokodyle, ot co. — Hardin rozejrzał się uważnie po brzegu jeziora.

— Mam też nadzieję, że Nair nie mylił się, mówiąc, że lwy i lamparty nie lubią długo pływać. Żaden z nas nie ma broni.

Tuż obok znajdowała się odkryta skała i Stafford uznał, że z jej szczytu będzie mógł lepiej obserwować hipopotama. Gdy zaczął się wspinać, skała okazała się dziwnie śliska, więc mimo butów na gumowych spodach miał kłopot ze znalezieniem punktu oparcia. Na

szczytzie zupełnie stracił równowagę — ześliznął się i z wysokości jakichś trzech metrów zleciał na ziemię.

Zatkało go i rozpaczliwie próbował złapać oddech, czuł też zawroty głowy. Nie stracił całkowicie przytomności, ale ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że podbiegł Hardin i przewrócił go na plecy.

— Nic ci nie jest, Max? — pytał zaniepokojony Hardin.

Dopiero po paru minutach Stafford zdołał odpowiedzieć:

— Chryste, to było straszne.

— Złamałeś sobie coś?

Stafford zaczął się ostrożnie obmacywać, wreszcie rzekł:

— Chyba zostałem w jednym kawałku.

— Poleciałeś tak, że mogłeś złamać kark — powiedział Hardin. — Co się, do diabła, stało?

Stafford podniósł się.

— Jakaś ta skała dziwna. Okropnie śliska, jakby naoliwiona. Hardin zbliżył się do skały, przyjrzał się jej i pomacał powierzchnię.

— Wydaje mi się, że to zwykła, zwietrzała skała.

— Do diabła! — zaklął Stafford. — Czuję się, jak na wrotkach. — Przyłączył się do Hardina, lecz nie znalazł niczego podejrzanego w strukturze kamiennej powierzchni.

— Jeśli nic ci nie jest, to skończę się myć. — Oświadczył Hardin.

— Wrócił na brzeg, a Stafford czekał, obserwując, jak sądził, jednego z rybołówów, o których wspominał Nair. Ptak krążył leniwie w górze, a Stafford zastanawiał się nad dziwnymi właściwościami skały na wyspie Crescent.

Hardin wreszcie skończył i wrócili do obozu. Stafford lekko utykał, gdyż nadwreżył sobie mięsień w nodze. Nair czekał już z kawą i gdy Stafford przysiadł na swoim śpiworze, podał mu kubek.

— Max twierdzi, że macie tu wyjątkowo zdradliwe skały — powiedział Hardin. — Paskudnie się poobijał.

— Zdradliwe? W jakim sensie? — Nair uniósł wzrok.

— Cholernie śliskie. Mogłem coś złamać. — Stafford rozmasował sobie udo.

— Zerknij na podeszwy — doradził Nair. Stafford zdjął but i odwrócił go.

— A niech to licho porwie! — Gumowa podeszwa była całkowicie pokryta zbitą masą brązowych nasion.

— Nic ci nie grozi, jeżeli będziesz chodził normalnie — powiedział Nair. — Uważaj, po czym chodzisz, unikaj nagich skał, bo się poślizniesz.

Niemniej po śniadaniu Stafford wziął scyzoryk i oczyścił podeszwy. Nasiona były małe, w kształcie sześciątów, z maleńkim kolcem na każdym wierzchołku. Jakkolwiek by upadły, jeden kolec zawsze sterczał do góry, dając miniaturową wersję średniowiecznych kulek żelaznych, które rozsypywano, by zniechęcić kawalerię do szarży. Natura nas wyprzedziła, uznał, a głośno powiedział:

— Teraz rozumiem, dlaczego Gunnarsson tak strasznie utykał, kiedy wrócił do Keekorok.
— Przyjrzał się zelówce buta. Część drobnych cierni zmiażdżonych pod ciężarem ciała, utworzyła wypolerowaną powierzchnię, gładką niczym podłoga balowej sali. Usunął nasiona i znów obejrzał but. Podeszwa była zupełnie podziurawiona.

Po śniadaniu i wykonaniu zwykłych prac obozowych, jak zgniecenie i zakopanie pustych puszek, niewiele zostało już do zrobienia.

— Czy Chip uprzedził, kiedy wróci? — zapytał Stafford.

Nair wzruszył ramionami.

— Wątpię, by sam to wiedział.

— Zostaje więc nam czekać i kręcić młynka palcami — rzekł zde gustowany Stafford.

Curtis wrócił na stanowisko na szczycie grzbietu, zabierając ze sobą lornetkę Stafforda, a Hardin zdecydował się towarzyszyć mu. Nair i Stafford, z braku innego zajęcia, wybrali się na spacer.

— Będziemy na północnym krańcu wyspy — oznajmił Nair Hardinowi przed wyjściem.

Szli spacerkiem, bez pośpiechu, gdyż nie mieli żadnego konkretnego celu. Po drodze Stafford opowiedział Nairowi o możliwościach działania, jakie, jego zdaniem, mieli Kenijczycy. Nair przyznał mu rację.

— Nasz problem polega na tym — stwierdził — że jesteśmy dostatecznie cywilizowani, by mieć wywiad i departamenty bezpieczeństwa, lecz nie na tyle, by umieć je odpowiednio wykorzystać. Nie mamy takiego doświadczenia, jak wy, Anglicy. Przypuszczam, że brak nam waszego cynizmu.

Był to dziwny sposób definiowania cywilizacji, ale Stafford uznał, że może i słuszny.

W pewnej chwili Nair zatrzymał się i wskazał teren leżący przed nimi, nieco z boku.

— Patrz!

Stafford niczego nie dostrzegł, ale w tej chwili drgnęło jakieś ucho i ujrzał paciorkowate oko.

— Królik! — rzekł zdumiony. — Nie wiedziałem, że występują w Afryce.

— Niezbyt często — odparł Nair. — Zbyt wiele mamy drapieżników. To królik Bonyoro.

— Ruszył dalej, a wystraszony królik rzucił się do ucieczki, zmieniając przy każdym skoku

kierunek. Nair spojrział z ukosa na Stafforda: — Zbyt wielu drapieżców w całej Afryce.

A większość z nich to ludzie, przyznał mu w myślach Stafford. Dochodziła jedenasta, kiedy dogonił ich Hardin.

— Właśnie przyплыł Alan Hunt — zameldował. — Sierżant zszedł do niego na brzeg.

— Mógł przywieźć jakieś wieści — powiedział Stafford. — Chodźmy tam. Hunt nie miał jednak żadnych wieści. Przyjechał do serwisu w Naiwasha napełnić butanem butle do balonu i przyspawać rurę do palnika, a potem zdecydował sprawdzić, czy Stafford wie, co się dzieje.

— Drepczemy w miejscu, to wszystko — powiedział Stafford. — Czekamy, aż góra podejmie kolektywną decyzję, jeżeli to w ogóle nastąpi.

— Miałeś rację — przyznał Hunt.

— Co do czego?

— Tej kamery telewizyjnej w holu budynku administracji. Sprawdziłem to.

— Mam nadzieję, że nie wsadziłeś w nią oka — mruknął Stafford.

— A twój przyjaciel Gunnarsson nocował u nas dzisiaj. Wygląda na to, że zaprzyjaźnił się z Brice'em.

Stafford pomyślał o sterowanej rozmowie, jaką przeprowadził z Gunnarssonem w swojej sypialni.

— Pewnie Brice ocenia przeciwnika — uznał.

— Zgadza się, ocenia go, czy zmieści się do trumny — roześmiał się Hardin.

— Wątpię — zaoponował Stafford. — W dobrze przeprowadzonej operacji nie zostawia się za sobą zbyt wielu trupów. Nie sądzę, żeby Brice był taki głupi.

— Nie przejmował się specjalnie zostawieniem trupa na granicy tanzańskiej — nie dawał za wygraną Hardin.

— To co innego. Wciąż nie ma bezpośredniego związku pomiędzy Brice'em, a tamtym wydarzeniem. Wciąż jest dobrze kryty. Myślę...

Nie dowiedzieli się, co myśli Stafford, gdyż od strony grzbietu rozległ się przeszywający gwizd. Uniósł wzrok i dostrzegł, że Curtis przywołuje go ruchem ręki.

— Coś się dzieje — powiedział i zaczął biec.

Brakowało mu tchu, kiedy zwałił się obok Curtisa. Pomyślał, że to robota dla kogoś młodszego. Nair i Hunt dotrzykali mu kroku, ale Hardin wciąż włókł się z tyłu. Curtis wskazał łódź w połowie wąskiej cieśniny dzielącej wyspę od lądu i podał Staffordowi lornetkę.

— Czy pułkownik zechciałby spojrzeć? Płyń z hotelu „Lake Naivasha”. Stafford

przyłożył lornetkę do oczu i ustawił ostrość. Przy sterze siedział młody, czarny Kenijczyk z ręką na rumplu podwieszanego silnika. A za nim siedział Gunnarsson i wydawało się, że patrzy Staffordowi prosto w oczy.

Stafford już wycofał się ze szczytu grzbietu, gdy dogonił go Hardin.

– Co się dzieje? – spytał Hardin. Z trudem łapał oddech.

– Gunnarsson. Płynie prosto tutaj, jak po sznurku. Ale jak się dowiedział, gdzie jesteśmy? – Nikt mu tego nie wyjaśnił, więc Stafford ciągnął: – Ben, musisz zniknąć. Ty również, Nair. Ale czekajcie w pobliżu, gotowi na każde wezwanie. My z Curtisem utworzymy komitet powitalny. Chodź, sierżancie.

– A co ze mną? – spytał Hunt.

Stafford zastanowił się, po czym wzruszył ramionami.

– To zależy od tego, czy chcesz się w to mieszać. Jeżeli tak, możesz pójść z nami. – Zerknął ponad grzbietem. Łódź Gunnarssona zmierzała wprost do wąskiego prymitywnego pomostu, przy którym można było zacumować.

– Idę – zdecydował Hunt.

Wszyscy trzej przeszli trawersem grzbietu, kierując się na południe i trzymając poniżej grani, a następnie do miejsca, gdzie pomost przesłaniały drzewa. Szli szybko, gdyż Stafford chciał spotkać Gunnarssona przy pomoście, nim wyruszy na przeszukiwanie wyspy. Z gęstwiny wypadł kozioł wodny, przerażony ich nagłym pojawieniem i pogalopował przez leżącą przed nimi polankę. Zatrzymał się na jej skraju, obejrzał i uspokojony zaczął skubać trawę.

Zbliżywszy się do pomostu na tyle, by słyszeć pracę silnika, Stafford zwolnił. Ujrzeni pomost, częściowo ukryty za osłoną liści. Zatrzymał się i odsunął gałąź. Zobaczył wysiadającego z łodzi Gunnarssona. Dobiegły go odległe głosy, a następnie silnik zwiększył obroty i łódź odplynęła. Gunnarsson stał, spoglądając na przycumowane łodzie: tę, w której Nair przywiózł zapasy żywności, i drugą, którą przybył Hunt.

– Czy przyplynałeś z hotelu „Lake Naivasha”? – szepnął Stafford do Hunta.

– Nie, z „Safariland”.

Stafford zmarszczył brwi. Było mało prawdopodobne, by Gunnarsson śledził Hunta, cóż więc go tutaj sprowadziło? Obserwował, jak Gunnarsson ogląda łodzie. Wchodził do każdej z nich i najwyraźniej dokładnie je przeszukał. Co nie znaczy, że mógł w nich coś znaleźć.

Gunnarsson wrócił na pomost.

– Zapytajmy, czego chce – zdecydował Stafford.

Wyszli z ukrycia i ruszyli brzegiem.

Gunnarsson stał do nich plecami, odwrócił się jednak, gdy usłyszał kroki. Uśmiechnął się

ponuro, oparł ręce na biodrach i chwycił się pod boki. Zbliżyli się na tyle, by można rozmawiać, i Stafford odezwał się uprzejmie:

– Dzień dobry, panie Gunnarsson. Jak tam dzisiaj pańskie stopy?

– Na Boga! – rzekł Gunnarsson. – Stafford, ależ z ciebie perfidny kłamca. Wystrychnąłeś mnie na dudka, naprawdę. A więc wycofałeś się i wróciłeś do Londynu? A ja ci uwierzyłem.

Stafford był z tego zadowolony. Jeżeli udało mu się okpić Gunnarssona, może wywiódł także w pole Brice'a i Hendriksa.

– Co tutaj robisz? – zapytał.

– Szukam pewnego faceta w turbanie, ale przypuszczam, że nic na jego temat nie wiecie. – Uniósł dłoń, zanim Stafford zdążył odpowiedzieć. – I nie tłumacz mi niczego. Teraz bym ci już nie uwierzył, nawet gdybyś twierdził, że to, co świeci na niebie, jest słońcem.

Stafford wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że chodzi ci o Naira Singha, naszego przewodnika.

Gunnarsson spojrział na Hunta.

– Jesteś z Ol Njorowa. Dzisiaj rano widziałem cię na śniadaniu. A więc też bierzesz w tym udział.

– Nazywam się Hunt. W czym niby mam brać udział, panie Gunnarsson?

– Gdybym to wiedział, nie kręciłbym się tutaj jak dupek – odparł sfrustrowany Gunnarsson. Zerknął na Curtisa. – A ty kim jesteś?

– Curtis. – Jego charakterystyczna, zwięzła odpowiedź też nie zadowoliła Gunnarssona. Ponownie skierował uwagę na Stafforda.

– Mówisz, że ten Hindus to wasz przewodnik. Gdzie się podział?

– Nie nazywałbym go Hindusem, mógłby się poczuć urażony, jest bowiem Sikhem. – Stafford machnął ręką. – Jest tam. Chcesz z nim porozmawiać?

– Taaak, chcę go zapytać czy zawsze jeździ w lipnych taksówkach, ze sprzętem do śledzenia brzęczyka nadawczego – rzekł ironicznie Gunnarsson. – W tej chwili stoi zaparkowana przy hotelu. Przypuszczam, że na ten temat też ci nic nie wiadomo.

– Teraz już wiem – Stafford uśmiechnął się. – Właśnie mi powiedziałaś.

– Cóż więc robi przewodnik turystyczny z potrójną anteną i miernikiem siły sygnału? – parsknął Gunnarsson. – Dlaczego mnie śledził?

– Spytajmy go – zaproponował Stafford. – Poprowadzę. – Zaczął oddalać się od pomostu, a Gunnarsson ruszył w ślad za nim. Curtis i Hunt szli za nimi jak cień. – W jaki sposób trafiłeś na Crescent?

— Ta przeklęta taksówka stała na parkingu, kiedy dzisiaj rano wróciłem do hotelu — odparł Gunnarsson. — Zapytałem recepcjonistę o właściciela i dowiedziałem się, że popłynął tutaj.

A więc to było takie proste, pomyślał Stafford. Nair popełnił błędy, najpierw z sygnalizatorem, a następnie zatrzymując Mercedesa. Wciąż jednak nie stało się nic złego.

Wspięli się na grzbiet i zeszli do obozu, położonego po drugiej stronie wzgórza.

— Nair! — krzyknął Stafford. Nair podniósł się z miejsca, gdzie leżał dyskretnie schowany w cieniu drzew. — Ten człowiek chce z tobą porozmawiać.

Nair zbliżył się do nich.

— O czym? — spytał niewinnie.

— Jezu! Wiesz o czym! — odparł wojowniczo Gunnarsson. — Dlaczego się tak cholernie mną interesujesz?

— A masz coś do ukrycia?

Gunnarsson zamrugał oczyma.

— Cóż to za mętna gadka?

— Wydaje mi się, że on ma coś do ukrycia — zawyrokował Stafford. — Chciałbym na przykład wiedzieć, co stało się z Henrym Hendrixem.

— Już mówiliśmy na ten temat. — Gunnarsson wyjął chusteczkę, otarł czoło i kark. — Męczy mnie ciągle opowiadanie tej samej historii.

— Och, nie miałem na myśli Corlissa — rzekł Stafford niedbale. — Wiem, co się z nim stało. Chodzi mi o Hendrixa.

— Hendrix nie... — zaczął Gunnarsson i urwał, jakby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie słów Stafforda. Obliznął wargi i przełknął ślinę, nim powiedział: — A kim jest Corliss?

— To twój przyjaciel, który zniknął w Tanzanii.

— Oszalałeś! To był Hendrix.

Stafford pokręcił głową.

— Gunnarsson, jesteś jeszcze większym łgarzem ode mnie. Hendrix, którego przywiozłeś do Londynu nie był Hendrixem odnalezionym w Los Angeles.

— To nie Hendrix! — powtórzył odrętwiały Gunnarsson. — Chyba żartujesz? — Uśmiechnął się z wysiłkiem.

— W żadnym wypadku nie Hendrix — powiedział Stafford. — I da się to udowodnić.

— Słuchaj, tego faceta przyprowadzono do mojego biura. Miał wszystkie dokumenty w porządku, jak należy. Wszystko sprawdzono. — Milczał przez chwilę, zastanawiając się. —

Wysłałem pracownika, żeby go zabrał z Los Angeles. Może to on mnie wykołował?

— Jak się nazywał ten pracownik?

— Hardin. Taki darmozjad. Musiałem go wywalić. — Gunnarsson pocił się improwizując historię. — Jeżeli ktoś mnie nabrał, to na pewno Hardin. On jest...

Stafford przerwał mu krzyżąc:

— Wyjdz, wyjdz, gdziekolwiek jesteś. — Gdy Gunnarsson popatrzył na niego ze zdumieniem, rzekł chłodno: — Dlaczego go nie spytasz? Stoi tuż za tobą.

Gunnarsson gwałtownie odwrócił się i oczy niemal wyszły mu z orbit na widok Hardina, który z uśmiechem powiedział:

— Cześć, nędzny sknero.

— Zostałeś przebadany pod mikroskopem — wyjaśnił Stafford. — Od chwili, kiedy zjawiał się z Corlissem w Londynie i wtrzyliłeś go zamiast Hendrixa, każdy twój ruch został odnotowany. Nie twierdzą, że zanotowaliśmy każdą twoją wizytę w kiblu, ale prawie. A Corliss śpiewał tak pięknie jak skowronek. Koniec pieśni, Gunnarsson.

Gunnarsson wyglądał na zgnębionego, jak wtedy gdy Stafford ujrzał go kuśtykającego w stronę domku myśliwskiego w Keekorok.

— Gdzie jest Corliss? — wymamrotał.

— Tam, gdzie powinien być — w policyjnej celi. Tam gdzie i ty trafisz.

Ku zaskoczeniu Stafforda Nair zbliżył się i wyjął kajdanki.

— Aresztuję pana, panie Gunnarsson. Jestem oficerem policji. Gunnarsson nagle odwrócił się i zaczął uciekać. Miał pecha, bo drogę zagroził mu Curtis, na którego wpadł, niczym na mur. Z tyłu dopadł go Hardin, złapał za kołnierz i obalił na ziemię. Nair błyskawicznie skuł mu prawy nadgarstek z kostką lewej nogi.

— To najlepszy sposób unieruchomienia wroga — wyjaśnił. — Odbiera mu się szansę ucieczki. Może się teraz tylko potoczyć.

Curtis przerwał potok przekleństw Gunnarssona:

— Jeżeli pułkownik nie ma nic przeciwko temu, wróć tam. — Wskazał na górę.

— W porządku, sierżancie. — Stafford obserwował, jak oddala się tym swoim powolnym krokiem, po czym zwrócił się do Naira: — Naprawdę jesteś oficerem policji?

Nair uśmiechnął się szeroko.

— Rezerwy policji. Zawsze noszę przy sobie zapasową legitymację. Chcesz zobaczyć?

— Wierzę na słowo — odparł Stafford, kręcąc głową.

Gunnarsson skierował na Hardina wrogie spojrzenie.

— Ty nędzny gnojku! Wyrwę ci jaja!

— Jeszcze raz się tak do mnie odezwij, a udławisz się własnymi zębami — ostro upomniał go Hardin. — Wszystkie obrażenia można zwać na stawianie oporu w czasie aresztowania.

— Tak — wtrącił Nair. — Radziłbym powściągnąć język.

Gunnarsson wykręcił się twarzą do niego.

— Jakie stawiacie mi zarzuty? Nie popełniłem w Kenii żadnego przestępstwa.

— Och, coś wymyślimy — odparł Nair beztrąsko.

Na twarzy Hunta malowało się zdumienie.

— Nic z tego nie rozumiem. Kim jest ten człowiek i co ma wspólnego z Ol Njorowa?

— Nazywa się Gunnarsson i z Ol Njorowa nie łączy go zupełnie nic — powiedział Stafford. — Próbował łatwo zdobyć pieniądze, ale nie przewidział, w co się pakuje. Niemniej naprowadził nas na zastanawiającą sprawę instytutu. Hardin opowie ci o wszystkim.

— Taak — przytaknął Hardin. — Przy piwie. Kilka sześciopuszkowych pojemników chłodzi się w jeziorze. Chodźmy po nie.

— Zanieście piwo sierżantowi — zawołał Stafford, gdy odchodzili. Spojrzał na Naira. — No i co z nim zrobimy? — wskazał na Gunnarssona.

— Nic. Wytrzyma do powrotu Chipa. Oczywiście będziemy musieli go żywić.

— Tak — odezwał się Gunnarsson. — Jeżeli dają tu jakieś piwo, to też chciałbym puszkę. A o co chodzi z Ol Njorowa? Doszedłem już do wniosku, że to miejsce jest trefne, ale nie mogłem ustalić, na czym to polega.

— Hardin zawsze mówił, że jesteś sprytny — przyznał Stafford. — Ale myślę, że nie dość. Ta sprawa cię przerosła, Gunnarsson. Jeden z moich współpracowników określił ją elegancko jako konflikt międzypaństwowy.

Gunnarsson patrzył na niego nic nie rozumiejąc.

Jeden z narodów właśnie przygotowywał się do udziału w tym konflikcie.

— Więc Gunnarsson popłynął na wyspę Crescent? — spytał Brice, wpatrując się w Pattersona kamiennym wzrokiem. — Po co?

— Nie mogłem go spytać, stał za daleko — odparł Patterson kwaśno.

— Ale uważam, że uganiam się za jakimś Hindusem — Sikhem. Wypytywał o kierowcę taksówki Kenacto stojącą na hotelowym parkingu, po czym wynajął w hotelu łódź, żeby zawiozła go na wyspę. Przewoźnik nie mógł na niego czekać, bo ktoś chciał wybrać się na ryby. Obiecał Gunnarssonowi, że przyjedzie po niego za dwie godziny. — Spojrzał na zegarek. — Minęła już prawie godzina. Zostawiłem na straży Joego Baiya i wróciłem, żeby złożyć raport. Mówił pan, by w tej sprawie nie korzystać z telefonu.

— Tak właśnie mówiłem. — Brice stuknął długopisem w biurko i nie widzącym wzrokiem wpatrywał się w Dirka Hendriksa.

— Sikh w taksówce Kanatco. To coś nowego.

— I interesującego — dodał Hendriks.

— Staje się jeszcze bardziej interesujące — ciągnął Patterson. — Jeszcze raz obejrzałem tę taksówkę. — Mercedes, jakich rzeczywiście używa Kenatco, ale nie sądzę, by to była ich własność. Ma trzy anteny i miernik siły sygnału na tablicy rozdzielczej. Profesjonalny wóz do śledzenia.

Brice wyprostował się na krześle.

— Gunnarsson mówił nam o tym. Nie wiedziałem, czy mu wierzyć.

— Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. — Cholera, jak nie jedno, to drugie. Pozbyliśmy się Stafforda, a teraz wpycha się nam ten Gunnarsson. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

— Czy mamy pewność, że Stafford wyjechał? — spytał Patterson.

Hendriks kiwnął głową.

— Nasz człowiek z Nairobi zgłosił się osobiście piętnaście minut temu. Stafford odleciał porannym lotem. Wcześniej wymeldował się z „Norfolku” i w banku na lotnisku grzecznie wymienił kenijskie pieniądze. Nasz człowiek widział zapis — ma na lotnisku dobre dojścia. Stafford i jego totumfacki, Curtis, figurują na liście pasażerów.

— Ale czy ktoś widział, jak odlatywali? — nie ustępował Patterson.

— Zapomnij o Staffordzie — przerwał mu Brice. — Lepiej skoncentrujmy się teraz na Gunnarssonie i, co ważniejsze, na tym, kto go śledzi.

— Zatrzymał się. — A ponieważ tak dobrze się składa, że obaj są uchwytyni na Crescent, proponuję, byśmy sprawdzili, co tam robią. Chodźcie.

Wszyscy trzej wyszli z gabinetu, a przechodząc przez hol Brice przywołał Murzyna, siedzącego w recepcji.

— W życiu nie słyszałem tak niewiarygodnej historii — orzekł Hunt.

— Prawda? — Hardin stłumił śmiech. — Niedawno Max zapytał mnie, czy przypuszczałem, że odnalezienie Biggie'ego i Hanka naprowadzi na ślad tego, co dzieje się w Kenii. Naprawdę niesamowite. Gdyby Gunnarsson nie próbował dokonać zamiany, tym z Ol Njorowa wszystko uszłoby na sucho. Brice i Hendriks mają cholernego pecha. — Potarł policzek. — Tylko jednej osoby jest mi naprawdę żal.

— Któż to taki?

— Pani Hendriks z Londynu. Spodobała mi się — naprawdę miła z niej dama.

— Może siedzi w tym po uszy, tak samo jak jej mąż.

Hardin opróżnił puszkę piwa i zgniótł ją.

— Max twierdzi, że nie, a zna ją od dawna. Jeszcze z czasów, nim poślubiła Hendriksa. Wiadomo, że już kiedyś wyciągnął ją z opresji — jej brat wpakował się w jakieś kłopoty. Dlatego właśnie zwróciła się do niego, kiedy zjawilem się ze swoją opowieścią, a Hendriks przebywał w Południowej Afryce. Gdyby współdziałała z Dirkiem, nie pisnęłaby ani słowa. Myślę, że bardzo to przeżyje, kiedy pozna prawdę.

Hunt spojrział na zegarek.

— Lepiej, żebym już wracał.

— Dobra. — Hardin wziął puszkę piwa i rzucił ją Huntowi. — Poczęstuj po drodze Curtisa. Tam na górze musi być gorąco jak w Hadesie. Powiedz mu, że obejmę popołudniową wachtę. Zajrzyj jeszcze przed odjazdem do Maxa. Może będzie chciał, żebyś coś zrobił w Ol Njorowa.

— Dobra. — Hunt spojrział do góry na grzbiet. — Ten Curtis to dziwny facet. Raczej małomówny, prawda?

Hardin uśmiechnął się szeroko.

— Sierżant to jedyny facet, jakiego znam, mówiący wyłącznie wtedy, gdy ma coś do powiedzenia. Reszta papie bez przerwy. Ale kiedy on już coś powie, to, słowo daję, lepiej tego słuchać.

Hunt zameldował Staffordowi, że odpływa.

— Słuchaj, Alan, czy do Ol Njorowa można wejść inaczej niż przez główną bramę? — spytał Stafford.

— Nic o tym nie wiem — odparł Hunt. — Przechodzi się przez bramę albo przez ogrodzenie — lub nad nim.

— Ewentualnie pod nim — zasugerował Nair.

Stafford pokręcił głową.

— Brice wiedział, co robi, budując to ogrodzenie. Nie jest głupi. Założę się, że jest pomyślane tak samo, jak australijskie ogrodzenia przeciwko królikom, które są wpuszczone w głąb ponad metr. Czy laboratorium migracji zwierząt jest zamykane?

— Nie wiem — odparł Hunt. — Nigdy nie miałem potrzeby tego sprawdzać.

Stafford skrzywił się.

— No jasne. — Zadumał się na chwilę. — Nie sądzę, by doszło do jakichś aktów przemocy, w stylu strzelaniny w OK Corral, zazwyczaj organizacje wywiadowcze nie lubią używać broni. Kiedy jednak Chip wejdzie do środka, mogą być jakieś kłopoty, dlatego

radzę, żebyś zabrał stamtąd Judy. Wyślij ją do Nairobi na tydzień po jakieś zakupy, czy coś w tym rodzaju.

— Już próbowałem, ale za nic nie chce się zgodzić — oświadczył Hunt.

— No cóż, więc powiedz jej, żeby przynajmniej za dużo się nie narażała. — Uścisnęli sobie ręce i Hunt oddalił się, Stafford natomiast podszedł do Naira, przesłuchującego Gunnarssona. — No, mów — zażądał. — Miałeś nam właśnie wyjaśnić, co naprawdę stało się z Hankiem Hendriksem.

— Odpieprz się — rzucił Gunnarsson.

Curtis odwrócił głowę, gdy Hunt zbliżył się i ześliznął ze szczytu grzbietu. Z wdzięcznością przyjął puszkę piwa.

— Dzięki. To właśnie zalecił mi lekarz.

— Hardin obiecał, że niedługo cię zmieni — zakomunikował mu Hunt.

— Niepotrzebnie się trudzi.

Hunt przyglądał mu się z nie ukrywaną ciekawością.

— Dawno znasz Maxa Stafforda?

Curtis pił piwo, grdyka poruszała się miarowo.

— Parę lat.

— Służyliście razem w wojsku?

Curtis skinął głową.

— W pewnym sensie. Dawno temu.

Hunt uznał, że rozmowa z Curtisem to ciężka praca. Sierżant uprzejmie udzielał informacji, lecz tak zwięzłych, jak gdyby słowa były reglamentowane i należało je oszczędzać. Gdyby lapidarność uznać za podstawę rozumu, to Curtis byłby najrozumniejszym z ludzi. Nieoczekiwanie jednak zapytał:

— Czy hipopotamy są niebezpieczne?

— To zależy — odparł Hunt. — Nie zbliżałbym się do nich łodzią, a z pewnością nie kąpałbym się w ich obecności.

— Ten leży na brzegu. Wylądował tam jakąś godzinę temu — machnął ręką.

Hunt spojrział w kierunku wskazanym przez Curtisa, ale niczego nie dostrzegł.

— Zwykle w ciągu dnia nie włączają się po brzegu. Tak, są cholernie niebezpieczne. Potrafią poruszać się dużo szybciej, niż mógłbyś przypuszczać, z pewnością szybciej od biegnącego człowieka, ich kły mogą zabić. Należy zawsze pamiętać, żeby nie wchodzić hipopotamowi w drogę w pobliżu wody.

— Uprzedzę o tym pułkownika — rzekł Curtis.

Hunt kiwnął głową.

— Wracam do Ol Njorowa.

Curtis ułożył się na szczycie grzbietu i wziął lornetkę. Hunt miał go właśnie wyminąć, gdy Curtis uniósł rękę.

— Zaczekaj!

— Co się stało? — Hunt zatrzymał się.

— Zejdź z grzbietu, możesz być widoczny. — Gdy Hunt opadł obok niego, Curtis intensywnie wpatrywał się w coś, co znajdowało się poniżej.

— Zbliża się jakaś łódka. Pięciu ludzi — trzech białych, dwóch czarnych.

— Zamilkł na chwilę. — Jednym z nich jest Dirk Hendriks. Reszty nie znam.

— Podał Huntowi lornetkę.

Hunt wyregulował ostrość i zobaczył łódź bardzo wyraźnie.

— Brice i Patterson — zidentyfikował. — I Joe Baiya, jest w Ol Njorowa majstrem od wszystkiego. Jeszcze Luke Maiyani, który zwykle siedzi w recepcji w bloku administracyjnym.

— Lepiej zamelduj o tym pułkownikowi — rzekł Curtis głosem wypranym z emocji. — Zostanę tutaj.

Hunt ruszył pędem w stronę obozu.

30

Stafford w pierwszym odruchu zwrócił się do Naira:

— Czy ta wyspa jest wystarczająco duża, żeby się bawić w chowanego?

— Z pięcioma ludźmi? — Nair zdecydowanie pokręcił głową. — A co z nim? — wskazał Gunnarssona, z uporem odmawiającego odpowiedzi na pytania Hardina.

— Do diabła! — zaklął Stafford. Gunnarsson rzeczywiście był kulą u nogi. Gdyby zostawili go skutego, Brice z pewnością by go odnalazł, natomiast uwolniony, mógł polecieć wprost do Brice'a i zdradzić wszystko, co wiedział, a wiedział stanowczo za dużo. Stafford przeklinał ludzi w Nairobi, którzy dyskutowali, zamiast przystąpić do działania.

Szybkim krokiem podszedł do Gunnarssona i przyklęknął.

— Chcesz żyć? — zapytał szorstko.

— Co za idiotyczne pytanie. — Gunnarsson szeroko otworzył oczy.

— Słuchaj, nie interesują mnie twoje sztuczki z Corlissem — rzekł Stafford. — To drobiazg w porównaniu z tym, co kombinuje Brice.

— Racja — przytaknął Hardin. — Ty chciałeś urwać nędzne sześć milionów dolców. Brice

idzie na całość — pewno jakieś sto milionów.

— Płynie tu teraz — powiedział Stafford i usłyszał stłumiony okrzyk Hardina. — I ma ze sobą ludzi. Kilka istnień ludzkich niewiele znaczy w porównaniu ze stawką, o jaką toczy się gra.

— Nie zaryzykuje morderstwa — uznał Hardin. — Z lądu byłoby słyhać strzały.

Stafford pomyślał o człowieku, którego zabił w Tanzanii. — A kto mówi o strzelaniu? Są inne sposoby zabijania, a dowody można ukryć w brzuchu krokodyla — odparł brutalnie, aż Gunnarsson drgnął. — Unieruchomiony, nie miałbyś żadnych szans, więc zamierzam cię uwolnić, tylko zapamiętaj sobie, kto wyświadcza ci tę przysługę.

— Jasne — przyświadczył Gunnarsson skwapliwie. — Pozwólcie mi tylko biec.

Stafford dał znak Nairowi, ten wzruszył ramionami i wyjął kluczyk od kajdanek. Po chwili Gunnarsson wstał i zaczął rozmasowywać nadgarstek.

— To prawda? — zapytał Hardina. Głową wskazał Stafforda. — Facet mówił przedtem o czymś innym.

— Prawda — odparł Hardin. — Wpadliśmy na południowoafrykański wywiad, a ci faceci nie będą się patyczkować. Powinieneś o tym wiedzieć. Stanęliśmy na drodze jednej z najpoważniejszych operacji.

— W takim razie znikam — oznajmił Gunnarsson.

— Do diabła, zrobisz tak, jak ci każemy — przerwał Stafford. Spoglądał na Curtisa, leżącego w górze na grani. — Powiedziałeś pięciu ludzi? To wszystko?

— Tylu widziałem — uściślił Hunt. — Druga łódź mogła płynąć za nimi.

— Curtis nic takiego nie sygnalizował — zauważył Stafford. — Co o tym sądzisz, Ben? Jeżeli liczyć Gunnarssona, mamy przewagę. Sześciu na pięciu.

— Mówisz o bezpośrednim starciu? — Hardin skrzywił się. — Przegralibyśmy — oświadczył wprost. — Spójrz na nas, z wyjątkiem Alana i Naira jesteśmy mężczyznami w średnim wieku, a nie sądzę, by Alan miał odpowiednie przygotowanie. Dirk Hendriks jest krzepkim, młodym człowiekiem, a Brice wygląda na twardego faceta. Pozostałych nie znam. — Spojrzał na Hunta.

— Patterson to osiłek, a z Luke'em Maiyanim nie chciałbym zmierzyć się bez pałki — odparł szczerze Hunt.

— Jeśli więc nie możemy użyć siły, musimy posłużyć się fortelem — doszedł do wniosku Stafford.

— I nie możemy marnować czasu na zbędną gadaninę — dorzucił Gunnarsson.

— Dlaczego Brice tu płynie? — odezwał się nieoczekiwanie Nair. Było to pytanie bez

adresata, sam więc udzielił sobie odpowiedzi: — Myślę, że najprawdopodobniej Patterson śledził Gunnarssona. To właśnie Patterson pojechał go szukać w Nairobi. A Gunnarsson śledził mnie. Moim zdaniem Brice spodziewa się zastać tu tylko nas dwóch.

— Brzmi to rozsądnie — przyznał Hardin. — Co oznacza, że...

— Tak — zgodził się Stafford.

Gunnarsson zorientował się, że wszyscy wpatrują się w niego.

— Chwileczkę. Jeśli spodziewacie się, że będę nadstawiał karku po tym, jak mnie potraktowaliście, to jesteście chyba szaleni.

— Panie Gunnarsson — rzekł uprzejmie Nair. — Pójdziemy obaj na drugi koniec wyspy, by spotkać się z Brice'em. Wymyślimy po drodze, co mu powiedzieć. Jestem pewien, że pańska wyobraźnia sprosta temu zadaniu.

— Zajmiecie ich, a my tymczasem uprzątniemy ślady naszej obecności — powiedział Stafford. Wskazał ręką obozowisko. — Dajcie nam dziesięć, może piętnaście minut. Później poprowadźcie ich tak, żeby nie widzieli łodzi przy pomoście. Podejdziemy bokiem. I przyslijcie tutaj Curtisa.

Silnik zmienił ton, gdy łódź zbliżyła się do pomostu.

— Dwie łodzie — zauważył Brice. — W porządku. Jedną sprowadził ten Sikh, ale mówiłeś, że ta, która przywiozła Gunnarssona, wróciła — zwrócił się do Pattersona. — Do kogo więc należy druga?

— Przewoźnik musiał już przy płynąć po Gunnarssona — odparł Patterson, spoglądając na zegarek. — Zgodnie z umową.

Brice kiwnął głową, gdy łódka dryfując przybiła do pomostu. Baiya i Maiyani przytrzymali ją, kiedy wychodzili na brzeg. Odwrócił się i powiedział:

— Baiya, zostaniesz tutaj. Reszta idzie ze mną.

Baiya przymocował cumkę do knagi na łodzi Hunta, a pozostali zeszli na brzeg. Hendriks rozejrzał się wokół.

— Skąd zaczynamy?

— Znajdziemy ich — zapewnił go Brice. — To niewielka wyspa.

— Nie ma potrzeby daleko chodzić — odezwał się Patterson. — Oni znaleźli nas. Patrzcie! — Wskazał na wzgórze, gdzie na tle nieba rysowały się dwie sylwetki.

— Dobrze, zaoszczędzimy czasu — powiedział Brice. — Wyjdźmy im na spotkanie. Chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi, ale pozwólcie, żebym sam mówił.

Zaczęli piąć się pod górę. Naira i Gunnarssona spotkali na równym terenie, gdzie były

fundamenty starego budynku. Brice dostrzegł ze zdumieniem kajdanki na rękach Gunnarssona.

— Co się tutaj dzieje? — wypytywał. — Dlaczego pan Gunnarsson jest skuty?

Nair Singh spojrział na niego surowo.

— Zna pan tego człowieka?

— Jadłem z nim dzisiaj rano śniadanie.

— Jestem oficerem policji. — Nair wyjął z kieszeni małą legitymację w skórzanych okładkach i otworzył ją. — Nair Singh. Pan Gunnarsson został aresztowany.

Brice odwrócił się i spojrział na Hendriksa, który najwyraźniej doznał wstrząsu.

— Czy mogę wiedzieć, pod jakim zarzutem? — zwrócił się ponownie do Naira.

— Został aresztowany, ale jeszcze nie postawiony w stan oskarżenia — odparł Nair. — Powiedział pan, że jadł dzisiaj śniadanie z panem Gunnarssonem. Czy mógłbym spytać o pańskie nazwisko?

— Brice. Charles Brice.

— Z instytutu Ol Njorowa? — rozchmurzył się Nair.

— Tak. Proszę mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi.

— W takim razie sądzę, że będzie pan zadowolony, słysząc, że złapaliśmy tego człowieka, nim zdołał wyrządzić jeszcze więcej szkód. Został aresztowany za oszustwo.

— To wierutne kłamstwo — zaproponował Gunnarsson. — Panie Brice, proszę wyświadczyć mi przysługę. Niech pan jak najszybciej zadzwoni do amerykańskiej ambasady w Nairobi. To wszystko ukartowano, wrobiono mnie w coś, czego nie zrobiłem.

— Władze amerykańskie zostaną poinformowane — obiecał chłodno Nair.

— Chwileczkę — wtrącił Hendriks. — Jakie oszustwo?

Nair spojrział na niego.

— A pan kim jest?

— Hendriks. Dirk Hendriks. Przebywam u pana Brice'a w Ol Njorowa.

Nair wyglądał na dziwnie zakłopotanego.

— Ach tak! W takim razie jest pan zapewne spadkobiercą majątku, z którego pochodzi dar dla Ol Njorowa?

— Zgadza się.

— Kogo miałby oszukać pan Gunnarsson? — niecierpliwie spytał Brice.

Nair grał na zwłokę. Odezwał się do Hendriksa:

— A więc to pański kuzyn zaginął w Tanzanii?

Hendriks i Brice wymienili spojrzenia.

— Tak. I wygląda na to, że nic w tej sprawie nie zrobiono — poskarżył się Hendriks. — Czy Gunnarsson był w to zamieszany? O to chodzi?

— Niezupełnie — odparł Nair. — Od jak dawna zna pan swego kuzyna, panie Hendriks? Pytanie wydało się Dirkowi co najmniej dziwne.

— A jaki to ma związek z tymi sprawami? Co to ma wspólnego z Gunnarssonem?

— Od jak dawna? — upierał się Nair.

— Niezbyt długo, kwestia paru tygodni. Wie pan, mieszkał w Stanach. Po raz pierwszy spotkałem go w Londynie.

— Aha! — rzekł Nair, jak gdyby mrok niepewności rozblýsnął nieoczekiwanym światłem. — To wszystko tłumaczy.

— Co takiego? — spytał zirytowany Brice.

— Dwa dni po porwaniu Henry Hendrix wrócił na drugą stronę granicy — oznajmił Nair. — I...

Brice i Hendriks przerwali mu równocześnie, po czym zamilkli, spoglądając na siebie ze zdumieniem.

— Dlaczego nikomu o tym nie powiedziano — spytał Brice ostro. — To niesłychane, by pana Hendriksa utrzymywano tyle czasu w niewiedzy. Martwił się o swego kuzyna.

— Jak powiedziałem, Henry Hendrix wrócił — kontynuował spokojnie Nair. — Ale był nieprzytomny, doznał mocnego porażenia słonecznego. Nim odzyskał świadomość, mówił o pewnych sprawach, które wymagały zbadania, kiedy zaś doszedł do siebie, został przesłuchany i wszystko wyjawiał. Z przykrością muszę panu zakomunikować, że człowiek znany panu jako Henry Hendrix naprawdę nazywa się Corliss i w swoje oszustwo wplątał Gunnarssona.

— To kłamstwo! — krzyknął Gunnarsson. — Nabrał mnie tak samo jak innych.

— O tym zadecyduje sąd — odparł Nair. Uważnie przyjrzał się Brice'owi i Hendriksowi, uśmiechnął się sam do siebie, obaj bowiem najwyraźniej doznali wstrząsu. — Oczywiście ambasada amerykańska została poinformowana o tych ustaleniach i zgodziła się, że pewne... eee... przemilczenia są wskazane do czasu zakończenia śledztwa. Po powrocie do Nairobi pan Gunnarsson będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań. — Spojrzał na zegarek. — A teraz, jeśli panowie zechce mi wybaczyć...?

Coś tu nie grało i Brice nie potrafił tego pojąć. Patrzył, jak Nair i Gunnarsson przechodzą obok i miał niejasne uczucie, że go nabrano.

— Chwileczkę — powiedział. — Czy śledził pan Gunnarssona w tej taksówce Kenatco? Nair zatrzymał się i obejrzał.

— Na tym polega moja służba.

— W takim razie dlaczego stało się odwrotnie? Dlaczego to Gunnarsson przyjechał za panem na Crescent?

— Zwabiłem go — odparł lekko Nair.

— Tak, wystrychnął mnie na dudka — potwierdził Gunnarsson.

Nagle do Brice'a dotarło coś, a właściwie dostrzegł brak pewnego ogniwa — brakowało człowieka. Jeśli Gunnarsson przyjechał na wyspę, a przewoźnik odpłynął, po czym wrócił, by go zabrać, to gdzie się, do diabła, podział? Gdzie był przewoźnik? A jeżeli nie było przewoźnika, to do kogo należała druga łódź? Brice zwrócił się nagle do Pattersona i wysunął do przodu.

— Patrz! — rzekł ostro i wskazał ręką.

Wtedy i Nair i Gunnarsson odwrócili się, a Brice podstawił Gunnarssonowi nogę i pchnął go. Gunnarsson poleciał w dół stoku i instynktownie osłonił się rękoma. Udało mu się, ale kajdanki zatoczyły błyszczący łuk i z brzękiem spadły na skałę. Brice zyskał dowód, że nie popełnił pomyłki.

Stafford obserwował Curtisa, który niczym duch przemykał wśród drzew po jego lewej stronie, odwrócił głowę i ujrzał Hardina po prawej. Wiedział, że nie musi się martwić o starych wyjadaczy, którzy znali się na swojej robocie, inaczej sprawa miała się z Huntem. Był amatorem i nie miał o tym wszystkim pojęcia. Dlatego też znalazł się bezpośrednio za Staffordem, z wyraźnym nakazem poruszania się śladem mistrza.

— Idź jak najciszej — polecił Stafford. Hunt starał się, jak tylko mógł, ale wzdrygnął się pod groźnym wzrokiem Stafforda, gdy gałązka trzasnęła mu pod stopą.

Curtis uniósł obie ręce nad głowę sygnalizując nakaz zatrzymania się. Normalnie trzymałby w nich karabin, nie miał go jednak, a szkoda. Skinął na Stafforda, który osadziwszy Hunta w miejscu, zbliżył się skulony do Curtisa.

Curtis wskazał i rzekł półgłosem:

— Zostawili człowieka przy łodziach. — Wiedział, dlaczego nie należy szeptać. Nic nie niesie się dalej niż spółgłoski syczące wypowiedane szeptem.

— Gdzie jest reszta?

— Gdzieś na wzgórzu. Słyszałem głosy.

Stafford odwrócił się i gestem przywołał Hardina. Kiedy podczołgał się, rzekł do niego:

— Przy łodziach został strażnik. A Nair nie odciągnął jeszcze Brice'a. Ciągłe znajdują się w zasięgu głosu, więc zapewne widzą też łódzie.

– Ryzykowne – odparł Hardin.

– Czy pułkownik chciałby usunąć strażnika? – spytał Curtis.

– A jak byś chciał to zrobić?

Curtis wskazał połyskującą między drzewami wodę.

– Podpłynąłbym.

– Do diabła! – rzekł Hardin. – A co z krokodylami?

– Strułyby się mną – uroczyście oświadczył Curtis, bez śladu uśmiechu.

– Czy ja wiem – wahał się Stafford.

– Obserwowałem z grzbietu brzeg wody – powiedział Curtis. – Nie widziałem żadnych krokodyli. – Zaczął zdejmować buty.

– No dobrze – zgodził się Stafford. – Ale pójdiesz, kiedy ci powiem; i tylko go obezwładnij, nie zabijaj.

– Wątpię, abyśmy mieli kłopoty, gdyby to zrobił – odezwał się Hardin. – Udowodniliśmy, że mamy rację i Kenijczycy nie będą się przejmowali martwym południowoafrykańskim agentem.

– Ben, tamten człowiek może być niewinnym Kenijczykiem, który znalazł się tutaj tylko dlatego, że prowadził łódź. Nie możemy tak ryzykować. – Stafford wrócił do Hunta. – Mów cicho. Czy w jeziorze są krokodyle?

Hunt odpowiedział twierdząco.

– Zazwyczaj dalej na pomoc, wokół bagien papirusowych.

– A tutaj?

– Zdarzają się.

Stafford zmarszczył brwi.

– Za kilka minut możemy ruszyć do łodzi. Pójdiesz za nami. Masz za zadanie uruchomić silnik. Zrób to i nie kłopotz się o resztę. Będziemy wiedzieli, kiedy ci się uda. Chcemy zabrać wszystkie łodzie, więc tamte dwie trzeba wziąć na hol.

– Uruchomię silnik w mojej łodzi – odparł Hunt. – Znam go najlepiej. To ścigacz, którego używamy, kiedy balon zaniesie nad jezioro.

Stafford kiwnął głową i wrócił do Curtisa, który zdjął już spodnie i wyginał w rękach skórzany pas.

– Gdzie jest Ben? – Curtis w milczeniu wskazał wzgórze po prawej stronie.

Po chwili wrócił Hardin.

– Wciąż gadają. Nie mogłem podejść na tyle, żeby zrozumieć.

– Czy widzą stamtąd pomost?

— Myślę, że tak.

Niedobrze, pomyślał Stafford. Mieli szansę tylko wtedy, gdyby Nairowi udało się odciągnąć Brice'a. Normalnie wysłałby teraz Curtisa, żeby na sygnał zdjął wartownika. Im dłużej jednak przebywał w wodzie, tym bardziej zwiększało się ryzyko, a tego nie chciał. Mogli jedynie czekać na sposobną okazję.

Nadeszła szybciej, niż się spodziewał, obwieszczona odległym krzykiem.

— Idź! Idź! — przynaglił Curtisa. Ten zsunął się bezszelestnie do wody i zniknął, pozostawiając za sobą tylko wydłużający się ślad pęcherzyków powietrza. Rozległy się kolejne krzyki, a człowiek w łodzi wstał, żeby lepiej widzieć.

Stafford, kryjący się za zasłoną liście, podążył za jego spojrzeniem, lecz niczego nie dostrzegł, dopóki Hardin nie trącił go w bok.

— Patrz! Nair i Gunnarsson uciekają.

Gunnarsson i Nair gnali rozpaczliwie, skręcając za stok i oddalając się od pomostu. Gunnarsson prowadził. W polu widzenia ukazali się, ścigający ich: Patterson i Murzyn, a następnie Brice i Hendriks. Brice dał znak ręką i wraz z Hendriksem zmienili kierunek, biegnąc w stronę brzegu po przeciwnej stronie niż pomost. Wszyscy zniknęli im z oczu.

— Teraz! — powiedział Stafford. Wskoczył z ukrycia i ruszył biegiem w stronę odległego o sto metrów pomostu, czując za plecami obecność Hardina i Hunta. Strażnik usłyszał odgłos ich kroków i odwrócił się zaniepokojony. Gdy ich spostrzegł znieruchomiał na chwilę i właśnie miał zawołać o pomoc, kiedy jakby poplątały mu się nogi i z pluskiem wypadł za burtę.

Stafford podbiegł i wskoczył do łodzi. Wychylił się przez burtę.

— Chodź, sierżancie — chwycił Curtisa za ramię i wciągnął na pokład. Hardin złapał wiosło i odepchnął łódź od pomostu. Z łodzi Hunta dobiegło prychnięcie opornego silnika. Stafford zostawił Curtisa, ciężko łapiącego oddech na dnie łodzi, w samą porę, by złapać cumkę trzeciej łodzi. Przywiązał ją do knagi i dopiero wtedy mógł rozejrzeć się dookoła.

Hunt ponownie zajął się nawijaniem linki startera w silniku.

— Uruchom to cholerstwo — powiedział Stafford ochrypłym głosem. Myślał o Nairze. Hardin mocno wiosłował i łodzie dryfowały już o jakieś dziesięć metrów od brzegu, na którym podniósł wrzawę ociekający wodą strażnik. Stafford przesunął wzrokiem wzdłuż brzegu i zobaczył, że Brice i Hendriks oglądają się.

Silnik Hunta zaskoczył przerywanym rykiem, który przeszedł w równy warkot.

— Odpłyn dalej od brzegu, a później płyn na południe, za Nairem — krzyknął Stafford. Ton silnika pogłębił się i mały konwój zwiększył prędkość. Nachylił się nad Curtisem. —

Wszystko w porządku, sierżancie?

— Tak, proszę pana. Nic mi nie jest.

Hardin spojrział na brzeg.

— Brice wygląda tak, jakby miał go szlag trafić.

Brice i Hendriks znieruchomieli, obserwując łodzie, płynące teraz w odległości stu metrów, równoległe do wybrzeża. Brice powiedział coś do Hendriksa i znów zaczęli biec.

— Gdzie są Nair i Gunnarsson? — zapytał Stafford.

— Jeśli ich nie złapali, powinni być po przeciwnej stronie.

— Dodaj gazu! Pospiesz się, do cholery! — krzyknął Stafford do Hunta płynącego w pierwszej łodzi.

Curtis wstał i już uruchamiał silnik ich łodzi. Hardin przyciągnął za cumkę trzecią łódź i wskoczył do niej. Pozostałe silniki, jeden po drugim, zaskoczyły i Stafford rozczepił je tak, by mogły działać niezależnie.

— Płyn blisko cypla — rozkazał Curtisowi. — Będę uważał na skały. — Dał pozostałym znak, że wychodzi na prowadzenie.

— Hej! — krzyknął Hardin i wskazał na brzeg. Stafford ujrzał Pattersona, który właśnie upadł. Próbował wstać, ale znów się osunął.

— Jeżeli mamy odrobinę szczęścia, to skręcił kostkę — mruknął Curtis. Nairovi wydawało się, że płuca mu pękną. Zaryzykował i obejrzał się, w odległości jakichś sześciu metrów, zobaczył Murzyna. Gunnarsson biegł wytrwale z przodu, ale zwalniał. Nair zaczerpnął dość powietrza, by krzyknąć:

— Gunnarsson! Na pomoc! — i stanął twarzą w twarz ze swym prześladowcą.

Zaskoczyło to Luke'e Maiyani. Ofiara powinna przecież uciekać, nie zaś stać i walczyć z przeważającymi siłami. Kiedy doszedł do takiego wniosku, znajdował się o jakieś pięć metrów od Naira, więc również zatrzymał się, wypatrując Pattersona, ale nikogo nie zobaczył. Ta niewielka chwila wahania kosztowała go złamaną szczękę, gdyż Nair podniósł kamień, machnął z całej siły i trafił w podbródek.

Nair odwrócił się i spostrzegł, że Gunnarsson wciąż biegnie wzdłuż brzegu. Stał tak, ciężko dysząc, gdy od strony wody doszły go jakieś krzyki. Na jeziorze ujrzał trzy nadpływające łodzie. Stafford, z dziobu łodzi płynącej na czele, machał do niego energicznie. Z tyłu Hardin wskazywał coś dramatycznym gestem, a kiedy odwrócił się, zobaczył Brice'a i Hendriksa, okrążających cypel.

Nie wahając się dłużej, pobiegł w stronę wody i nadpływających łodzi. Rozbryzgując wodę brnął przez płyciznę, gdy Hendriks wyciągnął pistolet z długą lufą i wycelował

starannie. Nikt nie usłyszał wystrzału, ale Nair zatoczył się i upadł. Przetoczył się w wodzie na dostateczną głębokość, by móc płynąć, mlóćąc ramionami i jedną nogą.

Krzyki zwróciły również uwagę Gunnarssona. Zatrzymał się i spojrział na jezioro, a Hunt wrzasnął:

— Płyn do nas! — Gunnarsson zawahał się, ale zmienił zdanie, kiedy zobaczył nabiegających Brice'a i Hendriksa. Hunt skierował łódź bliżej brzegu, machając zachęcająco ręką, nagle zastygł z uniesioną dłonią.

— O Chryste! — krzyknął.

Gdy Gunnarsson ruszył biegiem w stronę wody, coś się za nim poruszyło i potężny, szary kształt wystrzelił spomiędzy drzew.

— Na bok! — wrzasnął Hunt. — Skacz na bok, Gunnarsson! — Ten jednak nie zareagował. Samiec hipopotama zbliżył się do Gunnarssona równym truchtem, pokonując odległość dużo szybciej niż człowiek. Dopadł go na samym brzegu jeziora. Hunt widział, jak przepaścista paszcza z białymi kłami otworzyła się i zamknęła błyskawicznie. Hipopotam zanurkował, a po Gunnarssonie nie został nawet ślad, nie licząc wzburzonej, krwawej wody.

Hunt skrzył rumpel i dodał gazu, próbował wejść między hipopotama a wolno płynącego Naira. Nie usłyszał strzału i nie wiedział, co bżyknęło obok niego, niczym wściekły szerszeń, trafiając w silnik. Motor zakrzuszył się i zatrzymał, a łódź wytraciła prędkość.

Minęła go łódź Stafforda. Stafford stał na dziobie z wiosłem w rękach.

— Kładź się! — krzyknął. — Strzelają do ciebie!

— Uwważaj na hipopotama — ostrzegł Hunt i odwrócił się, szukając zwierzęcia wzrokiem, nigdzie go jednak nie dostrzegł. Zauważył natomiast na powierzchni wody nietypową falę i zrozumiał, że hipopotam biegnie po dnie płytkiego jeziora. Zmarszczka na wodzie przesuwiała się w kierunku Naira. Łódź Stafforda przecięła ją i gwałtownie przechyliła się na bok, niemal zwalając go z nóg.

Z przeciwnej strony do Naira szybko podpływał Hardin. Nagle hipopotam wynurzył się tuż obok łodzi Stafforda. Ten uniósł wiosło i walnął go w łeb. Mocne, sprężyste drewno gwałtownie zadrgało mu w rękach, wiedział, że uderzył celnie. Przez chwilę hipopotam wbijał w niego nieruchomy wzrok, ale wreszcie sapnął potężnie i zanurzył się.

Curtis skrzył rumpel, a Stafford z ulgą zauważył, że Hardin wciąga Naira do łodzi. Niedaleko wykwitła miniaturowa fontanna i Stafford odezwał się do Curtisa:

— Na miłość boską, wynośmy się stąd! — Pomachał do Hardina, wskazując na jezioro, Curtis zaś skierował się w stronę łodzi, w której dryfował Hunt.

Zwolnił, kiedy zbliżył się do burty, a Hunt przeskoczył. Jeszcze był w powietrzu, gdy

Curtis dodawał gazu i skręcał na jezioro, oddalając się od złowieszczy brzegu. Stafford obejrzał się w samą porę, by dostrzec, jak łódź, którą opuścił Hunt unosi się dziobem do góry i wywraca. Znow zaatakował hipopotam. Woda bryzgnęła i zakotłowała się, a z łodzi zostało jedynie kilka połamanych desek, wirujących na powierzchni.

Brzeg Crescent oddalał się i kiedy odpłynęli dobry kilometr, Stafford powiedział:

— Popłynemy do Hardina, zobaczymy, co z Nairem. — Spojrzał na Hunta i rzekł: — Przeżyliśmy cholerne chwile.

Curtis zwolnił w pobliżu Hardina i obie łodzie przeszły w spokojny dryf. Nair rozciął spodnie i oglądał nogę.

— Nair twierdzi, że dostał w nogę, ale nie słyszałem żadnego huku wystrzału — odezwał się Hardin.

— To Hendriks — odparł Stafford. — Musiał mieć tłumik. Jak tam, Nair?

— Nie najgorzej, tylko dziura w mięśniach uda. Kula musi tkwić wewnątrz, bo widać sam wlot. — Uniósł prawą rękę. — Złamałem też palec, może dwa. — Rozejrzał się. — Gdzie jest Gunnarsson?

— Taak — podchwycił Hardin. — Gdzie ten sukinsyn?

— Dorwał go hipopotam — odparł Hunt.

— Nie widziałem niczego — powiedział Stafford. — Całą uwagę skupiłem na tym, by dotrzeć do Naira. Co się stało?

— Przegryzł go na pół. — Hunt zadrżał.

— Jezu! — westchnął Hardin. — Nie cierpiałem drania, ale tego nie życzylibym najgorszemu wrogowi. Jesteś pewien?

— Jestem — potwierdził Hunt. — Widziałem wszystko na własne oczy. W wodzie było pełno krwi. — Spojrzał w niebo i dodał ponuro: — Nawet krokodyla potrafią przegryźć na pół.

— Uważałem Gunnarssona za twardszego od wszystkich krokodyli razem wziętych — bez powodzenia próbował żartować Hardin.

— Lepiej ruszajmy — rzekł Stafford. — Nair potrzebuje lekarza. Czy jeszcze ktoś został ranny?

Nikt, poza nim nie dostał, ale Curtis oznajmił posepnie:

— Zostawiłem tam mój pasek. Dobry był, ze skóry węża.

— Zostawiłeś coś więcej — uprzytomnił mu Hardin. — Spodnie.

— Tak, ale ten pasek dostałem od mojej Amy.

Na chwilę zapadło milczenie, wreszcie odezwał się Stafford:

— Ta bandycka ekipa jest tam odcięta. Uważam, że właśnie teraz powinniśmy wejść do Ol Njorowa.

— Chip nie będzie tym zachwycony — ostrzegł Nair.

— Chip nie zna okoliczności. Alan, ile osób liczy personel laboratorium migracji zwierząt?

— Nie wiem — przyznał Hunt. — To się wciąż zmienia. Myślałem, że nie ma tam teraz nikogo, dopóki nie zobaczyłem Patterssona.

— W takim razie istnieje szansa, że rzeczywiście nie ma tam nikogo — powiedział Stafford, jak gdyby chciał przekonać samego siebie. — Nie wydaje mi się, by Brice zdołał je w pełni uruchomić. Dotychczas dysponował niewielkim kapitałem i czekał na pieniądze Hendryxa. Teraz jest najlepszy moment, żeby mu dołożyć, bo jest wyłączony z gry. Sierżancie, steruj do brzegu.

— Do „Safariland” — uściślił Hunt. — Myślę, że znalazłem sposób, by wprowadzić was do Ol Njorowa.

Francis Yongo pracował jako przewoźnik w hotelu „Lake Naivasha”. Martwił się. Obiecał panu Gunnarssonowi, że przywiezie go z wyspy Crescent i nie zrobił tego, bo ktoś ukradł łódź. Rozmawiał z rybakami, łowiącymi nad jeziorem langusty i pytał, czy jej nie widzieli. Okazało się, że jeden rybak widział wypływającą łódź z kilkoma osobami na pokładzie. Nie, nie zna kierunku, nie interesowało go to.

Przygnębiony Francis udał się do hotelu, żeby zameldować o tym kierownikowi. Ten mruknął coś kwaśno o bezmyślnych turystach i zasiadł przy telefonie. Po upływie godziny wezwał Francisa do biura.

— Znalaziono twoją łódź, Francis. Jest w „Safariland”, właśnie przyплыnęła. Lepiej skocz tam na rowerze, a w drodze powrotnej zabierz pana Gunnarssona. Wątpię, żeby był zadowolony. — Zaczął rzucać gromy na nierozważnych wycieczkowiczów, podkradających łodzie, a Francis słuchał cierpliwie. Nie był to pierwszy tego typu wypadek. Wreszcie poszedł po rower.

Nair wsparł się ciężko na Staffordzie, kuśtykając z przystani w „Safarilandzie” do biura kierownika.

— Co tam się właściwie stało? — zapytał Stafford. — W jaki sposób Brice się połapał?

— Przez Gunnarssona — wyjaśnił Nair. — Uważałem, że najlepiej zrobię jeśli będę trzymać się blisko prawdy, więc powiedziałem, Brice'owi, że go aresztowałem. To oznaczało zakucie Gunnarssona w kajdanki, ale nie chciał pozwolić abym mu je założył; twierdził, że musi być wolny na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, więc ich nie zamknął. Później się potknął i spadły mu.

— W ten sposób Brice został ostrzeżony. — Stafford pokręcił głową.

— Można powiedzieć, że w pewnym sensie Gunnarsson popełnił samobójstwo. Dasz sobie radę, Nair?

— Gdy tylko odejdziecie, zadzwonię do Chipa, a później wezwę lekarza.

— Usiadł na jednym z krzeseł, rozstawionych na trawniku. — Chyba nie mam szansy, by cię powstrzymać?

— Pora jest wymarzona — kategorycznie oświadczył Stafford.

— Może, ale muszę jeszcze przekonać o tym Chipa. — Nair wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. — Idź do hotelu „Lake Naivasha”. Przed przednim siedzeniem Mercedesa znajdziesz przymocowany pistolet i zapasowy magazynek. — Rzucił Staffordowi kluczyki. — Użyj go tylko w razie ostateczności.

— Dziękuję. Czekają już na mnie. Muszę się jeszcze dowiedzieć od Hunta, w jaki sposób dostaniemy się do Ol Njorowa.

Okazało się to śmiesznie proste. Zastał Hunta, Hardina i Curtisa oczekujących na parkingu, obok Land Rovera Hunta.

— Wejdziecie tam — Hunt wskazał przyczepę.

— Zmieścimy się?

— Jest pusta, nie licząc paru butli butanu i palnika — odparł Hunt.

— Powłokę i kosz zostawiłem w Ol Njorowa, gdy zabierałem rano silnik do naprawy. Boże, jakie to się wydaje odległe.

— Nie zatrzymają cię przy bramie? — dopytywał się Hardin.

— Jeszcze nigdy się to nie zdarzyło. Członkowie personelu mogą poruszać się swobodnie.

— No, myślę — odezwał się Stafford. — Muszą być jakieś granice dla tych przeklętych środków bezpieczeństwa wymyślonych przez Brice'a. Dziwnie by wyglądało, gdyby kontrolowano personel instytutu rolniczego za każdym razem, kiedy wjeżdża do środka. To umacnia mnie w przekonaniu, że cokolwiek można tam znaleźć, mieści się w laboratorium migracji zwierząt. No dobra, ruszajmy.

— Wysadzę was przed samymi drzwiami laboratorium — powiedział Hunt. — Ale nie mogę zagwarantować, że będą otwarte.

— Tylko nas tam zawieź, resztą zajmiemy się sami — oświadczył Hardin.

Hunt otworzył przyczepę, a Stafford, Curtis i Hardin wleźli do środka.

— Zwykle zamykam przyczepę — zawahał się Hunt. — Zdarza się sporo drobnych kradzieży.

— Zrób tak samo, jak zawsze — powiedział Stafford, więc Hunt zamknął ich, obszedł Land Rovera i wolno ruszył.

Legitymacja policyjna otworzyła Nairowi dostęp do telefonu w zaciszu gabinetu kierownika. Gdy rozmawiał z Chipem, siedział zwrócony plecami do okna, dlatego też nie zauważył Francisa Yongo, który, cokolwiek niepewnie, pedałowal w stronę przystani.

Hunt zatrzymał się przy bramie Ol Njorowa, nacisnął klakson i pomachał strażnikowi. Brama otworzyła się. Wjechał pomału do środka. Minął budynek administracji i ruszył do leżącego nieco ponad kilometr dalej budynku, zwieńczonego talerzem anteny. Przed nim, równie wolno, jechał jakiś samochód. Patrzył, jak zatrzymuje się przed laboratorium migracji zwierząt. Wysiadł z niego nieznajomy mężczyzna, otworzył frontowe drzwi i wszedł do środka. Hunt zatrzymał Land Rovera.

Rozejrzał się. Wszędzie było cicho i spokojnie; na poletkach eksperymentalnych

dostrzegł kilka postaci, ale nikt nie kręcił się w pobliżu. Wrócił do przyczepy i zastukał.

— Stafford! Słyszysz mnie?

— Tak. O co chodzi? — odezwał się stłumiony głos.

— Podjechaliśmy niedaleko laboratorium. Ktoś właśnie tam wszedł.

— Wypuść nas.

Hunt otworzył przyczepę. Stafford wypełznął z niej, a za nim Hardin i Curtis. Przeciągnęli się, rozprostowując zdrętwiałe członki. Stafford zauważył zaparkowany samochód.

— Kto to był?

— Nie wiem — odparł Hunt. — Tylko mi mignął. Hardin spojrzał w górę na antenę paraboliczną.

— Nauka! — rzekł nieco lekceważącym tonem.

— Sprawdźmy. — Stafford skinął ręką i całą czwórką zbliżyli się do budynku od frontu. Położył rękę na klamce i spróbował nacisnąć. Ku jego zaskoczeniu drzwi się otworzyły. — Mamy szczęście — powiedział cicho.

Pchnął drzwi szerzej i stanął przed nagą ścianą, oddaloną o trzy kroki. Uniósł brwi, po czym ruszył na lewo, wąskim przejściem i wszedł do pomieszczenia. W kieszeni wymacał rękojeść pistoletu.

W pomieszczeniu nie było nikogo. Znajdowało się tam dwoje drzwi, jedno na przeciwległej ścianie, drugie na prawo. Były tam stoły i krzesła, natomiast w rogu stała chłodziarka do wody i ekspres do kawy oraz zastawa. Na ścianach wisiały duże fotografie zwierząt — gnu, hipopotam, słoń. Doszedł do wniosku, że to pokój rekreacyjny, w którym odpoczywał personel.

Przeszedł ostrożnie parę kroków. Wypolerowana podłoga była gładka i śliska. Zbliżył się do drzwi po prawej i skinął na Curtisa i Hardina, którzy ustawili się po obu stronach wejścia. Delikatnie otworzył drzwi i zajrzał przez nie. Również ten pokój okazał się pusty, więc wszedł tam. Był to gabinet, urządzone tak, jak należało się spodziewać; biurko, krzesło obrotowe, telefon, lampa, fotokopiarka przy bocznym biurku. Absolutny schemat.

Na ścianach wisiały mapy, pokryte siecią czerwonych linii. Przyjrzał się dokładniej jednej z nich, lecz tajemnicze oznaczenia nic mu nie mówiły. Mapy leżały również na dużym, bocznym stole z płaskimi szufladami. I znowu, przy tak powierzchownych oględzinach, nie umiał wysnuć żadnych wniosków.

Wycofał się, a na pytające spojrzenie Hardina, przecząco pokręcił głową i wskazał drugie drzwi. Te również były otwarte, a pokój za nimi pusty. Pod jedną ścianą znajdowały się

sterty sprzętu elektronicznego; pulpity sterownicze i ekrany monitorów lśniły kliniczną czystością w świetle umieszczonych pod sufitem neonówek. Staffordowi przypominało to zminiaturyzowane centrum kosmiczne w Huston. Rozejrzył się dokoła i nie dostrzegł żadnych innych drzwi.

— Przecież to idiotyzm — odezwał się stojący za nim Hardin. — Gdzie podział się ten facet?

Stafford wycofał się do pokoju rekreacyjnego i rzekł do Hunta:

— Czy jesteś pewien, że ktoś tu wszedł?

— Oczywiście. Widzieliście samochód przed budynkiem.

— Trzy pokoje — powiedział Stafford. — I jedne drzwi. Nie ma drzwi na tyłach i nie ma człowieka. — Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, ramieniem odsunawszy firankę. Nagle zeszywniał, coś przykuło jego uwagę.

— Wiecie co — powiedział — to miejsce zostało zbudowane jak forteca. Specjalnie zbrojona ściana przy drzwiach wejściowych i spójrzcie tutaj...

— Odsunął zasłonę. — Stalowe okiennice.

— Przygotowani na oblężenie — skomentował Hardin.

— Z pewnością nie wygląda to niewinnie. — Stafford spojrział na Hunta.

— Lepiej się znasz na tym sprzęcie naukowym niż my. Rozejrzyj się i zobacz, czy nie ma tu czegoś dziwnego, czegoś, co nie powinno się tu znajdować. Czegokolwiek.

— Nie znam się specjalnie na sprzęcie elektronicznym — odparł Hunt.

— Ale spróbuję.

Wrócił do ostatniego pokoju, a Stafford przeszedł do gabinetu, gdzie zaczął wyciągać szuflady, nie bardzo wiedząc, czego szuka. Hardin sprawdzał pokój rekreacyjny, a Curtis pilnował frontowych drzwi. Dziesięć minut później zbrali się w pokoju rekreacyjnym.

— Nic tutaj nie ma — rzekł Hardin.

— Cały sprzęt elektroniczny wygląda na standardowy — oświadczył Hunt. — Ale żeby mieć pewność, potrzebny byłby ekspert. Nie znalazłem niczego niezwykłego.

— To samo w gabinecie — niezadowolonym głosem powiedział Stafford.

— Ale mogłem coś przeoczyć. Alan, zerknij na te mapy.

Hunt udał się do gabinetu, a Hardin rzekł:

— Max, mogliśmy popełnić cholerny błąd.

— Przysięgłbym na Biblię, że to, czego szukamy, znajduje się właśnie tutaj — odparł z przekonaniem Stafford.

— A jeśli to miejsce jest w porządku, to co zrobimy? — spytał Hardin.

— Przepraszamy?

— Nie może być. Nie z tą cholerną zbrojoną ścianą i okiennicami.

Wrócił Hunt.

— Zwyczajna mapa Kenii — oświadczył. — Wydaje mi się, że linie oznaczają ruchy zwierząt, zarejestrowane przez to elektroniczne coś na dachu. Mówiłem, że Brice pokazywał mi artykuł w czasopiśmie. To samo.

— Dostrzegł dziwny wyraz twarzy Stafforda. — Co się stało?

Stafford wpatrywał się w drzwi prowadzące do tylnego pokoju. Były otwarte i stał w nich jakiś człowiek. Stafford rzucił się w jego kierunku, ale mężczyzna zatrzasnął mu drzwi przed nosem. On zaś pośliznął się i chwilę trwało, nim otworzył je szarpnięciem. Jednocześnie zupełnie stracił oparcie pod nogami i runął na plecy. W tym samym momencie rozległ się huk wystrzału.

Stafford przetoczył się na brzuch i rozejrzał. Pokój był pusty.

Wstał wolno i wyjął z kieszeni pistolet Naira. Odwrócił się, dokładnie penetrując każdy fragment pomieszczenia, niczego jednak nie zauważył.

— W porządku, możecie wejść. — Uniósł jedną stopę i sprawdził podeszwę buta. — Przekłete nasiona! — powiedział i zrzucił obuwie.

W drzwiach ukazał się Hardin.

— Gdzie się podział ten facet?

— Stał tutaj, gdy upadłem. — Stafford wskazał pistoletem.

— Być może ten upadek ocalił ci życie — zauważył Hardin. — Omal nie dostałem tą przekłętą kulą. — Dotknął rozdarcia z boku koszuli i rozejrzał się ostrożnie. — Co to za trik?

— Nim upadłem, zauważyłem coś — powiedział Stafford. — Coś dużego i kwadratowego.

— Co to było?

— Nie wiem. Teraz tego nie widzę. — Stafford badał posadzkę ułożoną w szachownicę z plastikowej masy. U jego stóp znajdowała się osadzona w niej metalowa płytką, kwadrat o boku jakichś siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Schylił się i odkrył, że dało się ją unieść i że poruszała się na przytrzymywanych sprężynką zawiasach. Pod płytką znajdowało się trójwtykowe gniazdko elektryczne.

— Większość tego typu sprzętu elektronicznego jest montowana na kółkach. Dlatego potrzebują gniazdek w podłodze.

— Tak — odparł Stafford z roztargnieniem. Zbliżył się do miejsca, gdzie po raz ostatni widział tamtego człowieka i znalazł kolejną metalową płytkę. Schylił się i podniósł ją. —

Bingo! — powiedział, bo odsłoniło się nie gniazdko, lecz metalowe kółko. — Tu jest ta przeklęta piwnica — oto kłapa.

Przesunął palcami po cienkiej jak włos szczelinie i odnalazł zawiasy. Kłapa była kwadratowa i to właśnie ją musiał dostrzec, kiedy stała otworem.

— Schowaj się, Ben i uprzedź pozostałych. Może znowu strzelić. — Odciągnął metalową płytkę, przełożył palec przez kółko i pociągnął kłapę. Poddała się bez oporu. Kiedy uniósł ją na jakieś dwadzieścia pięć centymetrów, padł kolejny strzał, a kula odbiła się rykoszetem od ściany.

Stafford pozwolił kłapie opaść i stanął na niej. Hardin oderwał się od ściany i podszedł bliżej.

— Wygląda to na pata. My nie możemy zejść na dół, a on wyjść na górę. Ale jeżeli ma tam telefon, zadzwoni po posiłki.

O tym Stafford nie pomyślał.

— Sierzancie! — krzyknął. — Jeśli są tam jakieś przewody telefoniczne, to przetnij je i pilnuj dalej. — Hardin ma rację, pomyślał. Chyba że z piwnicy, prowadziło jeszcze jakieś wyjście, co uważał za mało prawdopodobne. Wejście do piwnicy, na którym stał, sprytnie zamaskowano. Jeszcze jedno wejście podwajało szansę odkrycia skrytki.

Nagle pstryknął palcami.

— Mam! Wiem, w jaki sposób możemy go stamtąd wykurzyć. Idź z Huntem. Przynieście palnik do balonu i parę butli butanu. Mamy swego rodzaju miotacz płomieni.

— Jezu! — powiedział Hardin. — Co za paskudny kawał.

— Połaskoczemy go tylko trochę, by obudzić w nim bojaźń bożą. Wyjdzie.

— W porządku. — Hardin już miał odejść, ale w drzwiach zatrzymał się jeszcze i obejrzał.

— Na twoim miejscu oszedłbym stamtąd — doradził. — Jeśli strzeli przez kłapę, możesz stracić jaja.

Stafford przezornie odsunął się na bok i oczekując na powrót Hardina, przetoczył konsolę tak, by dwoma kółkami stała na kłapie, uniemożliwiając jej otwarcie. Następnie przeszedł do drzwi i powiedział do Curtisa:

— Czy coś się dzieje na zewnątrz?

— Spokojnie, pułkowniku; nie licząc tego, że wracają panowie Hunt i Hardin. — Curtis odwrócił się od okna. — Sprawdzę po drugiej stronie. — Przeciął pomieszczenie i wszedł do gabinetu.

Po chwili zjawił się Hardin, dźwigając palnik, a za nim Hunt, zataczając się pod ciężarem butli z butanem. Weszli do tylnego pokoju i Hunt ustawił butlę.

— Możesz to zmontować? — zapytał Stafford.

— Tak. — Hunt zawahał się. — Ale nie wiem, czy tego chcę.

— Słuchaj! — rzekł Stafford, z trudnością opanowując się. Wskazał palcem klapę. — Ten człowiek do nas strzelał. Strzelał bez wahania, nie zatrzymał się nawet, by powiedzieć „Cześć”. Mógł zabić któregoś z nas, a Bóg jeden wie, co teraz kombinuje. Chcę go stamtąd wyciągnąć. Więc uruchom w końcu to przeklęte urządzenie.

— Uspokój się, Max — cicho odezwał się Hardin. Spojrzał na Hunta.

— Może ci pomóc?

— Nie, sam to zrobię. — Hunt pochylił się nad palnikiem, a Hardin obserwował go z zainteresowaniem.

— Max opowiadał mi o tym — rzekł — kiedy byczyliśmy się na wyspie. Mówił, że to ma cholerną moc. Czy tak?

Hunt podłączał węże.

— Jest obliczone na dziesięć milionów Btu, ale zapewne ma trzy czwarte z tego.

— Nigdy nie obliczałem, ile wynosi ta angielska jednostka ciepła — odparł Hardin. — Pewnie byłem na jakimś meczu, kiedy przerabialiśmy to w szkole.

— Ilość ciepła potrzebna do podgrzania funta wody o jeden stopień Farenheita.

— I w tym urządzeniu masz dziesięć milionów takich jednostek! — Hardin zerknął na Stafforda. — Czy dobrze słyszałem, że chcesz go tylko połaskotać?

Stafford uśmiechnął się lekko. Opanował się już i wiedział co robi Hardin; niejednokrotnie sam to stosował jako oficer w wojsku, kiedy ludzi ogarnęło zdenerwowanie. Hardin uspokajał Hunta tak samo, jak uspokaja się krnąbrnego konia.

— Niezła zapalniczka, co? — powiedział Stafford.

Palnik składał się z dwóch zwojów rurek, wykonanych ze stali nierdzewnej, zamontowanych na prostokątnej podstawie tak, by mogły się obracać.

— Wygląda na to, że masz tutaj dwa palniki — odezwał się Hardin.

— Dlaczego?

— Zasada paska i szelek — odparł Hunt. — Jeżeli jestem w górze i palnik zawiedzie, natychmiast muszę mieć drugi. — Przekręcił zawór w butli z butanem, po czym zapalił palnik oszczędnościowy. Zapłonął niebieskawy płomynek. — Jestem gotów.

— Obsłużę go — powiedział Stafford.

— Nie — zaproponował Hunt. — Ja to zrobię. — Wiem dokładnie, jak działa.

— Lepiej pomyśl o tym, co się stanie, kiedy uniesiecie tę klapę — przypomniał Hardin. — Pierwszą rzeczą, jaka przez nią wyleci, będzie kula.

— Czy ktoś ma nóż? — spytał Stafford.

Hunt wyjął scyzoryk, i Stafford uciął kawałek przewodu elektrycznego z lampy stołowej. Odciągnął metalową płytkę na klapie i przywiązał kabel do umieszczonego w niej kółka.

— Uchylę klapę, stojąc tu, z tyłu — powiedział. — Sama klapa osłoni mi nogi przed płomieniem. Alan, pozwól jej uchylić się przynajmniej na parę centymetrów, dopiero wtedy zapal i lepiej położyć się płasko na podłodze, za palnikiem. Kule latają po liniach prostych, więc powinieneś być bezpieczny. Ben, ściągnij ten sprzęt i ukryj się.

Dwie minuty później spojrzął na Hunta.

— Gotów? — Hunt skinął głową. — Daj porządną, długi płomień — rozkazał Stafford i jednym ruchem odsunął klapę.

Gdy tylko zaczęła się unosić, rozbrzmiała seria okropnych, terkotliwych eksplozji i przez otwór posypał się grad pocisków, uderzając o sufit i odbijając się rykoszetowo po całym pokoju. Zgasły światła, gdyż kilka neonówek zostało trafionych, a kineskop monitora eksplodował. Pomieszczenie rozświetlił jaskrawo niebieski blask, gdy w piwnicę uderzył niemal dwumetrowy płomień. Strzały umilkły i słychać było jedynie niekończący się, pulsujący huk palnika.

W końcu Hunt wyłączył go i w pomieszczeniu zapanowała cisza. Stafford opuścił klapę i rozejrzał się.

— Nikomu nic się nie stało?

Hardin trzymał się za górną część ramienia.

— Dostałem, Max. Cóż to, do diabła, było? Karabin maszynowy?

— Nie sądzę — odparł Stafford. — Przypuszczam, że Kałasznikow, przełączony na ogień ciągły. — Spojrzął na zakrwawioną rękę Hardina. — Rykoszet, Ben. Gdybyś z tej odległości został bezpośrednio trafiony, urwałoby ci rękę. Ta zabawa zaczyna się stawać cholernie niebezpieczna. — Przeniósł wzrok na leżącego Hunta. — Nic ci nie jest?

Hunt był blady, ale przecząco pokręcił głową.

— Strzały umilkły — powiedział.

— Ale czy z naszego powodu? — zapytał Stafford. — A może skończył mu się magazynek. — Nagle dostrzegł Curtisa stojącego w drzwiach. — Wracaj na posterunek, sierżancie. Te drzwi znajdują się na linii ognia.

— Tak jest — odparł Curtis dziarsko i zniknął z pola widzenia.

— Jesteś gotów do drugiego podejścia? — spytał Stafford. Hunt potwierdził energicznym kiwnięciem głowy. — W porządku. Otworzę klapę. Gdyby nie zaczął strzelać, otwórz palnik tylko na chwilę i zgaś. A gdyby otworzył ogień, daj mu porządnie popalić. — Odwrócił

głowę. — Ben, wynoś się stąd w diabły.

Hardin gwałtownie szarpnął głowę.

— Schowam się za tą ławą.

— Więc weź to i czekaj w pogotowiu. — Podał Hardinowi pistolet i napiął kabel, skinął głową Huntowi i otworzył klapę. Przez chwilę panowała cisza, po czym płomień znów buchnął z przerażającym hukiem. Hunt pozwolił mu się palić tylko przez kilka sekund i wyłączył urządzenie.

Znowu zapadła cisza.

— Hej! Tam na dole! — krzyknął Stafford. — Wychodź z pustymi rękami. Masz piętnaście sekund albo się usmazysz.

— Idę — rozległo się odległe wołanie. — Nie palcie mnie.

Na schodach zadudniły kroki i po chwili ukazał się mężczyzna. Miał zwęglone włosy, a na jego twarzy i dłoniach widniały pęcherze.

— Wyłaź! — szorstko rozkazał Stafford. Kiedy mężczyzna wszedł do pokoju, zbliżył się Hardin z pistoletem.

— Jest tam na dole ktoś jeszcze? — dopytywał się Stafford.

Mężczyzna milcząco pokręcił głową, a Stafford rzekł:

— Upewnimy się. Alan, puść jeszcze jedną długą szprycę.

— Nee, man, nee! — krzyknął mężczyzna. — Jy kan nie... — Jego słowa utonęły w długim jednostajnym huku, gdy Hunt uruchomił palnik. Odwrócił się, chcąc uciekać, ale w drzwiach zatrzymał go uzbrojony Hardin.

Palnik zamilkł i wydarzenia zaczęły następować tak szybko, że oszołomiły Stafforda.

Hardin padł jak ścięty, gdy ktoś uderzył go z tyłu. Upuścił pistolet, który wypalił uderzając o podłogę. Kula z gwizdem przeleciała tuż obok Stafforda. Skulił się odruchowo. Gdy uniósł wzrok, w pokoju byli już Brice i Hendriks, który ścisnął rewolwer z tłumikiem.

— Stać — powiedział. — Nikt się nie rusza.

Brice spojrzał na Hunta leżącego na podłodze, który wciąż jeszcze trzymał rękę na zaworze palnika.

— Co się, u diabła, dzieje? — Popatrzył na poparzonego mężczyznę. — Co ci się stało, van Heerden?

— Byłem na dole, a oni puścili na mnie ten... ten przeklęty miotacz ognia — powiedział. — Tam się zaczęło wszystko palić.

Hendriks wydał zduszony okrzyk. Wepchnął pistolet do rąk Brice'a i podbiegł do klapy, kopnięciem odrzucając na bok palnik. Zbiegł po schodkach i zniknął im z oczu. W tym

momencie czyjaś ręka zacisnęła się na nadgarstku Brice'a i wykręciła go gwałtownie. Brice krzyknął, kość ramienia trzasnęła, a zza jego pleców wychylił się Curtis i chwycił upadający pistolet.

Stafford odetchnął głęboko.

— Wstawaj, Alan — powiedział. Hunt wstał i odwrócił się. — Zajmij się Benem. — Miał właśnie zrobić krok do przodu, gdy rozległ się głuchy grzmot i budynek zadrżał. Kolumna gęstego dymu podbarwiona ogniem wystrzeliła przez otwartą klapę z piwnicy. Van Heerden wrzasnął:

— Zaraz wybuchnie!

Coś spadło i uderzyło Stafforda w głowę. Stracił przytomność.

Te winogrona są niezłe — rzekł Stafford z uznaniem. — Dziękuję.

— Przynoszenie winogron do szpitala należy do tradycji — odparł Chip i przysunął sobie krzesło do łóżka. — Tradycją jest również, że zjadają je sami przynoszący. — Urwał parę owoców i włożył do ust. — Kiedy cię wypuszczą?

— W przyszłym tygodniu. — Stafford dotknął zabandażowanej głowy.

— Niczego sobie nie złamałem, ale gdy jestem zmęczony, widzę podwójnie. Lekarz twierdzi, że to wstrząs i potrzebuję tylko wypoczynku w łóżku. Jak tam Nair?

— Wszystko w porządku. Wyjęli mu z nogi kulę i teraz się kuruje. Leży w jednym z następnych pokoi.

— Wpadnę go odwiedzić.

Chip uśmiechnął się lekko.

— Liczba pacjentów w szpitalu wzrosła, od kiedy zaczęłeś działać. Hardin doznał wstrząsu, tak jak ty; Huntowi przeszczepili skórę na nogach — uległ poparzeniu.

— A sierżant?

— Nic mu nie jest. To prawdziwy twardziel. Wkrótce wpadnie do ciebie.

— No dobra — rzekł Stafford. — Powiedz mi, co się stało.

— Curtis wyciągnął Hardina na zewnątrz, potem wrócił, żeby do spółki z Huntem wynieść ciebie. Brice wyszedł o własnych siłach. Hendriks i Miller zginęli.

— Miller? — powtórzył pytająco Stafford.

— Ten człowiek w piwnicy.

— Aha! Brice zwracał się do niego van Heerden.

— Naprawdę? — Chipa zainteresowała ta wiadomość i zanotował coś sobie. — Paszport miał wystawiony na nazwisko Miller. Brytyjski paszport.

— Pod wpływem szoku powiedział parę słów w afrikaans. Co znaleźliście w piwnicy?

Chip spojrzał na niego dziwnie.

— Nie wiesz?

— Nie mam bladego pojęcia — przyznał Stafford. — Jesteś pierwszym, który mnie odwiedził.

— Kiedy Nair zameldował mi przez telefon o tym, co robicie, zebrałem paru ludzi i zarekwirowałem helikopter z Eastleigh, bo chciałem jak najszybciej do was dotrzeć. Uważałem, że porywacie się z motyką na słońce. Właśnie lądowaliśmy obok budynku z anteną paraboliczną, gdy wyleciał w powietrze. Helikopter omal się nie rozbił.

— Wyleciał w powietrze! — zdumiał się Stafford. — Na Boga, co oni trzymali w tej piwnicy?

— Nasi eksperci wojskowi obejrzeni te kawałki i szczątki, jakie pozostały. Najwyraźniej znajdowało się tam sporo materiałów wybuchowych, w większości plastik. Twierdzą, że nie eksplodował — potrzebny byłby do tego detonator — ale spalał się w wysokiej temperaturze i spowodował wybuch

całej reszty. Mieli tam na dole mały arsenał — karabiny, amunicję, granaty ręczne i tak dalej.

— To nie wystarczyłoby do wysadzenia budynku.

— Zgadza się — przyznał Chip. — Prawdziwe piekło rozpętało się, kiedy ogień dotarł do trzech rosyjskich rakiet przeciwlotniczych A-7. Uważamy, że były trzy, ale tak naprawdę, trudno to stwierdzić.

— Rakiety! — Stafford potarł brodę. Myślał o tym gorącym, niebieskim płomieniu, napędzającym żar do piwnicy. I mówi się o igraniu z ogniem!

— Większość rzeczy na dole była pochodzenia rosyjskiego — powiedział Chip. — Zapewne sprzęt zdobyty w Angoli. Najprawdopodobniej Południowoafrykańczycy przeszmyglowali go przez Mombasę. Teraz pracujemy nad tym.

— Jak sądzisz, do czego mieli zamiar ich użyć? — rzekł Stafford.

Chip wzruszył ramionami.

— Na górze sporo się na ten temat dyskutuje. Według powszechnej opinii sprzęt miał zostać użyty do uzbrojenia różnych grup w celu wywołania ogólnych niepokojów. Wykorzystywani mogli nawet sądzić, że są finansowani przez Rosjan. Mogło to wywołać sporo złej krwi.

— A co mówi Brice?

— Brice nic nie mówi; trzyma gębę na kłódkę. Patterson też nie jest rozmowny. Ale Luke Maiyani zacznie śpiewać, gdy tylko wyciągną mu druty ze szczęki — odparł ponuro Chip. — Ty też będziesz miał gości, Max. Poproszą cię, żebyś nabrał wody w usta. Nic się tu nie zdarzyło. Rozumiesz?

Stafford kiwnął głową.

— Chyba tak — powiedział zmęczonym głosem. — Jakim cudem zdołacie to zataić?

— Przyniosłem ci kilka gazet i zaznaczyłem artykuły związane ze sprawą. Kwestia Brice'a jeszcze nie wypłynęła, a więc nie została ogłoszona. Powiem ci, co się z nim stanie. Przebywa w areszcie za malwersację funduszy Ol Njorowa; w jego gabinecie znaleźliśmy dosyć materiałów, żeby go o to oskarżyć. Stanie przed sądem i pójdzie na to, bo nie ma

innego wyjścia. Nie wiemy, kim jest, ale wiadomo, że to nie Brice.

— Skąd wiecie?

— Z jakiegoś bliżej nieznanego powodu przed wyjazdem z Zimbabwe Brice popadł w kłopoty z rządem Smitha, nasi bracia w Zimbabwe przejrzeni akta policyjne i znaleźli odciski palców. Nie odpowiadają odciskom naszego Brice'a.

Stafford wybuchnął śmiechem.

— A więc Brice pójdzie siedzieć za defraudację. I nic na to nie może poradzić.

— Spędzi za kratkami długi czas, a po wyjściu zostanie deportowany.

— Chip uśmiechnął się. — Zapewne wsadzimy go w samolot do Zimbabwe.

— Parsknął. — A tam aresztują go pod zarzutem ukrywania swojej tożsamości i posługiwania się fałszywym paszportem.

— Niemal mi go żal — powiedział Stafford.

— Nie żałuj go — skarcił go Chip twardym głosem. — W piwnicy znaleźliśmy sejf wbudowany w ścianę. Pancerny i ognioodporny. Wewnątrz, oprócz innych rzeczy, w które nie będę się zagłębiał, znaleźliśmy trzy paszporty na nazwiska Gunnarssona, Hendrixa i Kistersa. To wskazuje na Brice'a jako na bezpośredniego sprawcę ataku w Tanzanii. Był tam także spreparowany paszport Hendrixa.

— Zamienili zdjęcie Hendrixa na Corlissa — domyślił się Stafford. — A co stanie się z Corlissem?

— Oddamy mu paszport i odeślemy go do domu — oświadczył Chip.

— Nie ma pojęcia o tym, co się tutaj działo. Ma kompletny mętlik w głowie i nigdy nie opowie całej tej historii. — Wstał. — Kiedy już wyjdiesz stąd, moja żona i ja zapraszamy cię na kolację.

Stafford był nieco zaskoczony.

— Nie wiedziałem, że jesteś żonaty.

— Jak większość ludzi. — Chip zasalutował niedbale i wyszedł. Stafford sięgnął po gazety i przeczytał zaznaczone przez Chipa artykuły.

Amerykański turysta, pan John Gunnarsson zginął zabity przez hipopotama na wyspie Crescent, na jeziorze Naiwasza. Jego ciało odesłano do Stanów Zjednoczonych. W krótkim odredakcyjnym komentarzu zauważono, że wypadek ten powinien być ostrzeżeniem dla wszystkich turystów w Kenii, że zwierzęta, które oglądają w takiej obfitości są naprawdę dzikie, toteż nie można się do nich bezkarnie zbliżać. Chociaż śmierć pana Gunnarssona jest wydarzeniem godnym pożałowania, nie należy do obowiązków władz Kenii niańczenie niedyscyplinowanych turystów.

W innej gazecie znajdowała się relacja z tragicznego w skutkach pożaru w instytucie Ol Njorowa. Laboratorium migracji zwierząt zostało zniszczone, głównie w wyniku eksplozji butli butanu, przechowywanych w piwnicy. Kilka osób, w tym dyrektor, pan Charles Brice, zostało rannych, a panowie Dirk Hendriks i Paul Miller zginęli. Pan Brice nie mógł chwilowo udzielić wyjaśnień, ale zastępca dyrektora doktor James Odhiambo stwierdził, że był to ogromny cios dla kenijskiej nauki. Policja nie podejrzewa możliwości podpalenia.

Stafford miał właśnie sięgnąć po kolejną gazetę, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Weszli Hardin i Curtis.

— Dostałem pozwolenie by przynieść pułkownikowi owoce — oświadczył Curtis. Na szafce przy łóżku położył brązową papierową torbę.

Stafford spojrział na niego ze wzruszeniem.

— Dziękuję, sierzancie. Rozumiem, że należą ci się także podziękowania za wyniesienie mnie z laboratorium, tuż przed wybuchem.

— To głównie zasługa pana Hunta — odparł Curtis z niewzruszonym spokojem. — Przykro mi, że Brice'owi i Hendriksowi udało się obok mnie przemknąć. Powinienem rozglądać się na wszystkie strony. Kiedy oni weszli, byłem akurat w gabinecie.

Stafford pomyślał, że to nie tyle przeprosiny, co raczej wyjaśnienie.

— Nic się nie stało — powiedział, po czym dodał: — Tylko Hendriksowi... i Brice'owi.

— Czy mógłbym coś dla pana zrobić?

— Spraw mi tylko nową głowę — zażartował Stafford. — Ta wydaje się zbyt zużyta.

— Też się tak czułem — odezwał się Hardin. — Ale ty oberwałeś mocniej ode mnie. Wrócimy, kiedy poczujesz się lepiej.

— Zaczekaj chwilę, Ben. Można cię na chwilę przeprosić, sierzancie? — Curtis wyszedł z pokoju, a Stafford zapytał: — Czy masz zamiar jeszcze dla mnie pracować?

Hardin uśmiechnął się szeroko.

— Jeżeli ma to wyglądać tak, jak przez ostatni miesiąc, to nie. Za mało płacisz.

— Nie zawsze jest tak ciekawie. A co byś powiedział na Nowy Jork? Chcę mieć tam kogoś, kto zna się na rzeczy.

Hardin otaksował go wzrokiem.

— Taak, teraz, gdy zabrakło Gunnarssona będzie można przejść Gunnarsson Associates. Czy o to ci chodzi?

— Coś w tym sensie. Przydałbyś mi się tam, znasz ten interes. Przy odrobinie szczęścia mógłbyś zostać szefem amerykańskiej filii Stafford Security.

— Gunnarsson zawsze trzymał lejce w swoich rękach — zadumał się Hardin. — Myślę, że

teraz wszystko może się rozsypać. Jasne, że mogę spróbować. Może uda mi się zebrać trochę z tych kawałków. Prawdę mówiąc, stęskniłem się już za krajem. Całe to czyste powietrze wydaje mi się nienaturalne; brakuje mi zapachu spalin. Do diabła, pojechałbym teraz natychmiast nawet do Los Angeles.

— Poleć przez Londyn — zaproponował Stafford. — Dam ci list do Jacka Ellisa. Załatw z nim sprawy kosztów. — Zamilkł na chwilę. — A skoro mowa o Los Angeles, ciekawe, co stało się z prawdziwym Hankiem Hendrixem?

— Popytam, ale wątpię, byśmy kiedykolwiek poznali prawdę — odparł Hardin.

Po wyjściu Hardina Stafford poczuł się zmęczony i znów zaczął widzieć podwójnie. Zamknął oczy i ułożył się do snu. Resztką świadomości pomyślał jeszcze o Alix Hendriks, która nigdy nie dowie się prawdy o śmierci męża. Przyszło mu do głowy, że za każdym razem, kiedy jej pomagał, Alix stawała się bogatsza, a jemu przybywało blizn. Tym razem, dzięki uprzejmości rządu południowoafrykańskiego, miała odziedziczyć majątek męża, a przy odrobinie szczęścia także pieniądze Henry'ego Hendrixa.

Poprzysiął sobie, by następnym razem, kiedy Alix zwróci się do niego o pomoc lub radę, uciekać gdzie pieprz rośnie.

Desmond Bagley urodził się w 1923 roku w Kendal, w Anglii.

Od czternastego roku życia pracował zarobkowo, między innymi w drukarni i w fabryce samolotów. Doświadczenia te znalazły wyraz w jego twórczości.

Po drugiej wojnie światowej wyjechał do Afryki Południowej.

Przemierzył cały kontynent.

W Johannesburgu rozpoczął pracę dziennikarską, nie związał się jednak na stałe z żadną gazetą.

Pierwszą powieść opublikował w 1962 roku.

Trzy lata później wrócił do Anglii, mieszkał 12 lat w Totnes, w hrabstwie Devon. Potem, wraz z żoną, przeniósł się na Guernsey na Wyspach Normandzkich. Fascynowała go historia wojskowości, komputery i matematyka.

Desmond Bagley zmarł w 1983 roku.

Opublikował 16 powieści, wszystkie dotarły na czołowe miejsca list bestsellerów. Polskiemu czytelnikowi jest znany z takich tytułów jak: „Odwet”, „Na oślepie”, „Listy Vivero”, „Przerwany lot”, „Huragan”, „Fetysz” i „Lawina”.

Nakładem Wydawnictwa Garamond ukazały się dwie powieści tego autora:

„Wróg” i „Osuwisko”.